

*Lisa Bingham*

*Szalona maskarada*

## Prolog

*Nowy Jork, 25 czerwca 1859*

Wąską uliczkę spowijał mrok. Gęste, nieprzeniknione ciemności napływały z zaułków i kamienic okalających rozległą dzielnicę teatralną, niosąc zapach brudu i nędzy.

Dobrze znał tę okolicę. Urodził się niedaleko stąd - w jednym z obskurnych domów, w dwupokojowym mieszkaniu cuchnącym gotowaną kapustą i zgnilizną. I w tym budynku poznał Maurę Kelly.

Boże miły, jakżeż on ją kochał. Była dla niego wszystkim, dla niej żył. Obserwował, jak dorastała i zdumiewał się spokojem, z jakim znosiła gehennę życia z ojcem pijakiem i kaleką matką. Wciąż pamiętał, jak tylko we dwoje, Maura i on, uciekali czasem przed obmierzłym światem, zakradali się do któregoś z teatrów, by, przytulając się mocno, podglądać w ciemnościach aktorów i aktorki podczas prób.

Od samego początku wiedział, że przeznaczeniem Maury było aktorstwo. Z każdym kolejnym rokiem rozkwitał jej talent i oszałamiająca uroda - i nie było w tym sformułowaniu żadnej przesady. W odniesieniu do Maury określenie „oszałamiająca piękność” było po prostu stwierdzeniem faktu.

Kwaśno się uśmiechając, ruszył przed siebie. Szedł

ciemnymi alejkami, niemal bezgłośnie stąpając po bruku. Siąpił deszcz, wcisnął więc ręce głęboko do kieszeni płaszcza, żeby nie dopuścić do ciała wilgoci, którą przepojone było powietrze.

Przymknął oczy i znów widział przed sobą Maurę - najpierw jako małą dziewczynkę, a potem już jako kobietę. Rysy twarzy miała królewskie, niemal wyniosłe. Do tego bladoniebieskie oczy i włosy barwy złota. Dzięki tym atrybutom po prostu musiała osiągnąć - i osiągnęła - wszystko, o czym marzyła od najmłodszych lat.

Bogactwo.

Szacunek.

Uwielbienie.

Zwolnił kroku, a w końcu całkiem się zatrzymał w zacienionym wejściu. Miał stąd doskonały widok na teatr Royale - ostatni, w którym Maura występowała.

Smutek chwycił go za serce, wywołując ukłucie aż nazbyt realnego bólu, gdy wspomniał, jak szybko Maura stała się jedną z najpopularniejszych aktorek w kraju - osiągając status, o który walczyła od swoich trzynastych urodzin. Najęła się wtedy jako szwaczka w jednym z miejscowych teatrów. Zakradała się na próby, pracowała w chórkach i nadskakiwała każdemu, kto mógł pomóc jej w karierze, dopóki nie ściągnęła na siebie upragnionej uwagi. Odkładała każdy grosz na ubrania i dodatki, które miały podkreślać jej urodę, tak aby ktoś w końcu zauważył, że pisany jej lepszy los.

Miał ściśnięte gardło. Chciało mu się wyć. Piękna. Była taka piękna. A kiedy zaczęła zbierać laury, na które zasługiwała jak nikt inny, zniknęła.

Zachwiał się nieznacznie, a jego ciało przeszył nieznosny ból. Oparł się dla równowagi o ceglana ścianę

i skoncentrował na jedynej myśli zdolnej odegnać przeraźliwą tęsknotę.

Maura przyrzekła, że wróci.

Przyrzekła.

Pięć lat upłynęło, a on z całych sił starał się nie tracić nadziei. Ułożył sobie życie. Nikomu w głowie by nawet nie powstało, że urodził się w jednej z najbiedniejszych dzielnic Nowego Jorku. Maura byłaby z niego dumna. Roześmiałaby się radośnie i wzniosła na jego cześć toast swoim ulubionym gatunkiem szampana. Potem ujęłaby jego twarz w drobne dłonie i słodko ucałowała w usta.

Kiedy Maura powróci...

A to już musi być niedługo.

Ściągnął ramiona i stał wyprostowany jak struna.

Maura wróci do niego. Wiedział to. Pozostawało mu zatem zadbać o miejsce dla niej po powrocie. Nie można zdawać się na przypadek.

Przechodząc przez ulicę, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej przygotowaną wcześniej butelkę z naftą. Spokojnie podpalił knot, wybił łokciem szybę jednego z dolnych okien budynku, następnie wrzucił butelkę przez strzaskaną tafłę szkła. Potem zaś, gdy butelka rozprysła się, a ogień zaczął gwałtownie rozprzestrzeniać po drewnianej podłodze, bawełnianych bieżnikach i mięsistych kurtynach, umknął między gęste drzewa pobliskiego parku.

- To dla ciebie, Mauro - wyszeptał. Wiał lekki wiatr i zaczynało go kręcić w nosie od dymu. - Dla ciebie...

# 1

*Nowy Jork, czerwiec 1859*

Constance Pedigrue niechętnie tolerowała głupców - a już w szczególności wtedy, gdy taki głupiec robił co w jego mocy, by wejść jej w paradę.

Zebrała swoje rzeczy i podniosła się z siedzenia w omnibusie; czuła, że policzki zaczynają jej płonąć ze zniecierpliwienia. Nie była w stanie pojąć, dlaczego mężczyźni tak często wyobrażają sobie, że kobiety nie zostały obdarzone rozumem. Świetnie wiedziała, że woźnica zatłoczonego omnibusu rozmyślnie zatrzymał się dobre pół przecznicy za jej przystankiem, po czym wygramolił się z kozła, żeby osobiście pomóc jej przy wysiadaniu. Był zapewne przekonany, że jest nadzwyczaj uprzejmy - tym bardziej, że nie kwapił się pomóc żadnemu z wcześniej wysiadających pasażerów.

Mimo to Constance i tak posłała mu piorunujące spojrzenie. Myśl, że narusza jej prywatność, najpewniej w ogóle nie przyszła mu do głowy.

Co też takiego każe płci brzydkiej pchać się z atencjami do kobiet, które na wszelkie sposoby dają do zrozumienia, że chcą, by pozostawiono je w spokoju? Co każe im sądzić, iż jakiegokolwiek kobiecie - a już zwłaszcza dobrze wychowanej kobiecie z wykształceniem, jaką była Constance - pochlebi perskie oko

i uśmiech pierwszego lepszego obdartusa w typie „nie-  
-kapałem-się-od-ładnych-kilku-dni”?

Przedzierając się przez płataninę spódnic i lasek, Constance planowała następny ruch. Jeżeli uniesie brodę o tak, będzie mogła ostrym spojrzeniem zasygnalizować woźnicy, że jego usługi są zbędne, a następnie samodzielnie wysiąść. Ten dżentelmen nie ma co liczyć na napiwek - o nie, żadnego napiwku nie będzie! - pomimo tego, że Constance za punkt honoru obrała sobie ofiarowanie pensa każdej osobie, która pomoże jej podczas pechowej podróży z Bostonu do Nowego Jorku.

Kiedy stanęła w drzwiach pojazdu, poczuła gorące promienie słońca, a jej nozdrza natychmiast wypełniły się zapachem kurzu, rozgrzanej ulicy i...

I tego człowieka.

Z niesmakiem zmarszczyła nos.

- Psze panienki...

Wyciągnął rękę obleczoną w przepoconą rękawiczkę.

Constance wzdrygnęła się, przekrzywiając głowę z wyrazem najwyższej dezaprobaty, tak jak to sobie zaplanowała.

- Dziękuję panu, panie... e...

- Pepys. Jak ten angielski pisarz.

Szczerze powiedziawszy, Constance powątpiewała w istnienie odległego choćby pokrewieństwa między tym mężczyzną a Samuelem Pepysem, ale nie zadała sobie trudu, by podobnym insynuacjom zaprzeczyć. Im szybciej pozbędzie się towarzystwa pana Pepysa, tym lepiej.

- Dziękuję panu, panie Pepys, za pańską troskę - powiedziała, stawiając kosz w przejściu tuż przy swoich stopach, żeby swobodnie zejść na dół. - Proszę się nie...

Ostatnia uwaga przerodziła się w mimowolny pisk, kiedy mężczyzna chwycił Constance za kibić i dosłownie zniósł ją z omnibusu.

Przeżrana Constance odpychała go od siebie, zmuszona dotykać dłońmi jego płaszcza. Próbowwała się wyszarpnąć, mężczyzna jednak trzymał ją mocno. Szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, przeniósł ją nad ulicznym błotem aż na chodnik, gdzie postawił ją tak „delikatnie”, jakby zrzucał worek ziemniaków.

Usiłując złapać oddech i poprawić przekrzywiony czeppek, Constance z trudem opanowała się na tyle, by rzucić zdławionym głosem:

- Panie Pepys?!

Na nic to się jednak nie zdało. Mężczyzna pochylił się i wcisnął jej w rękę kartę wizytową.

- Skontaktuj się ze mną. Nie pożałujesz - wycedził i posłał jej szeroki uśmiech.

Constance wzdrygnęła się ponownie; na zębach i dziąsłach miał plamy od żucia tytoniu.

Pan Pepys począłapał z powrotem przez błoto po kosz, który wiozła ze sobą z Bostonu. Stawiając go na ziemi obok niej, puścił kolejne perskie oko. Chwilę potem pędził już długimi susami w stronę kozła.

Constance porwała kosz w ramiona i mocno przycisnęła go do piersi.

- Myślę, Panie Bentley, żeśmy się go wreszcie pozbyli - poinformowała półgłosem skulonego we wnętrzu przegowanego kota.

Kot fuknął, jakby chciał wyrazić swoje zdanie w tej materii.

Pogłębiając niezadowolenie Constance, pan Pepys zatrzymał się, żeby raz jeszcze uchylić kapelusza w jej kierunku. Następnie smagnawszy batem zaprzężoną

do omnibusu czwórkę koni, skierował pojazd na główną drogę, chlapiąc przy tym błotem na wszystkie strony świata.

Constance zbyt późno uniosła rękę, żeby osłonić twarz. Błotnista maź upstrzyła jej policzki, dłonie i spódnicę.

Constance zmarszczyła gniewnie czoło. Od samego wyjazdu z Bostonu nic tylko kłopoty. Wyprawa, która powinna się była zakończyć po leniwej, trzydniowej podróży, trwała niemal miesiąc - miesiąc!

„Gdyby nie to, że ojciec nie żyje, pomyślałabym, że to wszystko jego sprawka”.

Nie zdążyła powstrzymać tej myśli. Poczowała wstyd. Odezwały się wyrzuty sumienia.

Przecież sama zawsze powtarzała, że nie wolno źle wyrażać się o zmarłych! Poza tym, przecież to właśnie za sprawą ojca zaczęła się jej wielka przygoda.

Jednak ciągle czuła to samo. Bardziej ubolewała nad tym, że nieświadomie złamała zasady etykiety towarzyskiej, niż nad śmiercią ojca. W gruncie rzeczy była zadowolona, że umarło się temu staremu zrzędzie. Ale zamierzała kryć się z tym do końca swoich dni. Nikt nie miał prawa dowiedzieć się o jej nielojalności.

Zauważyła stojącą przed niewielkim sklepem ławkę i opadła na nią ciężko. Była na nogach od bladego świtu i marzyła się jej chwila odpoczynku od gorąca i trudów podróży.

„Och, tato”. Westchnęła bezgłośnie, zupełnie jakby mogła go jeszcze przeprosić.

Ale dlaczego to ona miałaby przeproszać? Ojciec nigdy jej nie kochał, ani dwóch młodszych sióstr. Gorzko przeklinał dni, w których przychodziły na świat - *dziewczynki* - i, pozbawiony upragnionych synów, poprzy-



sięgnął sobie zmienić życie córek w piekło wedle własnego projektu.

„Dosyć! Nie powinnaś nawet tak myśleć”.

Niemniej jednak tak właśnie myślała. I to całe swoje życie - zwłaszcza, że była jedyną z sióstr Pedigrue, która z racji wieku pamiętała, jak było naprawdę.

Ojciec je okłamał.

Okłamał je wszystkie.

Constance miała wtedy zaledwie pięć lat, ale dokładnie pamiętała dom, w którym ona i siostry mieszkały z ojcem i matką. Louise Pedigrue była piękną kobietą, pogodną i wечно roześmianą. Mijały lata, Alexander z coraz większym fanatyzmem podchodził do obowiązków pastora, a w niej radość życia zaczęła przygasać. Louise stawała się ostrożniejsza - uczyła córki dobierać każde słowo i postępować ze szczególną rozwagą.

Mimo to bywało, że kobiety z rodziny Pedigrue wymykały się spod domowej tyranii, by urządzić piknik na łące albo bawić się na strychu w teatr. Jeszcze dziś w uszach Constance rozbrzmiewał słodki głos matki wcielającej się w klasyczne role Kasandry, Ofelii, lady Makbet.

Z westchnieniem sięgnęła do kieszeni po bawełnianą chustkę i delikatnymi ruchami otarła wilgoć z czoła i znad górnej wargi.

Gdyby Constance była wtedy czujniejsza, być może zdołałaby zapobiec temu, co miało się wydarzyć. Pewnej nocy obudziła się i usłyszała kłótnię rodziców. Zakradła się na palcach do salonu i zobaczyła, jak ojciec uderzył matkę tak mocno, że ta się przewróciła. Potem matka klęcząc, błagała go o wybaczenie.

Przerażona tą sceną Constance uciekła z powrotem do sióstr, żeby nie przyłapano jej na podsłuchiwanie.

Ale nie mogła zasnąć. Zwłaszcza po tym, jak matka weszła do ich sypialni, przytuliła każdą z córek, szepcząc raz za razem: „Zrobię wszystko, żeby was chronić. Wszystko”.

Słona kropla spłynęła po jej policzku. Constance drgnęła, zaskoczona, po czym szybko otarła twarz.

Łzy? Po tylu latach? Czyż nie dość często powtarzała sobie, że żadna pięciolatka nie zdołałaby zapobiec wydarzeniom, które potem nastąpiły? Zniknięciu matki następnego dnia rano. Niezłomnej woli ojca, by spakowali się i niezwłocznie wyprowadzili. Jego kłamstwom, że Louise znalazła sobie mniejsze, grzeczniejsze dzieci i teraz to je kocha.

Tylko Constance podejrzewała, że są jakieś głębsze, mroczniejsze powody pośpiechu ojca. Wątpliwości nękały ją przez lata. Czy matka naprawdę ich porzuciła? A może ojciec zrobił coś o wiele gorszego niż uderzenie żony? Czy on ją... zabił?

Zrywając się na równe nogi, Constance odsunęła tę myśl w najdalszy zakamarek umysłu - tak jak robiła to setki razy wcześniej.

Co było, to było, powtórzyła sobie z mocą. Teraz to z przyszłością musi się zmierzyć i rozpocząć nowe życie.

Mocniej przycisnęła kosz i po raz kolejny zadumała się nad możliwościami, jakie otworzyły się przed nią wraz ze śmiercią Alexandra Pedigrue. Nie tylko uwolniła się od człowieka, którego z czasem znienawidziła, ale też - za sprawą zapisów w jego testamencie - mogła w końcu zacząć wszystko od nowa.

*Od nowa.*

Jak to cudownie brzmi. Do śmierci ojca Constance była przekonana, że przyjdzie jej spędzić całe życie we wnętrzu ponurej budowli, którą pokolenia kobiet z ro-

dziny Pedigrue nazywały „domem”. Jednakże odczytanie ostatniej woli Alexandra przyniosło zaskakujący zwrot wydarzeń. Ojciec nie był tak biedny, jak wszyscy przypuszczali. Miał miliony, dziedziczył bowiem, jak się okazało, rodzinną fortunę.

Usta się jej wykrzywiły. Naturalnie, ojciec nie uznał za stosowne zabezpieczyć, by scheda przeszła na jego córki. Nie, stary dziwak życzył sobie zza grobu poddać je próbie. Najwyraźniej lata wysługiwania się nimi to nie dość. Każda z córek musi „dowieść swej wartości”, pracując przez rok na wybranej przez niego posiadzie. Jeśli podoła jej swoim zadaniom i będą zachowywać się jak przystało porządnym kobietom, każda z nich otrzyma roczną pensję w wysokości pięciuset dolarów oraz pozwolenie na mieszkanie w domu rodzinnym. „A niech go diabli, dusi-grosza jednego” - pomyślała. - „Sknera do samego końca”.

„Jesteś niesprawiedliwa”.

Constance skrzywiła się na ten podszept sumienia. Pod jednym względem ojciec rzeczywiście okazał się dobroduszny. Zamiast nalegać, żeby córki pracowały na jakiejś misji w Indiach, jako opiekunki w domu starców czy sierocińcu, spełnił największe marzenie każdej z nich.

Sytuacja nadal wydawała się Constance co najmniej dziwna. Oskarżyła nawet o majstrowanie przy testamentie młodszą siostrę, Patience, która widziała kopię testamentu zaledwie na kilka miesięcy przed śmiercią ojca. Siostra jednak zaprzeczyła zarzutom. To ojciec wysłał Felicity na Dziki Zachód i kazał jej objąć posadę nauczycielki. To on umożliwił Patience opuszczenie Bostonu i podjęcie pracy guwernantki. I, rzecz jeszcze dziwniejsza, to ojciec nakazał Constance podróż do Nowego Jorku i objęcie posady szwaczki w teatrze.

Czy cuda nigdy się nie skończą?

Constance najchętniej teraz przeciągnęłaby się i ulżyła obolałym mięśniom, ale powstrzymała się i rozejrzała za jakimś drogowskazem.

Jak dotąd jej podróż nie należała do spokojnych. Pierwszy pociąg, którym jechała miał w połowie trasy opóźnienie spowodowane niegroźnym wybuchem w kotłowni. W rezultacie Constance spóźniła się na wszystkie pozostałe połączenia.

Zaczęła już myśleć, że na całej podróży ciąży kława. Zła pogoda, awarie sprzętu, zaginiona korespondencja i pomyłki w telegramach od prawników ojca opóźniły jej przyjazd o całe tygodnie.

Po przybyciu do Nowego Jorku Constance zaczęła mieć nadzieję, że szczęście w końcu się do niej uśmiechnie. Jednakże już na stacji kolejowej niemal wszystkie jej kufry - z wyjątkiem jednego - zostały skradzione podczas przeładunku z wagonu bagażowego do punktu odbioru bagażu. Potem właściciel pensjonatu, w którym się początkowo zatrzymała, stał się nadmiernie poufały - posunął się nawet do tego, że ujął ją za rękę i pieścił odsłonięte ciało nad rękawiczką. A teraz propozycje składał jej niedomyty nicpoń, który ubłocił jej najlepszą suknię podróżną.

Na chwilę przymknęła oczy, usiłując przywołać cały spokój i zaradność, jakie wypracowała w sobie przez lata opieki nad drażliwym ojcem. Nie udało się jej, za to złość zawrzała w niej z nową siłą. Gdziekolwiek się ruszyć, tyle chamstwa!

- Te, paniusia, z drogi!

Constance podniosła wzrok dość szybko, by zobaczyć mknącą w jej kierunku wyładowaną gazetami taczkę. Przywierając do latarni, ledwie zdążyła uchronić się przed kolizją.

Z wnętrza kosza rozległo się przeciągłe miauczenie, a zawartość pojemnika przemieściła się gniewnie.

- Wszystko w porządku, Panie Bentley - zaszczębiotała Constance kojąco, ale wnioskując z pomruków, jakie dały się słyszeć chwilę później, kot nie dal się udobruchać.

Pomyślała, że najlepiej będzie, jeśli oboje zejda z zatłoczonego przejścia, i wróciła na przystanek pół przecznicy wcześniej, gdzie omnibus powinien się być zatrzymać. Następnie podniosła wzrok na powyginaną tabliczkę na rogu budynku po lewej stronie. Kiedy przekonała się, że numer odpowiada temu ze skrawka papieru, który miała schowany w rękawiczce, z zadowoleniem pokiwała głową. Przynajmniej nie musiała nadkładać dużo drogi przez tego pacana z omnibusu.

W tej samej chwili przypomniała sobie, że nadal trzyma jego wizytówkę. Krzywiąc się, podarła ją na malutkie kawałki i wyrzuciła na stos piętrzących się przy rynsztoku śmieci.

- Pójdź złoto do złota - mruknęła pod nosem.

Szła boczną uliczką, na której słońce kładło się mnóstwem cętek, i usiłowała otrzepać jakoś przód sukni, ale bez rezultatu. Jej wysiłki tylko pogorszyły sytuację: błoto rozmazało się po czarnej wełnie, przez co plamy stały się wyraźniejsze.

- Rany koguta! - burknęła pod nosem. Ostatnią rzeczą, o jakiej myślała, było pokazać się w takim stanie nowemu chlebobdawcy. Przez calusienką podróż z Bostonu Constance bardzo dbała o swój wygląd, bo wiedziała, jak ważne jest pierwsze wrażenie. W pociągach barykadowała się w pomieszczeniach po zawiętrznej stronie wagonu i nie otwierała okna pomimo upału. Na promie nie wyściubiła nosa spod pokładu, żeby unik-

nać morskiej soli i mgiełki. Nawet w głupim omnibusie podołała nie lada wyzwaniu, żeby uniknąć kontaktu z ubłoconymi buciorami i torbami współpasażerów.

Jeszcze dzisiaj rano, gdy chcąc nie chcąc musiała zrezygnować z mieszkania w pensjonacie, udała się do pobliskiego hotelu i zamknęła w damskiej łazience; wyjęła z torby podróżnej kawałek czystego płótna i szczotkę do ubrania, żeby zatuszować wszelkie ewentualne uszczerbki, jakie poniosła jej garderoba, dopóki nie będzie mogła oddać jej do porządnego prania. Pamiętała nawet o tym, żeby przyczesać włosy i nastroszyć wstążkę na czepku. Ale teraz... teraz tuman o nazwisku Pepys upaprał ją błotem - i Bóg wie, czym jeszcze - kiedy była niemal u celu swej podróży.

Nastrój Constance jeszcze się pogorszył. Stanęła w pół kroku, szarpiąc za tasiemki przy torebce. Wcisnęła palce do środka i wyjęła mały notes w mosiężnym etui oraz maciupęńki ołówek. Lekko pośliniła grafit i otworzyła notesik w miejscu, w którym schludnie, drukowanymi literami wypisana była lista nazwisk. Obok każdej pozycji widniał plus lub minus, wskazujący jakiego rodzaju list - z podziękowaniami czy wręcz przeciwnie - każda z wymienionych osób powinna za wyświadczoną usługę otrzymać. Pan Quigly, piekarz, który nieśmiało podarował jej na drogę lepiące się bułki, dostał minusa. Chociaż ofiarowanie prowiantu było z jego strony uroczym gestem, to jednak zachował się jak na wdowca wysoce niestosownie, czyniąc to w miejscu tak publicznym jak schody frontowe. Nie mówiąc już o tym, że usiłował cmoknąć ją w policzek. Jednakże z racji tego, że uchodził za starego przyjaciela domu, otrzyma uprzejmy, acz zwycięży liścik z podziękowaniem. Następną pozycję zajmo-

wał pierwszy bagażowy, który na dworcu pomógł jej rozlokować bagaże - plus. Fachowy i uprzejmy chłopak. Kafejka kolejowa - minus, bo jedzenie docierało na stół wystygłe. Kantor na dworcu - minus za zły serwis sprzętu. Linia przewozowa - także minus, z powodu wątpliwej jakości usług. Pracownik Hotelu i Pensjonatu Richardsona dla Pań - zdecydowanie minus. A Franklin Omnibus Company...

Szybko postawiła minus przy nazwie przewoźnika. Następnie, myśląc o stanie swojej garderoby i zuchwałości woźnicy, dopisała drugi. Właściciel tego przedsiębiorstwa zasłużył sobie na surowy list z zażaleniem, bez dwóch zdań.

Upychając etui na powrót do torebki, Constance rozejrzała się wokół zatłoczonego chodnika, zatrzymując wzrok na fasadach bogatych, połyskujących złoceniami budynków po obu stronach ulicy. Pomimo niedawnego wzburzenia, przebiegł ją przyjemny dreszczyk.

Dotarła do celu.

Naprawdę dotarła do celu!

Nieco wyżej unosząc kosz, wyszeptwała:

- Niebawem, Panie Bentley, znajdziemy się w samym centrum wydarzeń, sam zobaczysz. Za kilka tygodni nikt nas nie pozna, tacy będziemy szykowni.

Odpowiedziało jej stłumione, pełne skargi miauknięcie. Biedny Pan Bentley. Przebył wiele długich mil zamknięty przez cały czas w dusznym koszu z wikliny. Teraz, kiedy wreszcie dotarł do nowego domu, z pewnością spieszno mu było poszukać sobie jakiegoś przytulnego kąta, zanim wymknie się na dwór, żeby zbadać sąsiedztwo. Jak tylko Constance spotka się z przyszłym pracodawcą, wyjaśni powód spóźnienia

i zatroszczy się o nowe lokum, resztę dnia przeznaczą z Panem Bentleyem na odpoczynek.

- Jeszcze tylko kilka minut - dodawała otuchy, zbliżając<sup>zając</sup> twarz do wiklinowego wieka. Jej zachowanie powitane zostało kilkoma zdziwionymi spojrzeniami przechodniów, ale Constance nie przejmowała się zbytnio podejrzeniami, że przemawia do zakupów. Lada chwila spełni się jedno z jej najpilniej skrywanych marzeń.

Teatr bowiem fascynował ją od zawsze. Ta pasja stała się niemal cechą jej charakteru. Ojciec jednak starał się jak mógł wybić jej teatr z głowy - dosłownie. Jego zdaniem jedynie kobiety niemoralne dobrowolnie narażały się na upokorzenia, jakie są losem aktorki.

Jednak, pomimo tego że zmuszona była czytać opasłe tragedie skulona obok dogasającej świecy, a jej upodobanie do kostiumów, odgrywania ról i melodramatów przez większą część życia było tłumione, Constance nigdy nie wyzbyła się nadziei, że pewnego dnia będzie mogła w jakiś sposób związać swoje życie z teatrem.

I oto stało się - już wkrótce będzie krojczynią i szwaczką w jednym z najwspanialszych nowojorskich teatrów. I to już w kilka tygodni po śmierci ojca, za sprawą zapisu w jego testamencie.

Constance prychnęła. Nadal podejrzewała, że zapis testamentu były wynikiem czyichś manipulacji, a nie woli ojca. Z drugiej strony Patience zaklinała się, że nie zrobiła niczego poza przekazaniem dokumentu prawnikom ojca. A jeżeli nawet polecenia dla nich rzeczywiście zostały zmienione, Constance nie wiedziała w jaki sposób i wcale jej to nie obchodziło. Ojciec podarował jej wolność. Szansa kierowania własnym życiem była wszystkim, czego teraz chciała. Fakt, iż to swoje samodzielne życie będzie mogła prowadzić pra-



cując w nowojorskim teatrze zachwycał ją nie do opisanania. A kiedy skończy się roczny okres próby, odbierze swoje pięćset dolarów. Ale w domu ojca nigdy nie zamieszka.

Przenigdy.

Constance wydała zdławiony okrzyk, wpadła na nią bowiem grupka roznosicieli gazet, pędzących z wypchanymi torbami na róg ulicy. Pan Bentley zaprotestował przeciągle, a Constance sapnęła z oburzeniem, gdy spostrzegła, że w całym tym zamieszaniu ukruszyło się zapięcie przy wieku kosza.

Na przekór obezwładniającemu znużeniu, które ogarnęło jej członki, nakazała sobie pośpiech. Bijący w oddali zegar przypominał, że popołudnie ma się ku końcowi, a ona wciąż miała mnóstwo do zrobienia. Jedyny ocalały kufer czekał na odbiór w przechowalni na stacji, na domiar złego zepsuł się kosz. Najlepiej będzie, jeśli jak najprędzej zgłosi się do pracodawcy, a potem zabierze za szukanie nowej kwatery. Powrót do Hotelu i Pensjonatu dla Pań zdecydowanie wykluczała, a cierpliwość Pana Bentleya była na wyczerpaniu.

Zerknęła ponownie na skrawek papieru z adresem i zmarszczyła czoło. Charakter pisma prawnika był gorzej niż mało czytelny: nazwa teatru i nazwisko osoby, z którą miała się skontaktować, miały postać dwóch atramentowych kleksów. Cieszyła się, że chociaż z numerem ulicy było nieco lepiej - „1-11” i coś, co wyglądało jak „Kensington”.

Ruszając wzdłuż właściwej bocznej uliczki, Constance przyglądała się budynkom przylegającym jeden do drugiego szczelnie jak klocki i oczy robiły się jej coraz bardziej okrągłe. Teatrów było tu bez liku. Więcej niż wydawało się jej to możliwe. Ale w ostrym, popo-

łudniowym słońcu wyglądały o wiele mniej „magicznie”, niż to sobie wcześniej wyobrażała. W rzeczywistości w całej okolicy było coś zwyczajnie... *obskurnego*.

Odwróciła wzrok od pospolicie wyglądającego jego mościa, który opierał się o ścianę i usiłował złapać oddech, walcząc z atakiem spazmatycznego kaszlu. Przyspieszyła kroku. Im szybciej dotrze na miejsce, tym lepiej.

Szła teraz energicznie: spódnica furkotała, kosz podskakiwał. Wiedziała, że takie tempo nie przystoi szlachetnie urodzonej kobiecie, ale nie potrafiła się pohamować. Przed nią wąska ulica otwierała się na zielony, mieniący się jak klejnoty park. W głębi za ozdobnymi, żelaznymi skrzydłami bramy widać było fantazyjną fasadę budynku o ścianach pokrytych białym marmurem, złoceniami i dębina.

Natychmiast zrozumiała, że budynek jest albo na wykończeniu, albo też renowacja idzie pełną parą. Chmara robotników co i rusz wpadała lub wypadała przez masywne drzwi frontowe. Po narzędziach, jakie ze sobą nieśli, rozpoznawała stolarzy i murarzy, tragarzy, tapicerów i dekoratorów.

Constance zatrzymała się naraz w pół kroku, umożliwiając czterem mężczyznom podniesienie ogromnego lustra z drewnianej skrzyni i wniesienie go po niskich schodkach ku wejściu. Gdy tafla znalazła się dokładnie naprzeciw niej, kątem oka złowiła swoje odbicie i jęknęła boleśnie.

Kurka wodna. Miała wypieki, włosy w nieładzie, a błoto zniszczyło sukienkę bardziej niż przypuszczała.

Chwilę zmagąta się z tasiemkami przy czepku, w końcu jednym ruchem ściągnęła go z głowy. Podążyła za tragarzami i ich ładunkiem do przypominającego jaskinię foyer teatru. Zeszła robotnikom z drogi, postawiła kosz na podłodze i wyjęła z torebki chus-

teczkę. Zwilżyła jej róg wodą toaletową, której niewielki flakon trzymała specjalnie na podobne okazje, i zrobiła co się dało, by oczyścić twarz i poprawić zrujnowaną fryzurę. Następnie włożyła czepek i zawadziacko zawiązała wstążkę. Skoro nie mogła przebrać się przed spotkaniem Z chlebobdawcą, pozostawało jej jedynie ogarnąć się w miarę skromnych możliwości.

Dwukrotnie próbowała zwrócić uwagę któregoś Z uwijających się jak w ukropie robotników, żeby spytać się, kto tu dowodzi, jednakże tak za pierwszym, jak i za drugim razem pracujący albo jej nie słyszeli, albo też byli zbyt pochłonięci własnymi sprawami.

Zdażyła pomyśleć z przygnębieniem, że na nic to wszystko, gdy w wysklepionym foyer zapanowała nagła cisza. Rozejrzała się z ciekawością i skonstatowała, że praca w teatrze ustała w jednej chwili, a cała uwaga obecnych skupiła się na olbrzymim lustrze. Grubymi sznurami oplatano właśnie jego lśniąca tafle, by następnie związać je z inną liną, prowadzącą do skomplikowanego systemu bloków.

Constance otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, zgadując, że tych pół tuzina mężczyzn stojących na dole i na górnym balkonie zamierza podnieść lustro i umieścić je na pustej ścianie na samym środku podwójnych schodów spiralnie wznoszących się ku pierwszemu poziomowi balkonów.

Choć nie mogła się doczekać chwili, kiedy zdoła wreszcie odszukać nowego szefa i wysłuchać jego poleceń, Constance przyglądała się tragarzom w napięciu, z taką samą uwagą jak zebrani wokół niej ludzie. Zwłaszcza jeden z robotników przykuł jej wzrok i wpatrywała się w niego zafascynowana.

Miał na sobie spodnie z szorstkiego na oko materiału,

które opinały umięśnione uda i wąskie biodra. Kraciasta koszula była rozpięta niemal do pasa i widać było bawełniany podkoszulek, a także mokre od potu ciało.

Kiedy odwrócił się w stronę Constance, światło z ogromnego okna w foyer zalało jego twarz i po raz pierwszy mogła się jej przyjrzeć. To, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersi i sprawiło, że momentalnie zaschło jej w ustach. Ciemne, niemal czarne włosy, królewski profil, silnie zarysowana szczęka... Po prostu nie mogła oderwać oczu.

„O, rany...” - westchnęła bezgłośnie. Nigdy, przez całe swoje życie, nie widziała równie pięknego mężczyzny.

Nigdy.

## 2

Constance usiłowała odwrócić wzrok, świadoma, że nie wypadało jej tak otwarcie przyglądać się nieznanemu, a do tego zwykłemu robotnikowi. Ale zignorować tego mężczyznę było doprawdy trudno. Im dłużej patrzyła w jego kierunku, tym silniejsze wywierał na niej "wrażenie.

Ta jego prezencja. Siła. Władczość. Odgarniał ciemne włosy i głośno komenderował swoimi ludźmi, zyskując natychmiastowy posłuch.

Jej ciało przebiegł dziwny dreszcz. Głos mężczyzny, niski i głęboki jakby dobywał się spod ziemi, sprawiał, że drżała i pozostawiał w piersi przedziwne, podobne do bólu uczucie.

Walcząc z czarem, jaki na nią nieświadomie rzucił ten mężczyzna, Constance robiła wszystko, byle tylko na niego nie patrzeć. Studiowała wzorzysty dywan, pokryte jedwabiem ściany, kosz, z którego Pan Bentley usilnie starał się wydostać.

Zabiegi te pomagały na krótko. Po chwili jak za nakazem niewidzialnej siły znów wpatrywała się w stojącego na półpiętrze nieznanego. Kiedy wspiął się na grubą marmurową poręcz i balansował na niej, sprawdzając olinowanie i haki, zapragnęła nie wiedzieć czemu zawołać do niego, żeby był ostrożny.

„Opanujże się, Constance” - skarciła się w duchu. Ale to bezgłośne napomnienie nie na wiele się zdało.

r

- W górę!

Głos męczyzny zabrzmiał gromko, wznosząc się nad dysonans głosów. W jednej chwili mięśnie jego ramion nabrzmiały, napinając szorstką bawełnianą koszulę. Wykrzywił się z wysiłku, odsłaniając białe, równe zęby. Constance ujrzała jak przekrzywione lustro zamigotało i zalśniło nagle, po czym pofrunęło w górę. Tysiące słonecznych refleksów zatańczyły po foyer, oślepiając ją w ułamku sekundy.

Uniosła rękę, żeby osłonić oczy. Lustro kołysało się teraz w powietrzu dobrą stopę nad ziemią, ale wciąż daleko od wyznaczonego miejsca.

- Dalej!

Tragarze natężyli się, stękając z wysiłku, a ich zwielokrotnione przez echo pomruki rozbrzmiewały w rozgrzanym wnętrzu. Siłą odrywając oczy od ich przywódcy, Constance zamarła.

Lustro było jeszcze piękniejsze, niż jej się wcześniej wydawało. Krawędzie miało starannie zeszlifowane niczym szlachetny klejnot. Na brzegach tafli wryty był skomplikowany wzór ze splecionych winorośli, liści i róż, a górę zdobiły gipsowe cherubinki i płatanina złotych wstążek.

Ten widok wystarczył, by Constance zapomniała o swojej potarganej fryzurze, w niewielkim teraz stopniu przypominającej uplecioną z warkoczyków koronę, i o ubrudzonym kostiumie podróznym. Wystarczył nawet, by zignorowała kosz z energicznie podskakującym wiekiem, spod którego wychynęła głowa Pana Bentleya...

Pana Bentleya!

*Pan Bentley!*

Pochyliła się, żeby zatrzasnąć kosz. Za późno - Pan Bentley zdążył już wyskoczyć na zewnątrz i mknął właśnie ku schodom.

- Nie! - krzyknęła odruchowo, biegnąc za nim.

W tej samej chwili w cieniu pod schodami rozległo się dudniące „hau” i olbrzymie psisko rzuciło się w po-  
goń za kotem.

Zgroza odjęła jej mowę. Owładnięta koszmarnym  
przecuciem Constance patrzyła, jak kot przemyka  
błyskawicznie pod lustrem i kieruje się w stronę scho-  
dów. Pies, z wyglądu bernardyn, popędził za nim, po-  
trącając grzbietem dolną krawędź lustra, które zachwia-  
ło się złowieszczo.

- Do diabła! Nie puszczać lin! - wrzasnął z góry  
mężczyzna, ale oszalałe piski kota i jednostajne szcze-  
kanie zagłuszyły jego polecenia.

Constance histerycznie zawołała Pana Bentleya, ale  
kot ją zignorował, prześlizgując się między nogami jed-  
nego z tragarzy i podcinając go przy tym. Sznur, któ-  
ry mężczyzna trzymał, wyśliznął się z bloku. Lustro za-  
kołysało się, po czym alarmująco przechyliło na bok.

- Do diabła! Trzymajcie to cholerstwo, bo...

Wywrzaskiwał te słowa dokładnie w chwili, w któ-  
rej kocur wskoczył na poręcz balkonu, przycupnął  
między jego nogami, po czym wystrzelił w powietrze.

Constance patrzyła ze zgrozą, jak zwierzę wykonuje  
susa, zupełnie jakby skakało w zwolnionym tempie. Wie-  
działa, czym koci wyczyn może się skończyć, ale cokol-  
wiek by zrobiła, nie była w stanie zapobiec katastrofie.

Pan Bentley spadał i spadał, prosto na robotnika, któ-  
ry dzierżył w ręce pęk sznurów. Mężczyzna wrzasnął,  
gdy kot, łapiąc równowagę, wbił mu pazury w głowę i ra-  
miona. W chwili, gdy kot z niego zeskakiwał, sznury ze  
świsem wyrwały się mężczyźnie z palców. A na półpię-  
trze rozjuszony brytan napierał ciałem na balansującego  
na poręczy balkonu bruneta, spychając go w dół.

Constance krzyknęła, ale mężczyzna zdołał cudem uczepić się liny. Zamiast więc spaść jak kamień w ramiona niechybnej śmierci, zakołysał się dziko, najpierw w stronę zmartwiałych robotników, potem w przeciwnym kierunku.

Prosto w lustro.

Najpierw uderzył w taflę stopami, potem resztą ciała. Liny świsnęły, wyskakując z bloków, a piękne lustro z trzaskiem rozpadło się na kilkanaście nierównych, ostrych części. Te spadły na marmurową posadzkę, gdzie roztrzaskały się w drobny mak i zmieniły się w migoczące drobiny, bombardując wstrząśniętych gapiów.

Constance odruchowo zasłoniła twarz przed tym deszczem złota, gipsu i połyskliwego szkła. A potem nastąpiła cisza, głucha cisza.

Serce w niej zamarło, gdy odważyła się odsłonić oczy. Jej wzrok bezwiednie skierował się ku mężczyźnie, który tu szefował. Podnosił się powoli, wytrząsając z włosów drobiny szkła. Następnie otrzepał z nich ubranie, odwrócił się i wbił tępy wzrok w tłum zgromadzonych w foyer ciekawskich.

- Kto wpuścił tu tego przeklętego kota? - wycedził.

Kiedy tak na niego patrzyła, na jego roziskrzone oczy, zaciśnięte kurczowo pięści, w jednej chwili odgadła, kto zarządzał całym teatrem - a nie tylko ekipą, która miała zamontować lustro.

To musi być właśnie jej chlebodawca.

„Nie” - odezwał się w niej cichy głos. - „Nie. To niemożliwe, żeby moja przyszłość leżała w jego rękach. Nie w rękach tego człowieka”.

Ale wiedziała już, że jej nadzieje są płonne, że ma przed sobą właściciela teatru. Jego władczość i bezwzględne posłuszeństwo ludzi mówiły wszystko.



- Słucham - rzucił, a okruchy szkła wciąż jeszcze opadały z brzękiem na podłogę wokół niego. - Kto wpuścił to przekłete tałatajstwo?

Omiótł spojrzeniem czeredę gapiów, a Constance struchlała. Przez chwilę zastanawiała się, czy skłamać, czy też po prostu czmychnąć na dwór i zostawić Pana Bentleya z całym tym piwem, jakiego sobie nawarzył. Nie skończyła jednak rozważać tej drugiej możliwości, a już wiedziała, że nie wchodziła ona w rachubę. Tym bardziej, że Pan Bentley tę właśnie chwilę obrał na to, by zacząć ocierać się o jej spódnicę, mrużąc głośno.

Mężczyzna wsparł dłonie o biodra i posłał jej piorunujące spojrzenie. Z dołu dobiegało zaciekle ujadanie.

- Kim pani jest?

Constance błyskawicznie przechyliła głowę, otworzyła usta z najszczerzym zamiarem udzielenia odpowiedzi, ale w ustach jej zaschło i mogła wydobyć z siebie tylko jakiś ochrypły dźwięk.

Zmierzał w jej kierunku, poruszając się z leniwym wdziękiem, jakiego nie widziała dotychczas u żadnej istoty ludzkiej. Na nieszczęście, jego ruchy aż nazbyt przypominały sposób w jaki Pan Bentley skradał się przez wysoką trawę, kiedy polował na małe ptaki na niewielkim trawniku za domem.

Chcąc odwrócić jego uwagę do czasu, aż odzyska głos, zgarnęła na ręce wiercącego się Pana Bentleya, wsadziła go do kosza, zamknęła wieko i przycisnęła kosz do piersi jak tarczę zdolną odstraszać złe duchy.

Niestety, mężczyzny bynajmniej to nie odstraszyło. Szedł ku niej długimi krokami, szczęki miał zaciśnięte i nietrudno było się domyślić, że dosłownie kipi ze złości.

- Słucham. Zamierza się pani wytłumaczyć czy nie?

W tych słowach było tyle wściekłości, tyle urazy, że zaczęła dygotać. Był tak rozgniewany, tak niewiarygodnie rozgniewany. W życiu nie widziała nikogo w takiej straszliwej furii - nawet ojca.

Przed jej oczami przesuwały się znajome obrazy. Ojciec kroczy w jej kierunku, w ręce ma wierzbową witkę. Na nogach niemal czuła piekące smagnięcia.

A on nie zachowa się inaczej. Chce ją uderzyć. Chce ją upokorzyć, ukarać za wypadek, jaki spowodowała swoją lekkomyślnością.

- Nie - wyszeptała, próbując się cofnąć. Odruchowo wyciągnęła przed siebie rękę. - Nie!

On jednak nadal się zbliżał.

Wiedziała, że musi coś zrobić, by się uratować, i pozwoliła przemówić instynktom. Posada przestała mieć znaczenie. Przestało się liczyć korzystne pierwsze wrażenie. Jedno i drugie zdążyła nieodwołalnie zaprzepaścić. Teraz musiała się bronić.

Zakręciła się na pięcie i śmignęła między tłoczących się wokół niej robotników. Wypadła na dwór, na złamanie karku zbiegła po schodach frontowych, zawałała się, po czym pomknęła w stronę parku.

- Wracaj no tu! - nawoływał niski męski głos.

Na ten rozkaz jeszcze przyspieszyła kroku. A potem biegła, biegła i biegła; przez bramę, potem ścieżką prowadzącą przez wąski, drewniany mostek, za którym rosła kępa drzew. Jeżeli zdoła tylko znaleźć się w cieniu, z pewnością znajdzie jakąś kryjówkę.

Zadudniły deski pod jej butami. Pan Bentley zajęczał w proteście. Nie przyzwyczajone do forsownych ćwiczeń płuca paliły ją, fiszbinny gorset uciskały, gdy usiłowała złapać oddech.

*Jeszcze kawałeczek!*

Słyszała za sobą zbliżające się kroki. Dzieląca ją od pogoni odległość topniała szybko.

„Dwadzieścia jardów! Dwadzieścia jardów i będziesz bezpieczna!”

Jednakże dokładnie w chwili, w której ta myśl przemknęła jej przez głowę, poczuła jak czyjaś ręka zaciska się na jej łokciu i zmusza do gwałtownego zatrzymania się.

Kosz wysunął się jej z rąk, czepek zsunął z głowy i zawisł na samych wstążkach. Pan Bentley w mgnieniu oka wyswobodził się, wspiął na drzewo i zaszył w liściach.

Constance została zmuszona do tego, żeby się odwrócić.

Mężczyzna trzymał ją mocno. Oddychał ciężko i wyglądał, jakby starał się uspokoić na tyle, żeby udało mu się dobyć głosu.

Odgadując, że teraz właśnie ją uderzy, odruchowo zasłoniła dłońmi twarz i zacisnęła oczy.

„No bij” - rzuciła mu nieme wyzwanie. - „Uderz teraz, póki jeszcze mam dość sił, żeby to znieść”.

Gideon Payne był wściekły. Nie, zwykła wściekłość dawno już minęła. Teraz targąta nim szewska pasja i pragnął tylko jednego: znaleźć dla niej ujście.

W chwili jednak, gdy kobieta uniosła ręce jakby spodziewała się ciosu, cały gniew zdawał się ulecieć z niego, ustępując miejsca zmęczeniu i irytacji.

Wyczerpaniu.

- Niech pani opuści ręce - warknął. - Nie uderzę pani.

Nie poruszyła się i pozwolił sobie na krótkie westchnienie. A niech to wszystko diabli.

Wygląda na takiego co to biją kobiety?

Gdy tylko pojawiła się ta myśl, niechętnie przyznał

w duchu, że prawdopodobnie wygląda na kogoś takiego. W sumie gonił za tą dziewczyną jakby popełniła morderstwo.

To jednak nie oznaczało, że zamierzał zrobić jej krzywdę.

Nawet jeśli to ona przyniosła do teatru kota.

Nawet jeśli to ona była odpowiedzialna za zniszczenie niezwykle drogiego lustra, zamówionego ponad rok temu u rzemieślnika we Francji.

- Do cholery, kobieto. Opuść ręce, albo zaraz dam ci powody do strachu.

Ta uwaga wystarczyła, żeby niechętnie opuściła dłonie. Następnie uniosła brodę i otworzyła oczy, a Gideon miał po raz pierwszy sposobność, by przyjrzeć się jej twarzy.

- Dobry Boże - szepnął, bo poczuł się, jakby dostał pięścią prosto w żołądek.

Gęste włosy barwy miodu po barbarzyńsku zaczesane do góry i splecione w koronę okalały twarz o kształcie serca, delikatną, niezapomnianą.

Serce mu zamarło, po czym zaczęło kołatać z takim trudem, jakby miało zaraz pęknąć. Nawet oczy miała takie same. Krystalicznie niebieskie, w odcieniu jasnego, srebrzystego błękitu, który w świetle dnia zdawał się przywozić na myśl oczy ducha.

- Maura? - wyszeptał, choć wiedział, że to pytanie zakrawa na absurd. Maura Kelly nie żyła. Podobieństwo między nią a tą kobietą było przypadkowe.

Niemniej jednak podobieństwo to było zdumiewające. Tak wyraźne, że bezwiednie zbliżył się ku niej, i poczuł, jak górę biorą w nim rozbudzone nagle żądze i pragnienia - stare, znajome uczucia, których nie doświadczał od lat. Uczucia, na które sobie nie pozwalał.

Dłonie mimowolnie zacisnął na jej ramionach i przyciągnął ją do siebie. Tak bardzo chciał poczuć, jak garnie się do niego, tak chciał, by rozładowała napięcie, które przepajało bólem jego lędźwie. Bólem, który przypominał, że od tak dawna nie dotykał kobiety.

Żadna bowiem kobieta nie była Maura.

Zsunął dłonie na kształtne pośladki nieznajomej i przyciągnął ją do siebie, gniotąc jej spódnicę. Dopiero gdy kobieta jękiem zaprotestowała wobec takiej brutalności, świadomość tego, co robi, dotarła do niego przez mgłę pożądania, zasnuwającą dotychczas wszelką myśl, wszelki rozsądek.

- A niech to diabli! - szepnął, bardziej do siebie samego niż do niej. Rozluźniając uścisk, pozwolił jej cofnąć się, ale niedaleko. Mózg mógł mu do woli powtarzać, że nie zna tej kobiety, ciało jednak kazało wierzyć, że to jego żona.

Wbił w nieznajomą twarde spojrzenie zwężonych oczu i, odnotowując w myślach rysy jej twarzy, kształt postaci, analizował różnice między kobietami, które wyglądały jak bliźniacze siostry. Niezdolny się powstrzymać, pozwolił dłoniom powędrować w górę ku jej ramionom - tak delikatnym, aż nazbyt kruchym i szczupłym. Ze ściągniętymi brwiami powiódł opuszkami palców po jej drobnej szyi, kciuk wsunął pod kołnierz sukni, by musnąć linię obojczyka.

Znał ten kształt. Och, jakże dobrze znał te wszystkie zakamarki. Jakże mógłby zapomnieć?

Bezsilny wobec własnych pragnień, ujął w dłonie jej twarz i zmusił, by podniosła na niego oczy. Jednak widząc ich wyraz, zmarszczył brwi.

Emocje malujące się w oczach tej kobiety były dla niego całkowitym novum. W spojrzeniu Maury nigdy

nie było choćby cienia lęku czy wahania. Poczynając od dnia, w którym dotknął jej po raz pierwszy, reagowała z pasją, jakiej nie spotkał u żadnej innej kobiety. Każdą pieszczotę odwzajemniała namiętnie i z zapamiętaniem. Wystarczało, by spojrzała na niego, a w nim wrzała krew.

Napływały wspomnienia, odurzające, wszechwładne. Nie mógł nie nachylić się bliżej, nie rozkoszować się wonią perfum, którymi tchnęła jej skóra. I tu jego zmysły wychwyciły drobny zgrzyt - nikły zapach wody liliowej zamiast kosztownych paryskich perfum. Ale trwało to niespełna ułamek sekundy. Nie pozwolił sobie na takie myśli. Nie teraz, kiedy krew pulsowała mu w żyłach, gorąca i gęsta. Jego ciało stawało się rozkosznie ciężkie, zmysły w nim buzowały.

- Tylko ten jeden raz - powiedział niemal bezgłośnie.

Kobieta zmarszczyła czoło, dając znak, że nie pojmuje, co się dzieje, ale nie dał sobie czasu na roztrząsanie jej reakcji. Nie mógł jej tak po prostu puścić. Nie wcześniej, niż skosztuje jej ust.

Pochylał głowę, niżej i niżej, aż w końcu musnął wargami jej policzek, potem brodę, kącik ust. Drżała w jego ramionach jak pisklę, a on uciszał ją kojącym szepem. Nie przestawał. Nie mógł przestać.

Nie mógł też czekać ani chwili dłużej. Przycisnął usta do jej ust, najpierw nieśmiało, potem bardziej nagląco, z ogniem, jakby chciał ją pochłonać. Napawał się jej słodyczą. Niosła go fala pożądania, uderzającego do głowy jak wino. Jej ciało było tak znajome, jej wargi tak ciepłe... Językiem szukał drogi do wnętrza jej ust, spragniony dalszego ciągu, gdy ku swojemu niebywałemu zaskoczeniu zorientował się, że zęby miała mocno zaciśnięte, po czym...

*Pac!*

Gideon zachwiał się, skonfundowany, odruchowo unosząc głowę. Ale to nie ten odgłos rozproszył obłok zmysłowych wrażeń, zaćmiewających jego umysł, a ostry, palący ból policzka.

Wyprostował się i dotknął piekącej skóry w chwili, w której jego oszołomiony umysł skonstatował, co się stało: kobieta wymierzyła mu policzek i, wnioskując z jej wojowniczej postawy, miała nie lada ochotę poczęstować go następnym. Drobne ręce zacisnęła w pięści, usta miała zasznurowane.

Powoli uzmysławiał sobie, że wciąż oplata ją ramionami w talii i przyciska do siebie tak mocno, że ich ciała nadal są złączone.

Kobieta musiała zdać sobie sprawę z sytuacji mniej więcej w tym samym momencie, 'wsparła bowiem rękę o jego tors i zaczęła rozpaczliwie odpychać go od siebie.

Gideon syknął z rozkoszy; szamotanina poskutkowała tym, że dolne partie jej ciała jeszcze szczelniej zetknęły się z jego biodrami.

- Puszczaj - wyszeptała ochryple. - Puszczaj, bo będę krzyżeć.

Wiedział, że mówiła poważnie, więc stopniowo rozluźniał uścisk, nie puścił jej jednak całkiem.

- Nie ma powodu robić sceny - odparł najbardziej pojednawczym tonem, na jaki go było stać.

- Sceny? Sceny?! - Wzięła zamach, żeby go znowu spoliczkować, ale szybko złapał ją za nadgarstek. Zmuszona do słownej obrony, syknęła: - Powinien się pan wstydzić, że... że... że zaatakował mnie w podobny sposób.

- Nie zaatakowałem pani, a pocałowałem.

- Nie widzę między jednym a drugim żadnej różnicy.

- A ja ogromną.

Zacisnęła usta i stała, piorunując go wzrokiem. Gideon może i pozwoliłby sobie na uśmiezek rozbawienia, gdyby nie to, że był ciągle pod wrażeniem jej niezwykłego podobieństwa do jego zmarłej żony. Przyszło mu na myśl, że istotnie powinien odczuwać skruchę. Było nie było, zaczepił obcą kobietę. Pozwolił sobie na niewiarygodną śmiałość - ale tego co zrobił, wcale nie żałował. W najmniejszym stopniu.

Kobieta zakręciła się, żeby uwolnić się z jego objęć, nerwowo przykrywając dłonią usta. W chwili, w której się wyswobodziła, jego ogarnął przedziwny, niepojęty chłód.

- Zapewne chce pani, żebym ją przeprosił - odezwał się tonem dającym do zrozumienia, że na przeprosiny nie miała co liczyć.

- Ja... ja niczego od pana nie chcę - odparła, a on zmarszczył brwi, słysząc w jej głosie nutkę strachu.

Do diaska. Nie miała powodu, żeby się go bać.

Z drugiej jednak strony, może i miała. Serce łomotało mu w piersi, jakby przebiegł milę, a nie tych kilka jardów. Ręce go świerzbiły, żeby znowu jej dotknąć, a usta...

Nadal chciał ją całować. A potem znowu i znowu, aż oboje będą wyczerpani.

„Psia krew! Weź się w garść!”

Oddychając głęboko, Gideon robił wszystko, by przybrać możliwie niegroźny wyraz twarzy z nadzieją, że zdoła jakoś uspić jej podejrzliwość. Ostatnim, czego chciał, było zrazić ją do siebie. O wiele bardziej wolałby...

Go? Czego właściwie chciał od tej kobiety? Od osoby, którą poznał kilka minut temu. Od ciekawskiej, która narozrabiała w jego teatrze.



Zadowolony, że przyszedł mu do głowy bezpieczniejszy temat, oświadczył:

- Sądzę, że jest mi pani winna wyjaśnienie.

Ramiona same mu się do niej wyciągały i musiał skrzyżować je na piersi, żeby jakoś nad nimi zapanować. Po głowie krążyła uporczywa myśl: należy zachować czujność na wypadek, gdyby drugi raz spróbowała mu się wymknąć.

- Ja winna wyjaśnienie panu? - wykrztusiła zdławionym z oburzenia głosem.

- Lustro - przypomniał zwięźle.

Zacisnęła z irytacją usta i na najkrótszą z chwil poczucie, że ma rację, opuściło ją. Zawstydzona uciekła wzrokiem ku pobliskiemu drzewu.

Pręgowany kot o futerku koloru marmolady wpatrywał się w nich nieżyczliwie.

- Jak rozumiem, to zwierzę należy do pani? - odpowiedział skwapliwie Gideon.

- A nawet jeśli tak, to co?

- Jeśli tak, czyniłoby to z pani osobę odpowiedzialną za kataklizm, który nastąpił w moim teatrze.

Miała dość przyzwoitości, by się zarumienić. Z przyjemnością patrzył, jak na jej policzkach wykwitają dwie plamy delikatnego różu. Wieki już chyba minęły, od kiedy ostatnio zdarzyło mu się widzieć rumieńce wstydu na twarzy kobiety. Maura nigdy nie zarumieniła się w jego obecności, ale za to, jak przypuszczał, większość czasu poświęcała na przyprawianie innych o wypieki.

- A zatem? Czy to pani zwierzę? - ponaglił, kiedy uparcie milczała.

- Tak, Pan Bentley należy do mnie - przyznała słabym głosem. - Myślę więc, że jestem odpowiedzialna za jego czyny. Popełniłam błąd, nie pilnując go jak należy.

Ta kobieta ma niewiarygodną odwagę, przyznał w duchu Gideon. Może i wygląda krucho i zwiewnie, ale nerwy ma ze stali. Niewielu z jego własnych ludzi zdobyłoby się na to, by posłać mu tak wyzywająco dumne spojrzenie, przyznając się do błędu.

- Mimo to, panie...

- Payne, Gideon Payne.

Payne? Nie to nazwisko podali jej prawnicy ojca. Z drugiej jednak strony, prawnicy ojca nie spisali się znowu tak bez zarzutu, podejmując przygotowania do jej podróży. Dlaczego miałyby dziwić ją kolejna pomyłka?

- Mimo to, panie Payne - kontynuowała - nie uważam, by zniszczenie lustra upoważniało pana do narzucania się z pańskimi... z pańskimi...

- Z czym?

- Z pańskimi pocałunkami, panie Payne.

Czyli faktycznie była tak pruderyjna i porządnicka, jak można było przypuszczać po jej stroju.

Ale czy aby na pewno? Przecież kiedy się obejmowali, przez ułamek sekundy wydawało mu się, że wyczuwa w niej iskierkę namiętności, odpowiedź na jego własny ogień. Tuż przed tym, jak go Spoliczkowała.

- Podejrzewam, że jeśli chodzi o sam pocałunek, ma pani rację. Niemniej jednak przeprosin proszę się nie spodziewać, bo od skruchy jestem daleki.

Odwróciła głowę, krzywiąc się, jakby spróbowała właśnie wyjątkowo kwaśnej cytryny, ale nie odpowiedziała.

- A teraz, gdyby była pani tak uprzejma - Gideon machnął ręką w kierunku teatru gdzieś za swoimi plecami. - Mniemam, że mamy parę spraw do omówienia.

Nawet nie drgnęła.

- Jakież to sprawy?

Jasny gwint, ależ uparta.

- Lustro, chociażby.

Spojrzenie, które mu rzuciła, mówiło wszystko. Rzecz jasna, spodziewała się, że zaciągnie ją do swojego legowiska, a potem kompletnie pohańbi.

- Wybacz pan, ale nie sądzę, bym mogła mu towarzyszyć - odpowiedziała z wymuszoną przejęmością.

- A ja sądzę, że nie ma pani wielkiego wyboru. Życzę sobie, żeby nasze sprawy zostały jak najszybciej uregulowane. - Pociągnął ją za łokieć. Nadal wymawiała się zdawkowo, dodał więc: - Sądzę też, że weszła pani do teatru w jakimś konkretnym celu. Bo inaczej po cóż miałyby pani do niego zachodzić?

Przestąpiła z nogi na nogę zażenowana i wiedział już, że przypadkiem trafił na tę jedyną rzecz, która mogła skłonić ją do tolerowania jego towarzystwa.

- Mam rację?

Pewien czas wpatrywała się w jakiś odległy punkt, po czym nieznacznie kiwnęła głową.

- No to chodźmy.

Obruszyła się wyraźnie.

- Nie jestem dzieckiem, żeby mógł pan przemawiać do mnie w sposób tak protekcyjny.

Gideon oparł się pokusie, by przerzucić ją sobie przez ramię i po prostu zanieść do biura. Przez całe swoje życie nie spotkał kobiety, która robiłaby wszystko, żeby doprowadzić go do szału. Była uparta jak osioł, nieznośna i świętoszkowata. Powinien ją odesłać do czorta, zapomnieć o sprawie z lustrem i dziękować Bogu, że nie oszalał przez to wariackie popołudnie.

Z każdą jednak upływającą sekundą coraz bardziej coś go do niej przyciągało. Musiał dowiedzieć się, kim ona jest, dlaczego pojawiła się w jego teatrze.

Co więcej, musiał koniecznie przekonać się, czy są

może jakieś powody, dla których jej podobieństwo do Maury wskrzesza w jego duszy to wszystko, co wydawało się od dawna martwe.

- Panno...

- Pedigrue.

- Ma pani jakieś imię?

- Znów ten protekcyjnalny ton, panie Payne.

Usta mu zadrgały, ale siłą woli powstrzymał się od uśmiechu. Taka ikra. To święte oburzenie. Aż przyjemnie patrzeć.

- Racja, panno Pedigrue. Ale naprawdę chciałbym wiedzieć, jak się pani nazywa. Także jak pani na imię.

Popatrzyła na niego badawczo, oceniając szczerłość tej wypowiedzi, po czym rzuciła:

- Constance. Constance Pedigrue.

Panna Constance Pedigrue milczała wyczekująco i Gideon domyślił się, że spodziewała się po nim określonej reakcji. Zachodził w głowę, ale nie przypominał sobie, by kiedykolwiek słyszał to nazwisko. Czyżby Maura o niej kiedyś wspomniała? Czy to możliwe, żeby rzuciła jakąś luźną uwagę o swoim pięknym sobowtórze?

Nie. Maura wpadłaby w furję, gdyby odkryła, że nie jest „jedyna w swoim rodzaju”.

Uzmysławiając sobie nagle, iż musi działać póki czas, póki jest jeszcze w stanie oprzeć się pokusie zaryzykowania kolejnego policzka, puścił jej łokieć.

- Proszę ze mną, panno Pedigrue. - Odwrócił się i ruszył w powrotną drogę, przekonany, że kobieta podaży za nim. Nie słyszał jednak za plecami kroków, więc posłał jej sponad ramienia pełne irytacji spojrzenie.

- Co znowu?

Stała ze splecionymi dłońmi. W zwisającym na taśmiankach czepeczku wyglądała jak pensjonarka.

- Bez kota nie pójdę.

Jej kot.

Gideon westchnął. Zdążył się na tego sierściucha aż nadto napatrzeć. A już ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było zanieśenie go z powrotem do teatru, gdzie "Willoby znowu by ujadał i uganiał się za nim tak długo, aż narobiliby jeszcze większej biedy.

Constance stała jak wykuta z kamienia. Było więc oczywiste, że nie uczyni kroku, dopóki jej bezcennego milusińskiego nie uda się namówić do zlezenia z drzewa.

Powstrzymując się, by nie zacząć kłać na czym świat stoi - co przytrafiało mu się aż nazbyt często od chwili spotkania z tą kobietą - Gideon pomaszerował w kierunku drzewa i podciągnął się na najniższą gałąź.

Kot zasyczał i schował w gąszczu liści, ale Gideon nie pozwolił mu wycofać się daleko. Złapał go za kark i zaklął na całe gardło, kiedy kot przeorał pazurami jego dłoń.

- Proszę mu nie robić krzywdy! - zawołała z dołu Constance.

- Powinnaś wydać temu pchlarzowi dokładnie takie same instrukcje - wymamrotał pod nosem Gideon. Wiedział, że może nie utrzymać kota, więc zeskoczył na ziemię i podał Pana Bentleya roztrzęsionej Constance.

Ta natychmiast wepchnęła go do wiklinowego kosza - wobec czego Pan Bentley zaprotestował, podnosząc piekielny raban.

Gideon nie dał jej ani chwili na pocieszenie pupila.

- Do mojego biura - warknął, wycierając zakrwawioną dłoń o nogawkę. - I to już!

### 3

Constance nie była do końca przekonana, czy powinna wrócić do teatru z Gideonem Paynem. Bądź co bądź, nic nie mogło przeszkodzić temu człowiekowi we wzięciu okrutnego odwetu za to, co stało się z lustrem.

Nie po raz pierwszy od wyjazdu z Bostonu wyrzucała sobie, że nie zadbała o to, by ktoś towarzyszył jej w podróży do Nowego Jorku. Zakładała jednak wtedy, że podróż potrwa nie więcej niż kilka dni i że przystąpi do pracy zaraz po przyjeździe.

Bardzo przygnębiona, Constance z całego serca pożałowała decyzji, by tu przyjechać, by w ogóle wybrać się do tego miasta. Od chwili opuszczenia domu prześladowały ją kłopoty, a ta rozproszona seria katastrof, które miała za sobą, nie wróżyła dobrze na przyszłość. Bóg jeden wie, jakie jeszcze nieszczęścia ją czekały.

Wlokła się jednak za mężczyzną, który ją pocałował - namiętnie, gwałtownie, do utraty tchu - i uzmysłowiła sobie, że tak naprawdę to nie ma wyboru. I nie będzie miała, dopóki nie spróbuje uratować obecnej posady i nie zaproponuje jakiejś rekompensaty za stłuczone lustro. Jeśli będzie się odpowiednio zachowywała, być może Gideon Payne da jej jeszcze jedną szansę. Może pozwoli jej pracować nad kostiumami, tak jak starali się o to prawnicy jej ojca. Przecież nastrój znacznie mu się poprawił od czasu ich pocałunku.

A ten pocałunek!

Na samo wspomnienie kolana się pod nią ugięły i zaczęła drżeć na całym ciele. Żaden mężczyzna nie całował jej wcześniej w taki sposób - prawdę mówiąc przed tą feralną eskapadą, żaden mężczyzna nawet jej nie dotykał. A przy tym gdzieś było niezdarkim umizgom piekarza w Bostonie, rażącym poufałościom pracownika pensjonatu czy totalnej bezczelności pana Pepysa do zmysłowości Gideona Payne'a. Kiedy poczuła na ustach jego wargi, ziemia usunęła jej się spod stóp, więc bezwiednie garnęła się do jego ciała, by nie stracić równowagi. Wezwała na pomoc całą siłę woli, jaką zdołała w sobie odnaleźć, by mu się oprzeć, powstrzymać go w jedyny sposób, jaki знаła: wymierzając siarczysty policzek.

Constance skuliła się na wspomnienie tego, jak zapiekła ją dłoń w chwili, gdy go Spoliczkowała, zostawiając widoczny ślad na jego twarzy. Nigdy wcześniej nikogo nie uderzyła - a teraz obecność tego mężczyzny doprowadziła ją do ostateczności, zmusiła do użycia przemocy, z powodu której tak gardziła ojcem.

Ale postąpiła słusznie, stając we własnej obronie.  
Chyba.

Gideon pierwszy wszedł do foyer. Jego ludzie zdążyli wrócić do swoich zajęć, ich uwaga była jednak w sposób widoczny podzielona między pracę a przekraczającą próg teatru parę.

Na widok usianego drobinami szkła wnętrza Gideon westchnął ciężko.

- Mam tu jedną czy dwie rzeczy do zrobienia. - Wykonał niesprecyzowany gest w kierunku długiego, krętego korytarza. - Proszę iść do mojego biura. Spodziewam się zastać tam panią przygotowaną do rozmowy, kiedy zacznie się wielkie sprzątnie.

Constance nie była pewna, gdzie się to jego biuro dokładnie znajduje. Ale nie chciała pytać otwarcie, tym bardziej, że właśnie wspomniał o konieczności uprzątnięcia szczątków roztrzaskanego pięknego lustra.

Kuląc się, ignorowała chrzęst szkła pod butami i dobre pół tuzina wlepionych w nią par oczu. Trafi do tego jego sanktuarium, nawet jeśli będzie musiała przeszukać każdy zakamarek budynku.

Okazało się to zbyt szybkie, co przyjęła z ulgą. Gideon niemal natychmiast skończył wydawanie poleceń pracownikom i dogonił ją w korytarzu. Złapał za łokieć i pociągnął za sobą przez spowite draperią przejście. Następnie poprowadził ją wąskim korytarykiem do małego dusznego pokoju na drugim końcu teatru.

- Gideon! Mamy problem! - wrzasnął ktoś z innej części budynku.

Usłyszała, jak zaklął pod nosem.

Otworzył drzwi i dosłownie wepchnął ją do środka.

- Dziesięć minut. Wróć. Czekać tu na mnie.

Obróciła się oburzona, chcąc zaprotestować, ale w tej samej chwili zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Kroki na korytarzu oddalały się, po czym ucichły zupełnie, ale po chwili zaczęły ponownie się zbliżać. Czekwała, wstrzymując oddech, pewna, że wraca z kolejnym poleceniem. Ku swojemu ogromnemu zdumieniu, usłyszała zgrzyt obracanego w zamku klucza.

Podbiegła do drzwi i zaczęła bębnić w nie dłońmi.

- Proszę mnie stąd wypuścić! - Nie doczekawszy się odpowiedzi, zażądała kategorycznie: - Natychmiast otwieraj drzwi! Ale... już!

Pomimo stalowych nut w jej głosie i z trudem powściąganej furii, drzwi pozostały szczelnie zamknięte,



a wnosząc z panującej za nimi ciszy, Gideon Payne dawno już sobie poszedł.

Postawiła kosz z Panem Bentleyem na podłodze, a sama przycupnęła na krawędzi luksusowego skórzanego fotela. Splotła dłonie na podołku i starała się siedzieć wyprostowana, z twarzą bez wyrazu, pewna, że gdyby pozwoliła sobie na bodaj chwilowe rozluźnienie postawy, Payne tę właśnie chwilę obrałby sobie na powrót.

Niemniej jednak po kilku minutach zaczęła ze zniecierpliwieniem postukiwać czubkiem buta o podłogę. Wzdychając gniewnie, bezmyślnie przyglądała się wskazówce ściennego zegara, która w ślimaczym tempie przesunęła się o dziesięć minut. Piętnaście. Dwa-dziesiąt. Czterdzieści pięć.

Odgłosu kroków nadal nie było słyhać, nie padło też kolejne wydane podniesionym głosem polecenie.

Siedziała tak sztywno, że zaczynały ją boleć plecy i ramiona, a cała postawa stopniowo tracić swoją sztywność. Słabnąć. Zmęczenie, z którym zmagająca się przez cały dzień, obezwładniło ją teraz całkowicie.

Zegar zgrzytał i tykał, w końcu zaczął odmierzać następną godzinę.

O niebo lepiej rozumiała teraz sytuację Pana Bentleya, więc pośpiesznie otworzyła kosz. Rozdrażniony kot wyskoczył z niego jak sprężyna. Natychmiast rozpoczął rundkę wokół pomieszczenia, obwąchując wszystko na swojej drodze, przyglądając się każdej nowej książce i każdemu krzesłu z wielką podejrzliwością i niesmakiem. W końcu wydał z siebie niski, żalony jęk.

- Świetnie wiem, jak się czujesz, Panie Bentley - szepnęła Constance przez ściśnięte gardło, powstrzymując płacz. - Zupełnie się nam ta podróż nie udała, co?

Kot wskoczył na biurko i przechylił łebek, jakby

chciał podkreślić, że on za stan obecny odpowiedzialności nie ponosi.

Posmutniała jeszcze bardziej.

- To oczywiście, że nie można ciebie winić za wszystkie nasze niemiłe przygody, prawda? - Constance przetrząsnęła torebkę w poszukiwaniu chustki, potem kieszenie, a przekonawszy się, że gdzieś ją zapodziała, rozszlochała się na dobre z powodu tego najnowszego nieszczęścia.

Od samego wyjazdu z Bostonu, na całej podróży ciążyło jakieś fatum. A teraz miała na sumieniu zniszczenie rzemieślniczego arcydzieła i była pewna, że Gideon Payne zażąda jakiegoś zadośćuczynienia.

Nieznosny ból w piersi dokuczał jej coraz bardziej, aż w końcu całe rozczarowanie Constance musiało znaleźć ujście. Ze szlochem rzuciła się na kanapę, a po jej policzkach popłynęły gorzkie łzy.

Jak to się mogło stać? No jak? Lustro było warte majątek, to pewne. A kiedy tylko Gideon Payne przekona się, że winowajczyni nie ma pieniędzy, by za *nie* zapłacić, wybuchnie jeszcze straszliwszym gniewem. Nie zdziwiłaby się nawet, gdyby posłał ją do więzienia, żeby ukarać ją za jej bezmyślność.

Rozszlochała się jeszcze bardziej, na próżno rozglądając się za czymś w rodzaju chusteczki. W końcu zauważyła jakiś skrawek aksamitu, wytarła nim zapłakane oczy i wydmuchała nos, ale nadal czuła się fatalnie. Po chwili łzy znowu zakręciły się jej w oczach. Seria katastrof, które jej dosięgnęły, była dla niej czymś całkowicie nowym i nie miała zielonego pojęcia, jak się w takiej sytuacji zachować. Pech zastrzeżony był zwykle dla jej siostr. Młodsza, Felicity, notorycznie pakowała się w kłopoty, a Patience taki miała charakterek,

że przy niej nawet biskup kłębły na czym świat stoi. Ale ona sama...

Była tą zrównoważoną siostrą. Ucieleśnieniem spokoju. Dobrą, uprzejmą i miłą nawet wtedy, kiedy miała ochotę kogoś udusić.

Gdyby jej siostry tu były, pewnie wpadłyby na pomysł, jak wykaraskać się z opresji. Ale, na nieszczęście, żadna z nich nie mogła przyjść jej z odsieczą. A wszelkie prośby o pomoc i tak trzeba by kierować przez prawników ojca, Constance nie miała bowiem jeszcze stałego adresu, niezbędnego, by siostry mogły odpisać.

Co zatem począć?

Ponownie użyła chusteczki i zmusiła się do przeanalizowania sytuacji. Przede wszystkim trzeba znaleźć jakiś sposób, by zrekompensować szkody. Gdyby zapłaciła za lustro, on nie miałby powodu, żeby na nią tak pomstować.

No tak, ale ona nie ma pieniędzy! Co prawda prawnicy przyznali jej niewielkie kieszonkowe na podróż i nowe suknie, którymi miała uzupełnić swoją garderobę, ale ta marna sumka przenigdy nie pokryje jej długu.

Constance splotła dłonie, by tak bardzo nie drżały i rozejrzała się błędnie dookoła, jakby gdzieś była droga ucieczki. Zamiast tego, zobaczyła zawalone papierami biurko, zakratowane okno i wiele rzędów częściowo wypełnionych książkami regałów oraz tuzin pudeł, wciąż czekających na rozpakowanie.

Wstała i próbowała zapanować nad płaczem. Chciała odegnać czarne myśli, więc nachyliła się, by rzucić okiem na tytuły. Przekonawszy się, że to dramaty, które na różnych regałach rozmieszczono według rodzaju i czasu, w którym powstały, odruchowo zaczęła wyjmować je z pudeł i ustawiać starannie na półce. Być

może chlebodawca doceni jej dobre chęci i nie będzie tak bardzo się gniewał po powrocie. Może nawet uda się jej w taki sposób załatwić sprawę, że będzie spłacała szkody spowodowane przez Pana Bentleya oddając mu część tygodniowej pensji - powiedzmy, pięćdziesiąt centów tygodniowo.

*Do końca swoich dni.*

Nie. Wolała nie myśleć o długoterminowych zobowiązaniach. Jeszcze nie teraz.

Upchnąwszy skrawek aksamitu do kieszeni, pośpiesznie zabrała się za ukończenie postawionego przed sobą zadania. Jeśli się przyłoży, zapełni ze sześć półtek, zanim Gideon wróci. A wówczas pokaże mu, jak wydajnie potrafi pracować, i zażąda możliwości spłacenia długu własną pracą.

Godzina była późna, gdy Gideon w końcu uporał się z pomniejszych „nagłymi wypadkami”, które pojawiały się, jeden po drugim, przez całe popołudnie. Zbliżając się do drzwi swojego biura, uzmysłowił sobie, że już zapadła noc. Paliły się nawet lampy gazowe.

Przed samym wejściem zawahał się. Przyznał w duchu, że nie do końca rozumie, dlaczego uczynił Constance Pedigrue swoim więźniem - ani dlaczego odwlekał powrót tak długo. Zdawało mu się, że większość jego posunięć brała się stąd, iż stanął twarzą w twarz z kobietą, która wyglądała jak sobowtór Maury, i nie zamierzał pozwolić jej odejść, dopóki nie rozgryzie jej tajemnicy.

Mimo to coś mu podpowiadało, że to nie jest cała prawda. Pojawienie się Constance wstrząsnęło nim, owszem, ale to nie wyjaśniało jego bezradności wobec erotycznych obrazów, które nasuwały mu się na samą myśl o niej. Wizje rozbierania nieznanym, pieszczot, wodzenia dłońmi po smukłym ciele, by przekonać się,

jak daleko sięgają podobieństwa do jego zmarłej żony.

Potrząsnął głową, by odegnać takie myśli, wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi najciszej jak potrafił. Miał nadzieję przyjrzeć się pannie Pedigrue, zanim ta zda sobie sprawę z jego obecności. Była niegłupia i miała ostry język, więc tym razem chciał wykorzystać element zaskoczenia.

Zwłaszcza, że mogła chcieć znowu mu przyłożyć za to, że kazał jej czekać tak długo.

Kiedy jednak skrzydła drzwi rozwarły się szeroko, Gideon zmarszczył brwi.

Nie było jej nigdzie widać.

Wpadł do pokoju, jednym susem znalazł się przy oknie, zastanawiając się gorączkowo, czy to możliwe, by jakimś cudem przedostała się przez kratę. Na zewnątrz jednak panowała czarna jak atrament noc i całkowity bezruch.

Odwrócił się, przegarnął ręką włosy i pomyślał, że może tylko wyobraził sobie tę kobietę. Ale w tej samej chwili zauważył zwiniętą na sofie drobną postać. Poczul w okolicy serca dziwne ukłucie bólu, bo kobieta przyciągnęła kolana do piersi i kurczowo obejmowała się w talii, jakby było jej zimno.

Zasnęła. Constance Pedigrue zasnęła.

Poczucie winy narosło w nim jeszcze, gdy zerknął na zegar i zobaczył, że spędziła w tej dusznej klitce ładnych kilka godzin. Naprawdę nie zamierzał pozostawiać jej samej sobie tak długo, ale trzeba było zamówić nowe lustro, dokonać inspekcji przywiezionych obrazów, potem cieśla natknął się na problemy przy części sztukaterii. Godziny przeciekały mu przez palce, a on pozostawał nieświadomy upływu czasu. I przez wszystkie te godziny Constance Pedigrue sie-

działa zamknięta w biurze, zmuszona do czekania na jego powrót.

Ciężko wzdychając, przyznał w duchu, że nawet Willoby'ego nie potraktowałby podobnie, a co dopiero przedstawicielkę płci pięknej. A przecież tę kobietę potraktował podle.

„Kobietę, która zniszczyła moje lustro”.

To nie była jej wina, tylko kota.

„Kota, który należy do niej”.

Gideon odłożył takie argumenty na bok. Przeszłości nie wróci, ale za to przyszłość jest w jego rękach.

Co zatem teraz zrobić? Jeśli ją obudzi, będzie domagała się, by wyraził skruchę za tak późne przybycie. Nalegać, by odbył z nią rozmowę, na którą od dawna czeka. Znajdą sposób, by zażegnać wzajemne pretensje, i ona odejdzie stąd - uganiać się za jakąś tam sprawą, która pomyłkowo sprowadziła ją do teatru.

Me.

Gideon nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego na samą tę myśl ogarnęła go panika. Po prostu nie mógł pozwolić, by tak szybko zniknęła z jego życia.

Jak zatem postąpić?

Wsparł ręce na biodrach i wpatrywał się w nią z uwagą. Musi znaleźć sposób, by zatrzymać ją u swojego boku chociaż kilka dni. Do tego czasu spotkanie z sobowtórem Maury powinno stracić urok nowości i może będzie umiał spokojnie uporać się z sytuacją.

Jak zatem zyskać trochę czasu?

Dumał kilka minut, ponownie przeżywając każdy moment ich spotkania. W pewnej chwili uświadomił sobie, że nie wiedział o nieznajomej nic prócz tego, jak się nazywa i że ma wobec niego dług. Nie wiedział nawet, co sprowadziło ją do teatru.

Zatem to, że jest mu coś dłużna, powinien uczynić głównym atutem w negocjacjach. Będzie musiał zażądać, by została z nim, dopóki sprawy nie zostaną załatwione po jego myśli.

No dobrze, ale pokazała już swój charakter. Nie miał gwarancji, że wypadek z lustrem będzie wystarczającym powodem, żeby ją zatrzymać. A on, żeby naprawdę uwolnić się spod jej uroku, musiałby mieć ją tuż przy sobie. Dzień i noc.

Tylko jak? Gideon przez ostatni miesiąc przemieszczał w zamienionej na biuro przechowalni na drugim piętrze. Nie spodziewał się, by jakkolwiek kobieta zgodziła się dzielić z nim podobne lokum.

Co oznaczało, iż jedynym wyjściem było otwarcie rezydencji.

Rezydencji Maury.

Domu, który podarował jej w dniu ślubu.

Ręce zacisnęły mu się w pięści na samą myśl o tym, że miałby ponownie przestąpić progi tego domu, ale - poza wynajęciem apartamentu w hotelu - innej możliwości nie widział. Tym bardziej, że Constance Pedigrue już na pierwszy rzut oka miała więcej przyzwoitości niż wszystkie kobiety, które dotąd spotkał, razem wzięte.

To z kolei oznaczało, że rezydencja dawała największe szanse powodzenia, tyle że od ponad dwóch lat nie mieszkał w niej nikt poza garstką służących; przez ten czas Gideon nie zdołał przełamać się na tyle, by chociaż tam zajrzeć. Będzie zatem musiał najpierw zatroszczyć się o to, by znienawidzony gmach nadawał się do zamieszkania, zanim zabierze do niego kobietę.

Ale co z dzisiejszą nocą?

Gideon rozejrzał się z namysłem i stwierdził, że Constance nie próżnowała, czekając na niego: pudła były

opróżnione i starannie uprzątnięte. Podniósł wzrok na półki i przekonał się, że porozkładała książki według autorów i gatunków - zrobiła coś, z czym nie poradził sobie człowiek, któremu wcześniej zlecił to zadanie.

„Widocznie w parze z tym jadowym głósiem idzie głowa nie od parady”.

Ogarnięty nagłym znużeniem, opadł na fotel, a nogi założył na biurko. W tej pozycji lepiej widział śpiącą; z holu sączyło się do pomieszczenia blade, rozmyte światło lampy, w którym skąpana była jej twarz. Teraz nie mallowały się na niej zuchwałość i rozdrażnienie. Krucha i blada - wyglądała jak mała, zagubiona dziewczynka.

Nie, nie dziewczynka, poprawił się, pozwalając spojrzeniu uciec ku pełnym piersiom, drobniutkiej talii, krągłym biodrom. Gdyby Maura żyła, czy nadal wyglądałaby jak ta nieznajoma? Czy też może lata uczyniłyby ją twardszą, jeszcze bardziej agresywną?

Powróciła fala wspomnień, Gideon jednak szybko je odegnął. Nie miał czasu na roztkliwianie się nad sobą. Pozostawał problem znalezienia wiarygodnego powodu, który przykułby pannę Pedigrue do jego boku. Był pewny, że w przeciwnym razie znalazłaby jakiś sposób, by mu uciec.

Ponuro uzmysłowił sobie, że jego możliwości są dość ograniczone. Mógł zaoferować jej posadę, uwieść ją, albo znowu ją zamknąć.

Uznawszy, iż drugie i trzecie rozwiązanie nie byłoby rozsądne, skoncentrował się wyłącznie na pierwszym. Posada.

Zakładał, że będzie musiał znaleźć dla niej „szacowne” zajęcie. Mogłaby objąć posadę pokojówki w jego miejskiej rezydencji, rozważał, i w tej samej chwili pomyśl odrzucił. Nie. Przeczuwał, że umieszczając ją



w swoim domu jako służącą, stworzyłby tylko więcej barier między sobą a piękną nieznajomą.

Potrzebował czegoś innego, co sprawiłoby, że towarzyszyłaby mu przez cały dzień, od świtu do zmierzchu. Tu, w teatrze, odczuwało się jednakże znaczący brak „szacownych posad”. Jego gwiazdy zwykle same troszczyły się o kostiumy, same sprzątały swoje garderoby i same dbały o szczegóły związane z występami.

Ale przecież musi się znaleźć jakieś zajęcie dla tej kobiety.

Jakby wbrew woli, w jego umyśle uformował się obraz Maury, dumnie kroczącej po scenie. Taka była majestatyczna, hipnotyzująca. Ta kobieta, gdyby tylko zechciała występować, byłaby taka sama - może nawet lepsza. Miała w sobie niewinność, której Maura nie zdołałaby odegrać, choćby dwoiła się i troiła. Maura zbyt dużo wiedziała o mrocznych stronach życia i ta wiedza odcisnęła na niej swoje piętno - gdyby natomiast ta kobieta wykonywała te same układy...

Constance Pedigrue? Występująca przed publicznością?

Co też mu strzeliło do głowy? Constance Pedigrue nigdy nie zabłyśnie na scenie. Nie zgodziłaby się na coś tak nieprzyzwoitego. A już na pewno nie na występ w teatrze rewiowym.

Wargi rozciągnęły się mu w szerokim uśmiechu. Dałby sobie głowę uciąć, iż Constance Pedigrue nie miała bladego pojęcia, do jakiego teatru trafiła. W przeciwnym razie na jego głowę zdążyłyby już spaść nieliczne gromy. Święte oburzenie nie pozwoliłoby jej powściągnąć języka.

Nie, jeśli ma utrzymać ją u swojego boku, będzie musiał...

*U swojego boku.*

Wyprostował się i, mrużąc oczy, zerknął na śpiącą kobietę. Otóż to! Zaproponuje jej posadę asystentki. Coś w rodzaju pożytecznej pracy biurowej. Co do takiego zajęcia nie ośmieli się mieć zastrzeżeń.

Wstał i podszedł do niej z zamiarem obudzenia jej teraz, kiedy już podjął decyzję. Gdy jednak przykucał obok niej, zawahał się.

Zmęczenie kładło się na jej twarzy głębokimi zmarszczkami, które biegły od kącików ust i rozchodziły się promieniście wokół oczu. Opuścił wzrok na kosz z zepsutym zapięciem i zauważył odstający skrawek etykiety - takiej, jaką oznakowuje się bagaż na dworcach. Palcem uniósł ją pod światło. Z etykiety wynikało, że podróż miała rozpocząć się w Bostonie, a skończyć w Nowym Jorku, ale datowana była na miesiąc wcześniej. Jakim cudem tak dziecinnie prosta podróż mogła trwać tak długo?

I znów odezwało się w nim poczucie winy. Patrzył na nią jak spała, z dłońmi podłożonymi pod policzek, i powątpiewał, czy od wyjazdu z Massachusetts w ogóle miała okazję odpocząć. Ale co takiego porabiała od przyjazdu do Nowego Jorku, pozostawało dla niego zagadką.

Z westchnieniem podniósł się i wpatrywał w śpiącą kobietę, jakby mogła dopomóc mu w podjęciu decyzji.

Koniec końców, nie zrobił nic.

Skradając się najciszej jak potrafił, przeszedł przez korytarz do jednej z rekwizytorni. Przetrzęsnał zawartość niskiego kufra i wydobył z niego lekką aksamitną pelerynę i mufkę z królika. Powinny z powodzeniem zastąpić koc i poduszkę.

Miał właśnie zamknąć drzwi, gdy jego uwagę przykuł oparty o ścianę olbrzymi portret. Przykryty był

pokrowcem, lecz Gideon od razu wiedział, czyja podobizna pod nim się kryje.

Jakaś siła kazała mu podchodzić coraz bliżej i bliżej. Krzywiąc się na swoje własne szaleństwo, jednym ruchem zerwał pokrowiec i po chwili miał przed oczami wizerunek Maury.

Istniały pewne różnice między nią a nieznaną, tyle to wiedział już wcześniej, ale portret czynił te różnice wyraźniejszymi. Maura miała bardziej zmysłową figurę, złote włosy - o ton jaśniejsze - ale i tak podobieństwo było uderzające. Na tyle, by Gideon poczuł skurcz w żołądku.

Po latach, po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie powinien niczego czuć do Maury Kelly Payne.

A jednak czuł.

I nienawidził się za to.

Na przekór sobie, powiódł ręką po uwiecznionej na płótnie postaci. Pamiętał czasy, kiedy dotykał tak prawdziwej kobiety. Jej skóra była miękka i pachnąca, ciało giętkie i zmysłowe.

Poznał ją w jednym z teatrów w Chicago - w teatrze należącym do jego starego przyjaciela z dzieciństwa, Luthera Hayesa. W chwili, w której ujrzał Maurę w migotliwym świetle lampek oliwnych, poczuł się zupełnie tak, jakby rzuciła na niego urok. Miała na sobie połyskujący złoty kostium jak z „Baśni z tysiąca i jednej nocy”. Do swojego występu wybrała akompaniament bębnowy, stwarzając pogańską, dziką atmosferę. Kiedy zaczęła się rozbierać, warstwa po warstwie, Gideon wiedział już, że ona musi należeć do niego i tylko do niego.

Nie spodziewał się, że pójdzie mu tak łatwo - wiedział, że Luther wyłazi wręcz ze skóry, by pozyskać jej względy. Szczęściem dla Gideona, Maura natych-

miast odpowiedziała na jego zaloty. Nim minęło kilka dni, owinęła go sobie wokół małego palca, by po kilku tygodniach przenieść swoje rzeczy do hotelowego pokoju, w którym mieszkał - a jemu właśnie o to chodziło. Wypełniało go dojmujące poczucie władzy za każdym razem, gdy majestatycznie płynęła po scenie i zaczynała zrzucać z siebie łauszki - ponieważ to *on* zabierał ją później do domu. *On* rozpałał w niej ogień, przy którym bladło samo piekło.

Nim upłynął miesiąc, Gideon postanowił zalegalizować ich związek. Dysponował już wówczas fortuną, której dorobił się, otwierając legalne teatry w kilku stacjach. Moralizujące przedstawienia znajdowały jednak ograniczony oddźwięk wśród publiczności i marzyło mu się, by zawojować z kolei świat rewii. I tu Maura okazała się ogromnym atutem. Jej nazwisko i reputacja przyciągały tłumy.

Od samego początku ich wspólne życie przebiegało burzliwie, cudownie i upojnie - małżeństwo wydawało się jedynie błahą formalnością wobec ich związku. Ich wzajemne pożądanie nie znało granic. W Maurze odnalazł towarzyszkę, która była zarazem kochanką, rozpustnicą i zagubionym dziewczątkiem - kombinacja niebezpieczna dla ego każdego mężczyzny. Gideon uwielbiał ją bez reszty.

Dopóki go nie zdradziła.

Póki nie przespała się z jego najlepszym przyjacielem.  
Z Lutherem Hayesem.

Myśli te zadudniły mu pod czaszką jak kanonada i bezwiednie odskoczył do tyłu, czując do siebie obrzydzenie za to żałosne babranie się w przeszłości. W momencie, w którym opuszczano do ziemi trumnę Maurry, poprzysiągł sobie, że nigdy więcej o tej kobiecie nie

pomyśli, nigdy nie przypomni sobie nocy, gdy widział ją ostatni raz.

W ramionach innego.

Nakazał sobie odwrócić się i zamknąć drzwi. Maura nie żyje. I nie wolno mu o tym zapominać.

Kiedy jednak wrócił do biura, musiał przyznać w duchu, że niełatwo jest usłuchać głosu rozsądku. Nie teraz, kiedy miał przed sobą sobowtóra Maury.

Nie wiedział, dlaczego Constance Pedigrue zjawiła się w jego teatrze. Nie wiedział nawet, czy w ogóle pragnie poznać te powody. W tej chwili jedynym jego zmartwieniem było stawić czoło mieszanym uczuciom, jakie w nim wzbudzała.

Nadszedł czas, by raz na zawsze wyzwolić się spod czaru Maury. Jeśli ta kobieta zdoła mu w tym pomóc, jego dług wobec niej o wiele przerósłby wartość tamtego lustra.

Pochylił się i okrył jej ramiona aksamitną peleryną, po czym wsunął pod głowę miękką mufkę.

Constance westchnęła, zapadając w głębszy sen. Pomrukiwała cichutko, błogo, niezrozumiale, a wokół niego gęste, nocne powietrze zawirowało nagle, rozpalone i ciężkie od pożądania.

Gideon dobrze wiedział, że musi trzymać się od niej na dystans, by po prostu nie porwać jej w ramiona i nie unieść po schodach do swoich ukrytych kwater. Wyprostował się i wrócił na fotel. Siadając ciężko, tłumaczył sobie w myślach, że i on sam powinien trochę się przespać. Ranek zbliżał się wielkimi krokami, a wraz z nim komplikacje, które zdawały się wisieć nad tą kobietą jak duchy.

Ale choć wielce się starał, nie zmrużył oka.

Mógł jedynie wpatrywać się w nią.

I rozmyślać.

## 4

### *Waszyngton*

Louise Chevalier chwyciła za rękę Etienne'a Renoira w chwili, w której pociąg zatrzymał się ze zgrzytem. Wycieczka, na którą się wybrali, nie należała do długich. Z Baltimore do Waszyngtonu. Niemniej jednak odczuwała zmęczenie podróży - a raczej rozlicznymi podróżami. W ciągu ostatniego miesiąca przemierzyła kraj z Massachusetts do Missouri i z powrotem do domu.

Westchnęła i zapatrzyła się w swoje odbicie w dużym lustrze o pozłacanej ramie, zdobiącym jej prywatny wagon. Stała i przyglądała się sobie badawczo, odgarniając niesforny jasny kosmyk włosów na właściwe miejsce.

Czy wyglądała tak staro, jak się teraz czuła? Czy wyglądała na matkę trzech dorosłych kobiet?

Myśl ta byłaby *może* przygnębiająca, gdyby nie to, że wiele czasu zabrało Louise ustalenie miejsca pobytu córek. A były praktycznie w powijkach, kiedy jej zmarły już mąż, Alexander Pedigrue, porwał je i zniknął bez śladu.

Zamknęła oczy, wróciła pamięcią do ostatniej straszliwej kłótni z mężem - ostatniej nocy przed jego zniknięciem.

Zawsze był zazdrosny, ale w ostatnich latach małżeństwa jego zazdrość przerodziła się w obsesję. Za-

czął podejrzewać, że wszystko, co Louise opowiedziała mu o swojej przeszłości, było fikcją.

Zadrżała, przyciskając rękę do ust. Przez lata wyrzucała sobie błędy, które popełniła za młodu. Była jeszcze dziewczyną, prawie dzieckiem, kiedy jej rodzice - artyści wędrownego cyrku - zginęli. Zmuszona troszczyć się o samą siebie, znalazła schronienie w miejscowym kościele.

Tam właśnie przedstawiono ją Alexandrowi Pedigrue. Chociaż chodziły słuchy, że jest dziedzicem jednej z największych fortun w kraju, bodajże właścicielem kopalni, wykonywał zawód pastora. Louise pociągała jego pewność siebie, spokój i przekonanie, iż Bóg może czynić cuda dla oddanych Mu dzieci.

Gdy tak ważny człowiek zaczął ubiegać się o jej względy, Louise nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Przechywała jednak, że nie zaaprobowałby jej przeszłości. Czyż nie pomstował na „bezbożników, którzy plugawią sceny, powtarzając za Szatanem jego kłamstwa”?

Patrząc wstecz, Louise rozumiała, że popełniła błąd, okłamując go - powinna była w ogóle od takiego człowieka uciekać gdzie pieprz rośnie. Stało się jednak inaczej. Alexander ubiegał się o nią, w końcu poślubił ją i zabrał do swojej nowej parafii.

A tam zaczęła stopniowo dostrzegać jego prawdziwe oblicze. Jego okrucieństwo. Pyszałkowatość. Fana-tyzm. Kiedy jednak zebrała się na odwagę, by od niego odejść, pod sercem nosiła już pierwszą z jego trzech córek. I wiedziała, że Alexander wytropi ją wszędzie, gdziekolwiek by się ukryła.

Zrobiła głęboki wdech i spróbowała na powrót skoncentrować się na swoim wyglądzie. Zamiast tego, stanął jej przed oczami Alexander, taki jakim widzia-

ła go owej nocy. Uderzył ją, oskarżając o wymagowany romans. Krzyczał, że ma dość jej kłamstw, że kto inny jest ojcem jej dzieci.

Odkładając na bok dumę, błagała, by przypomniął sobie, że w dniu ślubu była dziewicą. Przysięgała na swoją duszę, że nie dotknął jej *żaden inny mężczyzna*.

Głupia, sądziła, że go udobruchała. Następnego rana zachęcał ją do wzięcia udziału w charytatywnym konkursie na uszycie najładniejszej kołdry, odbywającym się tego dnia w mieście, i poszła, żeby sprawić mu przyjemność.

A kiedy wróciła, zastała pusty dom i ani śladu po dzieciach.

Szloch wezbrał jej w krtani, ale siłą woli powstrzymała się od płaczu. Blisko dwadzieścia lat szukała córek. Wynajęła sztab detektywów, by je odnaleźć. Alexander pozostawał jednak nieuchwytny.

Aż do niedawna. Dwa miesiące temu detektyw natknął się na nekrolog Alexandra Pedigrue w jednej z bostońskich gazet.

Louise spieszno było spotkać się z córkami. Nie mogła odżałować, że ich dzieciństwo upłynęło bez niej. Pozostawała jednak przyszłość.

Jak się okazało, była naiwna, łudząc się, iż ponowne wkroczenie w *życie* dzieci *pójdzie jak z płatka*. Nie przewidziała, że Alexander napełni ich głowy kłamstwami, zatruje ich serca na wypadek, gdyby kiedykolwiek je odnalazła. Z rozmowy ze służącym, który pracował niegdyś u pana Pedigrue, Louise dowiedziała się, że jej córki dorastały w żalu do matki, która - jak im wmawiano - porzuciła je dla kochanka i innych dzieci.

*Niech piekło pochłonie Alexandra na wieki!*

Czyjaś ręka spoczęła na jej ramieniu, ściskając je lekko.



- Nie dręcz się tak, *ma chérie*.

Nakryła dłoń Etienne'a swoją.

- Nie umiem inaczej. Po tych wszystkich nieszczęściach, które nas dotknęły, jestem pewna, że Constance także przydarzyło się coś strasznego.

Po przybyciu do Bostonu Louise uświadomiła sobie, że nie może tak po prostu podejść do córek, podjęła jednak niezłomny zamiar pomagania im. Zdawała sobie sprawę z małoduszności swojego męża, toteż z pomocą Etienne'a przekupiła jednego z urzędników w kancelarii, która obsługiwała Alexandra, żeby pozwoił jej przeczytać testament przed jego oficjalnym odczytaniem. Kiedy Louise odkryła, że mąż zamierzał wysłać Felicity na misję w Indiach, Patience jako opiekunkę do domu starców, a dla Constance przewidział posadę szwaczki w sierocińcu, wzięła sprawy w swoje ręce.

Sporządziła nowy testament - taki, który spełniał marzenia jej córek o przygodzie - i używając sygnetu, który mąż podarował jej w dzień ślubu, odbiła herb rodzinny na lakowej pieczęci.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy rozpałmiętywała, w jaki sposób Alexander chciał potraktować swoje własne dzieci. Temu człowiekowi nie wystarczyło, iż wymusił na córkach posłuch wobec każdego swojego kaprysu, że odizolował je od towarzystwa i uczynił niemal swoimi niewolnicami. Nie, on chciał, by jego tyrania trwała nawet zza grobu.

Od chwili, gdy nowy testament znalazł się w kancelarii, Louise czekała cierpliwie, wiedziała bowiem, że kiedy córki posmakują niezależności, łatwiej będzie z nimi nawiązać kontakt.

Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, Felicity tuż po przybyciu do St. Joseph, gdzie miała objąć posadę na-

uczycielki, nieświadomie wplątała się w sprawy „kolei podziemnej”, nielegalnej organizacji udzielającej pomocy zbiegłym niewolnikom. Niemal przypłaciła to życiem.

Następnie Patience - która znalazła sobie pracę jako guwernantka na małej wyspie niedaleko Nantucket - bez głębszego namysłu poślubiła swojego tajemniczego pracodawcę.

Upłynęły tygodnie, zanim Louise zdołała zapewnić córkom bezpieczeństwo i szczęście. Od lat marzyła, by odbudować swoją więź z nimi, a teraz miała wreszcie błogą świadomość, iż dwie młodsze córki zaakceptowały ją i pokochały.

Czekało ją jednak ostatnie spotkanie. To, którego obawiała się najbardziej.

Z Constance.

Constance była wówczas dość duża, by dziś pamiętać ich wspólne życie. Wiedziała, jak to jest mieć matkę. Czy uwierzyła, że Louise je porzuciła? Czy zniechęciła nieobecna matka?

- Nic jej nie jest, Louise - odezwał się Etienne czule, ale z naciskiem. Na twarzy Louise pojawił się grymas.

- Wszystko przez to, że tyle lat nie wiedziałam, gdzie są moje dzieci i jak im się wiedzie. Teraz martwię się nieustannie o całą trójkę.

- Wiemy, że podróż Constance znacznie się przeciągnęła, ale dziś rano dostałaś przecież telegram od człowieka, którego posłałem, żeby miał na nią oko. Najpewniej dotarła do Nowego Jorku wczoraj po południu.

- Nie mogę przestać myśleć, że coś pójdzie nie tak - tak jak u Felicity i Patience.

- Coś już poszło nie tak. Jej trzydniowa podróż trwała prawie miesiąc. Nie bądź przesadna i przestań opowiadać głupoty. Ze wszystkich twoich dzieci Con-

stance jest ostatnim, które wpackowałyby się w tarapaty.

- Fakt.

Z rozmów Louise z młodszymi córkami wynikało, że Constance się nie zmieniła. Nadal była tą „zrównoważoną” siostrą, chętną do dobrych uczynków, przyzwoitą i pragnącą wszystkich zadowolnić.

Etienne objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Jak zawsze, jego bliskość sprawiła, że po ciele Louise przebiegł rozkoszny dreszcz.

Biedny Etienne. Przez kilkanaście lat pracował jako jej ochroniarz. Mimo to od samego początku istniała między nimi jakaś więź. Etienne był zawsze gotów służyć jej radą, pocieszyć, gdy wypłakiwała mu się w ramionach - a z czasem ich związek jeszcze się pogłębił. Stali się przyjaciółmi. Powiernikami.

Niemniej jednak zawsze istniała niewidzialna granica, którą Louise lękała się przekroczyć. Szukając córek, nigdy nie rozważała możliwości rozwodu lub choćby wdania się w romans. Niezłomnie walczyła o to, by nawet cień podejrzenia nie skałał jej nazwiska. Nie zamierzała sama wkładać Alexandrowi w ręce broni; mógłby ją z powodzeniem wykorzystać w sądzie.

Etienne czekał zatem.

Czekał, aż będzie wolna.

Ale wiedziała, że nie będzie już musiał czekać zbyt długo.

- Wiesz, że cię kocham, Louise.

Westchnęła. Zupełnie jakby czytał w jej myślach, zresztą nie po raz pierwszy. Czasami wydawało się jej, że stanowili połówki jednej całości, tak dobrze im było razem i tak niepełni czuli się z dała od siebie.

- A ja kocham ciebie, Etienne.

Znieruchomiał. Pierwszy raz ośmieliła się na głos wypowiedzieć te słowa.

Louise była przesadna i to stanowiło źródło zarówno jej powściągliwości, jak i niepokoju o Constance. Dotychczas jednak głęboko wierzyła, że jeśli zdradzi się ze swoimi uczuciami, wydarzy się coś okropnego, co ich rozdzieli.

Etienne obrócił ją twarzą do siebie i pochylił głowę, składając na jej ustach pocałunek, który miał w sobie tyle mocy, co czułości, i tyle namiętności, co nabożnego uwielbienia.

Kiedy przerwał, oboje oddychali z trudem.

- Nie czas na to - powiedział niewyraźnie.

Kiwnęła głową, niezdolna odezwać się słowem.

- Wieczorem - szepnął, unosząc do ust jej dłonie. -  
Wieczorem zaplanujemy naszą przyszłość.

Kolejny raz skinęła głową. Wiedziała, co miał na myśli. Etienne wywodził się z głęboko religijnej rodziny i połowiczne rozwiązania nie wchodziły w grę. Chciał małżeństwa. Może nawet dzieci.

Ta myśl przerażała ją do głębi. Bądź co bądź, macierzyństwo już raz skończyło się dla niej sromotną klęską. Mimo to Louise pragnęła trzymać w ramionach dziecko, patrzeć jak dorasta.

Dziecko Etienne'a.

Pocałował ją jeszcze raz, jakby przypieczętowując obopólną decyzję. Następnie Louise obróciła się w stronę lustra, układając twarz w zawodową maskę, którą nakładała za każdym razem, gdy miała spotkać się z wielbicielami. Nikt nie może dowiedzieć się, że ona i jej ochroniarz mają niebawem stać się dla siebie kimś więcej niż kochankami. Publiczność by tego nie zrozumiała. Koledzy z teatru nie powstrzymaliby się przed wzięciem ich na języki. Dlatego też jej związek

z Etiennem będzie musiał jeszcze przez pewien czas pozostawać tajemnicą. Tak jak pozostawało nią wiele innych spraw z jej życia.

Sięgnęła po leżący na pikowanym szeslongu czepek, włożyła go i umocowała spinkami.

- Jak tylko odprowadzisz mnie do teatru, natychmiast poślij kogoś do *Royale* i sprawdź, co z Constance. Powinna była zajechać wczoraj w godzinach popołudniowych. Sprawdź, czy zameldowała się u menadżera i czy znalazła godziwe lokum.

Etienne chwycił ją za rękę, kiedy przechodziła obok. Przyciągnął ją do siebie, ujął twarz w dłonie, zmuszając tym samym, by odczytała malujące się w jego oczach uwielbienie.

- Jak długo, Louise? - wybuchnął. - Jak długo jeszcze mamy czekać ze ślubem?

Uśmiechnęła się, zachwycona jego niecierpliwością, i sama po dziewczęcemu niecierpliwa, choć uczucia tego nie doświadczała od lat.

Małżeństwo.

Z Etiennem Renoirem.

Po tak długim okresie oczekiwania, wizja ślubu ją także, jak Etienne'a, przyprawiała o zawrót głowy.

- Sądziłam, że chcesz poczekać ze snuciem planów do wieczora.

- Odpowiedz mi teraz.

Zmarszczyła czoło, udając, że się waha, namyśla, potem wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Jeśli u Constance wszystko dobrze, może zaplanujesz coś na połowę czerwca?

- Dopiero?!

- Toż to za niecałe dwa tygodnie!

Pocałował ją i uśmiechnął się ciepło.

- Tak, i to cała wieczność.

Pogłaskał ją po policzku, z tak wielką czułością, że serce się w niej rozśpiewało - tym bardziej, że temu zwykle groźnemu i posępnemu mężczyźnie rzadko się to zdarzało.

Tuląc policzek do jego dłoni, wyszeptwała:

- Czas szybko nam minie.

- Trzymam za słowo, *ma petite* - szepnął, całując wewnątrz jej dłoni.

Potem puścił ją i przybierając zwykły ponury wyraz twarzy, otworzył drzwi i ruszył w stronę wyciekającego tłumy.

Hildegarda Potts zatrzymała się na chwilę na trzecim piętrze teatru. Stała obejmując oburącz balustradę schodów i usiłowała złapać oddech. Gorset niemiłosiernie wrzynał się jej w żebra. A wszystko to dlatego, że puściła się biegiem, gdy usłyszała, że Gideon Payne chce ją zobaczyć. Zaledwie kilka minut wcześniej jego powóz zajechał po nią przed rezydencję, w której pracowała razem z Robertą Merriweather, Hiramem Birchem, pokojówką i dwoma stajennymi, od dnia, w którym pan Payne sprezentował dom swojej świeżo upieczonej żonie, Maurze Kelly.

Biedna pani Maura. To już dwa lata jak jej się zmarło.

Potts przeżegnała się odruchowo i szepnęła:

- Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie.

Od śmierci żony pan nie odezwał się do nich ani razu - aż do dzisiejszego ranka. Co prawda pierwszego każdego miesiąca, choćby się paliło czy waliło, przysyłał im pensję, ale od pogrzebu nawet do nich nie zajrzał - a Potts wcale mu się nie dziwiła. To były straszne chwile. Naprawdę straszne i człowiek miał prawo ra-

dzić sobie ze swoim bólem tak, jak mu się podobało.

Tym bardziej, że gdyby został, jak nic, puściłby całą dom z dymem.

Potts ponownie uczyniła znak krzyża, wspominając tę straszliwą noc, kiedy pani Maura wyzionęła ducha, a udręczony Gideon podpalił draperie wokół jej portretu. Gdyby nie Birch, który zagasił płomień i wywłókł pana na korytarz...

Potts wzdrygnęła się. Nie chciała myśleć o tamtych wydarzeniach, to już były stare dzieje, a do przeszłości nie powinno się wracać. Choć jednak upłynął szmat czasu, nadal jedynie pan Payne, garstka służących i nieliczni przyjaciele wiedzieli, co naprawdę stało się owej nocy. Informacje, jakie podano do publicznej wiadomości, ograniczały się do stwierdzenia, że Maura Kelly zmarła wskutek tragicznego upadku.

Zdobywszy się na pozory jakiego takiego spokoju, Potts poczępała ku pomostowi technicznemu na samym końcu długiego podestu kończącego schody, gdzie spodziewała się zastać pana Payne'a. Drzwi były uchylone i przed oczami mignęły jej monstrualne kurtyny, sznury, bloczki i kilkupiętrowe podesty unoszące się nad sceną.

Wzdragając się na myśl, że miałyby znaleźć się tak wysoko w powietrzu, oddzielona od ciągnącej się przez trzy piętra pustki jedynie niezbyt solidną balustradką, Potts zastukała we framugę i zastygła w oczekiwaniu.

- Tutaj!

Odpowiedź nie nadeszła jednak z pomostu, a z przechowalni po drugiej stronie holu.

Pani Potts pośpieszyła w tamtą stronę, czując, jak na znajomy głos czysta radość wypełnia jej pulchne ciało. Przez ten krótki okres, gdy Gideon Payne mieszkał

w rezydencji, przyzwyczaiła się do rozpieszczania go. Czasem myślała sobie nawet, że mógłby być jej synem.

W progę zmarszczyła brwi na widok słabo oświetlonego, zapchanego gratami boksu, który najwyraźniej służył panu Payne'owi za tymczasową kwatery. Westchnęła z dezaprobatą, niezmiernie szczęśliwa, że w końcu zdecydował się na otwarcie domu i przeniesienie do niego swoich rzeczy. Mimo to zastanawiała się mimowolnie, co skłoniło go do zmiany zdania.

Zza parawanu wyłoniła się postać mężczyzny. Wysokiego, szczupłego i postawnego - w dodatku przyodzianego jedynie w owinięty wokół bioder ręcznik.

- Witaj, Potts - odezwał się wesoło. Ręcznik, którym wycierał sobie włosy, zawiesił na karku.

Słyszając to znajome powitanie, Potts nie umiała zatrzymać fali radości, jaka rozlała się po jej macierzyńskiej piersi.

- Dobrze pan wygląda - stwierdziła, zadowolona, że nie musi kłamać. Bo rzeczywiście wyglądał dobrze, nawet jeśli wydawał się nieco zmęczony i niedożywiony. Włosy miał takie, jak dawniej - zbyt długie, zbyt kręcone, ale nieskończenie piękne. Inteligentne, a zarazem psotne spojrzenie. Ciało umięśnione i szalenie atrakcyjne. A głos...

Lód mógłby topić tym swoim głosem. Nawet taka stara kobieta jak ona nie była odporna na jego działanie.

- Chodźże mnie uściskać.

Otworzył ramiona, a Potts zachichotała i spłoniła się jak panienka. Ukrywając w dłoniach pałające policzki, pokręciła głową.

- Ty huncwocie! - zaśmiała się, następnie uderzając w zwykły ton, dodała: - Nie jadło się szpinaku, co?

- Jadło się.



- Wątpię. Sądząc po takim chudym siedzeniu, w ogóle nie jadał pan jak trzeba.

Roześmiał się cierpko, doskoczył do niej i ucałował ją w rękę.

Gdy znów rozchichotała się i bąknęła coś zażenowana, mrugnął do niej i powiedział:

- Ty za to wyglądasz prześlicznie.

Przyjęła to z ulgą, gdy odsunął się od niej i podszedł do kufra, który zastępował mu komodę. Potts próbowała tymczasem uspokoić tłukące się serce, przyciskając dłonie do bujnej piersi.

Zdjął koszulę z wieszaka i wsunął dłonie w rękawy.

- Jak się miewa Merriweather?

- Roztrzepana jak zawsze, ale humor jej dopisuje, od kiedy mówi się w domu, że na pewien czas zamieszka pan z nami. Pewnie zdążyła już nagotować jak dla całej armii, a jeszcze nie minęła dziesiąta.

Żeby znaleźć dla rąk jakieś zajęcie, Potts chwyciła leżący na pudle grzebień i, wspinając się na palce, usiłowała przyczesać niesforne, ciemne loki Gideona, który tymczasem zapinał koszulę.

- Mam nadzieję, że upiekła trochę rumowych ciastek z rodzynkami.

- Kiedy wychodziłam, wstawiała do pieca drugą turę - odparła Potts z niejakim roztargnieniem. Z tak niewielkiej odległości łatwiej jej było dostrzec, że wesołkowatość Gideona była na pokaz; wokół jego oczu dostrzegła zmarszczki, a kiedy na nią nie patrzył, jego twarz przybierała nieznany jej wcześniej, zacięty wyraz.

Gdy zorientował się, że jest obserwowany, spojrzał jej prosto w oczy i Potts natychmiast pojęła, że na razie powinna te zmiany pominąć milczeniem.

- Ile potrwa, zanim będzie można wprowadzić się

do rezydencji? - spytał, zdejmując z wieszaka spodnie, i znikając za parawanem.

Zadowolona, że choć raz uszanował jej niewieścią wstydlivość, zapewniła pośpiesznie:

- Już jest gotowa, proszę pana. Merriweather i ja dbaliśmy zawsze, żeby w pokojach panował ład, na wypadek pańskiego nagłego powrotu.

- To dobrze.

Gideon wyszedł zza parawanu i podniósł z łóżka pęk kluczy. Jeden z nich, mosiężny i misternie zdobiony, wyciągnął w jej stronę.

- To ten do Złotego Pokoju. Przypilnuj, żeby go nie pominięto.

Potts oblizała usta i bezwiednie złapała się za szyję.

- Złoty Pokój? - wyszeptwała, przekonana, że się przesłyszała. Jej i Merriweather zakazano tam wchodzić pod jakimkolwiek pozorem.

Pokój pani.

Od jej śmierci, nikt nie ważył się do niego zajrzeć.

- Tak. Życzę sobie, żeby został całkowicie odnowiony. Złoty Pokój. Pokój pani Maury. Ten, w którym próbował wzniecić pożar.

- Słyszałaś mnie, Potts?

- Tak - odparła, kiedy zdołała zapanować nad głosem.

- W takim razie zajmiesz się tą sprawą.

- Oczywiście.

- Dobrze.

Niechętnie wzięła klucz. Wzdrygnęła się, czując nieprzyjemny chłód metalu.

Gideon przysiadł na brzegu łóżka i zaczął wciągać skarpety.

- Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie do wykonania przed moim powrotem.

- Z chęcią pomogę, jak tylko będę umiała - odparła, po czym wepchnęła klucz do kieszeni w spódnicy, usiłując stłumić narastający niepokój.

Złoty Pokój od pogrzebu był zamknięty na cztery spusty i jedynie pan Payne miał do niego klucz. Jeśli teraz zrzekał się tej wyłączności, to niechybnie domowników rezydencji czeka wkrótce wiele rewolucyjnych zmian. Potts mogła jedynie gubić się w domysłach, bo rozumiała dobrze, że pytać jej nie wypadało.

Gideon skinął w stronę leżącej na łóżku tacy.

- W moim biurze czeka gość, który spędził tam wczorajszy wieczór.

- W pańskim biurze? - powtórzyła, skonfundowana.

- Tak. Jak myślę, odsypia zmęczenie podróżą. Zanieś to na dół, powiedz, żeby napiła się herbaty i coś zjadła.

Napiła się? Zjadła? *Ona*? To tym gościem była kobieta?

Potts rozpromieniła się. Czyżby pan Payne znalazł nową miłość?

Fakt, iż najprawdopodobniej nie zawarł z tą kobietą „przyzwoitego” związku nie raził niewieściej wrażliwości Potts tak bardzo, jak zapewne powinien. Była uszczęśliwiona słysząc, że poranione serce pana zaczęło się goić.

Łypnęła na niego z uwagą i westchnęła cicho.

Nie. Sądząc z jego miny, serce nie miało tu nic do rzeczy. Bardziej prawdopodobne, że znalazł sobie kochankę, towarzyszkę samotnych nocy.

Szkoda. Potts oddałaby wszystko, żeby Gideon znalazł sobie nową żonę.

- Powiedz panie Pedigrue, że zaraz zejść i rozpocznijemy negocjacje.

Negocjacje? No przecież nie musiał chyba płacić tej kobiecie za jej usługi. Jaka kobieta przy zdrowych zmysłach *negocjowałaby* możliwość spędzenia nocy w łóżku tego mężczyzny?

Policzki Potts ponownie oblały się purpurą i skarciła się w duchu za podobne myśli. Skoro pan Payne mówi o tajemniczym gościu per „panna Pedigrue”, to ich znajomość musi być bez zarzutu. Przecież mężczyzna nie nazywałby ani przyszej połowicy, ani jakiegś latawicy z baru *panną* jakąś tam. Potts postanowiła, że dopóki nie pozna szczegółów, będzie traktować nieznaną z całym szacunkiem i kurtuazją.

- Coś jeszcze, panie Payne? - spytała, podnosząc tacę.

- Na razie nie, ale bądź w pobliżu. Pannie Pedigrue będzie potrzebna twoja asysta, kiedy skończymy naszą rozmowę.

- Dobrze, proszę pana - odpowiedziała Potts, cofając się do wyjścia.

Człapiąc na dół, zachodziła w głowę, jakiegoż to rodzaju *asysta* będzie pannie Pedigrue niezbędna.

Constance przeciągnęła się i skuliła, bo poczuła w karku ukłucie bólu. Niech to wszystko szlag, musi się w końcu porządnie wyspać. Najpierw ten pociąg, potem szereg nędznych hotelików, potem znów...

Błyskawicznie otworzyła oczy i rozejrzała się nieprzytomnie wokół. Leżała na skórzanej kanapie, od pasa w górę przykryta była czerwoną narzutką z aksamitu, a pod głowę miała puszystą mufkę.

Coś pacnęło obok niej, więc wzdrygnęła się i cofnęła odruchowo. Usłyszała jednak znajome mruczenie i poczuła, jak coś wciska się między fałdy narzutki i podsuwa pod jej rękę, i trąca ją, dopominając się o pieśczęotę.

- Pan Bentley - westchnęła, posłusznie drapiąc go między uszami, i nagle przypomniała sobie wszystko. Kierowcę omnibusu. Stłuczone lustro. Ten pokój.

I Gideona Payne'a.

Usiadła na łóżku jak sprężyna, a pan Bentley sturłał się na dekoracyjne poduszki, łypiąc na nią spod aksamitu zielonymi ślepiami, w których malowało się rozdrażnienie.

Odruchowo wyciągnęła rękę, by podrapać go po łebku, i zaczęła się uważnie przyglądać drzwiom. Zamknięte, owszem, tak jak wczoraj wieczorem, ale czy aby na klucz? Ktoś przecież najwyraźniej wchodził tu w nocy, żeby ją przykryć.

Ktoś?

Czy to Gideon?

Za drzwiami rozległ się odgłos kroków. Skoczyła na równe nogi, bezwiednie odgarniając włosy z twarzy i upychając niesforne kosmyki za uszy. Żałowała, że nie wzięła ze sobą lustra, a jeszcze lepiej, miednicy z wodą. Nie pozostało jej jednak wiele czasu na żale, kroki bowiem stawały się coraz wyraźniejsze.

Modląc się w duchu, żeby nie wyglądała jak porwana wprost z ulicy żebraczka, Constance stanęła przy oknie ze splecionymi dłońmi w skromnej, jak miała nadzieję, pozie.

Zapewne Gideon Payne nadal był na nią wściekły. Nie dość, że doznał przez nią potwornych szkód, to jeszcze szarogęsiła się w jego gabinecie, a w końcu zasnęła w najlepsze na jego kanapie. Skonsternowana, zagryzła wargi. Może mimo wszystko nie wyśle jej do więzienia. Raczej zawiezie ją wprost do zakładu dla obłąkanych.

Nie. Nie miała wyjścia. Musiała na niego czekać.

Z czystej próżności poprawiła spódnicę i lekko

uszczypnęła policzki. Żywiła cichą nadzieję, że gniew w nim nieco zelżeje, jeśli będzie wyglądała choć trochę kobieco.

W zamku zgrzytnął klucz. Constance lekko zatrwożona wstrzymała oddech, czując, że kręci się jej w głowie. Na pewno jest coś, co mogłoby go udobruchać. A po pocałunku w parku odnosiła wrażenie, że nie do końca była mu niemiła.

Wahała się jeszcze chwilę, po czym rozpięła trzy guziki żakietu, obnażając skrawek delikatnego, srebrzystego batystu koszuli.

Drzwi rozwarły się szeroko.

Constance zeszywniała na chwilę, po czym zmusiła się do tego, by przybrać niedbałą pozę.

*Zachowuj się przy nim swobodnie.*

Ale to nie on stanął w progu. Nie, pojawiła się w nich korpulentna kobieta w koronkowym czepcu na upiętych w kok kręconych włosach.

- Pan przyjdzie lada moment - odezwała się. - Mówił, że wczoraj źle się panienska czuła i dlatego przysłał mnie tutaj.

*Pan.* To słowo nie koiło starganych nerwów Constance.

- Kazał też przynieść jego śniadanie. Proszę poczęstować się filiżanką herbaty, a potem...

Wzrok kobiety spotkał się ze wzrokiem Constance, i nagle zeszywniała, a krew odpłynęła z jej rumianych polików.

Constance obejrzała się przez ramię i spojrzała z przestachem w okno, pewna, że za jej plecami zmaterializowała się jakaś zjawa, ale zobaczyła jedynie kamienną ścianę budynku po drugiej stronie ulicy.

- Co się stało? Nie widzę...

Constance nie zdołała jednak skończyć tego zdania. Kobięcina wydała zdławiony jęk i wypuściła z rąk ta-  
cę, która z hukiem spadła na podłogę. Krzycząc prze-  
rażliwie, przeżegnała się i wypadła z pokoju, zatrzas-  
kując za sobą drzwi.

Przez kilka sekund Constance nie mogła ochłonać. Następnie mamrocząc pod nosem, schyliła się i zaczę-  
ła zbierać jedzenie i szczątki zastawy.

Zbyt późno, kiedy ręce miała zajęte, a pozie daleko  
było do strategicznego chłodu, usłyszała jak drzwi  
otwierają się ponownie i ktoś, ciężko stąpając, wcho-  
dzi do pokoju.

- Powiedz mi, Constance - odezwał się przeciągle  
ciemnowłosy mężczyzna, którego szerokie ramiona  
zdawały się wypełniać całe wejście - zawsze robisz na  
ludziach takie piorunujące wrażenie?

## 5

Constance przełknęła ślinę, bo coś ścisnęło ją za gardło. Uczucie to spotęgowało się, gdy odwzajemniła jego spojrzenie. Spojrzenie niemal czarnych, twarde jak stal oczu.

- Ja...

Cokolwiek zamierzała powiedzieć, wyparowało jej z głowy, zanim zdołała ubrać myśli w słowa.

Mężczyzna westchnął zniecierpliwiony, podszedł do metalowego kosza na śmieci, podniósł go i nachylił w jej stronę.

Constance wrzuciła do środka porcelanowe skorupy, po czym szybko odsunęła się na bezpieczną odległość i schroniła za biurkiem koło okna. Poczowała na policzku ciepłe promienie słońca.

Nie można było zlekceważyć urywanego oddechu mężczyzny. Wbiła w niego wzrok i stwierdziła, że zmrużył oczy i że przygląda się jej z takim samym pełnym fascynacji niedowierzaniem, jak w parku.

- Czemu się pan na mnie gapi? - spytała z irytacją, zastanawiając się dlaczego zarówno on, jak i tamta kobieta stracili panowanie nad sobą, widząc jej twarz.

Mężczyzna nie odpowiedział. Odstawił kosz na biurko i podszedł do niej. Palcem uniósł jej podbródek i przyjrzał się jej w pełnym świetle.

- Luther Hayes cię tu przysłał? - spytał ochryple. - Pracujesz dla niego?



- Ja... ja nie znam nikogo o takim nazwisku. Przyszłam tu, bo tak polecili mi prawnicy. Naj... najwyraźniej załatwili mi posadę u kogoś z tego teatru.

Wyrwała się, gdy w jego oczach zapłonął gniew, który jednak znikł chwilę później, ustępując miejsca zmęczeniu i rezygnacji.

- Zamierzasz występować.

Na samą myśl oblała się szkarłatnym rumieńcem. Może istotnie z chwilą opuszczenia domu miała nieco więcej tupetu, nie tyle jednak, żeby myśleć o aktorstwie.

- Nie! Miałam tu objąć posadę krawcowej i pracować nad kostiumami.

Widząc, że nadal patrzy na nią z niedowierzaniem, drżącą ręką wydobyła z kieszeni schowany w niej skrawek papieru.

- Tu jest kontakt, który dostałam, zanim wsiadłam do pociągu.

Skrzywił się, czytając nagryzmołone instrukcje. Zerknął na nią raz, potem na zapisany świstek, następnie schował go do kieszeni na piersi. Rozsiadł się w fotelu za biurkiem, nogi położył na blacie i przyjrzał badawczo znad zestawionych w kształt namiotu palców. Jego zwężone oczy nadal wyrażały podejrzliwość.

- Nie potrzeba mi krawcowej - odezwał się.

- Och. - Dźwięk ten mimowolnie przedostał się przez jej zmartwiałe wargi. Nogi się pod nią ugięły. Pomimo wczesnej godziny, biuro wydało się jej nagle rozgrzane jak piec i duszne, i pożałowała próżności, która kazała jej tak mocno zasnuwać gorset przed wyruszeniem na podbój Nowego Jorku.

Musiała usiąść. Teraz. Zanim zemdleje.

Poruszając się jak ślepiec, dotarła jakoś do skórze-

nej kanapy, kuląc się przy każdym chrupnięciu porcelany pod butami.

- Widzisz, Constance - nie można było nie dostrzec szyderczej nutki w jego głosie - wedle tego świstka miałaś zgłosić się do teatru na 1-11 Kensington.

Przytaknęła bezgłośnie.

- A tutaj jest Kensington 1-17. Źle trafiłaś.

Serce zaczęło rozpaczliwie kołatać jej w piersi, ręce miała zimne.

- Och, nie. - Nie zdołała zapanować nad jękiem, tak jak nie panowała nad własnym głosem, brzmącym cicho i pokornie. Wszystko, co przytrafiło się jej w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, było wynikiem pomyłki. Potwornej pomyłki.

- Adres, którego szukasz, jest przecnicę dalej - wyjaśnił Gideon i poczuła się jeszcze bardziej upokorzona. Lustro, pocałunek, uwięzienie w tych czterech ścianach - wszystko to dlatego, że nie potrafiła odczytać prawniczego charakteru pisma.

- To był piękny teatr, nie przeczę. Kusiło mnie nawet, żeby go kupić i zlecić zrobienie nowego wystroju, zanim zdecydowałem się na tę nieruchomości.

Wtedy dopiero uderzyło ją to, że Gideon mówił o teatrze w czasie przeszłym. Najchętniej zerwałaby się na równe nogi, zapytała jednak swobodnie:

- Był?

- Spłonął dwa tygodnie temu.

Niedługo po odczytaniu testamentu. Niedługo po tym, jak wszystko zaplanowano, a siostry ruszyły w drogę. Constance musiała jeszcze poczekać na dostarczenie biletów.

Oczy same jej się zamknęły, opuściła głowę, uciskając skronie koniuszkami palców.

„Myśl. Myśl” - komenderował jej mózg, ale nie mogła się skupić. Zamiast tego problemy zaczęły się mnożyć.

Co ma ze sobą począć? Bez pracy, bez kogoś, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc. Na domiar złego, zostało jej niewiele pieniędzy - z pewnością nie dość, by zapłacić za wyrządzone przez Pana Bentleya szkody. Skontaktowanie się z prawnikami, by zapytać, jak w zaistniałej sytuacji może objąć spadek, potrwałoby co najmniej dzień. Do tego czasu miała wielkie szanse wylądować na ulicy.

*Nie, nie, nie.*

- Obawiam się, że straciła pani pracę, panno Pedigrue - przypomniał Gideon bezlitośnie. - Po pożarze wszyscy aktorzy z teatru Royale i reszta pracowników rozpierchli się w poszukiwaniu zatrudnienia.

Co oznaczało, że jeśli ona sama uprze się przy podjęciu pracy gdziekolwiek indziej, będzie musiała konkurować z byłymi pracownikami z Royale'u.

Wyrwało się jej ciche westchnienie żalu. „Czy to pasmo nieszczęść nigdy się nie skończy?” - pomyślała, uzmysławiając sobie, w jakich znalazła się tarapatkach. Nie dość, że nie miała środków na utrzymanie, to jeszcze, zgodnie z zapisami testamentu, nie mogła objąć spuścizny po ojcu, dopóki nie przepracuje w wybranym przez niego teatrze pełnego roku. A bez tych pieniędzy, w przyszłości nie będzie miała żadnego źródła dochodu, chyba że ojciec przygotował jakiś plan awaryjny.

Kiedy w końcu otworzyła oczy, przekonała się, że Gideon nadal otwarcie się jej przygląda. Wzdrygnęła się, gdy dostrzegła w wyrazie jego twarzy mieszaninę sceptycyzmu, ciekawości i niezrozumiałego dla niej znużenia.

Opuścił nogi na ziemię, wsparł się dłońmi o biurko i rzucił niskim, oschłym głosem:

- Niezła z pani aktorka, panno Pedigrue.

- Aktorka?

- Myślę, że już dość długo robi pani z siebie pierwszą naiwną.

- Naiwną? - powtórzyła jak papuga, zastanawiając się, dlaczego ten człowiek lubował się w sypaniu zagadkami.

- Proszę mi powiedzieć, po co tu pani naprawdę przyszła. To, że wygląda pani tak jak wygląda, nie może być dziełem przypadku.

- Nie rozumiem. - Potrząsnęła głową, zakłopotana. - Mówiłam już, skąd się wzięłam w pańskim teatrze. Zapewniam pana, że to przez najzwyczajszą pomyłkę.

- To już pani powiedziała. Ale jeśli jest w tym coś więcej, to chcę poznać prawdę.

Zachowywał się tak, jakby rzeczywiście coś przed nim taiła, i zaniepokoiło ją to. Co takiego spodziewał się usłyszeć?

- Panie Payne... - Odpowiedź uwięzła jej w gardle, kiedy uprzytomniła sobie, że mężczyzna nadal przypatruje się jej uważnie. Aż nazbyt uważnie. Nagle zdała sobie sprawę, że ten oto człowiek dotykał jej, całował ją - i nawet po tak intymnych czułościach miał ją za osobę nie do końca uczciwą. A to bolało.

Na jego twarzy pojawił się cyniczny grymas, zupełnie jakby mężczyzna czytał w jej myślach, i w pokoju zapadła pełna napięcia cisza.

- Czy to możliwe, żebyśmy się wcześniej spotkali? - spytał z podejrzaną słodyczą. Słodyczą, której nie do końca ufała.

- Nie, nigdy.

- Jest pani pewna?

Pewna? Całkowicie. Pamiętałaby go i te jego oczy

barwy obsydianu. Pamiętałaby, że jego bliskość sprawia, że krew szybciej krąży w żyłach, a poczucie przyzwyczajenia zaczyna zawodzić.

- Tak, panie Payne - odparła przez zaciśnięte zęby. - Jestem tego absolutnie pewna.

- Proszę mówić mi po imieniu. Gideon.

Zasnuowała usta. Jeżeli wyobrażał sobie, że będzie zwracać się do niego po imieniu - do całkowicie obcego człowieka - to grubo się mylił. Ani myśli tak się spoufalać.

Spoufalać? Całowała się z nim. Czuła na policzku jego ciepły oddech. Czy będzie to miało jakieś znaczenie, jeśli zwróci się do niego po imieniu?

Otóż tak. Kolosalne. Musiała uczynić wszystko, by wybrnąć z tej sytuacji zachowując bodaj odrobinę godności. A to nie byłoby możliwe, gdyby i teraz zapomniała o przyzwyczajeniu.

- Może znała pani moją zmarłą żonę?

*To on jest żonaty?*

Nie. Spytał, czy znała jego *zmarłą* żonę.

- Nie.

- I jest pani pewna, że Hayes pani nie nasłał?

- Nie mam pojęcia, o kim pan mówi.

Zastanawiał się nad każdą jej odpowiedzią dłużej, niż to uważała za konieczne.

- Panie Payne...

- Tak, panno Pedigrue? - wtrącił gładko, ironicznie, drwiąc z jej uporu.

- Mogę panu dać najświętsze słowo honoru, że nigdy dotychczas pana nie spotkałam. Nie poznałam też pańskiej żony, czy kogokolwiek innego w Nowym Jorku. Jestem w tym mieście po raz pierwszy w życiu, a i to dopiero od wczoraj.

- Raczy pani w takim razie oświecić mnie co do ewentualnych wspólnych znajomych w innych miastach.

Nie była pewna, co kryło się za tym pytaniem. Co to za różnica? Poza tym ojciec tak rzadko spuszczał ją z oka, że szczerze wątpiła, czy mogła kiedykolwiek spotkać kogoś ze środowiska, w którym obracał się Payne - choć on oczywiście wiedzieć o tym nie mógł.

Ale pomimo tego, że strasznie korciło ją, żeby poprosić o wyjaśnienia, ugryzła się w język. Teraz najbardziej jej zależało na tym, by jak najszybciej zakończyć to spotkanie.

- A więc, panno Pedigrue? Czy mam wnioskować z pani milczenia, że mamy wspólnych znajomych?

- Z całą pewnością nie, panie Payne. Jak już mówiłam, pochodzę z Bostonu...

- Znam ludzi w Bostonie.

- Być może. Ale wątpię, czy nasze drogi się kiedykolwiek przecięły, chyba że znał pan mojego ojca.

- Dlaczego tak to pani ujmuje?

- Dlatego, panie Payne - odparła powściągliwie i z największą na jaką ją było stać cierpliwością - że ojciec rzadko pozwalał nam wychodzić z domu, nie mówiąc już o obracaniu się w miejskim towarzystwie.

Poniewczasie dotarło do niej, ile ujawniła tym jednym nieprzemyślanym zdaniem - że ojciec więził ją i siostry, że nie należały do arystokracji o błękitnej krwi, że niezupełnie bolała nad śmiercią Alexandra Pedigrue.

Jeśli jednak Gideon wychwycił wszystkie te informacje, nie dał po sobie niczego poznać. Zamiast tego skupił się na jednym słowie.

- Nas?

- Mam dwie siostry.

- Gdzie teraz są?

- W różnych częściach kraju wykonują swój zawód. - Nie chciała, żeby drążył temat, więc dodała szybko: - Panie Payne, nie chciałabym, żeby pozostawał pan w mylnym przekonaniu, jakobym przybyła tu w niecznym celu.

Oczy znów mu się zwężyły. Przyglądał się jej z taką uwagą, że poczuła się zupełnie tak, jakby on był kustoszem muzeum, a ona jakimś falsyfikatem. W końcu westchnął ciężko i przestał na nią patrzeć, pozwalając jej normalnie oddychać.

- Przepraszam, że powątpiewałem w pani krystaliczne intencje, panno Pedigrue.

Odnosiła niejasne wrażenie, że podejrzewał ją o jakąś zbrodnię i choć nie wiedziała dokładnie na czym miałyby ona polegać, ogarnęło ją nagłe rozdrażnienie, że uzurpował sobie prawo do wybaczenia jej czegoś.

- Panie Payne, nie wiem, co takiego pańskim zdaniem zrobiłam lub czego też nie zrobiłam, kogo znam, a kogo nie. Jak już wyjaśniałam, weszłam do tego teatru przez pomyłkę - nic więcej. Byłam tak zaabsorbowana tym, co działo się przed pańskim budynkiem, że nie sprawdziłam adresu. Gdybym sprawdziła, może być pan zupełnie spokojny, że moja noga nie przestąpiłaby tego progu.

Wzmocniwszy swoją tyradę pełnym urazy westchnieniem, podniosła torebkę z kanapy i, usiłując wciągnąć rękawiczki, dodała:

- W obecnej sytuacji uważam, iż najrozsądniej będzie, jeśli pozostawię pana samemu sobie, zabiorę mojego kota i udam się do jakiegoś pensjonatu, zanim będę mogła skontaktować się z kancelarią ojca i uzyskać dalsze instrukcje.

Zgarnęła przycupniętego na regale Pana Bentleya, wepchnęła go do kosza, ignorując jego pełne oburze-

nia syknięcia. Następnie wyjęła z pudła swój czepek i pomaszerowała ku drzwiom.

Zdażyła zacisnąć palce na zimnej, porcelanowej gałce, gdy zza biurka padła chłodna uwaga:

- Jeszcze nie skończyliśmy załatwiać naszych spraw, panno Pedigrue.

- Od początku nie mieliśmy żadnych *spraw* do załatwienia - odparła, rzucając mu rozdrażnione spojrzenie - nie rozumiem więc, jak...

- Pozostaje drobna kwestia lustra.

Urwała, wściekła. Do licha, całkiem wyleciało jej to z głowy.

- Jeśli się nie mylę, to pani kot? Pan Bentley, bodajże tak pani mówiła, spowodował szkodę.

Niemożliwe, żeby to się działo naprawdę. Takie idiotyczne sytuacje nigdy nie przydarzają się Constance Pedigrue. Nie bez dumy uważała się za uosobienie przyzwoitości i taktu, damę w każdym calu. Kobiety z dobrych domów z zasady nie pakowały się w równie kłopotliwe sytuacje - a nawet gdyby, to pozostawał zawsze rycerz w lśniącej zbroi, który przybywał im z odsieczą.

Constance otworzyła usta, by zaprotestować, ale natychmiast zmieniła zdanie. Oboje wiedzieli, że protesty na nic by się nie zdały. Tkwiła w tym bałaganie po szyję i żaden rycerz nie pojawi się, żeby ją uratować. Będzie musiała polegać na własnym sprycie.

- Mogę panu zapłacić - odezwała się w końcu, ale jej głos Zabrzmiął słabo.

-Jak?

Oblizwała nerwowo wargi. *Jak?*

- Kiedy tylko zacznę pracować...

- Wyjaśniłem już chyba, że szanse, by objęła pani pracę w teatrze przy 1-11 Kensington, są równe zero.



*Myśl, Constance, myśl!*

- Mogłabym...

*Mogłabyś co? Zaciągnąć pożyczkę? Nazbierać dość pieniędzy, żeby zapłacić za złoczone lustro wielkie na dziesięć stóp? Marne szanse.*

- Panie Payne - zaczęła jeszcze raz, odkładając swoje rzeczy. Pan Bentley natychmiast wymknął się z kosza i uciekł pod kanapę. - Jestem kobietą honoru. Skoro dam panu słowo, to *naprawdę* odzyska pan swoje pieniądze. Więcej nawet, jeśli pomoże mi pan znaleźć najbliższy telegraf i będę mogła poprosić prawników ojca o fundusze. - Niestety, czy faktycznie je przyśła, pozostawało zupełnie inną kwestią, dodała jednak mężnie: - Przysięgam panu, że wrócę w przeciągu godziny.

- Niezmiernie mi przykro - odparł, kręcąc głową - ale pani słowo to dla mnie za mało. Było nie było, nic o pani nie wiem. Równie dobrze mogła pani w życiu nie powiedzieć słowa prawdy.

Fakt.

- Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić, żeby pana przekonać, panie Payne - wyszeptwała, pewna już, że bez więzienia się nie obejdzie. Każe ją aresztować i zesła ją na ciężkie roboty do kopalni soli.

Łzy napłynęły jej do oczu na samą myśl o tym, co powiedzą siostry, kiedy się o wszystkim dowiedzą. A niech to szlag. Szlag! Co jej w ogóle strzeliło do głowy, żeby zabrać do Nowego Jorku kota? Kretyński, idiotyczny pomysł.

Szarpiąc się z torebką, usiłowała ją otworzyć, żeby wyciągnąć obrzeżoną koronką chustkę, ale przypomniała sobie, że zgubiła ją jeszcze wczoraj. Pogmerała w kieszeni, wyjęła z niej strzępek aksamitu i wytarła nos.

Pomimo tego że siedziała ze zwieszoną głową,

a w oczach miała łzy, wiedziała, że wstał i idzie w jej stronę.

Wyjął jej z ręki prowizoryczną chusteczkę. Ta rozwinęła się i Constance uzmysłowiła sobie, że jej znalezisko nie było tym, za co je pierwotnie wzięła. Poczowała jak fala nieznośnego gorąca oblewa jej policzki. Nawet z pewnej odległości widziała wyraźnie, że to, co trzymał w dłoni, to obcisły, bardzo skąpy gorsecik - taki, jaki widywała czasem w magazynach dla bogatych kobiet albo artystek cyrkowych.

- Wielce... błyskotliwy dobór akcesoriów, panno Pedigrue.

- Ależ zapewniam pana, że to nie moje! Ja tylko...

- Nie sądzę, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie, gdzie i w jaki sposób weszła pani w posiadanie tak... ekstrawaganckiego i frymuśnego dodatku.

Wyjąkała coś niezrozumiale, żeby ratować sytuację, on jednak kontynuował niewzruszony:

- Nie, panno Pedigrue, sądzę raczej, że głównym zagadnieniem, na którym powinniśmy się skoncentrować, jest pani sytuacja finansowa. Jeżeli raczy pani/podyktować treść depešy, każe gońcowi zanieść go telegraficznie. A tymczasem nie widzę dla pani innego wyjścia z sytuacji, jak przystać na moje warunki.

Zdławiła szloch.

- ...i zgodzić się pracować dla mnie, a nie w moim teatrze.

*Pracować dla mnie...*

Słowa te wciąż rozbrzmiewały w pokoju, a Constance zapomniała o swoim *faux pas* z nieszczęsnym gorsetem i podniosła oczy na górującego nad nią mężczyznę.

- Pracować dla pana? - zawtórowała bez wyrazu, przekonana, że słuch ją zawiódł.

Skinał głową.

- Trzeba uszyć coś u pana w domu?

- Nie.

Czekała rozczarowana, z bijącym sercem. Będzie zmuszona zostać kimś w rodzaju sprzątaczką, bez wątplenia, wrócić do jednego z tych zajęć, które tak niedawno przestała wykonywać w domu ojca. Ubolewała nad tym, ubolewała nad straconymi marzeniami o związaniu życia z teatrem, ale nie miała prawa się skarżyć. Nie teraz, kiedy pojawiała się szansa, by uratować się przed najgorszym.

- Co więcej, jeśli będzie pani należycie wywiązywać się ze swoich zadań, mógłbym nawet rozważyć kwestię zatrudnienia pani na stałe. Z czasem mogłaby pani awansować na stanowisko menadżera - mruknął, tak nisko i gardłowo, że zadrżała.

- Jak to? - Wyrwał jej się ten szept, za co szczerze się w tej chwili nienawdziła, ale nie miała nad swoim głosem żadnej kontroli.

- Wyjaśnię, na czym polegać będą pani obowiązki, kiedy już się pani odświeży - odparł, potrząsnawszy głową. - Na razie chcę zastanowić się spokojnie nad możliwością awansu. Nie jestem pewny, czy moi ludzie będą chcieli pracować pod kierunkiem kobiety.

- Ale mówił pan...

- I tak w międzyczasie dam pani aż nadto do roboty. Obejmie pani przyzwoitą posadę mojej osobistej asystentki.

- Pańskiej asystentki? - rzuciła Constance bez tchu.

- Niech mi pani powie, panno Pedigrue - westchnął i wsparł się rękami o biodra - czy zamierza pani powtarzać każde moje słowo jak papuga?

- Każde pańskie słowo... - Ugryzła się w język i,

otrząsnąwszy z oszołomienia, szybko wzięła w garść. - Och, nie, proszę pana. Tylko że... wydawało mi się, że zaproponował mi pan posadę swojej asystentki, dopóki nie nadarzy się jakieś inne stanowisko.

- No przecież zaproponowałem - parsknął z irytacją.

- Ale... pan mnie prawie nie zna.

- Wcale pani nie znam, ściśle mówiąc. - Obrócił się na pięcie i wrócił za biurko.

- Co zatem w pana wstąpiło, żeby powierzać mi tak ważne zadanie? Nie wolałby pan zatrudnić kogoś, kogo zna? Kogoś z większym doświadczeniem?

W chwili, w której wypowiedziała te słowa, uzmysłowiła sobie, że powinna była zachować to pytanie dla siebie. Przecież ten człowiek oferował jej pracę - przyzwoite i godne damy zajęcie - w charakterze swojej osobistej asystentki. Zważywszy na dług, jaki u niego miała, nie powinna sama zasiewać w nim wątpliwości.

Jednak skoro to pytanie już padło, nie było odwrotu.

- Jestem skłonny zatrudnić panią warunkowo, uprzedzam - przeszył palcem powietrze - ponieważ wydaje się pani znać na rzeczy.

Machnął niedbałe w kierunku półek.

- Ostatni, któremu kazałem rozpakować książki, marudził cały dzień nad jednym pudłem. Pani rozpakowała wszystkie w ciągu kilku godzin.

Constance sama nie wiedziała, dlaczego ten mimowolny komplement sprawił, że oblała ją fala ciepła.

- Jest sporo tego rodzaju prac do wykonania - organizacja, pisanie pod dyktando, przygotowywanie harmonogramu. Pod warunkiem, że *to* pani nie przerasta.

Niemal niezauważalnie przekrzywiła głowę na samą sugestię, że miałyby okazać się nie dość inteligentna, by uporać się z jakimkolwiek powierzonym jej za-

daniem. Następnie, złowiwszy jego uważny wzrok, wypowiedziała na głos niektóre z własnych obaw.

- Zanim na cokolwiek się zgodzę, uważam, że powinien pan nakreślić choćby w zarysie także inne... *zadania*, jakie zamierza mi pan zlecać. - Nie sposób było pomylić się co do powodów, dla których położyła taki nacisk na to jedno słowo.

- Żadnych niespodzianek, hmmm? - spytał przeciągle.

- Wolałabym ich uniknąć. - Uniosła brwi. - Po tym wszystkim, co przydarzyło mi się od przybycia do Nowego Jorku, z pewnością mnie pan zrozumie.

Zaśmiał się, a ona poczuła, jak po plecach przebiega jej dziwny dreszczyk. Ten jego śmiech miał w sobie coś szalenie zmysłowego i... jakby świadomość tego, co z nią wyczyniał.

- Naprawdę spotkały cię same okropności, Constance?

Zbliżył się, a krew w jej skroniach zaczęła gwałtownie pulsować.

- No chyba nie wszystko, czego doświadczyłaś było takie złe.

Tembr jego głosu, niski i aksamitny, palił ją żywym ogniem. Niespodziewanie przyłapała się na tym, że myśli o tamtych kilku minutach w parku, kiedy tak fizycznie odczuła jego bliskość, a on jej.

Drgnęła, kiedy ujął jej podbródek w stulone dłonie, kciukami muskając jej policzki z rozmyślną powolnością. I nie przestawała drzeć, przerażona słodkim uczuciem, jakie ten prosty gest w niej budził.

Protekcjonalny uśmiezek błąkał się w kącikach jego ust.

- Nie sądzę, żebyś miała mi za złe to, że cię wtedy objąłem.

Nadal nie zdolna dobyć głosu, oblizwała jedynie war-

gi z nadzieją, że jej głowa zacznie znowu normalnie funkcjonować. Czynność ta przyniosła przeciwny skutek, w oczach Gideona zapłonął bowiem ogień, a jego twarz zaczęła się zbliżać.

- Nie - zdołała w końcu szepnąć, ale widać nie usłyszał jej, czy też raczej nie odczytał tego słowa z jej warg, bo się nie zatrzymał.

Czule, ze słodyczą, złożył na jej ustach pocałunek. A gdy westchnęła, uśmiechnął się i odsunął na tyle, by szepnąć:

- Odpręż się, Constance. Nic ci nie zrobię.

Pocałunek w jednej chwili stracił całą swoją niewinność. Gideon obejmował ją z taką samą pasją, jak wczorajszego dnia. Dłoniąmi powędrował w dół jej pleców i przyciągnął ją do siebie tak mocno, że bała się, iż się udusi.

Pojękując, niepewnie położyła dłonie na jego biodrach i wbiła palce w twarde ciało.

Tym razem, kiedy wsuwał język do jej ust, nie miała siły się opierać. Zmysły w niej wrzały, ciało spieszo było doświadczyć tego, co miało okazać się nawet bardziej oszałamiające, jeszcze bardziej doniosłe.

*Nie! Nie wolno jej. Nie z nim, nie z nieznanym.*

Głos rozsądku z trudem wznosił się nad chaos doznań. Gdy jednak Gideon zaczął pieścić ją po plecach, ramionach, ostrzegawcza myśl rozbrzmiała na nowo, rosnąc w siłę, aż w końcu nie mogła dłużej jej ignorować.

- Nie! - rzuciła, kiedy wreszcie zdołała złapać oddech.

Wyrwawszy się, jak burza przemknęła na drugi koniec pokoju i zapatrzyła się na ponurą uliczkę, na którą wychodziło zakratowane okno.

- Panie Payne, nie sądzę, żebym... żebym powinna... żebyśmy... - Odetchnęła głęboko i zaczęła od począt-

ku. - Muszę nalegać, żeby nasze stosunki nie przerozdiły się w nic ponad kontakty między pracodawcą a pracownicą.

- Proszę się nie niepokoić, panno Pedigrue, na razie nie dybię na pani cnotę.

Co miał zatem oznaczać ten pocałunek? Wstęp do przyjaźni?

Taka znowu naiwna to ona nie była.

- Nie chciałbym też, żeby pani myślała, że poczyniłem pewne krzywdzące założenia co do pani charakteru.

Oprócz tego, że insynuował już jakoby była istotą kłamliwą, podstępną i rozpustną.

- Obiecał pan przedstawić zakres moich obowiązków.

- Oczywiście. - Opierając się o brzeg biurka, założył ręce na piersi i przypatrywał się jej z namysłem. - Poza tymi, które już wymieniłem, potrzebny mi ktoś do prowadzenia księgowości. Proste sprawy.

- W porządku.

- Do katalogowania książek i sprzętów.

- Da się zrobić.

- Będę wymagał od pani zajmowania się moją korespondencją, zarówno prywatną, jak i służbową.

- Mhm. - Kiwnęła głową na znak zgody.

- Będzie mi pani towarzyszyć podczas przesłuchań oraz inspekcji na budowach. Mam trzy teatry w promieniu pięćdziesięciu mil, co wymagać będzie okresowych krótkich podróży, nic szczególnie uciążliwego. Czasem może się zdarzyć, że poproszę o zorganizowanie przyjęcia dla kilku przyjaciół lub współpracowników.

Akurat ta informacja przeraziła ją, odparła jednak:

- Myślę, że podołam takiej pracy.

Nie odpowiedział od razu. I znowu powietrze w pomieszczeniu wydawało się gęstnieć, tak że Constance

musiała zastanowić się, czy aby nie za szybko przyjęła zaproponowaną posadę.

Ale też co jej pozostawało? Albo weźmie tę pracę, albo znajdzie się na nowojorskim bruku, bez grosza przy duszy, za to z monstrualnym długiem.

- Zanim pani się zgodzi, panno Pedigrue, powinna pani wiedzieć, że jestem wdowcem.

Tyle już zdążyła wydedukować.

- I na pani, jako mojej asystentce, będzie spoczywał obowiązek występowania w charakterze gospodyni.

- Naprawdę? - Wyrzucała sobie w duchu, że zachowuje się jak głupia gęś. Była jednak zdania, że uczestniczenie w jego prywatnym życiu podniesie jej prestiż i ta myśl była wręcz oszałamiająca.

- Sądzę też, że powinienem panią uprzedzić, że nie mam stałego grafiku - kontynuował Gideon.

- Tak, proszę pana. - Tak znacząco zawiesił głos, iż poczuła się w obowiązku odpowiedzieć.

- W związku z czym będzie pani zmuszona *dzielić* ze mną godziny pracy.

- Naturalnie, panie Payne - odpowiedziała cicho, choć i to wydawało się jej oczywiste.

Oczy miał czujne, kiedy wpatrywał się badawczo w jej twarz, po czym omiótł spojrzeniem całą jej postać.

- Dobrze więc. Przynajmniej wzajemnie się rozumiemy. - Nabrał tchu i krzyknął nagle: - Pani Potts!

W korytarzu rozległ się tupot, po czym drzwi otworzyły się cicho.

- Tak, panie Payne?

- Proszę zabrać pannę Pedigrue do rezydencji i przedstawić ją Merriweather i Birchowi.

- Tak, proszę pana.



- A potem, kiedy tylko Złoty Pokój będzie nadawał się do zamieszkania, proszę ją tam ulokować.

- W Zło... Złotym Pokoju? - Oczy kobiety zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Jak widać, panno Pedigrue, pani zwyczaj powtarzania wszystkiego, co mówię, jest zaraźliwy - odparł Gideon z pełnym zniecierpliwienia westchnieniem. Ponownie zwracając się do pucołowatej kobiety, dokończył: - Owszem. A potem dopilnuj, żeby polecenia, które wydałem wcześniej, zostały wykonane możliwie najszybciej.

Pani Potts wyglądała, jakby oczy miały wyskoczyć jej z orbit.

- Oczywiście. Możliwe, że trzeba będzie... gruntownie go wysprzątać, czy mam... kazać umieścić w nim także pańskie rzeczy?

Constance wydała zdławiony okrzyk.

Gideon się skrzywił.

- Nie, pani Potts. Idzie mi o wygodę, a nie o amory.

- Dobrze, proszę pana.

Kobiecina miała dość przyzwoitości, by zrobić zawstydzoną minę, niemniej jednak Constance musiała przyznać w duchu, że wniosek, jaki wyciągnęła pani Potts, wręcz sam się nasuwał. I najprawdopodobniej nasunie się także innym.

Splotła ręce, namyślając się, czy powinna wspomnieć o tym Gideonowi i zaryzykować, że wycofa on swoją ofertę. A była przecież kobietą o nieskazitelnej reputacji. Z jej nazwiskiem nie wiązał się żaden skandal - czy w ogóle z czymś bodaj odrobinę ekscytującym, prawdę powiedziawszy.

Ta myśl zmroziła ją do szpiku kości. Czy chciała, żeby tak właśnie wyglądało jej życie? Być „zrównoważo-

na" do końca swoich dni? Dożyć sędziwego wieku, nie poznawszy żalu, ale też nie zasmakowawszy przygody?

Nie.

Zamknie usta na kłódkę. Nie będzie uskarżać się na taki układ. Nie będzie martwić się o reputację.

Patrzyła na Gideona i poczuła, że krew szybciej krąży w jej żyłach, a ciało przebiega dreszcz emocji. Zasłużyła sobie na ten moment. Zasłużyła na możliwość pracowania w teatrze - nie jako byle szwaczka, ale jako asystentka właściciela. Nie przegapi szansy, by ziściły się jej marzenia.

Gideon czuł na sobie jej wzrok. Spojrzał na nią z ciekawością i usta drgnęły mu niemal niezauważalnie - jakby czekał tylko na słowo skargi, ale Constance uparcie milczała. Omiótł ją wzrokiem od stóp do głów i zwrócił się do pani Potts:

- Dopilnuj też, żeby Merriweather przygotowała dla niej kąpiel. Wygląda, jakby dotarła tu z Bostonu na piechotę.

Constance obruszyła się, ale pani Potts nie czekała na jej komentarz. Dygnęła pośpiesznie i wypadła na korytarz - zapewne po to, by wezwać powóz.

Constance wiedziała, że powinna podążyć za panią Potts, ale stała, jakby wrosła w ziemię. Musiała dowiedzieć się jeszcze jednego.

- Panie Payne?

Gideon zdążył już zająć się rozłożonymi na biurku papierami, ale natychmiast podniósł wzrok.

- Zdaje mi się, że dałem jasno do zrozumienia, że życzę sobie, żebyś zwracała się do mnie po imieniu.

- Tak, ale...

- Skoro masz być moją asystentką, nalegam.

- Dobrze więc... Gideonie.

Znajome samogłoski i spółgłoski dziwnie zabrzmiały jej w uszach, gdy z wysiłkiem ułożyła je w to nowe słowo. Zdumiała się, że coś tak banalnego może w jednej chwili zmienić stosunek do drugiego człowieka. Taki trywialny szczegół nie powinien mieć żadnego znaczenia, a przecież miał. W niezrozumiały dla niej sposób zmniejszał emocjonalną barierę, jaką usiłowała się od niego odgradzić.

- Gideonie... - Zawahała się znowu, ale po chwili mówiła dalej. - Tak się zastanawiałam... ile dokładnie jestem ci winna? No, za to lustro?

Na powrót wbił wzrok w dokumenty i sięgnął po ogryzek ołówka, który leżał na biurku.

- Porozmawiamy o tym później.

- Wolałabym dowiedzieć się teraz. Nalegam.

Westchnął i wbił w nią tak świdrujące spojrzenie ciemnych oczu, że niemal się cofnęła. Po kilku męczących sekundach poddał się: wysunął szufladę, wyjął z niej teczkę, przekartkował plik rachunków i wyciągnął jeden z nich.

- Proszę - powiedział, rzucając go na blat.

Kosztowało ją wiele wysiłku, by podejść. I tak niezłe kręciło się jej w głowie od własnych domysłów. W tamtym teatrze miała zarabiać dolara dziennie - a była to nadzwyczaj hojna pensja. Zakładając, że Gideon zaofiaruje jej prawie lub dokładnie tyle samo - a lustro nie kosztowało więcej niż sto dolarów...

Zawroty głowy zmieniły się w istne wirowanie, gdy zaczęła spekulować, jaką część pensji pochłonie jedzenie i inne niezbędne wydatki. W chwili jednak, w której jej wzrok padł na wystający częściowo poza krawędź biurka rachunek, dosłownie zamarła.

Pięć tysięcy dolarów.

*Pięć tysięcy dolarów.*

## 6

Gideon przyglądał się, jak Constance na oślep wybiega z pokoju. Oczy miała zamglone, malował się w nich też cień niedowierzania, ale nie zapomniała zabrać kota, czepka i torebki, zanim ruszyła w ślad za panią Potts, manifestując swoje posłuszeństwo.

Przyjęła propozycję.

Gideon zgarnął papiery z biurka i opadł na fotel, pozwalając sobie na westchnienie ulgi. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, jak bardzo był spięty. Jak tylko zaczął wymieniać przyszłe obowiązki Constance, był pewny, że mu odmówi i zechce zadepeszować do prawników z prośbą o przysłanie pieniędzy za lustro.

Nie zrobiła tego jednak.

Przyjęła posadę.

Co więcej, wydawała się... *zadowolona*.

I co on ma teraz z nią począć? Nigdy wcześniej nie zatrudniał asystenta. Dotychczas wszystko robił sam, bez żadnego pośrednika. Zanim przyzwyczai się do nowej sytuacji, będzie musiał stale wynajdywać dla niej jakieś zajęcia.

Kręcąc głową na myśl o własnym tupecie, usiłował wyciszyć burzę emocji, jakie ta kobieta wzbudzała w nim przy każdej słownej potyczce. Wciąż jeszcze nie przestał zdumiewać się, że jest tak podobna do Maury. To pokrewieństwo rysów, kształt postaci przywoływało falę gniewu, poczucie zdrady i żądę. Constance jed-

nak umiała także w jednej chwili rozbudzić w nim głód uczucia, tęsknotę za bliskością drugiego człowieka.

Kim ona jest? Kim?

I dlaczego los postawił ją na jego drodze? Pchnął do jego teatru?

Zerwał się na równe nogi i zaczął kursować nerwowo od ściany do ściany.

Przypomniał mu się dzień, kiedy ukończono prace w jego teatrze rewiowym w Baltimore. Zacisnął ręce. Jakże mógłby zapomnieć o tamtym incydencie? Była to pierwsza oznaka napięcia w jego małżeństwie. Maura obejrzała swoją garderobę i zażądała jej całkowitego przemeblowania, twierdząc, że tak pospolity wystrój nie „przystoi” kobiecie z jej statusem społecznym - jakby spodziewała się wizyty któregoś z miejscowych arystokratów.

Nie minęło dużo czasu nim Gideon zorientował się, co Maura tak naprawdę planowała. Gideon był właścicielem kilku legalnych teatrów i jego piękna żona chciała zerwać ze światem rewii na rzecz ról dramatycznych, bardziej przypadających do gustu zamożnym mecenasom sztuki.

Gideon starał się przekonać Maurę, że nawet jako aktorka dramatyczna nie zyska nigdy uznania w oczach „tych z klasą”. Nie uwierzyła mu jednak. Zaczęła wydawać huczne przyjęcia, zapraszać bogatych przedsiębiorców i świeżo upieczonych polityków, torując sobie drogę do towarzyskiego „odrodzenia”.

Gideonowi nie brakowało ochoty, by spełniać jej kaprysy. Kochał ją, adorował, zapewniał wszelkie luksusy. Inaczej niż większość mężów, pozostawił jej wolną rękę przy wydatkach, regulując bez słowa olbrzymie rachunki od modystki, krawcowej i z zakładów obsługujących przyjęcia.

W głowie mu jednak nie powstało, że mogłaby go zdradzić.

A już zwłaszcza z człowiekiem, którego miał więcej niż za przyjaciela, wręcz za brata.

Zaklął pod nosem i zakazał sobie powracać do bolesnych wspomnień. To miało się z celem. W życiu Gideona nie było już miejsca dla Maury. Stanowiła fatalny epizod z przeszłości i dobrze się stało, że się od niej uwolnił. Birch nie pozwolił mu ogniem wymazać wszelkich śladów bytności Maury w ich wspólnym domu. Nie leżało jednak w mocy posępnego lokaja powstrzymać Gideona przed wymazaniem z serca wszystkich ciepłych uczuć.

Nadal maszerował w tę i z powrotem, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazał się w nich inspijcent, Lester Grassman.

- Widziałeś tę kobietę? - wykrztusił resztką tchu. - Właśnie wychodzi. Potts holuje ją za sobą.

- Wiem. - Słowo to zabrzmiało ponuro, złowroźnie.

- Widziałeś ją?

- Zatrudniłem ją.

Lesterowi opadła szczęka.

- *Zatrudniłeś?* Czyś ty oszalał, człowieku?

Gideon posłał swojemu długoletniemu przyjacielowi piorunujące spojrzenie, ale krępy mężczyzna zbytnio się tym nie przejął.

- Widziałeś, jaka podobna? - spytał. - Domyć ją trochę, ubrać przyzwoicie i będzie wyglądała zupełnie jak...

- Maura - odpowiedział Gideon.

Jego odpowiedź zamknęła Lesterowi usta, ale tylko na parę sekund. Skany Anula43, przerobienie pona.

- Ktoś z konkurencji przysłał ją tutaj, żeby wyprowadzić cię z równowagi i opóźnić otwarcie teatru -

odezwał się Lester po krótkim zastanowieniu. - Obecność tej kobiety tutaj nie może być dziełem czystego przypadku.

- Możliwe - odparł Gideon, wzruszając ramionami.

- Możliwe, akurat. Cholera, niecały tydzień temu Lester Hayes wrócił do Nowego Jorku. Każdy wie, że był z Maurą na kilka minut przed jej śmiercią. A teraz kobieta, która wygląda jak skóra zdjęta z nieboszczki, tanecznym krokiem wchodzi do teatru. Na twoim miejscu robiłbym w portki ze strachu, że ktoś nasłał ją, żeby namąciła ci w głowie.

*Powinien* obawiać się takiego właśnie scenariusza, przyznał w duchu Gideon. Ale, rzecz dość dziwna, nie czuł obawy. Szczerze wierzył w zapewnienia Constance, że większość swojego dotychczasowego życia spędziła zamknięta w domu. Sposób, w jaki o tym mówiła, jej dumny ton i zgaszone oczy dawały mu pewność, że nie kłamała.

A poza tym, jaka tam z niej aktorka. Była zbyt spontaniczna. Każda jej myśl i odczucie natychmiast odzwierciedlały się na jej twarzy.

- Co to za jedna? - spytał Lester.

- Nazywa się Constance Pedigrue. - Gideon klapnął ciężko na fotel i zaczął z rozdrażnieniem postukiwać piórem o blat biurka, czując, jak odzywa się w nim wrodzona podejrzliwość.

Constance mogła mówić prawdę o Bostonie, nie znaczyło to jednak, że jej pojawienie się tutaj było na pewno przypadkowe. Jej wizyta w teatrze mogła spokojnie być wynikiem czyichś manipulacji, tak jak przypuszczał Lester.

Manipulacji Luthera Hayesa? Człowieka, który dał się przyłapać z Maurą *in flagranti*?

Nie. Gideon w to nie wierzył.

- Wywiedz się o niej wszystkiego. Chcę mieć informacje o jej domu, rodzinie, wykształceniu. - Gideon wyjął z kieszeni podyktowany przez Constance telegram. - Potem skontaktuj się z prawnikami, których nazwiska są tu wymienione, i sprawdź, czy naprawdę miała załatwioną posadę szwaczki w teatrze Royale. Ale nie wysyłaj telegramu panny Pedigrue bez porozumienia ze mną.

Lester wziął depeszę, ale na jego twarzy nadal malowało się niedowierzanie.

- Miała objąć posadę *szwaczki*?

- Tak twierdzi.

- Royale spalił się. - Les wpatrywał się w kartkę.

- Poinformowałem ją o tym.

- Założę się, że miała czelność odegrać scenę zaskoczenia - mruknął Lester przez zaciśnięte usta.

- Nie jestem przekonany, czy „odegrać” jest tu właściwym słowem, Les - odpowiedział Gideon, wtykając kciuki za pas spodni.

- Jeżeli ma coś wspólnego z Maurą Kelly, to jest to jedyne właściwe słowo. - Les potrząsnął depeszą. Potem prychnął oburzony i zapytał: - Jaka zatem posadę dałeś tej kobiecie?

- Na razie będzie moją osobistą asystentką.

Lesterowi po raz kolejny opadła szczeka. Gideon wiedział dlaczego. Po pierwsze dlatego, że w ogóle zatrudnił kogoś do pomocy. Po drugie dlatego, że zatrudnił kobietę tak podobną do Maury Kelly.

Do swojej żony.

Kobiety, która, jak kiedyś sądził, miała urodzić mu dzieci i stać się najbliższym mu człowiekiem na ziemi.

Gideon rozparł się wygodnie w fotelu, założył pod głowę splecione dłonie i zagapił się w sufit. Był pierw-



szy, by przyznać, że zachowuje się dziwnie, ale nie zamierzał nikomu się tłumaczyć. Co zresztą mógłby powiedzieć? Że zatrzymał tę kobietę przy sobie z powodu dumnie uniesionej głowy i błękitnych oczu?

Ludzie pomyślą, że dał jej pracę ze względu na podobieństwo do Maury. Łudzące podobieństwo, które byłoby zupełne...

*Gdyby- nie niewinność jej spojrzenia.*

Gideon nadal wpatrywał się przed siebie błędnym wzrokiem, gdy przed oczami stanęła mu Maura - taka, jaką widział po raz ostatni. Na łóżku, które dzielili, ze złotymi włosami rozsypanymi na poduszce. Jej piękne ciało, oplecione wokół ciała innego mężczyzny. Przyjaciela Gideona ze szkolnej ławki. Jej kochanka.

Luthera Hayesa.

Rozbrzmiały w nim echa dawnego gniewu, wszechogarniającej furii, która kazała mu wtedy podpalić zastony, żeby zniszczyć wszystko, co mogłoby przypominać mu o niewierności Maury. Ręce bezwiednie zacisnął w pięści, ale całą siłą woli zakazał sobie wracać do tamtej sprawy. Nie będzie o tym wszystkim myślał. Maura go zdradziła, ale zniknęła z jego życia na zawsze.

- Wynoś się stąd, Les - odezwał się. W jego głosie nie było złości, jedynie pełne znużenia ponaglenie.

Rzuciwszy jeszcze jedno zaciekawione spojrzenie w kierunku Gideona, Lester zniknął, cicho zamykając za sobą drzwi.

Przez kilka bolesnych, ciągnących się w nieskończoność sekund Gideon siedział bez ruchu, nakazując sobie nie myśleć, nie odczuwać.

Na próżno. Po latach dobrowolnej hibernacji uczuciowej coś w nim nieodwołalnie się rozbudziło, gdy

dotykał Constance, kiedy ją całował. A otrzeźwienie nie należało do przyjemnych.

Czyżby był tak przewidywalny? Czy skazany był na to, żeby przez tę kobietę drugi raz popełnić ten sam błąd? Minał szmat czasu i powinien umieć patrzeć na Constance z całkowitą obojętnością.

Nie powinien pragnąć dotykać kogokolwiek, kto choć odlegle przypominałby mu żonę. Z całą pewnością nie powinien pragnąć pieścić tej kobiety.

Patrzeć, jak w jej oczach pojawia się świadomość jego pożądania.

Cholerny świat! Dlaczego nie może pogodzić się z tym, że ta kobieta to nie Maura? Że to nieznajoma. Nie mieli wspólnej przeszłości, a już na pewno nie czekała ich wspólna przyszłość. Powinien wyrzucić ją na ulicę i umyć od całej sprawy ręce. Zerwał się jak oparzony i wybiegł na korytarz, krzycząc, by podstawiono mu konia - posiadanie własnego wierzchowca było kosztowne i stanowiło ewidentny kaprys, jednak wyżej sobie cenił jazdę konną od jazdy powozem.

Kiedy wypadł tylnymi drzwiami, koń już czekał, podprowadzony przez jednego z gońców.

Jednym susem znalazł się w siodle i spiął zwierzę do galopu, sprawiając, że zarówno przechodnie, jak i jego ludzie rozpierzchli się na wszystkie strony. Zręcznie manewrował przez zatłoczoną na długim odcinku miejską arterię, szukając ujścia dla kłębiących się w nim emocji. Gdy jednak z gęsto zabudowanych terenów miejskich wjechał w obskurną dzielnicę biedoty, przekonał się, że szaleńcza galopada przerodziła się w podróż sentymentalną.

I on, i koń byli porządnie zmęczeni, gdy zatrzymał się przed Sierocińcem i Przytułkiem św. Michała. To

właśnie z tym zakładem dla sierot wiązały się jego najwcześniejsze wspomnienia. Choć w dzieciństwie wędrował od jednej charytatywnej instytucji do drugiej, tutaj właśnie poznał Luthera Hayesa. On i jego płowowłosego przyjaciel od serca przez lata byli nierozłączni. Dzielili się sekretami, przygodami i niedolą dorastania bez rodziców. W końcu zakochali się w tej samej kobiecie i to zniszczyło ich przyjaźń.

Gideon zawrócił z westchnieniem, spiął konia i pomknął w kierunku rezydencji. Czuł, jak w końcu cichną w nim emocje - furia, niedowierzanie, ciekawość.

Kilka dni pracy i wyleczy się z tej kobiety, a wtedy odeśle Constance Pedigrue precz, postanowił. A kiedy ona odjedzie, on uwolni się w końcu od przeszłości.

Tylko kilka dni.

Jednak nagle uzmysłowił sobie, że marzy mu się o wiele więcej, niż tylko kilka całusów skradzionych zagadkowej nieznajomej.

Constance dźrzyła Pana Bentleya pewnie w ramionach, wysiadając z powozu na ceglany podjazd prowadzący do siedziby, która miała stać się jej domem na najbliższych kilka...

Tygodni? Miesiące?

Mimo tego, że popołudnie było gorące, zadrzała, kierując wzrok w górę, w górę i w górę masywnej neoklasycystycznej fasady. Poszłaby o zakład, że rezydencja Gideona Payne'a rozciągała się na dobre ćwierć przecznicy i wznosiła przynajmniej na cztery kondygnacje. Bogate freski zdobiły szeroki gzyms, a ażurowy, geometryczny dekor obrzeżał okna i krawędź dachu. Pierwsze piętro spoczywało na marmurowych kolumnach o głowicach zdobionych złożonymi korynckimi reliefami.

- Boże miłosierny - szepnęła. - To tutaj mieszka pan Payne?

- Faktycznie na pierwszy rzut oka trochę to przytłaczające, nieprawdaż? - odpowiedziała pani Potts, wysiadając pośpiesznie. Kobicina była tak miła, że wytargała z powozu kosz, o którym Constance zupełnie zapomniała. Zatrzymała się na chwilę, żeby przyjrzeć się imponującej budowli.

- Był taki czas, kiedy ten dom był przedmiotem zazdrości całej okolicy, proszę mi wierzyć. - Na jej twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia, a w oczach blask. - Przyjęcia, które tu wydawali, były oszałamiające. Ze wszystkich okien biło światło świec - no i kwiaty! W całym domu nieustannie pachniało różami. Słysząc było śmiech i muzykę, goście napływali nieprzerwanym strumieniem. Pan Payne robił wszystko, żeby dom był ciepły i przytulny. Chciał, by to miejsce zawsze było oazą bezpieczeństwa i radości w niespokojnym świecie.

Pani Potts przygryzła wargę, przeżegnała się bezwiednie i zamrugała oczami, w których nagle wezbrały łzy.

Constance odwróciła twarz, żeby dać kobiecie chwilę na opanowanie emocji. Wnosząc z reakcji Potts, we wspólniejszej siedzibie nie zawsze gościło szczęście.

Przypomniało się jej, że Gideon wspomniał o *zmarłej* żonie, i uświadomiła sobie, że mieszkańcy tego domu przeżyli tragedię - śmierć pani, którą Potts wciąż jeszcze opłakiwała.

- Ach, już... - odezwała się Potts, wyjmując z kieszeni chustkę. Wytarła oczy i spojrzała na budynek ze smutkiem. - Pan miał takie wielkie plany co do tego miejsca. Żał duszę ściska, że jego marzenia się nie ziściły.

- A co takiego się stało?

Pani Potts cmoknęła z przejęciem.

- To panna Maura wносиła do tego domu życie.

- Panna Maura? - Do serca Constance zakradł się niepokój.

- Pan Payne sprowadził ją tu zaraz po ślubie. - Potts zmierzyła ją wzrokiem.

- Maura - powtórzyła Constance jak echo. To słowo jednak z trudnością przeszło jej przez gardło. A więc to tak miała na imię ta czcigodna kobieta.

Pani Potts przygryzała nerwowo wargę, jakby bała się, że powiedziała za dużo. Następnie nachyliła się ku Constance i złapała ją za rękę.

- Pani Maura była aktorką, wie pani.

Constance nie miała o tym pojęcia. Do niedawna nie wiedziała nawet o istnieniu tej kobiety, ale skinęła głową, jakby wszystko było dla niej jasne.

- Uwielbiała poznawać ciekawych ludzi i obracała się w kręgach śmietanki towarzyskiej. Nawet arystokraci, którzy nie szanowali jej zajęcia, garnęli się do niej.

- Rozumiem.

- To ona pomogła zaprojektować dom. Za wzór obrała sobie jedną z budowli, które odwiedziła podczas jakiegoś tournée. - Pani Potts wskazała ręką ostatnie piętro. - Zadbala o to, żeby tam na górze mogło pomieścić się dziesięcioro służących. Poniżej jest sala balowa, która obejmuje całe drugie piętro. Na pierwszym są pokoje mieszkalne, a na parterze znajdzie pani dwie biblioteki, gabinet, oranżerię i kuchnię.

- Istny pałac - wykrztusiła Constance, oszołomiona.

- Mało mu brakuje do pałacu - odpowiedziała Potts trzeźwo. - Jestem przekonana, że o to pani Maurice chodziło.

Constance przyjrzała się kobiecie uważniej, słysząc powściągliwość w jej głosie.

- Pani nie była o niej dobrego zdania?

- Ani dobrego, ani złego - odparła chłodno Potts, westchnawszy głośno. - Nie mnie ją oceniać.

- Ale wyrobiła sobie pani pewne zdanie - zachęcała Constance. Wścibstwo nie leżało w jej naturze, była jednak tak zaintrygowana nieżyjącą żoną Gideona Payne'a, że nie przeszkadzało jej nawet to, że stoi na podjeździe, plotkując w najlepsze ze służącą.

Pani Potts rozejrzała się ukradkiem, jakby obawiała się, że ktoś przyłapie ją na niedyskrecji. Następnie nachyliła się jeszcze bliżej i szepnęła:

- Na koniec jej nie lubiłam - wyznała niejasno. - Nigdy jej nie wybaczyłam tego, co panu Payne'owi zrobiła.

- A co zrobiła?

Pani Potts cmoknęła z ubolewaniem.

- To było straszne, po prostu straszne. Jak ten biedaczyna to wszystko zniósł, naprawdę nie wiem. - Zaciśnięła palce na dłoni Constance tak mocno, że sprawiła jej ból. - A to dopiero dwa lata, uważasz sobie, jak...

- Pani Potts, czy nie mówiła pani, że trzeba by odebrać kufer z dworca?

Pani Potts podskoczyła i obejrzała się, spłoszona.

Woźnica wpatrywał się w nią z wyraźną dezaprobatą i nastrój do zwierzeń przysł w jednej chwili. Constance wiedziała już, że do końca dnia na poznanie jakichkolwiek tajemnic nie ma co liczyć.

- Masz kwit bagażowy, serdeńko? - spytała Potts, sztywniejąc, a w jej tonie zabrzmiała oficjalna nuta, której wcześniej nie było.

- Tak, naturalnie.

Constance zonglowała w ramionach kotem, który

wiercił się i drapał, próbując się uwolnić. Syknęła, gdy poczuła jego ostre pazurki. Zanurzyła rękę w torebce i wydobyła z niej kwity, mówiąc:

- Dwa kufry zostały skradzione na dworcu. Obawiam się, że został tylko jeden.

- Biedulka - uzaliła się nad nią Potts.

Wyjęła kolorowe karteluszkę z dłoni Constance i wyciągnęła je w stronę woźnicy.

- Skoro już tu jesteś, Dawson, bądź tak miły i dowiedz się, co z tymi zagubionymi bagażami, dobrze? Może policja zdołała namierzyć tych łotrów.

- Tak, psze pani.

- Zaraz po powrocie powiedz Simpingsowi, żeby pomógł ci wnieść bagaż na górę.

- Się zrobi.

Powóz odjechał z turkotem.

Constance miała jeszcze nadzieję, że oddalenie się woźnicy zachęci panią Potts do dalszych wyznań, ale spotkało ją rozczarowanie.

Pani Potts dała znak, by iść za nią, i pomaszerowała ku płytkim schodom prowadzącym do solidnie naoliwionych dwuskrzydłowych mahoniowych drzwi, pozostawiając Constance z dziesiątkami pytań bez odpowiedzi.

Co stało się z żoną Gideona? Jak zraziła do siebie panią Potts? Dlaczego pamięć o niej wydaje się okryta tajemnicą?

I co takiego uczyniła, że Gideon Payne stał się taki szorstki?

Nie pozostawiono jej wiele czasu na gubienie się w domysłach. Dosłownie na kilka chwil przed tym, jak zatrzymały się przed wejściem, skrzydła rozwarły się szeroko, a między nimi ukazał się najstraszliwszy człowiek, jakiego Constance kiedykolwiek widziała. Miał z siedem

stóp wzrostu, jeśli nie więcej, postać wychudłą, choć potężną, a jego twarz zdawała się być wykuta z granitu.

Cofnął się, przepuszczając je do wnętrza westybulu tak zacienionego i mrocznego, że Constance z trudem dopatrzyła się zarysu schodów prowadzących na piętro.

- Birch, to nowa asystentka pana Payne'a, panna Pedigrue.

Lokaj nie okazał, czy te wieści cieszą go, czy wręcz przeciwnie, ale Constance i tak powitała go uprzejmym: „Bardzo mi miło”. Wytężając wzrok, usiłowała mu się przyjrzeć, ale niewiele widziała poza jego majaczącą w ciemnościach wybujającą sylwetką.

- Daruj sobie te grzeczności, kochana - poradziła pani Potts. - Jest głuchy jak pień.

Rzuciła tę uwagę mimochodem. W tej samej chwili gdzieś z tyłów domu do westybulu wpadła kolejna służąca. Sądząc po oprószonym mąką fartuchu, była to kucharka.

- Merriweather, mamy nowego domownika.

Merriweather wytarła ręce o fartuch, a powitalny uśmiech szybko znikł z jej twarzy, ustępując miejsca dezaprobacie.

- *O!*

- Nie *takiego*, jak myślisz, Merriweather - zaśmiała się pani Potts.

Brwi Merriweather uniosły się.

- Panna Pedigrue będzie pracować jako asystentka pana Payne'a.

- Jako co? - Zezowała na Constance, usiłując przebić wzrokiem ciemności.

- Słyszałaś. Dziewczyna ma być jego asystentką.

- Przecież on *nigdy* nie miał asystentów. - Oczy Merriweather zwięziły się jeszcze bardziej, jakby podej-



rzewała, iż Constance szantażem wymogła tę posadę.

- Obawiam się, że w teatrze doszło do pewnego wypadku, który zapewnił jej tę pracę - odparła Potts półgębkiem.

Kiedy stało się jasne, że Merriweather ani drgnie, zanim ktoś jej wszystkiego nie wyjaśni, Potts kontynuowała z westchnieniem:

- Chcieli powiesić lustro...

- Które lustro?

- To duże.

- Ale chyba nie to z Belgii? - rzuciła Merriweather bez tchu.

- Właśnie to, Merriweather, z tym że nie z Belgii, a z Francji.

- Myślałam, że z Belgii.

- Nie. - Potts skrzywiła się. - Z Francji. W każdym razie, nie ważne skąd, bo jest kompletnie rozbite.

Constance przestąpiła z nogi na nogę zmieszana. Nawet Pan Bentley miał dość przyzwoitości, by przybrać jakby zawstydzoną minę.

Merriweather przycisnęła róg fartucha do piersi, jakby bała się, że serce jej pęknie.

- Nie - wyszeptwała z prawdziwą rozpaczą, ale było za ciemno, by Constance mogła zobaczyć, jaką ma minę. - Dopiero co je widziałam. Cały ten alabaster, filigran i rżnięte w szkło wzorki.

- Otóż to.

- Stłuczone?

- Na tysiące kawałków. Nie do naprawienia.

Constance była tak zażenowana, że nie wiedziała, gdzie podziać oczy. Ileż to razy jeszcze będzie wywlekana sprawa tego przeklętego lustra?

- Chociaż, powinienam chyba dodać dla jasności, że

panna Pedigrue nie jest osobiście odpowiedzialna za tę tragedię.

- O?

- Jej kot wyskoczył z koszyka i wdał się w bójkę w Willobym.

Merriweather zachwiała się, jakby powiadomiono ją o jakimś straszliwym nieszczęściu.

- Jakież to okropne. - Następnie zwróciła się do Constance: - A jak się czuje kot?

Constance była tak zbita z tropu nagłą zmianą tematu, że wyjąkała z trudem:

- Cóż, m... ma się dobrze. - Uniosła Pana Bentleya wyżej w charakterze żywego dowodu.

Merriweather nachyliła się nad zwierzęciem, szukając widocznych obrażeń.

- Ma pani sporo szczęścia, wie pani? Dla Willoby'ego zjeść kota to pestka. Raz kłapnie zębiskami i nie ma czego zbierać. Dosłownie. Wiem, bo sama widziałam. Radzę nie spuszczać tego zwierzaka z oka.

- Tak, proszę pani.

- Brudna jak nieboskie stworzenie - poskarżyła się towarzyszce Merriweather, raz jeszcze zmieniając z nagłą temat.

Potts zmarszczyła gniewnie brwi na ten nietaktowny komentarz. Constance poniewczasie przypomniała sobie, że jej ubranie rzeczywiście uwalane było błotem, wymięte, w nieładzie i nosiło widoczne ślady podróży.

- Dopiero co przyjechała do Nowego Jorku - odpowiedziała Potts sucho. - Jest z Bostonu. Wygląda, jak wygląda, dlatego, że zemdląła z wycieńczenia i musiała zostać w teatrze, aż poczuła się lepiej. Nie miała okazji... ogarnąć się, bo ktoś ukradł na dworcu dwa z trzech jej kufrów.

- Ach tak.

Constance zachwiała się lekko, zdumiona ilością informacji, jakie pani Potts zdążyła już zebrać na jej temat.

Jednak pomimo tego wyjaśnienia pani Merriweather najwyraźniej wciąż sądziła, że nowo przybyła sama jest sobie winna. Kucharka podała jej rękę, a kiedy Constance przywitała się z nią, szybko cofnęła dłoń.

- Gdzie mamy ją ulokować?

Pani Potts przygryzła wargę, po czym odpowiedziała jednym tchem:

- On chce, żeby wprowadziła się do Złotego Pokoju, jak tylko go uprzątniemy.

Brwi Merriweather niemal zniknęły pod falbanką czepca.

- Chyba nie mówisz serio - wyszeptwała gorączkowo. - Nikt nie wchodził do Złotego Pokoju od... od... sama wiesz.

Constance natychmiast pomyślała, że Złoty Pokój ma w sobie coś takiego, przed czym powinna mieć się na baczności. Coś złowieszczego, jeśli wierzyć minom obu starszych kobiet.

Pani Potts bezradnie rozłożyła ręce.

- Wyraził się zupełnie jasno, Merriweather. Pan wydał dyspozycje, a nam nie wolno sprzeciwiać się jego życzeniom.

W słowie „pan” pobrzmiwało dużo ciepła, nie było jednak wątpliwości, że obie służące były gotowe na wszystko, byle tylko polecenia Gideona Payne'a zostały wykonane.

Merriweather chrząknęła znacząco i wskazała na ledwie widoczny, długi, wyłożony marmurem korytarz prowadzący na tyły domu.

- Cóż, trochę to potrwa, zanim Złoty Pokój będzie

się nadawał do użytku. Póki co, skorzystamy z jednego z pokoi gościnnych. - Kucharka kiwnęła na Constance palcem. - No chodź, skarbeczku. Odzipientz sobie w kuchni i coś przekąsisz. Wyglądasz, jakbyś od dawna nie jadła porządnego posiłku.

Kolejny raz ktoś przypominał jej, że dotychczas nie żyła w luksusie. W normalnej sytuacji puściłaby tę uwagę mimo uszu, ale teraz miała świadomość, że w swojej źle skrojonej, prostej sukience musiała robić wrażenie obdartusa. Widziała nowojorskie elegantki i wiedziała, że jej nikt nie mógłby wziąć za damę.

Dama, dobre sobie. Córka zmarłego pastora.

Ale chciała być kimś więcej.

*Zawsze* chciała być kimś więcej.

- Merriweather, pan Payne powiedział też, że życzy sobie, aby nasz gość wziął kąpiel.

Twarz Constance stanęła w ogniu na to bezpośrednie stwierdzenie. Trudno powiedzieć dlaczego, ale w ustach Potts zabrzmiało to tak, jakby Constance od dłuższego czasu zaniedbywała ablucje.

- Co ty na to, skarbeczku? Należę wody i będziesz mogła porządnie się wymoczyć.

Constance była zadowolona, że w końcu pozostały jej jakiś wybór, ale zanim zdążyła się odezwać, Merriweather wyręczyła ją natychmiast:

- Ależ naturalnie, że chce się wykąpać. To zupełnie jasne. Przecież dopiero co przyjechała do Nowego Jorku. - Następnie zwróciła się bezpośrednio do gościa: - Pokojowe są zajęte sprząaniem, ale chyba zgodzisz się, panienko, żebyśmy pomogły ci z panią Potts?

Constance znowu poczuła się niechlujna i nie na miejscu, ale nie dane jej było odezwać się słowem, prowadzono ją już bowiem do długiego, wąskiego po-

mieszczania, skąpanego w słońcu. W zestawieniu z ponurym marmurowym korytarzem, w którym z nisz straszyły zadumane podobizny i stare rzeźby, jego wesoły wystrój był dla Constance nie lada wstrząsem.

2 ledwie słyszalnym „och” zwolniła kroku, aby przyrzeć się wykonanym z twardego drewna stołom i szafkom oraz najnowszym kuchennym udogodnieniom. Tym jednak, co natychmiast zwróciło i przykuło jej uwagę, były zajmujące całą ścianę okna, wychodzące na ogród w stylu francuskim, a w nim najróżniejsze kwiaty w pełnym rozkwicie.

Constance uwielbiała kwiaty. Ojciec uważał je za zbędny luksus i nie widział sensu ich pielęgnowania, ale ona zawsze zachwycała się barwami, kształtami i zapachami, jakie można znaleźć w przyrodzie. Swoich roślin na parapecie w sypialni doglądała z równą pieczołowitością, z jaką główny ogrodnik troszczy się o ogrody Wersalu.

- Jakie śliczne!

Pan Bentley wiercił się w jej ramionach, a kiedy Constance pozwoliła mu zeskoczyć na ziemię, natychmiast podkraść się do stojącego koło kominka kosza ze szczeniętami. Uporawszy się z oporną wstążką, Constance zdjęła czepek i zrobiła krok do przodu, prosto w słońce.

- Jest na co patrzeć - przytaknęła Merriweather i poszła do pompy, wystającej z jednej ze ścian. - Pan nalegał, żeby...

Kiedy Merriweather urwała w pół zdania, Constance zmusiła się, żeby oderwać wzrok od tych cudów i spojrzeć na kucharkę. Doznała wstrząsu, widząc, że Merriweather wpatruje się w nią ze zgrozą.

- O rety! - rzuciła bez tchu. - Pani wróciła.

## 7

- Kto wrócił? - wyszeptwała Constance. Następnie ze złością tupiąc nogą, wybuchła: - Na litość boską! Co ja takiego w sobie mam, że wszyscy na mój widok dębieją?

Od kiedy poznała Gideona Payne'a, co chwila posyłano w jej kierunku ukradkowe spojrzenia czy wręcz otwarcie lustrowano ją. Stawało się to zdecydowanie niepokojące - i przede wszystkim - irytujące.

Jakby dla podkreślenia słuszności ostatniej uwagi, do kuchni wszedł Birch, stanął jak wryty i wlepił w nią osłupiały wzrok, a krew odpłynęła mu z twarzy.

Potts szturchnęła Merriweather w ramię, niemal niezauważalnie pokręciła głową, patrząc znacząco na kucharkę, potem na ponurego lokaja, po czym posłała Constance przesadnie serdeczny uśmiech.

- Nic a nic, panienko - zapewniła. Rzuciła Merriweather ostrzegawcze spojrzenie. - Chodzi tylko o to, że w słońcu pani włosy mają niespotykany złocisty odcień.

Constance powątpiewała, czy zaskoczenie Merriweather można tak prosto wyjaśnić, a zamierzała przypomnieć Potts o upuszczonej przez nią samą tacy, ale kobiecina już krzątała się wokół gościa.

- Proszę pozwolić ze mną, zaprowadzę panienkę do łazienki. Minutka i woda się zagrzeje, a kiedy będzie ciepła, da mi panienka swoje rzeczy do prania. Jak już się panienka ułoży w wannie, pokażę, gdzie jest jeden z moich szlafroków, chociaż panienka to w nim chyba

utonie. - Cmoknęła. - Ale przynajmniej nie przeziębisz się panienka, czekając na swój kufer. Może panienka usiąść przy ogniu i wysuszyć włosy, jeśli ma ochotę.

Chociaż Constance postanowiła w duchu, że nigdzie się nie ruszy, aż ktoś dokładnie nie wyjaśni, dlaczego jej osoba wywiera na wszystkich piorunujące wrażenie, pozwoliła jednak Potts pociągnąć się za sobą. Uznała, że nie pora na śledztwo i posłusznie skrzyła w lewo.

Ku swojemu wielkiemu zdumieniu, odkryła, że dom wyposażony jest w prawdziwą łazienkę. Marmurowa wanna w metalowej obudowie zajmowała jedną ścianę, kominiek drugą, a ogromna szafa trzecią. Na środku stały dwa krzesła - jedno, na którym leżał stos prześcieradeł kąpielowych i drugie przy komodzie z przyborami toaletowymi.

- Cudo - westchnęła Constance, wiodąc dłonią po freskach, którymi udekorowane były wszystkie ściany i sufit. Miała wrażenie, jakby weszła wprost do ogrodu.

- Jest na co popatrzeć, prawda? - zamruczała Potts. Jej głos przeszedł w konspiracyjny szept: - Proszę mi wierzyć, nie szczędzono wydatków na wystrój. Co to, to nie.

Constance nie trudno było uwierzyć w to zapewnienie po tym, co już widziała.

- Pan Payne musi być bardzo bogaty. - Kiedy tylko wymknął się jej ten komentarz, Constance przypomniała sobie, że czynienie uwag na temat cudzego majątku powszechnie uważane było za nieeleganckie. Potts jednak nie wydawała się urażona.

- To krezus - mruknęła tylko. - Słyszałam, jak mówili, że mógłby kupić cały stan, gdyby tylko zechciał.

- Musi pochodzić z wyjątkowo zamożnej rodziny.

- Ach, skądże znowu. Był znajdą.

- Sierotą?

Pani Potts kiwnęła głową, a w jej oczach zabłysła duma.

- Sam do wszystkiego doszedł. - Machnęła ręką w kierunku wanny. - Korzystała kiedyś panienka z takiej?

Constance nie była pewna, czy Potts ma na myśli samą wannę, czy raczej wannę z taką ilością dziwnych kurków. Potrząsnęła głową.

- Po drugiej stronie ściany, przy piecu, znajduje się duży zbiornik. Kiedy woda zacznie wrzeć, Merriweather wypełni ten zbiornik po brzegi. Jak będzie panienka chciała puścić gorącą wodę, proszę przekręcić tę dźwignię.

Constance potaknęła, zdumiona takim luksusem - gorąca woda dostępna za dotknięciem ręki.

- Dzięki tej tutaj leci chłodniejsza woda, która gromadzi się w beczce pod okapem. A deszczówka, jak wiadomo, to najlepszy sposób na piękne włosy.

- Tak, oczywiście.

Potts zapaliła parę szczapek i przytknęła je do podpałki, która leżała już w palenisku. Kiedy płomień chciwie ogarnęły chrust, położyła na wierzch większe bierwiono.

- Wiem, że na dworze jest piekielnie gorąco, ale w łazience potrafi się zrobić zimno jak w chłodni. Grube ściany trzymają chłód, a cały ten marmur robi się lodowaty, jeśli nie rozpali się ognia.

Podeszła do szafy i szeroko otworzyła drzwiczki, ukazując jej zawartość. Lewa strona zarezerwowana była dla rozmaitych szlafroków - zapewne między nimi wisiał ten, który przyobiegała Constance. Z prawej strony widniały półki i małe, wykończone mosiądzem szuflady.

- Jeśli poszpera panienka w tej części, znajdzie ręczniki, mydło i najróżniejsze sole kąpielowe, jak również grzebienie i szczotkę, które trzymamy z myślą o... *znajomych*.



Sposób w jaki wypowiedziała to słowo, nasunął Constance silne przypuszczenie, że pani Potts nie do końca dała się przekonać, że gość nie przybył z myślą o amorach. Chciała zaprotestować, ale zdała sobie sprawę, że nie ma nic na swoją obronę. *Pozwoliła*, żeby Gideon ją pocałował, *pozwoliła* mu wziąć się w ramiona, i wiara, że coś podobnego już się nie powtórzy, graniczyła z całkowitą naiwnością. Samej Constance przemknęło parę razy przez myśl, że Gideon może ponawiać swoje zuchwałe zaloty, nie mogła więc winić pani Potts za identyczny wniosek. Tym bardziej, że ich chlebobdawca był tak porywczy i tak przystojny. Te jego ciemne włosy, błysk w oku, silne ramiona i twarde jak kamień uda musiały czynić z niego obiekt westchnień niejednej panny w okolicy.

Ale nie kusiło jej, żeby samej uganiać się za nim.

Nie. Wcale, a wcale.

No, może nie bardzo.

Przynajmniej nie tak bardzo, żeby ryzykować utratę posady.

Mimo to trudno było o tym mężczyźnie nie myśleć, zwłaszcza teraz, kiedy chcąc nie chcąc, weszła w jego dom i w jego życie. Nie będzie przyglądać się jego zajęciom jako osoba postronna. Nie, oczekiwał od niej, że będzie spełniała jego życzenia z całym oddaniem i przywiązaniem...

*Żony.*

Nie. Nie żony. Asystentki. Uzdolnionej i pochłoniętej wyłącznie obowiązkami służbowymi sekretarki. Cóż z tego, że on w rozpiętej koszuli chodzi tym samym korytarzem, żeby skorzystać z tej samej co ona wanny, albo może nawet rozbiera się po drodze...

Dość!

Przyciskając chłodne palce do policzków, Constance zawstydziała się swoich frywolnych myśli. Niech to licha! Ileż to razy można pozwalać sobie na takie nieprzyzwoitości? Ile razy w ciągu jednego dnia można się rumienić? Jako że Constance w dużej mierze pomagała przy wychowywaniu młodszych siostr, miała się za osobę, która ze wszystkim sobie poradzi. Po jej przybyciu do Nowego Jorku, to mniemanie legło w gruzach. Okazała się aż nadto nieobeznana z życiem, by poradzić sobie z natłokiem dziwnych zdarzeń, w które się ciągle wplątywała.

- Dobrze się panienka czuje? - spytała Potts.

- Tak! - odparła Constance o wiele za szybko. Spokojniej już dodała: - Po prostu marzy mi się długa kąpiel, a potem czyste ubranie.

- Skoro tak - mruknęła Potts z powątpiewaniem. - Ale ma panienka lekkie wypieki.

- Nic mi nie jest. Po prostu jestem troszkę zmęczona, i tyle.

- Może po kąpieli starczy czasu na krótką drzemkę.

- To byłoby miłe.

- Dobrze więc. Proszę wołać, gdyby coś było potrzebne. A teraz wyjdę, żeby mogła się panienka spokojnie wykapać.

Pomknęła ku drzwiom i miała już zamknąć je za sobą.

- Pani Potts! - zawołała Constance. - Dlaczego wszyscy tak dziwnie reagują, kiedy jestem im przedstawiana?

- Dziwnie? - powtórzyła Potts słabym głosem, ale było oczywiste, sądząc po jej zakłopotanym wzroku, że świetnie wiedziała, co Constance ma na myśli.

- Owszem. Ludzie pana Payne'a gapili się na mnie, pani upuściła tacę, Merriweather...

- Merriweather bynajmniej nie zachowała się nie-  
stosownie.

- Jakże tak można, pani Potts. - Constance zmarszczyła czoło i rzuciła kobiecie swoje najsurowsze spojrzenie. - Obie wiemy, że to nieprawda.

- Proszę, panienko. - Usta pani Potts drgały, jakby miała się rozpłakać. - Nie wypada, żebym to ja paniencie powiedziała.

- Powiedziała mi *co*!

Kobieta milczała z uporem. Constance złapała ją za nadgarstek.

- Proszę! Musi mi pani pomóc zrozumieć.

Pani Potts z uporem potrząsała głową, ale Constance nie puszczała jej ręki.

- Proszę zrozumieć moją sytuację. Jestem tu obca. Nie znam nikogo. Musi pani dostrzegać mój niepokój, a jako kobieta nie będzie pani chyba tak okrutna, żeby swoim milczeniem skazywać mnie na cierpienie.

Constance zaczynała się obawiać, że jej argumenty wydadzą się kobiecie dość naciągane, ale pani Potts nie wydawała się wzdragać przed odrobiną melodramatyzmu.

Wzięła ręce Constance w swoje i zacisnęła usta, jakby starannie dobierając w myślach właściwe słowa, po czym rzuciła jednym tchem:

- Mam nadzieję, żeśmy panienki nie urazili ani nie przysporzyli jej zmartwień. Proszę nie traktować naszych reakcji jako jakiegokolwiek ujmy dla siebie. Podobieństwo nie jest znowu tak oczywiste. Jestem przekonana, że tylko domownicy i bliscy znajomi zauważyli, jak dalece ją panienka przypomina.

- Kogo, pani Potts?

- Panią Maurę. Maurę Kelly Payne, żonę pana Payne'a.

Przez kilka sekund Constance stała jak wryta w ziemię i całkowicie odrętwiała.

Ona, podobna do zmarłej żony pana Payne'a? Do kobiety, do której należał ten dom, i która napełniła go kwiatami? Kobiety, która organizowała wspaniałe przyjęcia? Która zrobiła swoimi scenicznymi występami furorę i podbiła serca tłumu wielbicieli?

Pani Potts skorzystała z tej okazji, żeby wymknąć się z łazienki, i starannie zamknęła za sobą drzwi. Constance ledwie zauważyła jej wyjście. Wpatrując się w lustro nad kominkiem, zmarszczyła brwi i dotykała policzków, czoła.

Czy to dlatego Gideon Payne zapędził się za nią wtedy do parku? I stąd ten pocałunek? Dlatego tak nalegał, by pracowała u niego? Czy lustro było pretekstem, by realizować inne ukryte cele?

Pokręciła głową. Teraz to *naprawdę* popada w egzaltację. Czemuż to Gideon Payne miałby życzyć sobie od Constance Pedigrue czegokolwiek innego niż odzyskania pieniędzy? To, że być może była trochę podobna do jego zmarłej żony było kwestią drugorzędną.

„Trochę podobna?” - pojawiła się ironiczna myśl. Reakcje na jej widok świadczyły, że musiały wyglądać jak dwie krople wody.

Z westchnieniem zajęła się haftkami przy żakiecie. Drżała na całym ciele, czując nie tylko fizyczne znużenie. Kiedy wcześniej wyobrażała sobie swoje przybycie do Nowego Jorku, nie przypuszczała, że wszystko może tak bardzo się skomplikować. W jej wyobrażeniach cały plan podróży wydawał się bajecznie prosty.

Po pierwsze odbierze swoje rzeczy na dworcu.

Ale ktoś ukradł dwa kufry.

Po drugie znajdzie sobie lokum i zostawi w pokoju bagaż.

Recepcjonista był bezczelny i musiała zabrać ze sobą Pana Bentleya.

Po trzecie przedstawi się pracodawcy.

Teatr się spalił i została bez środków do życia. Na domiar złego, weszła do niewłaściwego teatru, pozwoliła Panu Bentley'owi wymknąć się i...

Pan Bentley. Kurczę blade, zupełnie o nim zapomniała.

Otworzyła drzwi i miała wybiec na korytarz, żeby złapać swojego zdradzającego wybitne upodobanie do przygód podopiecznego. Zaledwie jednak wytknęła głowę na zewnątrz, usłyszała gorączkowe szepty.

- ...wypisz, wymaluj jak ona, mówię ci! To nie jest zwykłe podobieństwo. Kiedy stanęła w świetle, widziałam ją jak na dłoni. W innym ubraniu, z bardziej elegancką fryzurą, wyglądałaby jak jej bliźniaczka! - emocjonowała się Merriweather.

- Mnie to mówisz! Jak ją pierwszy raz zobaczyłam, pomyślałam sobie, że zmartwychwstała, słowo daję.

- ...jakim cudem...

- ...zmysły chyba postradał...

- Merriweather!

Constance podskoczyła, gdy dom zatrzęsł się od silnego męskiego głosu. Gideon Payne! Wrócił.

Spiskujące kobiety musiały być równie zaskoczone, usłyszała bowiem, jak pędzą na złamanie karku w kierunku westybulu.

Zatrzasnąwszy drzwi do łazienki, Constance przywarła do nich plecami, oddychając z trudem.

Ona, bliźniaczką Maury Payne? W brzuchu się jej zakotłowało i miała przedziwną ochotę zetrzeć z ust wspomnienie pocałunku.

Głupotą z jej strony było sądzić, że mężczyzna taki jak Gideon Payne chciałby całować ją bez cholernie dobrego powodu. Ona wcale go nie pociągała. Nie, interesowało go jedynie to, że niespodziewanie w jego teatrze pojawiła się kobieta, która wygląda jak kopia jego ukochanej zmarłej żony.

Dlaczego zgodziła się tu zamieszkać? Dlaczego nie posłuchała instynktu i nie uciekła przy pierwszej nadarzającej się sposobności?

Energicznie zaczęła na powrót zapinać żakiet. Musi wydostać się z tego domu. Nie wiedziała, jak tego dokonać, ani nawet do końca, dlaczego musi z niego wyjść, ale każdy nerw w jej ciele zdawał się krzyczyć, że nie może tu zostać ani chwili dłużej. Zbyt wiele tajemnic przed nią ukryto, przeczuwała to całą sobą. Jeśli zostanie, wciągną ją po szyję w jakiś mroczny dramat, który wiązał się z tym domem i z Gideonem Paynem, a to było coś, do czego nie mogła dopuścić i nie dopuści.

Przyciskając ucho do drzwi, Constance nasłuchiwała z uwagą, a kiedy upewniła się, że po drugiej stronie panuje cisza, odważyła się wyrzeć na zewnątrz.

Kuchnia była pusta.

Skradając się na czubkach palców najciszej jak potrafiła, podeszła do stołu. Złapała swój czepek i pośpiesznie nasadziła go na głowę. Chwyciwszy wiklinowy kosz, podeszła ostrożnie do Pana Bentleya, który siedział na krześle i z fascynacją zezował między szczebelkami oparcia na zbite w jedną futrzaną śpiącą kulkę szczyenięta.

- Chodź, Panie Bentley.

Obejrzał się z niesmakiem, łypnął na nią podejrzliwie, po czym posłał nienawistne spojrzenie w kierunku wiklinowego kosza, w którym Constance przy-

wiozła go do Nowego Jorku. W gardle narastał mu przeciągły syk.

Wyglądało na to, że kot będzie chciał postawić na swoim i spróbuje ucieczki, więc odstawiła kosz i zaczęła ostrożnie zbliżać się do nieposłusznego pupila.

- No, chodź, skarbie. Chodź do mamy.

Kot wydał groźny pomruk. Stulił uszy.

- No, już, Panie Bentley. Chodź tu do mnie. Bądź grzeczny, to dostaniesz rybkę na kolację.

Kot przekrzywił łebek, jakby propozycję zrozumiał i teraz zastanawiał się nad nią, ale ani drgnął. Oczy mu się zwęziły, a ogon rozedrgał z oburzenia wobec tak niestosownego przerywania mu jego ważnych zajęć.

Wiedziała, że jeszcze chwila i znajdzie się dość blisko, by go złapać, tymczasem więc przemawiała jak do dziecka, modląc się, żeby Pan Bentley nie ruszał się jeszcze... jedną... sekundę... dłużej!

Constance wystrzeliła do przodu, by zgarnąć go na rękę.

Kot miauknął przeraźliwie i zeskoczył z krzesła. W biegu musnął jej spódnicę i już był na korytarzu, zgrzytając pazurkami o wypolerowaną drewnianą posadzkę. Constance wciąż jeszcze przeklinała go w duchu i rozważała możliwość zostawienia go na łasce losu, gdy rozległy się, jedno po drugim, krzyk, grzechotanie i ogłuszający brzęk, który mógł oznaczać jedynie stłuczenie się ogromnej ilości szkła.

- Nie, błagam, nie - wyszeptała, pełna najgorszych przeczuc.

W żołądku się jej przewracało, więc niechętnie, ale ruszyła w kierunku, z którego dobiegły te dźwięki. Nie uszła daleko, gdy usłyszała basowe, grzmiące wołanie:

- Pan-no Ped-i-grue!

Nie mogła jakoś zmusić stóp, by ruszały się szybko. Kiedy doczłapała do westybulu, zobaczyła Potts i Merriweather skulone w kącie, Bircha potrząsającego wyrwanym łańcuchem, na którym wcześniej wisiał żyrandol, walające się wszędzie odłamki austriackiego kryształu, którymi usiana była podłoga, i wiedziała już, co się stało. Birch prawdopodobnie opuszczał właśnie kryształowy żyrandol, żeby zapalić świece, kiedy przestraszył go Pan Bentley.

Zrozpaczona, zamknęła oczy. Znowu. Jak dwie takie katastrofy mogły przydarzyć się w ciągu dwóch kolejnych dni?

- Zdaje się, że to pani własność.

Z trudem otworzyła oczy i najpierw wbiła wzrok w zniszczone długie buty muskające niemal jej sukienkę, następnie jej spojrzenie powędrowało po umięśnionych nogach, wąskich biodrach, płaskim brzuchu, a w końcu po torsie, do którego mocno przyciśnięty wiercił się Pan Bentley.

- Panno Pedigrue - zaczął Gideon Payne, złowieszczo przeciągając sylaby.

- Tak, proszę pana? - Dużo wysiłku ją kosztowało, żeby wykrztusić te słowa.

- Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby zechciała pani zapanować w jakiś sposób nad swoim kotem.

Splotła dłonie, powstrzymując się przed zakryciem nimi twarzy. Gdyby podobne zdarzenie miało miejsce w domu ojca, z pewnością dostałaby lanie; zbiłby ją i pewnie zamknął w piwniczce, żeby odpokutowała za swoje grzechy. Nie mogłaby dziwić się temu człowiekowi, gdyby zechciał uczynić podobnie. Poczyniła w jego dobrach spustoszenia, których skala przerastała jej wyobrażenie.



Widząc, że Gideon najwyraźniej czeka na jakąś odpowiedź, szepnęła:

- Tak, proszę pana. Postaram się.

Cierpliwie czekała na jakieś fizyczne zadośćuczynienie, Gideon jednak ograniczył się do podania jej Pana Bentleya, którego trzymał w taki sposób, jakby miał w rękach coś obrzydliwego. Kiedy wzięła od niego kota, podparł się rękami pod boki i spojrzał na nią tak, że sama miała ochotę zacząć wiercić się jak jej pupil przed chwilą.

Omiótł ją spojrzeniem od czubka głowy po zakurzone noski butów i westchnął, jakby spotkała go wielka przykrość.

- Widzę, że jeszcze się pani nie wykapała.

- Nie, proszę pana. Ja... właśnie... miałam... się... - Ze zdenerwowania w gardle jej zaschło i musiała odchrząknąć.

Poniewczasie przypomniała sobie, że założyła czepek, sposobiąc się do ucieczki. Jeżeli tamte kobiety powiedziały mu, że była w wannie, od razu zorientuje się, że zamierzała czmychnąć.

- Nie chciała nas pani chyba opuścić, prawda, pan-  
no Pedigrue?

Czuła się zupełnie tak, jakby jej skóra zaczęła płońać. Zrobiło się jej tak gorąco, że nie byłaby zdziwiona, gdyby okazało się, że świeci w ciemnościach.

- Nie, proszę pana - nie tyle odpowiedziała, co odszepnęła.

- A wygląda pani, jakby wybierała się dokądś.

- Nie, proszę pana. Ja tylko chciałam... - Gorączkowo szukała w myślach jakiegokolwiek pretekstu, ale nic jej nie przyszło do głowy. - Ja tylko chciałam pójść po mojego kota.

- Aaa. I do tego był pani potrzebny czepek?

W pokoju zapadła niezręczna cisza. Potts i Merriweather uważnie przysłuchiwały się całej wymianie zdań. Constance chciała coś zrobić, ale nie potrafiła ruszyć się z miejsca. Gideon Payne wyraźnie nie uwierzył w jej wymówkę.

- Nie, proszę pana. Ja tylko...

Tylko co? Miała fanaberię wykapać się w wyjściowym czepku? Bała się, że Birch go zabierze?

- Miałam na myśli to, że...

Na próżno szukała logicznego zakończenia zdania.

- Tak? - spytał przeciągle, kiedy umilkła.

- Chciałam... żeby wszystkie moje rzeczy były w jednym miejscu, dopóki nie dostanę któregoś pokoju.

Ta informacja sprawiła, że jeszcze bardziej spochmurniał. Odwrócił się w stronę Potts i Merriweather, a kobiety złapały się za ręce jak małe dziewczynki, które przyprowadzono przed oblicze dyrektora szkoły.

- Odnoszę wrażenie, że mówiłem, żebyście posłały kogoś po kufry i umieściły jej rzeczy w jednym z pokoi gościnnych, zanim będzie gotowy Złoty Pokój.

- Tak, proszę pana - Merriweather odezwała się pierwsza. - Ale wszystkie sypialnie były zamknięte tak długo, że...

Kiedy umilkła niepewnie, do akcji wkroczyła pani Potts.

- Uznałyśmy, że najlepiej będzie, jak damy się panie Pedigruie spokojnie wykapać, a Betsy weźmie się za gruntowne sprzątanie.

- Mhm. - Było oczywiste, że nie udało się im go udo-bruchać, ale odprawił je skinieniem ręki, by zająć się Constance. - Może powinna pani wrócić do łazienki i umyć się do kolacji.

- Tak, proszę pana.

- Mam trochę pracy, z którą trzeba się będzie uporać podczas posiłku.

- Tak, proszę pana.

Przyciskając kota do piersi, powoli ruszyła w stronę kuchni.

- Och, jeszcze jedno, panno Pedigrue.

Nie odezwała się, nie odwróciła.

- Dopilnuję, żeby cena żyrandola została doliczona do sumy, którą jest już mi pani winna.

Constance zacisnęła powieki.

Lata miną, zanim swoją pracę zdoła spłacić dług, jaki miała u tego człowieka.

Lata.

Dopiero wtedy, kiedy hol zupełnie opustoszał, Gideon przestał kurczowo zaciskać szczęki, a mięśnie jego karku rozluźniły się.

Co on sobie do cholery wyobrażał? Niemalże szantazem przymusił tę kobietę do zamieszkania u niego i podjęcia u niego pracy, ale dlaczego? Dlatego, że była łudząco podobna do Maury? Czy dlatego, że była pierwszą od lat osobą, która rozbudziła w nim ochotę na miłość?

Przyglądając się kryształowym szczątkom u swoich stóp, Gideon potrząsnął głową. Oszalał i tyle. W przeszłości zawsze szczylił się swoim uczciwym traktowaniem kobiet. Nigdy nie zranił celowo przedstawicielki płci pięknej, a już z pewnością nie zmuszał żadnej do zamieszkania w jego domu.

Chociaż faktycznie była mu coś winna za to lustro.

Za wypadek w teatrze w równej mierze odpowiadał jego własny pies, co kot tej dziewczyny.

A żyrandol?

I tym razem szkody nie wynikały ze złej woli.

Dlaczego więc uparł się, by pracowała jako jego asystentka? Czy naprawdę wierzył, że mogłaby uwolnić go od duchów przeszłości?

Zmarszczył czoło. Zaledwie na chwilę przed jego wejściem do rezydencji zatrzymał go przed bramą posłaniec z teatru. Lester przesłał mu wieści z urzędu telegraficznego potwierdzające, iż panna Constance Pedigrue faktycznie miała zapewnioną posadę w teatrze Royale. Wynajął też detektywa, który miał za zadanie zebrać resztę informacji, o które prosił Gideon.

Gideon nie zamierzał spuszczać jej z oka, dopóki nie dowie się o niej wszystkiego. Wysłał Lesterowi wiadomość, żeby na razie nie wysyłał telegramu do prawników panny Pedigrue. Najpierw zamierzał sam z nią porozmawiać.

Kiedy chłopak puścił się biegiem w kierunku dzielnicy teatralnej, Gideon poczuł w sercu dziwną radość. Jak na razie tłumaczenia Constance okazywały się prawdziwe. Rzeczywiście przyjechała do Nowego Jorku, żeby pracować w teatrze Royale jako szwaczka.

Ta myśl wystarczyła, by ruszył energicznym krokiem do swojego gabinetu. Pod butami słyszał chrzęst szkła. Ale dopiero wtedy, kiedy kątem oka złowił dziwną minę Bircha uświadomił sobie, że się uśmiecha.

A Birch najwyraźniej nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy to ostatnio uśmiech gościł na twarzy jego pana.

## 8

*Wróciła.*

Oparł się o chropawą, ceglana ścianę, zamknął oczy i oddychał głęboko, starając się zapanować nad uczuciami: uniesieniem, trwogą, ulgą.

Tak długo czekał na tę chwilę, tak trudno było mu uwierzyć, że Maura Payne rzeczywiście powróciła. Ale widział ją - siedziała w powozie, z twarzą w aureoli światła. Naprawdę wróciła do Nowego Jorku.

Do niego.

*Do niego.*

Tak, jak obiecała.

Prostując plecy, omiótł uliczkę podejrzliwym wzrokiem. Nikt nie może dowiedzieć się, że wróciła tu ze względu na niego. Nie wolno mu niczym okazać, że jest świadom jej obecności, odezwać się do niej, patrzeć na nią, czy choćby słać jej ukradkowe, namiętne spojrzenia, które zrozumiałyby bez słów. Dla świata musiał pozostać taki sam, jak wcześniej, tak aby nikt nie domyślił się ich miłości. Dopiero kiedy na powrót zajmie należne jej miejsce w teatrze i w towarzystwie, kiedy zdobędzie status, o jakim śniła, będzie mógł przerwać milczenie i przejdą do ostatniej fazy spisku, jaki uknuli przed laty.

Uwolnić Maurę od jej wrogów.

Uwolnić od męża, którego nie kochała.

Przejąć kontrolę nad fortuną i teatralnym imperium Gideona Payne'a.

Wtedy dopiero będą mogli być razem. Na zawsze.

Constance była głęboko przekonana, że w innych okolicznościach dekadencji wystrój łazienki sprawiałby jej istną rozkosz. Bądź co bądź, po raz pierwszy w życiu wystarczyło, by przekręciła trochę kurek i z kranu płynęła woda o pożądanej temperaturze. Nigdy też nie miała wanny, w której mieściło się dość wody, by mogła zanurzyć się po same uszy.

Pozostawała jednak świadomość obecności Gideona w domu, czyhającego gdzieś po drugiej stronie drzwi, i nie potrafiła się zrelaksować. Ablucji dokonała w rekordowym czasie, w dodatku przy akompaniamencie protestów zawodzącego kota, sfrustrowanego tym, że przyszło mu czekać w pomieszczeniu z taką ilością wody.

Wyjęła z szafy pierwszy lepszy szlafrok i szybko się nim opatuliła, modląc się, by jej własne kufry już na nią czekały i by mogła się jak najszybciej ubrać. Czuliła, że nie jest bezpieczna, błakając się po tym domu bez stosownego przyodziewku.

Może „bezpieczna” było tu zbyt mocnym słowem, przyznała się w duchu, wychylając głowę za drzwi i obserwując Merriweather pochłoniętą krojeniem warzyw na masywnym blacie.

- Pani Merriweather?

Kobieta podniosła wzrok, odruchowo wycierając ręce w ściereczkę. Wyraz twarzy miała nadal czujny i Constance z żalem skonstatowała, że wyraźne ciepło, które biło z oczu kucharki, zanim przyjrzała się gościowi, zniknęło teraz bez śladu.

- Naprawdę aż tak bardzo jesteśmy podobne? - spy-

tała z wahaniem, a pani Merriweather aż się wzdygnęła.

- Jak, przepraszam?

- Pani Payne i ja? Tak bardzo jesteśmy podobne?

Merriweather nerwowo rozejrzała się po kuchni, jakby szukała drogi ucieczki. Nie znalazłszy jej jednak, niechętnie odwzajemniła spojrzenie Constance.

- Niesamowicie - wymamrotała, siekając warzywa z o wiele większym zapałem, niż to było konieczne.

- Ale to powierzchowne podobieństwo? - nalegała Constance.

Kobieta otworzyła usta, jakby chciała przytaknąć, ale w końcu pokręciła głową. Na jej twarzy malował się szczyry żal.

- Podobieństwo jest niezwykle wyraźne, panienko.

- Rozumiem, że... zmarła - powiedziała Constance ostrożnie przez ściśnięte z nerwów gardło, bo wiedziała, że damy nie zapuszczają się podczas konwersacji na tak niebezpieczne wody, ale po prostu musiała dowiedzieć się czegoś więcej o kobiecie, której pamięć była w tym domu tak żywa.

I znów Merriweather rozejrzała się dookoła, jakby obawiała się, że ktoś zdołał w międzyczasie wejść do kuchni bez jej wiedzy.

- Tak, panienko.

- Kiedy?

- Pierwszego maja będzie dwa lata.

*Dwa lata.* I nadal opłakiwano jej śmierć?

- Jak do tego doszło?

- To było okropne, panno Pedigrue. - Merriweather zadygotała, jakby nagle znalazła się w przeciagu.

- Jak to?

Merriweather wbiła wzrok w warzywa, które błys-

kawicznie zmieniały się w papkę. Nóż z brzękiem wypadł jej z rąk. Wytarła rękę o fartuch.

- Odebrała sobie życie.

- Popełniła samobójstwo? - Tej jednej, jedynej odpowiedzi Constance przenigdy by się nie spodziewała.

- Tak, panienko.

- Ale dlaczego?

- Naprawdę wolałabym nie poruszać tego tematu, jeśli łaska. - Zanim odpowiedziała, Merriweather zdążyła odwrócić się przodem do pieca i stała, dzwoniąc przykrywkami.

Decyzja Merriweather rozczarowała Constance, ale nie mogła winić kobiety za chęć zmiany tematu. Jej panią spotkała za życia jakaś wielka tragedia - tragedia, która musiała dotknąć wszystkich domowników. Constance nie miała prawa dalej wścibiać nosa.

- Napije się pani herbaty, panno Pediguee?

- Z największą ochotą. Dziękuję.

Kobieta wykorzystując róg fartucha, uniosła czajnik. Constance nie mogła nie zauważyć, jak wielką ulgę sprawiło jej to, że rozmowa zesłała na inne tory.

- Jaka panienka woli? Rumiankową czy jeden z chińskich nabytków pana Payne'a?

- Rumiankowa będzie w sam raz.

Do kuchni wparadował na sztywnych łapach Pan Bentley, przecisnął się pod sam kosz ze szczeniętami i fuknął. Na jego widok pani Merriweather odezwała się:

- Willoby jest na zewnątrz. Pan Payne uwiązał go do drzewa.

- Willoby?

- Pies.

- A co z karmieniem szczeniąt?



Pani Merriweather zagulgotała z rozbawieniem i atmosfera w pomieszczeniu *zelała*.

- Willoby to pies, nie suka, panno Pedigrue. Jeżeli nie zmienił płci w ciągu ostatniej godziny, na niewiele się tu przyda.

Constance poczłapała do szczeniaków. Pan *Bentley* obwąchiwał je chciwie.

- A gdzie ich matka?

- Zdechła zaraz po tym, jak się oszczeniła, biedulka. My je karmimy.

- To chyba nie lada zadanie. - Constance policzyła zdrowo wyglądające szczenięta i pomyślała sobie, że bezustanna opieka, jakiej wymagały w pierwszych tygodniach życia, musiała dać się wszystkim porządnie we znaki.

- No pewnie, ale przez pierwszy miesiąc pan Payne zajmował się tym osobiście. Kazał je tu przenieść zaledwie kilka dni temu. Są w wieku, w którym muszą się wybiegać, a teatr nie jest dobrym miejscem dla dokazujących maluchów. Pan Payne tak je rozpuścił, że zdążyły już pewnie za nim zatęsknić, może mi panienska wierzyć.

Gideon Payne? Rozpuszczał szczenięta?

Constance trudno było uwierzyć, by ten oschły, opanowany człowiek umiał być cierpliwym i delikatnym opiekunem. Nie mogła pojąć, jak to możliwe, by te same ręce, które tak pewnie dzierżyły linę w teatrze, umiały kołysać wierzące się, świeżo narodzone szczenię, by potrafiły być czułe i kojące.

Ogarnęła ją dziwna słabość i szybko wymazała tę wizję z myśli. Mocniej obwiązując się paskiem od szlafroka, spytała:

- Zastanawiałam się właśnie, czy moje bagaże nadjechały, bo chciałabym...

- Jeszcze nie.

Constance odwróciła się gwałtownie i dosłownie zamarta, zaciskając ręką klapy szlafroka pod szyją, przekonawszy się, że Gideon Payne zdążył bezszelestnie otworzyć drzwi i wejść z ogrodu do kuchni.

Zawstydzona uciekła wzrokiem przed spojrzeniem Merriweather. Bogu niech będą dzięki, że nie wrócił kilka minut wcześniej. Strach pomyśleć, jak by zareagował, gdyby przyłapał je na plotkowaniu o jego prywatnej tragedii.

Omiótł ją szybkim spojrzeniem - od wilgotnych włosów opadających w nieładzie na ramiona, po skraj grubego, bawełnianego szlafroka, okrywającego jej postać.

Constance żałowała, że nie może dosłownie zapaść się pod ziemię. Nieledwie tydzień wcześniej pouczała siostry o niebezpieczeństwach prawdziwego świata. Podkreślała wagę noszenia wełnianej bielizny i konieczność posiadania szpilki do kapelusza na wypadek napaści. A oto stała teraz w kuchni obcego człowieka ubrana jedynie w pożyczony szlafrok.

Wargi wykrzywił mu dwuznaczny uśmiezek.

Zażenowana tymi oględzinami, stała z jedną stopą postawioną na drugiej, przeklinając fakt, że wybrany przez nią szlafrok ledwie zakrywał jej łydki.

- Czarująco pani wygląda, panno Pedigrue.

Nie sposób było nie wychwycić nuty rozbawienia w jego głosie.

- Nie wiem dlaczego, ale na mnie ten szlafrok nigdy nie wyglądał tak dobrze.

- Co proszę...? - spytała pełnym zgrozy szeptem. Wiedziała jednak dobrze. Miała na sobie szlafrok Gideona Payne'a.

- Założyła pani mój szlafrok, panno Pedigrue.

Pociągnęła nosem i uzmysłowiła sobie, że przy każ-

dym ruchu dolatuje ją lekka woń drewna sandałowego.

- Nie nosiłem go od wieków, nie musi się więc pani martwić, że pożyczając go, naraziła mnie pani na niewygodę.

I co niby to oświadczenie miało oznaczać? Że gdzie indziej ma drugi? Czy raczej że przyzwyczaił się szwendać po domu bez jakiegokolwiek przyodziewku?

Jej zażenowanie wzrosło dziesięciokrotnie. Czemuż nie była rozważniejsza? Pani Potts obiecała pożyczyć jej swój szlafrok, ale skoro żadnego nie przyniosła, Constance założyła, że chodzi o jeden z bawełnianych szlafroków wiszących w szafie. Powinna była być mądrzejsza. Przecież pokój kąpielowy z pewnością zarezerwowany był dla domowników, a nie dla służby.

Nie wiedziała, jak się teraz zachować. Chrząknęła i starała się przybrać swobodny wyraz twarzy - do prawdy trudne zadanie, zważywszy, że pod tym nieszczęsnym szlafrokiem była naga jak w chwili, w której przyszła na świat.

- Najmocniej proszę o wybaczenie, panie Payne. Nie miałam pojęcia, że to...

Przerwał jej wyjaśnienia niedbałym ruchem ręki.

- Nie dbam o ten szlafrok, panno Pedigrue. Mam na głowie pilniejsze sprawy.

*Na przykład stłuczone lustro. Roztrzaskany żyrandol.*

Zadrżała, kiedy się zbliżył, bo trudno było jej pozostać obojętną na emanującą z niego siłę i męskość. Na całym ciele, wciąż jeszcze wilgotnym po kąpielu, do stała gęsiej skórki, kiedy okrążył ją, jakby była wystawioną na sprzedaż kłaczą.

Niewidzialna dłoń napierała na jej pierś, wyciskając z płuc całe powietrze. Co widział, patrząc na nią? Postać swojej żony? Czy prostą starą pannę z Bostonu?

- Proszę pana...? - wyszeptała w obawie, że nie wytrzyma jego badawczego wzroku ani sekundy dłużej.

- Właściwie nie jesteś taka, jak myślałem, nawet po tej kąpieli.

Sama nie wiedziała dlaczego, ale natychmiast poczuła się urażona.

- Panie Payne - zaczęła twardo, ale nie pozwolił jej dokończyć.

- Jesteś o wiele za chuda, wiesz?

- Nie sądzę, żeby to była pańska sprawa - odparła, kiedy odzyskała głos po tej bezczelnej uwadze.

- Przeciwnie. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby konkurencja sądziła, że nie płacę moim ludziom pensji.

- Osądy... konkurencji nie mają tu nic do rzeczy.

Skończył obchód, ale oględziny trwały.

- I znowu się pani myli, panno Pedigrue. Wygląd ma wielkie znaczenie, proszę mi wierzyć. - Zwłaszcza pani wygląd. - Uniósł jej podbródek, chcąc przyjrzeć się jej twarzy w lepszym świetle.

W kuchni zapanował nagle bezruch i powiało takim chłodem, że Constance zadygotała. Ciemne oczy mężczyzny nabrały nagle stalowego wyrazu, a Merriweather przestała chyba oddychać. Było zupełnie tak, jakby pomieszczenie skurczyło się do takich rozmiarów, że zdawało się mieścić tylko ich dwoje.

- Skąd pani przybywa, panno Pedigrue?

Constance otworzyła usta, ale koniec końców nie odezwała się, gdyż dotarło do niej, że to retoryczne pytanie. Z niepokojem obserwowała, jak zmienia się wyraz jego oczu. Przez chwilę malowała się w nich radość, jakby patrzył na kogoś, kogo dobrze zna, potem zdumienie, które ustąpiło z kolei miejsca czujności, i mimowolnie zastanowiła się, o czym myślał, świdru-

jąc ją spojrzeniem. Jakie obrazy stawały mu przed oczami?

Już miała zapytać, ale puścił ją tak gwałtownie, że omal się nie przewróciła.

- Czy w kufrach, które mają lada moment przywieźć, znajdzie się coś bardziej odpowiedniego niż to, co widziałem dziś rano?

- Proszę pana...?

Pani Potts ten właśnie moment wybrała, żeby wtargnąć do kuchni. Nucąc pod nosem jakąś melodyjkę, wpadła do łazienki, by wyłonić się po chwili z naręczem ubrań Constance.

- Ma pani jakiś bardziej kobiecy strój od tego, który już widziałem? - spytał Gideon, trzymając w dwóch palcach czepek, który podniósł z wierzchu sterty.

- Nie rozumiem.

- Nie znoszę, kiedy kobiety ubierają się na czarno - wyjaśnił, wzdychając, jakby jego cierpliwość poddawano bolesnej próbie.

- Ale ja jestem w żałobie. - Uznałaby, że to oczywisty wniosek, gdyby nie przypomniała sobie, że stroje podróżne nierzadko miały czarny kolor, a pan Payne widział ją dotychczas tylko w jednym kostiumie.

Merriweather i Potts wymieniły się spojrzeniami, ale Gideon nie wydawał się przejęty.

- A jest pani? - W pytaniu pobrzmiwało powątpiewanie. - Po kim?

- Po ojcu.

- Od jak dawna nie żyje?

- Nie minął miesiąc.

- Brakuje go pani?

Miała odpowiedź na końcu języka, ale zawahała się, gdy uderzyło ją, jak dziwne to było pytanie. Czy bra-

kowało jej ojca? Ani trochę. To jednak nie znaczyło, że zamierzała obnosić się ze swoim potajemnym brakiem szacunku.

- Nie widzę, dlaczego miałabym odpowiadać na tak osobiste pytanie - odezwała się w końcu, unikając bezpośredniej odpowiedzi.

- A ja miałem nadzieję, że odpowie pani na nie bez cienia wahania, panno Pedigrue. Bądź co bądź, to pani jest gościem w tym domu i jest mi winna olbrzymią sumę. Można by sądzić, że będzie się pani chciała pokazać w jak najlepszym świetle.

Constance zacisnęła wargi wobec przykrej wymówki, ale nie mogła pozostać głucha na prawdę. Dopóki nie spłaci swoich długów, pozostanie na łasce tego człowieka.

- Czy kochała pani ojca, panno Pedigrue?

Powinna była przewidzieć, że Payne wychwyci fałszywe nutki w jej głosie, kiedy mówiła o ojcu. On już wiedział, że nie kochała Alexandra Pedigrue. *Wiedział*. Mimo to, nie mogła głośno przyznać się do czegoś podobnego.

- Jak może pan nawet o to pytać? - rzuciła chłodno. Wiedziała, że powinna była odpowiedzieć prosto z mostu, ale obawiała się jego reakcji.

- Ponieważ nie wygląda mi pani na pogrążoną w bólu. Gdyby nie to, że jest pani chuda jak szczapa, powiedziałbym, okaz zdrowia. Ma pani wyraźne kolorki i jasne, błyszczące oczy. A to się kłóci z żałobą.

Prychnęła oburzona, ale nie przejął się tym zbytnio. Odrzucił czepek na wierzch sterty.

- Zmieniłem zdanie, panno Pedigrue. Damy sobie dziś spokój z pracą. Skoro pani kufrów jeszcze nie dowieziono - a nie godzę się, żeby ponownie ubrała się

w te okropne łąchy - będę czekał na panią w westybulu jutro punkt dziewiąta. Mam nadzieję, że w bagażu, którego pani wypatruje, znajdzie się coś znośnego, a pani dzisiejszy strój zostanie porządnie wyprany.

Mówiąc to, ruszył do wyjścia, po czym zatrzasnął za sobą drzwi.

Constance podskoczyła, kiedy masywne drzwi z hukiem uderzyły w drewnianą framugę, następnie spojrzała na panią Potts i panią Merriweather pytająco.

Obie wzruszyły ramionami, wcale nie zaskoczone tym wybuchem.

- On rzeczywiście woli, kiedy kobiety ubierają się w coś barwniejszego - mruknęła Merriweather. - Powiada, że wszelkie próby stłumienia przyrodzonej kobiecej urody są afrontem wobec płci pięknej.

Pani Potts posłała jej grymas, wyraźnie niezadowolona z faktu, że Merriweather uznała za konieczne wyjaśnić humory pana.

- Ależ dlaczego? Nie widzę nic zdrożnego w noszeniu czerni, ani też w mojej garderobie. Ten czepek mam zaledwie od kilku tygodni, a suknię kupiłam niecałe dwa miesiące temu - mówiła Constance z irytacją. - Moim zdaniem, jego uprzedzenia są całkowicie absurdalne. Spodziewałabym się raczej, że będzie chciał, by jego asystentka ubierała się możliwe najskromniej.

-Jego poglądy mają logiczne wytłumaczenie - wtrąciła Merriweather i ponownie wzruszyła ramionami - proszę mi wierzyć. Od czasu, jak nasza pani powiedziała, że jest brzemienna, on...

- Merriweather!!

Pani Potts zrzuciła ubrania na stół i błyskawicznie odwróciła się do kucharki. Jej mina mówiła jasno, że Merriweather powiedziała więcej, niż powinna.

Ale właściwie co takiego ujawniła, co może uchodzić za niedyskrecję? Po prostu stwierdziła, że pani Payne była...

*Nie.*

*Tylko nie to.*

Ze ściśniętym sercem spoglądała to na jedną, to na drugą kobietę, z przeczuciem, że jej wcześniejsze straszne domysły okażą się słuszne. Gideon Payne stracił nie tylko żonę, ale i dziecko.

Bezwiednie spojrzała ku zamkniętym drzwiom i poczuła nagłą skruchę, że tak szorstko z nim rozmawiała. Dlaczego nie pamiętała, że Gideon był wdowcem - co więcej, że jego żona nie umarła z naturalnych przyczyn? Targnęła się na własne życie. Każdy z tych faktów z osobna tłumaczył jego nienawiść do czerni, jego pogardę dla tych, którzy są w żałobie tylko z nazwy, oraz fakt, że wszyscy gapili się na nią, jakby była jakimś potworem. Służba musiała przypuszczać, że wprowadziła się do domu jako ktoś, kto miałby zastąpić nieżyjącą panią Payne.

*Me.*

*Na litość boską, nie.*

- Zaprowadzę panienkę do jej pokoju - odezwała się pani Potts, dając znak, by Constance poszła za nią.

- Dobrze - odparła Constance z roztargnieniem.

- Obawiam się, że trochę to potrwa, zanim Złoty Pokój będzie nadawał się do zamieszkania.

To stwierdzenie wyrwało Constance ze smętnej zadumy.

- Ale póki co Brzoskwiniowy powinien wystarczyć.

- To świetnie - bąknęła Constance, zaczynając rozumieć, dlaczego pani Potts tak śpieszno było umieścić ją we właściwym lokum.



Wspinała się tylnymi schodami dla służby, a zapach sandałowego drewna unosił się nad nią niczym niewidzialna chmura. Z każdym kolejnym krokiem Constance coraz usilniej starała się wymazać z myśli wszystko, co dotychczas zobaczyła i co usłyszała.

Jednak, jak tylko zapach dotarł do jej świadomości - wysiłki, by nie myśleć, spełzły na niczym.

Czy Gideon Payne sprowadził ją tutaj jako asystentkę, czy też przyświecał mu inny cel?

A jeśli tak, to czy będzie miała siłę mu się oprzeć?

Przez kilka następnych godzin Gideon próbował wszystkiego, by wygnać Constance Pedigrue ze swoich myśli. Przewalił tony dokumentów, nakarmił szczenięta, nawet pobawił się z Willobym. Żadna jednak z tych czynności nie zdołała zagłuszyć myśli o kobiecie, którą gościł pod własnym dachem. Ten czas bez niej uprzytomnił mu w jeszcze większym stopniu, jak mało o niej wiedział.

I jak wiele pragnął się dowiedzieć.

Skrzywił się z niesmakiem, zły na siebie za tę ciekawość. Wstał i wyszedł z wanny tak energicznie, że woda zachlupotała i rozlała się po podłodze.

Nie zważając na kałużę, stanął na bawełnianym dywaniku i sięgnął po whisky stojącą na półce nad kominem. Nalał sobie szklankę i ponuro zapatrzył się w pełgające płomienie. Od rozmowy z Constance nie mógł znaleźć sobie miejsca i to doprowadzało go do szału.

Psiakrew, co też się z nim działo? Dotychczas miał się za zrównoważonego człowieka, któremu dni mijały na pracy, a noce... cóż, na rozlicznych rozrywkach.

Skąd więc to niezadowolenie?

Skąd frustracja?

Skąd uczucie pustki?

Dopił whisky jednym haustem i sięgnął do szafy po szlafrok, by w następnej chwili przypomnieć sobie, że pożyczyła go panna Pedigrue.

Panna Constance Pedigrue. Chrząknął. Podejrzał, że część emocji brała się z jego spotkań z tą kobietą - choć nie był jeszcze gotów otwarcie przyznać się do tego. Ta zbieżność rysów i postaci wyprowadziłaby z równowagi każdego, kto znalazłby się w podobnej sytuacji, to fakt. Dlaczego więc coraz rzadziej myśli o podobieństwie, a coraz częściej o samej Constance? Była dokładnie taka, za jaką kiedyś uważał Maurę. Jej delikatność była nieudawana, lęki prawdziwe, zachowanie niewymuszone.

Dlaczego zatem los postawił ją na jego drodze?

To pytanie powraca jak echo, pomyślał, skrzywił się ponuro i owinał biodra ręcznikiem. Złapał butelkę i ruszył do swojej sypialni, gasząc po drodze lampy, które pozostawiono zapalone z myślą o nim.

- Dobranoc, Birch - odezwał się do lokaja, który czekał na dole schodów z lampą w ręce. Gideon wiedział, że mężczyzna go nie słyszy, ale ten skinął głową, jakby w odpowiedzi, i zniknął w ciemnościach. Jego milcząca usłużność przypominała Gideonowi, ile troski Birch poświęcał przed laty jemu i Maurze.

Czuł fizyczne zmęczenie, które do końca popsuło mu i tak nie najlepszy humor. Poczłapał w kierunku holu na piętrze, biorąc po drodze potężnego łyka z butelki.

Pod wpływem nagłego impulsu zawrócił jednak i ruszył w stronę wschodniego skrzydła. Odetchnął głęboko i otworzył drzwi do Złotego Pokoju.

Przekonał się, że pomieszczenie, którego każdy kąt znał kiedyś tak dobrze, zatarło się w jego pamięci. Za-

glądał tu pierwszy raz po dwuletniej przerwie i poczuł, że whisky zaczyna mu się przelewać w żołądku.

Poczyniono pewne wysiłki, by pokój nadawał się do zamieszkania, spustoszenia jednak nadal były ogromne. Nie sposób było zmienić ten stan tak szybko, jak Gideon wcześniej zakładał. W powietrzu unosiły się kurz i wilgoć, które wdzierały się do środka przez okno wybite podczas ucieczki Luthera Hayesa. Wielka dziura zabita była deskami, ale okno nie doczekało się porządnej naprawy. Kapy na łóżko, ponadgryzane przez myszy, ciągle leżały gdzie popadnie. Okruchy szkła nadal walały się po toalecie, a na podłodze wciąż leżało ubranie Maury. Tym jednak, co odciągnęło jego uwagę od tych wszystkich szczegółów, było nadpalone malowidło na ścianie w głębi pokoju.

Portret bardzo różnił się od tego, który Gideon przechowywał w teatrze. Dostał go w prezencie ślubnym od Maury. Leżała na aksamitnej, pikowanej kanapie, przyciskając przezroczysty szal do nagiego ciała.

Taką ją pamiętał. Niewiarygodnie zmysłową, trawioną żądzą sukcesu, pieniądza i sławy. Jako kochanka była niesamowita. Jako żona...

W jej naturze czegoś brakowało - tego niewymuszonego oddania, które obserwował u innych małżeństw. Prawdę mówiąc, to sądził teraz, że Maura poślubiła go dla kariery, że był jedynie środkiem do celu, którym było zdobycie większej sławy. Nie powinien był ufać jej bezgranicznie.

Powinien był dostrzec jej niewierność.

Powinien podejrzewać, że wdała się w romans.

Może wtedy jej zdrada z Hayesem nie byłaby takim wstrząsem.

Z westchnieniem wszedł w głąb pokoju, przygląda-

jąc się skotłowanej pościeli. W oczach miał Maurę i wysoką, dryblasowatą sylwetkę przyjaciela z dzieciństwa. Widział to tak wyraźnie, jakby całe zdarzenie miało miejsce zaledwie wczoraj. Obejmowała go udami, doprowadzając na skraj rozkoszy. A potem spojrzała na Gideona i uśmiechnęła się, jakby spodziewała się, że ten widok sprawia mu przyjemność, że budzi w nim podniecenie. Milczał, więc zawołała go po imieniu, miękko, pytająco. W tej samej sekundzie Luther wyszarpnął się, zgarnął ubrania i wyskoczył przez zamknięte okno prowadzące na balkon.

Maura pobiegła za nim, a gdy jej kochanek zszedł po kracie na ziemię i wbiegł między drzewa, krzyknęła, żeby wrócił, żeby zabrał ją ze sobą. Następnie, posławszy Gideonowi ostatnie wyzywające spojrzenie, wspięła się na balustradę i skoczyła w ramiona śmierci.

Dławiony bólem, gniewem i poczuciem winy, Gideon wpadł w szal. Chwytał lampę, roztrzaskał jej klosz o ścianę, po czym przytknął płomień do zasłon, usiłując wypalić ślad zdrady i samobójstwa ze swojej pamięci i z tego pokoju. Zresztą, gdyby nie Birch, pewnie by mu się to udało. Ale lokaj domyślił się jego zamiarów i ugasił ogień, zanim doszło do większych szkód. Potem odwrócił się do niego i dosłownie wyniósł go na korytarz, po czym zamknął się razem z nim w gabinecie i wypuścił dopiero wtedy, gdy Gideon nieco oprzytomniał.

Przez te dwa lata, które minęły od owej nocy, Gideon nieraz zastanawiał się, ile Birch wiedział z tego, co się wydarzyło, a co doprowadziło jego pana do furii. Czy podejrzewał, że Gideon zastał żonę w ramionach Luthera Hayesa? Czy domyślał się, że Maura targnęła się na własne życie? Że nie był to nieszczęśliwy wypadek, jak Gideon zeznał potem policji?

A co gorsza, czy Birch był świadomy, że Maura wołała zginąć, niż wyrzec się kochanka i być wierną mężowi? Czy rozumiał, jak bardzo czuł się zdradzony i ile gniewu żywił wobec Maury i Luthera Hayesa?

Otrząsnął się z bolesnych wspomnień, które nie pozwalały mu swobodnie oddychać, i wycofał się ze zrujnowanej sypialni.

Potts i Merriweather z czasem doprowadzają do ładu. Właściwie to pewnie już by z tym skończyły, gdyby sam nie zakazał im przestępować progu sypialni, żeby zawsze przypominała mu to, co wydarzyło się owej nocy.

Wzrok Gideona padł na wejście do Brzoskwiniowego Pokoju i srebrzyste światło sączące się przez szparę pod drzwiami. Przedziwne ciepło zakradło się do jego serca i nie czuł się już tak przygnębiony.

Nadeszła pora, by uwolnić ten dom od gniewu i gorzycy, które zdawały się wisieć w powietrzu aż nazbyt długo. Umieszczenie panny Pedigrue w złotej sypialni było pierwszym krokiem do pogrzebania przeszłości.

Chociaż jednak wmawiał sobie, że działa z czysto praktycznych pobudek, coś podszeptywało mu, iż panna Pedigrue nie zagrzałaby u niego miejsca jako asystentka, a co dopiero jako domowniczka, gdyby jej reakcja na pocałunek nie rozpałała w jego ciele bezsprzecznie zmysłowych pragnień.

## 9

### *Waszyngton*

Louise Chevalier wstała z za toaletki w garderobie Bristol National Theater. Krótkie, znajome stukanie do drzwi sygnalizowało, że powóz czeka, by zabrać ją do domu.

Powóz, a w nim Etienne.

Sam fakt, że czekał w korytarzu nieopodal skrzydeł sceny, przyprawiał ją o żywsze bicie serca. Etienne był tak silny, tak męski, tak szaleńczo w niej zakochany, że świadomość jego bliskości skłoniła ją do pośpiechu. Zarzuciła na plecy pelerynę, złapała torebkę i pośpiesznie otworzyła drzwi.

- Dobry wieczór, Etienne.

- Pani...

Ich powitania były oficjalne, tak jak i ich wzajemne relacje, ilekroć znajdowali się w teatrze.

- Tędy.

Etienne ruszył przodem, nie spuszczał ręki z rewolweru. W ciągu kilku ostatnich lat takie środki okazały się konieczne - sława Louise rosła i aktorka zaczęła otrzymywać niepokojące listy od rozkochanych wielbicieli, którzy chcieli poznać ją także prywatnie.

Jej ochroniarz czujnie rozglądał się po ulicy, gdy Louise wsiadała do powozu i opierała wygodnie o ozdobne poduszki. Etienne wskoczył na schodek po-

wozu i krzyknął na woźnicę, po czym zręcznie wsiadł za nią, zaciągając szczerlnie zasłonę w oknie.

- No i? - zapytała niecierpliwie, spragniona dobrych wieści o córce, które miały w końcu pozwolić jej poślubić ukochanego mężczyznę.

- Jest pewien... problem.

- Nie! - wydusiła bez tchu, czując, że żołądek się jej ściska. - Jak to możliwe, żeby los rzucał kłody pod nogi każdej z moich trzech córek? Przecież tak dokładnie wszystko planowałam!

Etienne bardzo się starał przybrać poważną minę, wyrwał mu się jednak chichot, który popsuł zamierzony efekt.

- Naprawdę nie sędzę, żeby groziło jej jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, Louise. W zasadzie to pomyłkowo wpakowała się w tarapaty, podobnie jak dwie pozostałe.

- Nie rozumiem...? - Louise zmarszczyła brwi.

- Życzyłaś sobie, żeby twoja córka odpracowała pewien czas jako szwaczka w teatrze Royale?

- Tak.

- Spalił się przed jej przybyciem.

- Spalił się?!

- Zgodnie z tym, co zdołałem ustalić, twoja córka zgłosiła się do pracy zgodnie z planem, ale źle odczytała adres, jaki otrzymała od prawników i wylądowała w nowym teatrze Gideona Payne'a na Kensington. Najwyraźniej doszło tam do jakiegoś wypadku i Constance ponosi częściową odpowiedzialność za zniszczenia, więc Gideon zatrudnił ją, żeby odpracowała straty.

- Gideon Payne dał posadę mojej córce? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Chcesz powiedzieć, że zatrudniła się w charakterze artystki rewiowej?

2 każdym słowem jej głos stawał się coraz bardziej

piskliwy i Etienne, śmiejąc się już otwarcie, ujął jej twarz w dłoń.

- Spokojnie, *ma petite*.

- Spokojnie?! Córka zatrudnia mi się do jakichś cyrkowych sztuczek - albo, co gorsza, jako striptizerka - a ty mi mówisz, żebym była spokojna?

- Nie jest tam striptizerką. Gideon dał jej posadę osobistej asystentki.

- Osobistej asystentki? - wyszeptała Louise ze zgrozą.

- Kochanie, nie papuguj tak po mnie.

- To dlatego, że w to nie wierzę. Nie mogę w to uwierzyć.

- Przecież on jest żonaty. Nie przypuszczasz, że Gideon Payne ma wobec twojej córki jakieś nieczne plany. To drań, owszem, ale nie skończony.

- Ale on nie ma żony. - Pokręciła głową. - W tym problem. Zginęła w wypadku dwa lata temu, w okolicznościach tak dziwnych, że podejrzewam, że mogła... zginąć z własnej ręki, by tak rzec - chociaż, jeśli chcesz poznać moje zdanie, dla niego to może i lepiej. Miałam wątpliwą przyjemność spotkać Maurę Kelly podczas jakiegoś przyjęcia. Mnie osobiście wydała się wyjątkowo pazerna i wyrachowana. Zupełnie nie rozumiałam, co Gideona tak w niej pociągało, poza oczywistym: miała twarz i figurę bogini.

- To dlatego zerwałaś z nim wszelkie kontakty i odmówiłaś występowania w jednym z jego oficjalnych teatrów?

- Oczywiście. To plus fakt, że starałam się jak mogłam, żeby z moim nazwiskiem nie wiązał się żaden skandal, gdy tymczasem Gideon... - Uśmiechnęła się wyrozumiale. - Ten człowiek przyciąga skandale jak magnes, niech go lichy. - Na jej twarzy natychmiast za gościła powaga. - Co chyba tłumaczy, dlaczego wzdra-



gam się na myśl, że Gideon Payne miałby występować jako ktoś w rodzaju dobroczyńcy mojej córki.

- Rozumiem - skrzywił się Etienne. - Oznacza to, iż będę musiał załatwić dla nas pociąg do Nowego Jorku. Dobrze, że uprzedziłem ludzi na dworcu, zanim przyjechałem do teatru i twój wagon już czeka. Pociąg będzie gotowy do odjazdu za godzinę.

- Dziękuję ci, Etienne. - Zarzuciła mu ręce na szyję, przepełniona wdzięcznością. - Zawsze dokładnie wiesz, czego mi potrzeba.

- A co z moimi potrzebami?

Pierwszy raz usłyszała w jego głosie zniecierpliwienie i podniosła na niego nieśmiały wzrok.

- Przepraszam. To nie w porządku, kazać ci dalej czekać.

- Więc wyjdź za mnie. Wyjdź za mnie jeszcze dziś.

Kusiła ją ta propozycja, i to wielce, w końcu jednak pokręciła głową.

- Nie mogę. Udało mi się odzyskać Felicity i Patience. Mam nadzieję, że uda mi się także z Constance i chciałabym, żeby wszystkie trzy były na naszym ślubie. Proszę, zrozum.

Westchnął i ucałował koniuszki jej palców.

- Rozumiem - mruknął z żalem, po czym przeszył ją wzrokiem. - Tylko pamiętaj, że przyjdzie taki moment, kiedy będę chciał usłyszeć od ciebie, że świat jest nieważny, nieważna rodzina, że to mnie stawiasz na pierwszym miejscu.

- W moim sercu tak jest od zawsze. - Przytuliła rękę do jego policzka.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Mary MacClannahan pochyliła głowę, kryjąc twarz przed zacinającym deszczem, i mocniej podkurczyła ręce pod łopoczącymi połami narzutki. Śmigając wzdłuż Beakman Avenue zignorowała rząderek restauracji, sklepików jednobranżowych i hotelików tulących się do siebie w porannej szarówce i pokłusowała w kierunku strzelistego budynku Wellington House of Burlesque na rogu następnego skrzyżowania.

Pomimo wczesnej pory Mary gnała przed siebie jakby ktoś ją ścigał. Z powodu wczorajszej katastrofy podczas przymiarki kostiumów Madame Bernoulli do jej „Tańca Siedmiu Zastón”, Mary miała teraz niewiele ponad trzy godziny na rozprucie szwów na skąpej, muślinowej bluzce, dokonanie poprawek i ponowne zszyć całości. Wszystkie te zadania musiały być zakończone, zanim główna gwiazda uczyni wyjątek i przybędzie przed poranną próbą.

Z tą myślą Mary co chwila przyśpieszała kroku, a końcowy odcinek drogi niemal przebiegła. Zatrzymała się tylko raz, przy samym krawężniku. Przez chwilę wydawało się jej, że coś słyszy - miękki odgłos kroków, parsknięcie konia. Ale teraz panowała zupełna cisza. Zupełna, nie licząc jej świszczącego oddechu.

Wzdrygnęła się, przeszła szybko przez jezdnię i skręciła w boczną alejkę. Nie zatrzymując się, pośpiesznie weszła po rozklekotanych schodach do wejścia znajdującego się na drugiej kondygnacji teatru. Pociągając nosem, obmacała belkę nad framugą i w końcu znalazła klucz. Kiedy poczuła pod palcami zimny, metalowy przedmiot, pomyślała ciepłutko o przytomnym kostiumologu, który nie zapomniał zostawić go tam wczorajszego wieczoru. W przeciwnym razie musiałyby zająć do pensjonatu i go obudzić,

a znając jego charakter, nie byłoby to przyjemne.

Otworzyła masywne drzwi, uniosła spódnicę i przestąpiła próg tchnącego pleśnią zaplecza, gdzie przechowywano niepotrzebne rekwizyty i elementy scenografii. Nie fatygując się zapalić lampy, z łatwością odnalazła znajomą drogę między stertami kiczowatych dekoracji i zaczęła wchodzić po schodach prowadzących do pracowni krawieckiej. Jeśli się pośpieszy, zdąży zaparzyć sobie filiżankę herbaty, zanim żelazko się...

- ...*Maaary*... - rozległ się w ciemnościach przeciągły szept.

Zawahała się i mocniej zacisnęła palce na rozchwianej poręczy. Ostrożnie rozejrzała się dookoła, usiłując przebić wzrokiem mrok. Żadne, najmniejsze nawet poruszenie nie dało jednak znać o czyjejs obecności. Mary sama nie wiedziała, czy ten niesamowity szept był rzeczywisty, czy też powstał raczej w jej wyobraźni.

- Jest tu kto? - zawołała, czekając, nasłuchując.

Nikt nie odpowiedział. Nic się nie poruszyło.

Teatr zamarł w oczekiwaniu.

Mary uznała, że musiała się przesłyszeć, wzruszyła ramionami i zrobiła kolejny krok.

- *Maaary*...

I znowu wydało się jej, że słyszy czyjś głos. Tym razem jakby cichszy. Eteryczny.

Zaniepokojona, ale i zaintrygowana, zatrzymała się ponownie. Zerknęła w dół, poza krawędź schodów, i omiotła spojrzeniem rekwizytornię, po czym weszła na piętro.

- Kto...

Aksamitny sznur świsnął wokół jej szyi. Coś powlokło ją w ciemności.

Krzyk Mary wstrząsnął łukowatym sklepieniem sceny, po czym przeszedł w zdławiony jęk. Dłonie po

omacku szukały czegoś, czego można by się chwycić. W głowie kłębiły się trwożne myśli. Powoli, powolnie jej mięśnie zaczęły drżeć i słabnąć, myśli przyćmiewać się, a w końcu jej ciało bezwładnie osunęło się na ziemię.

Gęsta cisza spowiła teatr. W ciemnościach zatrzeszczał schodek. Drugi. Ciężki zwój pergaminu z szelestem opadł na podłogę, jakby moszcząc się tuż przy wyciągniętych palcach Mary. Widniały na nim trzy wykaligrafowane ozdobnym, wyszukany charakterem pisma słowa:

*Dla ciebie, Mauro.*

## 10

Psiakrew, zupełnie nie miała co na siebie włożyć. Ani jednej odpowiedniej rzeczy.

Constance taksowała krytycznie zawartość kufra, który Birch przyniósł jej na górę ubiegłego wieczora. Z grymasem rozpaczy przejrzała suknie, bieliznę i buty, rozrzucając je po całym Brzoskwiniowym Pokoju. Nie było tego znowu tak wiele. Oprócz podróznego kostiumu, miała dwie spódnice, obie czarne, cztery koszule, krótką narzutkę i kilka sweterków.

W odróżnieniu od siostr, które spożytkowały lwią część pieniędzy przeznaczonych na podróż na uzupełnienie garderoby, Constance ograniczyła się jedynie do wymiany kilku co bardziej znoszonych łasek. Miała przecież podjąć pracę szwaczki, a nie aktorki, nie widziała więc powodów, by kupować coś ładniejszego.

Teraz tego gorzko żałowała. Rozpoczynała właśnie pracę zupełnie innego rodzaju, niż była na to przygotowana - jako asystentka wdowca, który - co zrozumiałe - miał awersję do czerni. Wręcz wypadało założyć coś, co nie przypominałoby mu o jego bólu.

Ale niczego takiego nie miała.

Niemal wszystkie jej ubrania były czarne.

Nie po raz pierwszy przeklinała się za to, że zwykła tak bardzo liczyć się z ludzkim zdaniem. Hipokryzją z jej strony było nosić żałobę po człowieku, z którego śmierci potajemnie się cieszyła, ale prędzej by

skonała, niż przyznała się do tego. Nie była pewna, co z nią było nie tak, ale miała widać jakąś skazę, skoro nie umiała kochać własnego ojca.

Padła na łóżko, westchnęła i zamknęła oczy. Jak zwykle w takich sytuacjach, gdy rozpaczała nad brakiem więzi z ojcem, wbrew sobie popłynęła myślami wstecz, wstecz i wstecz, do szczęśliwszych czasów. Przypomniał się jej domek z bali na samym środku olbrzymiej równiny, ciemne, śmiejące się oczy matki, jej dobroć i bezkresna miłość.

Bezwiednie zacisnęła palce na ubraniu, które i tak gniotło się pod jej ciałem, ogarnięta bezbrzeżnym smutkiem, dojmującym poczuciem straty.

Wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby mama żyła.

*Nie!* Nie może teraz o tym myśleć. Nie wolno jej przypuszczać, że Alexander Pedigrue...

Zamordował swoją żonę.

Me.

Ale tym razem zabrakło jej sił. Przypomniała sobie, w jakim pośpiechu ojciec wywiózł je do Bostonu i jak zimny i oficjalny stał się od czasu przeprowadzki. Wydawało się, że ogromnie zależy mu na tym, by wylenić z córek jakieś niewyobrażalne zło, leżące w ich naturze, i w tym celu całkowicie odciął się od ich uczuć.

- Panno Pedigrue!

Podskoczyła, kiedy z dołu dobiegł ją grzmiący, tubalny okrzyk.

- Za pięć dziewiąta. Mam nadzieję, że jest już pani gotowa, do ciężkiej cholery!

Constance zaczęła krzątać się gorączkowo, świadoma, że nic dobrego nie przyjdzie jej z użalania się nad brakami w garderobie. Będzie musiała zadowolić się tym, co ma.

Normalnie potrzebowała prawie godziny, żeby się ubrać, ale wiedziała, że Gideon przyszedłby po nią, gdyby bardzo się spóźniała. Wciągnęła przez głowę trzy halki, a nie pięć jak zazwyczaj, wcisnęła się w gorset, byle jak nałożyła koszulę i czarną spódnicę z tafety. Następnie splótła włosy w pojedynczy warkocz, zwinęła go w węzeł i podpięła paroma szpilkami. Chwyliła czepek i gwałtownie otworzyła drzwi.

Stał w nich Gideon z ręką wyciągniętą w kierunku klamki, która właśnie usunęła się mu spod palców. Constance splonęła nagłym rumieńcem, gdy dotarło do niej, że jak nic bez pukania wparowałby do jej pokoju, gdyby szykowała się odrobinę dłużej.

- Odnoszę wrażenie, że prosiłem, by spotkała się pani ze mną o dziewiątej.

- Tak, proszę pana. Wiem, proszę pana. Ale nie mogłam uporać się z... - szukała słowa, które nie zabrzmiałyby zbyt osobiście, poniosła sromotną klęskę i wybuchła: - Z guzikami, proszę pana.

Poniewczasie uzmysłowiła sobie, że powinna była wymyślić coś... *cokolwiek* innego; opuścił wzrok na jej pierś i przyglądał się z uwagą okrągłym guziczkom z masy perłowej.

- Dalej są źle zapięte, panno Pedigrue.

Ze zgrozą spojrzała po sobie i przekonała się, że ma krzywo zapiętą koszulę. Obróciła się jak fryga i szybko przepięła guziki do właściwych dziurek, po czym rozdygotała się, bo zdała sobie sprawę, iż całą operację przeprowadziła przed lustrem toaletki.

Policzki jej poczerwieniały, a mężczyzna zachichotał.

- Po co ta pełna zgrozy mina, panno Pedigrue... Wszystko to już wcześniej widziałem.

Szukała w myślach stosownej odpowiedzi. Na próż-

no. Uznała więc, że najlepiej będzie milczeć, dzięki czemu mógł bez przeszkód przyjrzeć się panującemu w pokoju bałaganowi.

- Czy zawsze podchodzi pani do osobistych przygotowań z takim entuzjazmem, panno Pedigrue?

**-Ja...**

Wyminął ją, przyglądając się porozrzucanym na wszystkich meblach fatałaszkom.

Płonęła ze wstydu. Nigdy, przenigdy nie pozwoliła żadnemu mężczyźnie na najmniejsze poufałości. Nie miała wielbicieli, którzy trzymaliby ją za rękę czy szepotali do ucha słodkie słówka. Obecność Gideona Payne'a w jej sypialni, zajętego przeprowadzaniem inspekcji jej garderoby, była czymś całkowicie porażającym.

- Pani jedyne nakrycie głowy? - upewnił się, unosząc czepek.

- Tak. - Oparła się impulsowi, by wydrzeć mu go z ręki.

- A to pani spódnice?

- Tak.

- Mhmm.

Kiedy sięgnął po jej halkę, nie mogła dłużej bezczynnie się przyglądać.

- Tylko to mi zostało, panie Payne - odparła sucho, zagradzając mu drogę. - Oprócz tego kufra, który pański lokaj dostarczył o nieprzyzwoitej porze - zawiesiła głos, by dać mu do zrozumienia, że została wyciągnięta z łóżka - nie mam innych bagaży. Dwa pozostałe kufry padły łupem złodzieja w drodze do Nowego Jorku i ocalało tylko to, co pan tu widzi.

-Aha.

Nazbyt późno uświadomiła sobie, że usiłując przeszkodzić mu w wertowaniu jej odzieży, przysunęła się



do niego niebezpiecznie blisko. Ciepło bijące z jego ciała przenikało jej ubranie, spowiła ją znajoma woń drzewa sandałowego.

- Ma pani wielce... praktyczne gusta - odezwał się po pewnym czasie.

Constance przestąpiła niepewnie z nogi na nogę, słysząc niezbyt subtelną nutę ironii w jego głosie.

- Ja jestem kobietą praktyczną.

- Hmm.

Znienacka schylił się i podniósł pończochę, po czym wyprostował się, mnąc czarną bawełnę między palcem wskazującym a kciukiem.

W Constance jakby piorun strzelił; wyrwała mu ją z ręki, przerażona. Żaden mężczyzna nie ważył się dotychczas dotykać jej bielizny. Prawdę mówiąc, to właściwie żaden mężczyzna nie dotykał niczego, co do niej należało. Dlaczego Gideon Payne uznał ten gest za konieczny, to po prostu przechodziło jej pojęcie.

- Panie Payne! - wykrzyknęła z oburzeniem.

- Tak, panno Pedigrue? - Jego odpowiedź była aż nazbyt swobodna, aż nadto protekcyjnalna.

- Przyjęłam pańską ofertę pracy w dobrej wierze, zakładając, że nie obejmuje ona żadnych... krotoczwili.

- Krotoczwili, panno Pedigrue?

Jego szeroki uśmiech był całkowicie niewinny, w oczach jednak pojawiły się diabelskie ogniki.

- Świetnie mnie pan rozumie.

- Nie. Bynajmniej. Może powinna pani wyrażać się jaśniej.

- Jestem uczciwą, bogobojną chrześcijanką - oświadczyła, wstrzymując oddech i licząc do dziesięciu, żeby ochłonać.

- I znowu nie wiem, o co pani chodzi.

- Chodzi o to, że nie godzę się na żadne nieprzy-  
zwoitości.

- Notorycznie posługuje się pani eufemizmami,  
które są całkowicie niejasne - cmoknął z dezaprobatą.

Zacisnęła zęby, żeby nie powiedzieć tego, co cisnę-  
ło się jej na usta. Zdobywając się na względny spokój,  
stwierdziła:

- Uważam, że celowo sili się pan na niedomyślność,  
panie Payne. - Rzuciła pończochę na łóżko i wyminę-  
ła go szerokim łukiem. - Jak sądzę, pora ruszać. Czy  
to nie po to w ogóle zaszedł pan po mnie?

- Pewnie ma pani rację.

Wydawało się jej, że dławił go śmiech, ale nie była  
pewna. Kiedy jednak uczyniła następny krok, złapała ją  
za łokieć i zmusił do odwrócenia się w jego stronę.

- Jednakże - kontynuował - zanim przejdziemy do  
dzisiejszych zajęć, muszę pani zadać kilka pytań.

- Jakich znowu pytań?

- Dokładnie takich, jakie zadałby pani każdy inny  
pracodawca.

- Otrzymał pan odpowiedź od moich prawników? -  
spytała, czując, jak serce w niej zamiera.

- Tak. Potwierdzili kwestię pani posady w teatrze  
Royale.

- A pieniądze, o które prosiłam?

- Póki co... - Zawiesił głos na beczelnie wręcz dłu-  
gą chwilę. - Żadne fundusze nie spłynęły.

Constance przygryzła wargę. Powinna to była prze-  
widzieć. Pięć tysięcy dolarów stanowiło kwotę prze-  
kraczającą roczną pensję, jaką Alexander Pedigrue za-  
pisał każdej z trzech córek.

- Mogę kontynuować, panno Pedigrue?

Zacisnęła usta, wyraźnie rozdrażniona, ale gwałtownym skinieniem głowy zasygnalizowała, że zamierza w miarę możliwości zaspokoić jego ciekawość.

- Ile pani ma lat?

Ta bezczelność zaparła jej dech w piersi.

- Nie wie pan, że nietaktem jest pytać kobietę o wiek? - wybuchła, a potem pożałowała, że nie trzymała języka za zębami.

- Nigdy nie byłem zwolennikiem towarzyskich reguł i regulek - zbył ją natychmiast. - Ile ma pani lat?

- Dwadzieścia jeden mam skończone - mruknęła w końcu wykrętnie, nie widząc sposobu, by całkowicie wymigać się przed odpowiedzią. - W świetle prawa jestem osobą pełnoletnią.

*Zmarszczył czoło, niezbyt zachwycony* tą wymijającą deklaracją, ale nie drażył tematu.

- Pochodzi pani z Bostonu?

- Tyle to już pan wie.

- Tam się pani urodziła?

- Nie. Moja rodzina miała kiedyś posiadłość w Illinois.

- Wspomniała pani rodzeństwo.

- Dwie siostry.

Zmrużył oczy, jakby ta informacja niebawem go zainteresowała.

- A pani matka?

Zesztywniała, zastanawiając się, czy ten aspekt jej życia może wiązać się z pracą. Zdecydowała się na bezpieczniejszą opcję i pośpieszyła z tym samym wyjaśnieniem, którym Alexander Pedigrue tłumaczył nieobecność żony.

- Matka porzuciła nas, kiedy byłam dzieckiem.

- Zatem na panią spadł obowiązek wychowywania siostr? - Oczywiście bardziej mu się zwięźli.

- Można to i tak nazwać. - Wzruszyła ramionami. -

Kiedy byliśmy małe, przez dom przewinał się tabun guwernantek, gosposi, korepetytorów. Ale z biegiem lat ojciec stawał się coraz większym odludkiem.

- Aż w końcu liczba domowników skurczyła się do waszej czwórki?

- Panie Payne - dumnie uniosła brodę - nie umiem dopatrzeć się jakiegokolwiek związku między takimi informacjami a moją posadą.

Kciukiem musnął zgięcie jej łokcia, więc zacisnęła usta, by zdławić jęk, który padłby z nich niechybnie.

- Lubię wiedzieć wszystko o moich pracownikach.

Najwyraźniej uważał, że ta uwaga wystarcza za wyjaśnienie, Constance spytała jednak:

- Dlaczego?

- Nie lubię niespodzianek - odparł po chwili namysłu.

- Jakich?

- Takich, jakie przytrafiają się, kiedy pracownicy uciekają przed swoją przeszłością.

- Proszę mi wierzyć - zachnęła się - ja przeszłości nie mam.

Drgnął i ujął jej twarz w obie ręce, zmuszając do uniesienia głowy. Oględziny przeprowadził skrupulatnie, ze skupioną miną.

- No tak, to widać - mruknął.

Nie wiadomo dlaczego Constance poczuła się urażona.

- Ojciec prawdopodobnie nie pozwoliłby pani na flirt ze skandalem.

- Zabrzmiało to tak, jakby pan tego nie pochwałał.

- W pewnym sensie nie pochwalam. Każdy ma prawo się wyszumieć. - Przysuwał się coraz bliżej i bliżej, dłoń przeniósł na jej kark. - Ojciec powinien był pani pozwolić na różne ciekawe rzeczy.

Nie było czasu na sprzeciw, bo już muskał wargami jej usta, lekko, czule, napełniając ją przedziwną mieszaniną emocji: tęsknotą, żalem i przeczuciem czegoś doniosłego.

Kiedy w końcu się cofnął, była oszołomiona i niepewna, co robić, gdzie podziać oczy.

- Czyżby nikt nie całował cię w ten sposób, Constance?

Zaczynała mieć dość ciągłego przypominania o jej dotychczasowym pustelnicznym życiu.

- Wyciąga pan pochopne wnioski, panie Payne. Całowały mnie dziesiątki mężczyzn. Setki.

- Któż taki?

- Nie uważam, żeby to była pańska sprawa.

- Pewnie masz rację, ale lubię patrzeć, jak się rumienisz.

- Jeżeli to przesłuchanie się skończyło - fuknęła, przeklinając w duchu swoje zdradzieckie policzki i chrząkając z dezaprobatą - sądzę, że pora, żebyśmy oboje wzięli się do roboty, panie Payne. Zgodzi się pan ze mną?

Następnie, ignorując jego wszechwiedzący uśmiešek, wyrwała się mu i wzięła nogi za pas.

Gideon przyglądał się z rozbawieniem, jak jego nowa asystentka przechodzi obok niego z dumą i godnością królowej. Chichocząc pod nosem, ruszył za nią, zaintrygowany gniewnym furkotem spódnicy, jaki towarzyszył jej schodzeniu po frontowych schodach.

Zastanawiał się, co pomyślałaby, gdyby wiedziała, że spędził bezsenną noc z jej powodu. Po wizycie w Żółtym Pokoju dręczyły go wspomnienia - ale nie o Maurze. Nie, przyłapał się na tym, że wspomina jak to jest dzielić z kimś życie. Dzielić łożę.

Dawno temu Gideon zdecydował, że chce się oze-

nić i założyć rodzinę. Nie pamiętał, jak wiele razy przenoszono go z sierocińca do sierocińca po całym Nowym Jorku. Towarzyszył mu wtedy zawsze Luther Hayes, którego uznano za równie „niezdatnego do adopcji” jak on sam.

*Luther Hayes.*

Ale nie chciał o nim myśleć. Zaczął wspominać, jak odmienił się jego los. Jako podrostek, został nieoficjalnie przysposobiony przez hałaśliwą parę farmerów z trzynaściorciem dzieci. U nich nauczył się, czym jest dorastanie w gronie rodzeństwa, i poprzysiągł sobie, że pewnego pięknego dnia takie same warunki stworzy swoim dzieciom.

W międzyczasie postanowił dorobić się majątku, zajmując się prowadzeniem teatrów. Jeszcze zanim skończył trzydziestkę wybudował kilka gmachów teatralnych prowadzących legalną działalność. Poślubiając Maurę, szczerze wierzył, że spełni się reszta jego marzeń. Tylko patrzeć, jak będzie miał rodzinę i własne dzieci.

Maura jednak wahała się, czy powinna tak szybko zdecydować się na dziecko. Chciała kontynuować karierę sceniczną tak długo, jak to tylko możliwe.

Dopiero później zdał sobie sprawę, że jej wyjaśnienia były starannie przemyślane. Wcale nie chciała mieć męża, nie mówiąc już o potomstwie. Pragnęła jedynie dopomóc swojej karierze i sądziła, że ślub z Gideonem będzie najlepszym środkiem do tego celu.

Mimo to nie wszystko w ich związku było złe. To Maura nauczyła go, że nie wolno być zbyt ufnym i otwarcie mówić, co leży na sercu. Pracowali w branży, w której przetrwać udawało się tylko najsilniejszym. Maura otworzyła mu oczy na fakt, że każdy kieruje się jakimiś ukrytymi motywami, pragnieniami,

własną wypaczoną oceną świata. Dzięki niej zrozumiał, że musi rozgryźć człowieka, zanim się do czegokolwiek zobowiąże. Zawodowo czy prywatnie.

Wchodząc w plamę słońca otrząsnął się z tych ponurych myśli. Wytrzymał surowe, pełne nagany spojrzenia Potts i Merriweather, które uprzytomniły mu, że jego decyzja, by sprowadzić do domu obcą kobietę i powierzyć jej rolę asystentki, nadał budziła podejrzenia. Świetnie wiedział, że obie kobiety nie mogą nadziwić się jego zachowaniu. Nie zamierzał jednak tłumaczyć się z czegoś, czego sam do końca nie pojmował.

Oczy mu się zwięziły, kiedy wbił wzrok w profil Constance setny już chyba raz dzisiejszego ranka. Wsiadła do powozu i starała się całą uwagę skupić na domach po obu stronach ulicy, ale nie dał się zwieść jej pozornej nonszalancji. Była w pełni świadoma jego wzroku i to ją wyraźnie peszyło.

- Kto cię tu przysłał? - Pytanie było w zamyśle retoryczne, ale Constance odpowiedziała bez wahania:

- Już mówiłam. Prawnicy ojca załatwili mi posadę w teatrze Royale.

- Przecież musieli wiedzieć, że się spalił.

- Wszystko zostało uzgodnione kilka tygodni wcześniej.

- Zaraz po śmierci pani ojca.

- Dokładnie tak.

Wsiadł za nią, a stojący przy otwartych drzwiach Birch obserwował go przez zmrużone powieki. Gideon nie raz i nie dwa niezwykle obrazowo wyrażał swoje zamiłowanie do jazdy konnej i niechęć do wszelkich pojazdów.

Kiedy powóz gładko włączył się w uliczny ruch, Gideon przyglądał się Constance ze zdwojoną uwagą.

Gdyby ubrała się przyzwoicie i ułożyła włosy w mniej powściągliwą fryzurę, jej uroda rzucałaby na kolana.

- Dlaczego ciągle gapi się pan na mnie, panie Payne?

W ciszy pytanie kobiety zabrzmiało jak wystrzał; natychmiast spłonęła rumieńcem. Nie zamierzała na głos wypowiedzieć tej uwagi i była w oczywisty sposób skonsternowana.

- Jest pani bardzo piękną kobietą - Gideon postanowił mówić szczerze - pomimo skromnego stroju i tego staropanieńskiego czepka.

Zasznurowała wargi - zdążył już przywyknąć do tego grymasu.

- Wolałabym, żeby nie mówił pan takich rzeczy! - fuknęła.

- Jakich?

- Życzę sobie, by nasza znajomość pozostała na stopie czysto zawodowej, panie Payne.

- Ja również.

- Musi pan zatem rozumieć, że wszelkie komentarze... osobistej natury są całkowicie nie na miejscu.

- Dlaczego? - Nie oparł się pokusie podroczenia się z nią. Wyglądała jak żona kaznodziei z tymi splecionymi w małą dłońmi i włosami jak u uczennicy odgarniętymi z twarzy.

Pod tym względem stanowiła przeciwieństwo Maury. Maura urodziła się z ładunkiem zmysłowości i wykorzystywała swoje uwodzicielskie talenty od chwili, w której Gideon zobaczył ją pierwszy raz.

- Panie Payne, jak już kilkakrotnie powtarzałam, wywodzę się z bardzo zasadniczej i prostej rodziny.

- To znaczy?

- To znaczy, że jestem przyzwyczajona do pewnej dozy szacunku, zwłaszcza od osób starszych.



Drgnął na tę uwagę. Starszych? To ile lat mu dawała?

- Czy w jakikolwiek sposób dałem pani odczuć, że jej nie szanuję, panno Pedigrue?

- Nie. Ale wolałabym, żeby powstrzymał się pan od wygłaszania osobistych uwag.

- A to czemu?

Znów wyglądała, jakby kończyła się jej cierpliwość, i musiał bardzo się starać, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Przekomarzanie się z tą kobietą sprawiało mu nie lada przyjemność. Znał ją niecały dzień, a jednak nauczył się już, co ma powiedzieć, żeby jej policzki oblały się szkarłatem.

- Czemuż to mam powstrzymać się od osobistych uwag, panno Pedigrue? - spytał, kiedy milczała uparcie.

- Ponieważ takie spoufalanie jest mi niemiłe.

- Jest? - spytał. - A dlaczego?

Powóz zatrzymał się powoli i Gideon zrozumiał, że odpowiedi się nie doczeka. Kiedy jednak chciał wyjść z powozu i pomóc jej przy wysiadaniu, zaskoczyła go, zatrzymując lekkim dotknięciem.

- Panie Payne, naprawdę muszę mieć pańskie słowo, że będzie pan zachowywał się w mojej obecności jak prawdziwy dżentelmen. W przeciwnym razie będę musiała nalegać na zerwanie naszej umowy. Znajdę inną pracę, żeby zwrócić panu za lustro.

- I za żyrandol.

Dwie szkarłatne plamy pałały na jej policzkach. Ślicznych policzkach. Jedwabistych.

- I żyrandol - przytaknęła.

Wiedział, że gdyby zdecydował się poddać jej cierpliwość dalszym próbom, odeszłaby i nigdy nie zaspokoiłby swojej ciekawości wywołanej jej nagłym pojawieniem się w jego życiu. Skinął głową.

- Dobrze więc, panno Pedigrue. Będę dżentelmem w każdym calu. Słowo.

Niemniej jednak nie mógł zaprzeczyć, że kiedy dotknęła go z własnej woli, tak lekko, z takim wahaniem, myśli, jakie błąkały się mu po głowie, nie były myślami dżentelmena.

Na drugim końcu przecznicy Luther Hayes zatrzymał się, zaciskając palce na złotej gałce laski. Gideon Payne. Człowiek, który ani na chwilę nie zniknął z jego myśli przez ostatnie dwa lata.

Potarł czoło, wróciło wspomnienie jego ostatniego spotkania z przyjacielem z dziecięcych lat. Gideon podszedł do niego na pogrzebie Maury i doszłoby zapewne do rękoczynów, gdyby Birch, lokaj Gideona, dosłownie nie wywłókł go siłą z zakładu pogrzebowego. Całe to zajście dało początek morzu domysłów. Nikt nie wierzył w to, że Maura zginęła wskutek wypadku, a zachowanie Gideona podczas ceremonii pogrzebowej stanowiło wodę na młyn plotkarzy.

Po dziś dzień dręczyło go poczucie winy. Kiedy Gideon zdobył względy Maury, Luther był dotknięty do żywego, ale i zrezygnowany. Nie zamierzał wdawać się w romans z żoną najlepszego przyjaciela. Ale potem Maura szukała u niego „pociechy”. Była tak piękna, tak uwodzicielska...

Wciągnął do płuc haust chłodnego powietrza, ale poczucie wstydu nie ustąpiło. Przyprawił rogi przyjacielowi od serca. Przed tym faktem nie było ucieczki.

Pozostawały jednak sprawy, o których Gideon powinien się dowiedzieć, tajemnice, których Luther dochowywał przez te wszystkie dni.

Z drugiej strony, prawda nie mogła całkowicie od-

kupić jego postępkę, po co więc teraz wdawać się w wyjaśnienia?

Ze zmarszczonym czołem obserwował, jak Gideon rozmawia z kobietą, której twarz znajdowała się poza zasięgiem jego wzroku. Następnie oboje znikli w teatrze.

„Doprowadź do konfrontacji” - podszeptywało mu sumienie. - „Wytłumacz, co cię opętało, że uległeś czarowi Maury”.

Ale, co ciekawe, choć od dawna marzyło mu się takie spotkanie, Luther stał jak skamieniały.

Czekał dwa lata, żeby podejść do Gideona Payne'a. Może poczekać jeszcze troszkę.

## 11

Constance nie do końca wierzyła w szczerść zapewnien Gideona Payne'a, ale zachowała wåtpliwoñci dla siebie. Nie zamierzała wyrywaç siã z nimi teraz, kiedy po raz pierwszy udało siã nagiãç go choç trochã do jej życzeñ. Nie wåtpiła za to, że jeśli tylko postarałyby siã o odrobinã powñciãgliwoñci, zdoła znieñç każdã niespodziankã, jakã może przynieñç reszta dnia.

Z chwilã, gdy zajechali przed teatr, skoñczył siã czas na rozwaźania. Rzemieñlnicy pojawili siã przed nimi i praca szła juź peñnã parã. Przy tych wszystkich stolarzach, scenografach i murarzach, ciãgła wrzawa unie-moźliwiãła, cokolwiek ponad najniezbãdniejszã wymianã zdañ. Gdy Gideon ruszył energicznie przez tłum robotników, usiłowała dotrzymaç mu kroku, gotowa odebraç instrukcje.

- Panno Pedigrue, u mnie na biurku znajdzie pani blok do pisania i ołówek. Proszã je przynieñç.

- Tak, proszã pana.

Popędziła w kierunku, gdzie, jak miała nadzieję, mieñciło siã jego biuro. Wczoraj, wychodząc, była tak oszołomiona, że niewielkã uwagã zwracała na otoczenie. Dzisiaj jednak z okrãgłymi oczami stãpała po bogato zdobionych, haftowanych dywanach, przypominających kwitnãce ogrody peñne róz, tulipanów i wistarii. Ściany jak okiem siãgnãç pokryte były bordowym jedwabiem, obrzeźone złoceniami i ornamentami z mo-

siądku, a sufit nad jej głową ozdobiony był misternymi malowidłami przedstawiającymi...

Stała w pół kroku i ze zdumienia otworzyła usta. Przymrużyła powieki, żeby lepiej przyjrzeć się malowidłom. Ale jakkolwiek usilnie wytężyła wzrok, dochodziła do tego samego wniosku: wszystkie, bez wyjątku, przedstawiały kobiety. Dziesiątki kobiet. Nagich.

Bezwiednie dotknęła guziczków pod szyją, jakby chciała upewnić się, że nadal są zapięte.

Ze strony foyer dobiegł jej uszu głośny brzęk; podskoczyła i śmignęła korytarzem.

Co u nieba strzeliło komuś do głowy, żeby wymalować na całym suficie teatru akty? Była pierwsza, by przyznać, że artystom przysługują pewne prawa, ale jej zdaniem ten akurat artysta posunął się za daleko. I jak miałyby do tego teatru wejść kobieta, wspierając się o ramię towarzysza, i nie poczuć zgrozy w chwili, w której ten podniesie wzrok?

Będzie musiała napomknąć o tym Gideonowi. Być może jako mężczyzna nie uświadamiał sobie niezręczności sytuacji.

Z tym postanowieniem energiczniej rozejrzała się za biurem. Dwukrotnie musiała cofnąć się kawałek, zanim w końcu znalazła właściwe pomieszczenie. Złapała kartki i ołówki i pomknęła z powrotem do foyer.

Gideon zmarszczył brwi, zniecierpliwiony tym, że zamarudziła tak długo. Poza tym poświęcał jej niewiele uwagi. Po prawdzie to zaczynała się czuć jak piąte koło u wozu, drepcząc za nim i notując polecenia dla robotników: zainstalować lichtarze, zamocować poręcze, powiesić draperie, zamówić wielkie nowe lustro do foyer.

Skrzywiła się na to ostatnie, ale Gideon nie zwracał

się do niej bezpośrednio już prawie od godziny i nie widziała powodów, by ten stan zmieniać.

Kiedy Gideon zaczął wspinać się po schodach wijących się jak serpentyna z foyer na poziom balkonów, potruchtała za nim, ignorując zaciekawione spojrzenia robotników.

Na piętrze Gideon otworzył jedno z wielu masywnych drzwi. Constance ruszyła za nim tak szybko, że kiedy raptownie się zatrzymał, o mało na niego nie wpadła. Odzyskawszy równowagę, zerknęła ponad jego ramieniem, po czym westchnęła na widok, jaki ukazał się jej oczom.

Ze środka sufitu zwisał olbrzymi żyrandol, a jego kryształowe breloki rzucały tysiące małych tęczy. Sufit pomalowano tak, by naśladował niebo w księżycową noc - lekko zachmurzone, z mnóstwem jasnych, migoczących gwiazd. W dole w lożach okalających pierwszy poziom, zastawiony wyściełanymi ławkami, ciągnęły się rzędy pozłacanych krzeseł i lśniąca drewniana scena. Aksamitne bordowe kurtyny, wykończone u dołu grubymi, złotymi frędzlami, zapętłono wokół portala sceny z całą pieczołowitością na jaką stać było głównego scenografa, zaś w skrzydłach konstrukcji grupka stolarzy pracowała nad czymś w rodzaju misternej, ażurowej altanki.

- Archie! - krzyknął Gideon, a Constance aż podskoczyła, przejęta niemal nabożną ciszą panującą we wnętrzu teatru.

Tęgawy, łysiejący człowieczek łypnął w kierunku balkonu.

Jedynym źródłem światła w pomieszczeniu był szereg lampek zapalonych wzdłuż ścian i u podstawy sceny, więc Constance wątpiła, czy mężczyzna dobrze wi-

dzi Gideona i modliła się, żeby nie widział jej. Zaczynała mieć serdecznie dość ustawicznie wlepionych w siebie oczu.

- Kiedy dekoracje będą skończone?
- Najpóźniej jutro powinny być gotowe.
- Zespół przyjedzie pociągiem późnym południem.
- Będą gotowe.

Nie kwapiąc się do pożegnania, Gideon pomaszerował z powrotem.

- Proszę ze mną, panno Pedigrue.

I znowu drgnęła, kiedy ją zawołał, ale ta reakcja przeszła niezauważona, bo kolejny pracownik Gideona wbiegał właśnie po schodach.

- Gideon! Słyszałeś najnowsze wieści? - Zatrzymał się tuż przed nimi, zadyszany. Constance natychmiast go rozpoznała - Lester Grassman. Gideon zdążył go jej rano przedstawić jako inspicjenta.

- Jakie wieści? - spytał, marszcząc brwi.
- Z Wellingtona, naszej konkurencji.

Gideon pokręcił głową.

- Popełniono morderstwo - odparł Les, odetchnąwszy głęboko, żeby trochę ochłonać.

- Morderstwo! - wykrzyknęła Constance ze zgrozą.

Les nie wydawał się urażony tym przerywnikiem. Kiwnął głową i oznajmił:

- Błędym świtem znaleźli jedną ze szwaczek. Przyszła wcześniej do pracy. Wygląda na to, że zaatakowano ją na schodach - uduszona.

Constance bezwiednie objęła się za szyję.

Les zerkał to na nią, to na Gideona, wyraźnie zastanawiając się, czy opowiadać dalej.

- Dalej, człowieku. Mówże - ponaglił Gideon.
- Na miejscu zbrodni pozostawiono wiadomość.

Gideon skrzywił się i Les dokończył pośpiesznie:

- Brzmiała: „Dla ciebie, Mauro”.

Na całym pięttrze zapanowała lodowata cisza. Constance starała się unikać wzroku Gideona, studiowała twarz Lestera, podłogę, schody. Ale niebawem przyłapała się na tym, że znowu przygląda się Gideonowi; zacisnął kurczowo usta, szczęki mu chodziły.

- Wiadomo już, kto to zrobił? - spytał głucho.

- Oprócz tej notatki - mówił Les, kręcąc bezradnie głową - nie znaleziono żadnych śladów. Ktoś z policji chce z tobą porozmawiać. Czekają w twoim biurze.

Gideon wyminął Lesa bez słowa i pośpiesznie szedł na dół.

Constance nie ruszyła się z miejsca. Czuła, że nie powinna iść za nim, ale nie wiedziała zarazem, czym zająć się do jego powrotu. Chcąc przerwać to okropne milczenie, spytała:

- Co to za dziewczyna?

- Biedna Mary MacClannahan - Les cmoknął z ubolewaniem. - Pracowała kiedyś jako... jakby to nazwać, osobista pokojowa Maury. Od samego początku jej kariery.

- Dlaczego ktoś miałby chcieć ją zabić? - spytała po chwili Constance; tak ją ścisnęło w gardle, że mówienie przychodziło jej z najwyższym trudem.

- Nie wiem - mruknął Les ze smutkiem. - Kochane z niej było stworzenie. Jestem pewny, że gdyby Maura nie zapalała do niej niechęcią, u Gideona pracowałaby w tym samym charakterze.

- A co takiego się stało, że Maura straciła do niej serce? - spytała natychmiast Constance, zainteresowana tylko tą częścią jego wypowiedzi.

- Maura oskarżyła ją o kradzież, chodziło bodajże o brylantową broszkę. - Les wzruszył ramionami. -



Klejnotu nigdy nie odnaleziono, ale postawiłbym kawałek grosza, że Mary nie przyłożyła do tego ręki. Ale Maura nie udobruchałaby się, gdyby dziewczynę ominęła kara, więc Gideon był zmuszony ją odprawić. Mimo to zapewnił jej pracę w innym teatrze.

Po tych słowach Les zakręcił się na pięcie i zniknął w drzwiach prowadzących na balkon.

Constance stała tak przez pewien czas i roztrząsała to, co usłyszała. Serce w niej drżało.

Morderstwo.

Ta biedna dziewczyna - zamordowana.

Dla Maury? Tak brzmiała wiadomość, którą przy niej znaleziono.

*Ale Maura nie żyje.*

Otrząsnęła się i zaprzestała swoich ponurych rozważań. Z westchnieniem zeszła po schodach.

Nadal nie wiedziała, co robić. Wędrowała to w tę, to w tamtą stronę, aż *znalazła* się w pobliżu biura. Tu spotkał ją kolejny wstrząs, kiedy zobaczyła kolekcję posążków ustawianych właśnie w niszach. Boże drogi! Czy jedynym motywem w tym budynku było nagie kobiece ciało?

Odwróciła oczy i stwierdziła, że drzwi do gabinetu są szczelnie zamknięte. Oznaczało to, że miała wybór między sterczeniem w holu jak jakiś posąg a zajęciem się czymś pożytecznym.

Jej wzrok padł na inne drzwi na przeciwległym krańcu holu i zauważyła, że są niedomknięte. W poszukiwaniu miejsca, w którym mogłaby poczekać z dala od ciekawskich spojrzeń, popchnęła skrzydła drzwi i jęknęła z zachwytu. Oczom jej ukazały się sterty nie dbale składowanych pod ścianami i na podłodze rekwizytów i kostiumów w takiej ilości, że do chodzenia pozostawała jedynie wąska ścieżka.

Weszła do środka. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, widząc, że jedną ze ścian zajmowały szafy, szuflady i kołki mogące pomieścić całą kolekcję kostiumów.

Niewiele myśląc, odłożyła przybory do pisania i zaczęła przeglądać multum zebranych w pomieszczeniu rzeczy pod pozorem uporządkowania ich i rozłokowania ubrań w szafie.

Czas płynął jej błyskawicznie, gdy odkrywała kolejne kapelusze, szale i przezroczyste suknie. Były i bębny, wielobarwne obręcze, brokatowe wysokie buty i mieniące się kolorami tęczy sztuczna biżuteria.

Constance zdołała już ogarnąć prawie pół pokoju, gdy poczuła nagle czyjaś obecność. Od razu wiedziała, kto stał w progu. Odwróciła się, przyciskając do piersi połyskliwy tamburynek, jakby mógł on zasłonić ją przed uważnym spojrzeniem Gideona.

Wsparł się dłońmi o framugę i nie mogła nie zauważyć, jak smukłe jest jego ciało, jaki jest szeroki w ramionach.

- Widzę, że porządnie się pani napracowała.

Z tonu jego głosu nie można było wywnioskować, czy jej samowolna decyzja posprzątania w pomieszczeniu poirytowała go, czy też nie.

- Pomyślałam sobie, że najlepiej będzie, jak się czymś zajmę.

- Mhm.

Wciąż niepewna jego reakcji, czekała na następne słowa.

- Jest pani niezwykle rezolutną kobietą, panno Pedigrue.

Jak miała niby odpowiedzieć na taki komentarz?

- Ma pani również zdolność opanowywania chaosu.

- Tak, proszę pana - wyszeptała.

- Proszę mi powiedzieć - nalegał aksamitnym głosem. - Czy tylko z zewnętrznego chaosu umie pani uleczyć?

- Nie wiem, jak mam to rozumieć. - Zmarszczyła brwi.

Wpatrywał się w nią kilka trudnych, dłużących się nieskończenie chwil z taką uwagą, że serce zabiło w niej szybciej.

- Może pewnego dnia opowiem ci o moim wewnętrznym chaosie - powiedział niewyraźnie i tak cicho, że ledwie go usłyszała. Potem wyprostował się. Jego nastrój zmienił się tak szybko, że Constance z trudem wierzyła własnym oczom. W ułamku sekundy jego mina stała się oficjalna.

- Pani pozwoli ze mną, panno Pedigrue. Skończyłem już rozmawiać z inspektorami. Sądziли, że mam coś wspólnego ze śmiercią Mary.

Constance zacisnęła kurczowo pięści. Ta wiadomość, o której mówił Lester, po prostu musiała doprowadzić policję do najbliższej rodziny Maury.

- Dzięki pani, Potts i Merriweather, miałem solidne alibi i skreślono mnie z listy podejrzanych. Muszę za to pani podziękować.

- Mnie? - powtórzyła, nie rozumiejąc.

- Gdyby nie zabłąkała się pani do mojego teatru, panno Pedigrue, pewnie nadal sypiałbym w przechowalni na górze. - Wyprostował się i dodał: - Dość się pani napracowała jak na swój pierwszy dzień. Skoro już podgoniliśmy z robotą, myślę, że najwyższy czas zająć się panią.

- *Mną?* - zawtórowała niepewnie.

Przyglądał się jej przez chwilę. Krótko, lecz to wystarczyło, by ugięły się pod nią kolana.

- Najwyższa pora, żebyśmy zadbali o pani garderobę.

- Ale...

Wbił w nią stalowe spojrzenie. Tym razem jego mi-na mówiła jasno, że protesty na nic się nie zdadzą.

- Widziałem cały asortyment pani ubrań i mówią szczerze, nie ma pani ani jednej rzeczy, która byłaby stosowna do stanowiska, które piastuje pani w moim teatrze.

- Nie mogę pozwolić, żeby mi pan kupował ubrania. Tak nie wypada - oznajmiła, nastroszona.

Westchnął.

- Już wcześniej postanowiłem dać pani oprócz pensji pewną sumkę na zakup ubrań, panno Pedigrue. Wygląd pani, jako mojej asystentki, ma ogromne znaczenie, i konieczne jest, aby miała pani kilka różnych kostiumów - do pracy, do podróży, na kolację, bankiety czy bale, jak również kilka sukni wieczorowych na przedstawienia, na które będziemy razem chodzić.

- Och. - Wbrew wysiłkom Constance zabrzmiało to cicho i pokornie.

Podszedł do niej z gracją dzikiego kota. Drgnęła, gdy ponownie uniósł jej twarz, tak by musiała spojrzeć mu prosto w oczy. Milczące minuty mijały powoli, stając się tak pełne napięcia, że Constance dosłownie zmar-twiała. W jej głowie kołatała się jedna myśl: czy teraz ją pocałuje? Tutaj, gdzie każdy mógł się na nich natknąć.

On jednak puścił ją w końcu.

- Proszę nie robić takiej wstrząśniętej minki. Nie dybię na pani cnotę. Co zaś tyczy się zakupów, proszę się nie obawiać, nie będę wtrącał się w równie delikatne kwestie jak wybór między bawełną a jedwabiem na podkoszulek dla pani.

Obruszyła się wobec tej kolejnej uwagi na tak intymny temat jak bielizna, zanim jednak zdołała wypomnieć mu jego obietnicę, dokończył:

- Myślę, że złożymy komuś wizytę. Już ona dopilnuje, żeby kupiła pani wszystko, co konieczne. - Wzrok nadal miał surowy. - Ale proszę pamiętać. Żadnych czerni. Jeżeli życzy sobie pani obchodzić żałobę, proszę czynić to w szarościach, brązach czy błękitach. Jeśli zobaczę bodaj jedną czarną nitkę, dodam wydaną przez panią sumę do pieniędzy, które jest mi pani winna.

## 12

Komentarz, który Gideon rzucił na odchodnym, sprawił, że włosy zjeżyły się Constance na głowie. „Co za wstrętny człowiek” - pomyślała, kiedy powóz przystanął przed eleganckim białym domem. „Cóż za kompletnie niesympatyczny człowiek”. Przenigdy nie spotkała nikogo, kto robiłby jej taki mętlik w głowie. Nigdy nie poznała kogoś, komu tak bardzo zależałoby na tym, żeby prowokować ją za każdym razem, mimo że zamienili dwa słowa.

Gdyby nie fakt, że miała u niego ogromny dług, z radością zniknęłaby z jego życia i...

*I co?*

Prawda, Gideonowi Payne'owi obce było pojęcie przyzwoitości, ale jakaś cząstka w niej samej - zupełnie *malutka* cząstka - kazała jej przyznać, że miał w sobie coś, co ją fascynowało. Nie umiała powiedzieć, co to takiego. Może to ten jego humor. Lub ta jego porywczosć.

*Albo jego pocałunki...*

Constance nigdy nie miała okazji, by przebywać w męskim towarzystwie. Kiedy była młodziutką, miała z tego powodu złamane serce. Marzyła o wyprawach na bale i przyjmowaniu adoratorów, ale ojciec surowo zakazywał wszelkich zbytków.

A oto i ona, w obcym mieście, w otoczeniu rodem z jej własnych marzeń - łącznie z egzotycznym, tajemniczym mężczyzną, który był odrobinę nieprzyzwoity, ale też, och, jakże przystojny!

*Constance?!*

Frywolne myśli pierzchły w popłochu, kiedy przycisnęła dłoń do serca - do serca, które ośmieliło się podszeptywać podobne rzeczy. Ten człowiek to jej pracodawca, nic ponadto. Nie mogła przecież pozwolić sobie na złudzenia, że miałyby... że mogłyby...

Pocałować się znowu i może nawet z jeszcze większym zapamiętaniem?

*Nie!*

Z rozpaczliwą determinacją skoncentrowała się na podziwianiu okolicy: rezydencji o wesołych fasadach i bulwarów, wzdłuż których rosły tuje. Ignorując siedzącego naprzeciw niej mężczyznę, ignorując jego silne dłonie, swobodnie oparte o umięśnione uda, odezwała się przez ściśnięte gardło:

- Panie Payne, czy dobrze pana zrozumiałam, że teatr otwiera się za dwa tygodnie?

- Ustaliliśmy, że ostatnie próby kostiumowe odbędą się dokładnie za dwa tygodnie od dziś. Otwarcie teatru będzie miało miejsce następnego dnia wieczorem.

Odniosła wrażenie, że w jego oczach pojawiły się podejrzanе błyski.

- Szacuję, że przynajmniej tyle czasu będzie trzeba na zakrycie miejsca, na którym miało zawisnąć lustro.

Zacisnęła wargi tak mocno, że zbiełały. Czy on nigdy nie przestanie wytykać jej tego długu?

- Z największą chęcią pomogę panu rozwiesić dodatkowy komplet draperii, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- To właśnie by pani radziła?

Wzruszyła ramionami.

- Myślałem raczej o jakimś malowidle. Zatrudniam wyśmienitego artystę, prawie skończył pracować nad sufitem.

Przed oczami stanął jej obraz nagiego ciała i krągłych, różowych kobiet przyodzianych w niewiele poza kilkoma piórami czy skrawkiem jedwabiu.

- Nie doradzałabym umieszczenia jego dzieł w foyer.

- Oo?

Siliła się na ton znawczyni, ale ku swojemu rozczarowaniu stwierdziła, że następna uwaga zabrzmiała aż nazbyt zasadniczo.

- Widziałam malowidła, które wykonał na suficie.

- Genialne, prawda?

Przyglądał się jej z uwagą i wyczuła, że próbował zastawić na nią jakąś słowną pułapkę, ale jaką?

- Sądzę, że ktoś taki jak pan może być tego zdania.

- Taki jak ja?

- Tak. Jest pan... - zawahała się, niepewna, czy powinna posunąć się dalej.

- Jaki, panno Pedigrue? - Nachylił się ku niej z rękami tak swobodnie wspartymi o kolana, że nie mogła nie spojrzeć na nie, nie zauważyć silnych, długich palców. Miał takie delikatne dłonie. Dłonie artysty. Dłonie, które potrafiły dotknąć kobiety i sprawić, by poczuła się jak bogini i...

*Dość, Constance!*

- Jest pan mężczyzną, panie Payne.

- Jestem tego w pełni świadomy, panno Pedigrue. Ale nie pojmuję, jak miałyoby to czynić mój odbiór sztuki odmiennym od pani.

- Mężczyźni są skłonni do pewnej... wulgarności.

- A mianowicie? - Ciemna brew powędrowała w górę.

- Do przywiązywania zbytnej wagi do spraw cielesnych.

- Aaaa. - Wyprostował się i oparł wygodnie. - Zatem pani zdaniem te malowidła koncentrują się na cielesności.



- Nie sędzę, żeby nawet pan mógł temu zaprzeczyć.  
- A ja sędzę, że kobieca sylwetka jest piękna.  
- Ale mógłby pan hołdować swoim upodobaniom w odpowiedniejszej ku temu scenerii niż foyer teatru.  
- A co nazwałaby pani odpowiedniejszą scenerią?  
- Może klub dla dżentelmenów albo... - Urwała gwałtownie, wiedziała bowiem, że rozmowa wypływa na niebezpieczne wody.

- Albo, panno Pedigrue?

Jego ton żądał natychmiastowej odpowiedzi, przechyliła więc dumnie głowę i oznajmiła:

- Albo burdel, panie Payne.

- A co pani wie o takich lokalach?

- Wystarczająco dużo, panie Payne, żeby dośpiewać sobie resztę.

- Będziemy zatem musieli się o tym przekonać, nieprawdaż? - Jego szeroki uśmiech był zbyt pewny siebie, zbyt protekcyjny.

Chciała właśnie zapytać, co kryje się za jego bezczelnymi insynuacjami, kiedy powóz zatrzymał się powoli. Obróciła się i wydała bezgłośny okrzyk, gdy zobaczyła cel ich podróży.

Rezydencja, przed którą się znajdowali, pomalowana była w najróżniejszych odcieniach fioleto, od głębokiej purpury po blade wrzos.

- Panie na wysokościach! - mruknęła.

- To nie lada wstrząs dla oczu, prawda? Ale zapewniam, że gust Penny jeśli chodzi o garderobę jest bez zarzutu. W godzinkę wywlecze panią z tych wronich ubrań i przebierze w coś ładnego.

Gideon wysiadł pierwszy i wyciągnął rękę.

Posapując wzgardliwie, odrzuciła jego asystę i samodzielnie zeskoczyła na ziemię. Następnie pomaszero-

wała pod same drzwi, nie zaszczycając chlebobdawcy jednym spojrzeniem.

Komentowanie braków w jej garderobie to jedno. Ostrzeżenie o wstępie do czerni to drugie. Ale to, że insynuował, jakoby jej własnym osądem nie można było ufać i zamierzał zwerbować „znajomą” do nadzorowania jej zakupów, po prostu uwłaczało jej godności. Zwłaszcza, jeśli podejrzenia Constance miały się sprawdzić, a „znajoma” okazać kobietą, z którą łączyła go przelotna miłośćka.

Niech go szlag. W nosie miała swój dług wobec niego. Tym razem prosił ją o zbyt wiele. Doprawdy o zbyt wiele.

Gideon nacisnął dzwonek i spojrzął na nią pytająco, ale nie raczyła go zauważyć. Skoro uparł się przy wyprawie po zakupy, ona zastosuje się do jego życzenia, choćby tylko ze względu na pozory. Ale nie kupi niczego, co doradzi jej ta kobieta. Ani jednej rzeczy.

Drzwi otworzyły się, ukazując wysoką, królewską kobietę o ciemnawej karnacji i orientalnych rysach. Jej twarz niemal całkowicie kryła się pod welonami i zwójkami jedwabiu, które miała udrapowane na głowie.

Constance gapiła się na nią bez słowa. To ma być osoba, która zadecyduje o jej strojach? *To? Cóż*, pan Payne wyraźnie szukał guza. Nie *zamierzała* owijać się pasami cienkiej jak pajęczyna materii, nie mówiąc już o paradowaniu z odsłoniętymi do ramion rękami i gołym brzuchem.

- Witaj, Rasha. Pani w domu?

- Tak, *sahib*. Tędy.

Constance uświadomiła sobie z przykrością, że wzięła ochmistrzynię albo też osobistą służącą za panią domu. Niemniej jednak pociągnęła Gideona za rękaw i szepnęła ze zdenerwowaniem w głosie:

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.
- Bzdury. To znakomity pomysł.

Dostrzegła w oczach Gideona błysk rozbawienia i posłała mu mrozące krew w żyłach spojrzenie. Zaczynała mieć po same uszy tego, że zachowywał się, jakby była nieustającym powodem do śmiechu. Nie po raz pierwszy użaliła się w duchu nad sobą, że w tak okropną sytuację wpakował ją zwykły kot. Bury, poznaczony bliznami po stoczonych bitwach, przegowany kocur o przyklapniętych uszach.

Poprowadzono ich istnym szpalerem dzieł sztuki przez wyłożony ciemnymi panelami korytarz. Constance z szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w niezliczoną liczbę rzeźb przedstawiających nagie postacie, porozstawianych po wszystkich możliwych niszach. Widocznie pani domu była namiętą kolekcjonerką greckich rzeźb, albo też, jak Gideon, nie dostrzegła niestosowności eksponowania równie intymnych przedmiotów tam, gdzie wszyscy mogą je zobaczyć.

- To tu - powiedziała służąca półgłosem, zatrzymując się przed podwójnymi drzwiami. - Raczą państwo chwilę poczekać.

Zniknęła w cienistym wnętrzu, następnie drzwi rozwarły się na oścież, a Rasha gestem zaprosiła ich do sypialni - do *sypialni*, na miłość boską!

Constance zachnęła się. Może i nie była lwicą salonową, ale jedno wiedziała na pewno: nikt porządny nie przyjmuje gości w buduarze.

- Gideon, skarbie!

Constance wiedziała, że wybałusza oczy, ale po prostu nie mogła się powstrzymać. Na ich powitanie wyszła najpiękniejsza kobieta, jaką Constance w życiu widziała. Wręcz eteryczna w swojej sukni ozdobionej

piórami i kwiatami z jedwabiu. W lewej ręce trzymała cygaretkę.

- Całe wieki cię nie widziałam, skarbie. Całe wieki!

Pochwyciła Gideona w ramiona, spowijając go obłóczkiem egzotycznych pachnideł, po czym odsunęła go na odległość wyprostowanej ręki, by mu się przyjrzeć.

- Kiedy wróciłeś z wyjazdu w interesach?

- Kilka tygodni temu.

Wydęła wargi.

- I nie pofatygowałeś się złożyć mi wizyty aż do dzisiaj?

- Byłem dość zajęty.

- Domyślam się - odparła, zerkając na Constance i uśmiechając się. Nachyliła się i szepnęła mu do ucha: - To nie jest dziewczyna, z jakimi zwykle...

- To nie aktorka, ani też osobista znajoma, Penny.

- Oo?

Wpatrywała się w Constance z o wiele żywszym zainteresowaniem, niż sytuacja tego wymagała.

- Jest śliczna, Gideonie. Ale musiałeś chyba zauważyć, jak bardzo jest podobna do...

Przerwał jej znowu, łapiąc ją za rękę z siłą, która mówiła jasno, kto wybiera temat rozmowy.

- Nie w tym rzecz.

Kiwnął na Constance, która zaczynała mieć dość wysłuchiwania kierowanych pod jej adresem uwag w trzeciej osobie, jakby była przedmiotem.

- Panna Pedigrue jest moją asystentką.

- Asystentką?

- Owszem.

- Ale ty nigdy nie...

- Niezależnie od moich dotychczasowych zwyczajów, w ciągu następnych kilku tygodni panna Pedigrue będzie ze mną blisko współpracować...

Penny zachichotała.

- ...i będzie potrzebowała pomocy w skompletowaniu garderoby.

- Ja myślę.

Constance spłonęła rumieńcem.

- Chciałbym ją zobaczyć w czymś żywszym.

Penny zmrużyła oczy i studiowała Constance, jakby ta była niedokończonym obrazem. Następnie obezła ją dookoła, mrużąc:

- Taak, wiem, co masz na myśli. Przy czerni jej cera nabiera zmęczonego, niezdrowego koloru. Błękity, jak sądzę. Odcienie różu. Żółć, ale tylko akcenty.

- Może obstawać przy noszeniu żałoby.

- Szkoda. - Penny rzuciła Constance kolejne spojrzenie. - W żałobie jej nie do twarzy. Nie przy jej karnacji.

- Zatem pomożesz nam? - Gideon oparł się o kominiek; wyglądał na podejrzenie zadowolonego z siebie.

- Będę zaszczycona. Mam krawcową, która szyje jak marzenie, i modystkę, która czyni cuda.

Constance zeszywniała. Nigdy nie uważała się za osobę, która potrzebowałaby „cudów”, żeby przyzwolicie wyglądać.

- Zakładam, że wyznaczyłeś na to jakiś budżet? - zainteresowała się Penny.

- Każ przysłać mi rachunki - odrzekł Gideon, wzruszając ramionami. W drzwiach jeszcze zatrzymał się i ostrzegawczo uniośł palec. - Tylko przypilnuj, żeby od razu w coś się przebrała.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, który przyprawił Constance o nerwowy dygot. Penny zachichotała i z lubością zaciągnęła się cygaretką.

- Potrafi być okropny, nieprawdaż?

- Owszem. Potrafi.

Odpowiedź Constance była tak żarliwa, że Penny uniosła brwi. Wyjątkowo cienkie brwi. Starannie wy-  
skubane i przyciemnione ołówkiem.

Szokujące. Po prostu szokujące.

- Jestem Penny. *Penny Whistle*\*?

Penny Whistle, Chyba nie mówiła poważnie?

Gdy jednak kobieta wyciągnęła do niej rękę, Con-  
stance zrozumiała, że ostatnia wypowiedź nie była po-  
myślana jako żart.

- Constance Pedigrue - odpowiedziała, odwzajem-  
niając uścisk.

- I jesteś z...

- Bostonu.

- Boston, hmm. - W oczach Penny migotały figlar-  
ne iskierki. Powtórzyła to słowo z takim rozbawie-  
niem, że Constance niepewnie przestąpiła z nogi na  
nogę. - Powinnam była wiedzieć, że Gideona usidli  
ktoś z Bostonu.

- Zapewniam, że nikogo nie usi...

- Ależ tak! Cała sytuacja jest po prostu przecudow-  
na, nie rozumiesz tego? Gideon Payne nigdy nie zada-  
wał się z nikim z pracy. Nigdy. Schlebiam sobie, że od  
śmierci jego żony jestem jedyną aktorką, z jaką nawią-  
zał znajomość, ale i tak dostawał na mój widok drga-  
wek, dopóki nie przestałam występować.

To ta kobieta jest aktorką? To znaczy, była?

- Zawsze był zamknięty w sobie, rozumiesz, co  
mam na myśli?

- Nie, obawiam się, że nie. - Constance kręciła głó-  
wą, całkowicie zbита z tropu.

\* Whistle (ang) - rodzaj gwizdka, zabawka dla dzieci (przyp. tłum.).

- Będę zatem musiała wtajemniczyć cię we wszystkie szczegóły, prawda? - Penny była wyraźnie sobą zachwycona. - Teraz jednak - zaczęła, biorąc Constance pod ramię i holując ją w stronę wyjścia - powinniśmy ruszać w drogę, nie sądzisz? Tyle przed nami zakupów i tak mało czasu.

Constance nie zdążyła zaprotestować. Zanim się zorientowała, co się stało, siedziała już w luksusowym powozie Penny. W *otwartym* powozie, pod obstrzałem spojrzeń ciekawskich przechodniów.

A tych nie brakowało: sterczeli po obu stronach ulicy, wyciągając szyje, gdy biało-złoty powóz przetaczał się obok nich. Constance była boleśnie świadoma wytrzeszczonych na nie obie oczu i skwapliwości, z jaką matki przygarniały na ich widok dzieci do spódnicy.

Cała sytuacja była kompletnie frustrująca. Constance przez większą część swojego dotychczasowego życia szczególnie pilnowała, by jak najmniej rzucać się w oczy. Bardzo wczesnie nauczyła się w domu ojca, że zwrócenie na siebie uwagi równało się wywołaniu strasznego gniewu Alexandra Pedigrue. Z niewiadomego powodu uznał córki za skłonne do grzechu i wszelkie, najmniejsze nawet zbłądzenie spotykało się ze srogą i natychmiastową karą.

Z całych sił starała się wtopić w siedzenie, na próżno jednak. Ludzie chcąc nie chcąc musieli ją zauważyć. Uświadomiła to sobie, przyglądając się Penny, rozdającej ukłony na lewo i prawo, jakby była królową Wiktoria, tyle że z nałogiem palenia tytoniu. Przed wyjściem, Penny ubrała się w elegancki płaszczyk upstrzony koralikami i frędzelkami. Czepek uwieńczony był olbrzymim pękiem czaplich piór, które po-

wiewały wesoło na wietrze, nadając jej wygląd egzotycznego ptaka.

Constance strzepnęła spódnicę. Jeśli Penny była wdzięcznym rajskim ptakiem, czym była ona sama? Wróblem?

Skrzywiła się, zła na siebie za to porównanie. Wszak nie ulegało wątpliwości, że słuszość była po jej stronie. Ona ubrana była odpowiednio na popołudniowy wypad po zakupy. Była skromna, kobieca i przyzwoita.

Sądząc jednak po ilości męskich spojrzeń, jakie przyciągała Penny, te cechy nie były w Nowym Jorku szczególnie w modzie.

Constance poruszyła się, zawstydzona. Nie powinna dbać o to, czy mężczyźni zwracają na nią uwagę czy też nie. Na jej usta cisnęło się westchnienie. Wiek - dwadzieścia pięć lat - ewidentnie czynił z niej starą pannę i nie można było nic na to poradzić. O wiele rozsądniej już było pogodzić się z wizją samotnej przyszłości i zachować swoją godność. Nie okaże się jedną z tych wiecznie onieśmiałonych kobiet, które przekonawszy się, że młodość przeminęła, zaczynają nosić ekstrawaganckie stroje i wychodzić ze skóry, żeby złapać męża.

- Bardzo to orzeźwiające, prawda? - odezwała się niespodziewanie Penny, wytrącając Constance ze smętnej zadumy.

- Co proszę?

- Wprost uwielbiam dłuższe, poranne przejażdżki. - Uśmiezek Penny był bezsprzecznie zuchwały. - Zwłaszcza kiedy wokół są mężczyźni i kobieta czuje się doceniona.

Komentarz Penny w tak niewielkim stopniu odbiegał od jej własnych myśli, że nie wiedziała, co powiedzieć. Nie sądziła zresztą, by właściwa odpowiedź w ogóle istniała. Przynajmniej nie taka, która nie wy-



magałyby zdradzenia się z własnymi odczuciami.

- To ogromnie budujące, widzieć, że ludzie nadal pamiętają moją pracę.

- Pracę?

- Na scenie.

- Och, tak. Oczywiście.

Penny zaciągnęła się cygaretką, po czym leniwie wydmuchnęła dym, unosząc do góry twarz.

- Wręcz pasjami uwielbiałam występować. Czasami straszliwie mi tego brakuje.

- To czemu pani przestała?

- *Amour*.

- Co proszę?

- Zakochałam się. - Westchnęła, a w westchnieniu tym zadowolenie przeplatało się z żalem. - Niestety, mój najmilszy zażyczył sobie, żebym ograniczyła się do kameralnych występów.

Constance oblała się purpurą.

- Moja droga! - Śmiech Penny przypominał srebrzysty dźwięk dzwonek. - Chyba od wieków nie widziałam rumieńców na kobiecej twarzy! Jakież to urocze...

- Nie jestem przyzwyczajona do tak bezpośrednich rozmów - poczuła się w obowiązku wyjaśnić Constance.

- Naturalnie, że nie. Pochodzisz z Bostonu. - Penny zachichotała i poklepała Constance po kolanie. - Ale nic się nie martw, skarbie. Mężczyźni dosłownie szaleją za taką niewinnością, możesz mi wierzyć. - Zastukała w bok powozu. - To tu, Peter!

Pojazd zatrzymał się przed masywną witryną sklepową; pomimo dużego ruchu, woźnica zdołał ustawić się przy samym chodniku.

- Poczekaj tutaj, mój dobry człowieku - powiedziała Penny, gdy lokaj w liberii pomagał jej wysiąść. Con-

stanie przemknęło przez myśl, że stroje, jakie nosili słuźący Penny, sprawiały, że wydawali się tu zupełnie nie na miejscu i rzucali się wszystkim w oczy.

- Nie zamarudzimy zbyt długo, przynajmniej tak mi się wydaje. Godzinę, góra dwie - poinformowała go Penny beztrąsko.

„Godzinę albo dwie?” - myślała z rozpaczą Constance, wlokąc się za Penny jak skazaniec.

- Panno Whistle, sądzę, że nie...

- Mów mi Penny, kochana. Darujmy sobie zbędne ceregiele.

- Ale ja naprawdę myślę, że mnie nie...

- Nie myśl, Constance. Czas na zakupy. A skoro to Gideon reguluje rachunki, korzystaj z tego.

*To Gideon reguluje rachunki. Korzystaj* - odezwał się w niej cichy głosik, który nikczemnie kusił ją, żeby wydała całe mnóstwo pieniędzy i pokazała, że pan Payne może sobie wyobrazić, że ma nad nią władzę, ale faktycznie ma ją tylko w stopniu, w jakim ona mu na to pozwalała.

Jednakże pomysł ten odrzuciła niemal w tej samej chwili, w której się pojawił. Przecież gdyby zakupy przebiegły nie po jego myśli, dodałby tę sumę do kwoty, jaką już mu była winna. Tego była pewna. Nie, będzie rozsądnie dokonywać wyboru. Nie będzie mógł jej decyzjom niczego zarzucić.

Kiedy jednak weszła do środka, zaczęła żałować, że musi zachować rozsądek. Z sobie wiadomych powodów Penny postanowiła zacząć od modystki.

Constance ruszyła w głąb sklepu. Serce zaczęło jej szybciej bić i momentalnie zaschło jej w ustach. Przyzwyczajona była do noszenia czarnych czepków z tej racji, że nadawały się zarówno na codzienny użytek,

jak i do kościoła. Ojciec żądał, żeby nakrycia głowy jego córek miały praktyczny kolor i były całkowicie pozbawione jakichkolwiek frymuśnych dodatków.

A tutaj, w tym jednym zakładzie piętrzyły się setki kapeluszy ozdobionych kwiatkami z aksamitu, miniaturowymi ptaszkami, frędzlami, koronkami i siateczką.

- Och, Penny - rzuciła Constance bez tchu.

- Wiedziałam, że ci się ten sklepik spodoba. Po prostu wiedziałam! - Penny ścisnęła jej rękę. - Jesteśmy pokrewnymi duszami, my dwie. Wyczułam to w chwili, w której Gideon cię przyprowadził. A teraz wybieraj co ci się tylko spodoba - zachęcała, gestem zapraszając do zakupów. - A potem zobaczymy, co da się zrobić, żeby dobrać suknie, buty i rękawiczki.

## 13

Czekał, aż Maura wyjdzie na dwór, chociaż wiedział, że głupotą było śledzić ją aż tutaj. Kiedy jednak zobaczył, jak wsiadała do powozu Gideona Payne'a, odczuł potrzebę, by pójść za nią, upewnić się, że naprawdę przebywała teraz w Nowym Jorku, ukrywając się w domu męża.

Usiadł w parku na ławce, z której mógł obserwować wnętrze sklepu i raz na jakiś czas dostrzec mignięcie jej sylwetki. Nie mógł się nie uśmiechnąć. Cóż to za maskaradę urządziła. Musiał użyć paru forteli, żeby odkryć, jaką rolę odgrywała przed światem. W końcu jednak zdołał ustalić, że podawała się za starą pannę z Bostonu. Za własnego sobowtóra.

A Gideon Payne okazał się zbyt głupi, by zrozumieć, że nie mogła istnieć druga piękność taka jak Maura. I nigdy, nawet za sto lat, nie będzie istniała.

Tak bardzo chciał z nią porozmawiać, dotknąć jej, choćby tylko potrzymać za rękę w ciemnym korytarzu, ale rozumiał, że to było niemożliwe. Najpierw musi udowodnić jej, że jest wciąż tak samo oddany.

Niebawem, jak głęboko wierzył, Maura usłyszy o strasliwym pożarze, jaki wybuchł w teatrze Royale. U samego początku jej kariery, właściciel tego przybytku nie chciał wypłacić jej miesięcznego honorarium za występy, powołując się na kiepską sprzedaż biletów. Maura poprzysięgła, że pewnego pięknego dnia wyrówna z tym człowiekiem rachunki.

Następnie Mary MacClannahan. Znała zbyt wiele tajemnic Maury Payne. Kiedy Maura usiłowała doprowadzić do jej zwolnienia, Gideon musiał oczywiście wtrącić swoje trzy grosze i znaleźć jej inną posadę w mieście.

Szyderczy uśmiech wykrzywił mu twarz. Ta dziewczyna na pewno już niczego nie wyśpiewa.

Co zatem teraz? Co jeszcze powinien uczynić, by dać dowód swojego uwielbienia?

Jego wzrok padł na drewniane stoisko z gazetami, oklejone plakatami i reklamami. Pewnego dnia, już niedługo, twarz Maury przyćmi wszystkie te nowo wschodzące gwiazdki i wszyscy przekonają się, co czeka tego, kto ośmieli się psuć jej szyki.

*Kto ośmielił się psuć jej szyki...*

Zacisnął szczęki i ponownie zapatrzył się w okno salonu modystki, by bodaj na krótką chwilę ujrzeć miłość swojego życia.

„Pomogę ci, jak tylko będę umiał” - złożył w duchu solenną przysięgę. - „Już niedługo. Niedługo...”

Louise Chevalier wysiadła z prywatnego wagonu, wspierając się o ramię ochroniarza.

- Chcę się z nią natychmiast zobaczyć - rzuciła półgłosem.

- Nie wolno ci tego zrobić. - Etienne ostrzegawczo ścisnął ją za rękę.

- Dlaczego nie? Jestem jej matką.

- Była małym brzdącem, kiedy widziałą cię ostatni raz. Nie możesz tak zwyczajnie wparować w jej życie i żądać, by wysłuchała twoich zastrzeżeń co do osoby Gideona Payne'a.

Zmarszczyła brwi, po czym natychmiast przyoblekła twarz w radosny uśmiech, widząc czekających

dziennikarzy i wielbicieli na placu opasanym kordone-  
nem policji.

- Jak oni się dowiedzieli, że przyjeżdżam do Nowe-  
go Jorku? - syknęła z rozdrażnieniem, chociaż równo-  
cześnie machała do nich i słała na prawo i lewo jesz-  
cze bardziej promienne uśmiechy.

- A jak się zwykle dowiadują? - spytał Etienne ze  
spokojem. - Szczerze mówiąc, ta zgraja to kolejny po-  
wód, żebyś zamknęła się w jakimś hotelu i rozważniej  
zaplanowała kolejne posunięcie. W przeciwnym razie  
twoje wysiłki zakończą się nagłówkami w kolumnach  
towarzyskich wszystkich gazet w mieście.

Z westchnieniem przyznała mu rację. Niezależnie  
od tego, jak bardzo pragnęła znaleźć się przy Con-  
stance, nie mogła niczego zrobić. Jeszcze nie teraz. Nie  
wcześniej, niż dowie się czegoś więcej o sytuacji,  
w której znalazła się jej córka.

- Dobrze więc - mruknęła, niemal nie poruszając  
wargami. - Ale jak tylko dojedziemy do hotelu, chcę,  
żebyś znalazł Constance i Gideona Payne'a. A potem  
będę chciała, żebyś upewnił się, że nasz człowiek nie  
spuści jej z oczu, dopóki nie będę mogła interweniować.

Usta Etienne'a zadrgały.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem - rzucił  
z lekka żartobliwym tonem. - A teraz zrób minę  
szczęśliwej gwiazdy i powitaj swoją publiczność.

Kiedy Constance wróciła do rezydencji Gideona, by-  
ła wyczerpana. Wieczne cienie gęstniały w alejkach  
i miasto zaczynała ogarniać atmosfera szaleńczego za-  
pamiętania się. Jak gdyby wszystko, co stateczne i przy-  
zwoite, przestawało istnieć z nadejściem nocy.

Pożegnawszy się z Penny, Constance odkryła, że le-

dwie starcza jej energii na wdrapanie się po schodach frontowych. Na szczęście lokaj otworzył drzwi, a na jej powitanie wybiegła zafrapowana pani Potts.

- Moje ty biedactwo. Wyglądasz na kompletnie wyćieżoną.

- Tak, ja...

Kobieta nie dopuściła jej do słowa. Odebrała Constance pudło z kapeluszem i poprowadziła ją do środka.

- Trzymałyśmy dla ciebie wodę na ogniu przez większą część wieczora, możesz więc pójść prosto do pokoju kąpielowego i porządnie się wymoczyć. Każę przygotować talerz kanapek i imbryk z herbatą. Załóż się, że przez cały dzień nie miałś nic w ustach!

- Nie, ja...

Kolejny raz nie została dopuszczona do głosu, więc zaniechała kończenia zdania. Pozwoliła powieść się do łazienki, gdzie pani Potts pomogła jej wypłatać się ze wszystkiego poza koszulą. Następnie, postawiwszy tacę z jedzeniem na niskim taborecie, pani Potts wyszła, a Constance przestała walczyć ze zmęczeniem.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że cały dzień spędziła przy wtórze nieustającego trajkotania - samej Penny lub kolejnych właścicieli rozlicznych magazynów. Teraz, kiedy miała dla siebie resztę wieczoru i ciszę panującą w przeobrażonej w ogród łazience, poczuła, jak mięśnie karku i ramion rozluźniają się, a na duszę spływa pokój.

Wślizgnęła się do wanny i zanurzyła w gorącej wodzie, gratulując sobie powściągliwości. Pomimo nalegań ze strony Penny, z bielizny kupiła tylko koszulę nocną, halkę i trzy pary pończoch w miejsce tych, które zaginęły razem z kuframi. Następnie zdecydowała się na dwie białe bluzki, granatową spódnicę do pracy,

prostą zieloną wełnianą suknię podróżną i fioletowy sweterek z wełny merynosów na specjalne okazje. Oprócz dobrania wstążek, którymi można było zmyślnie ozdobić fryzurę, dokupiła jeden jedyny kapelusik. Słomkowy, z szerokim rondem, obrzeżony koronką.

Zważywszy na morze towarów, spośród których musiała wybierać, nawet Gideon nie powinien oskarżać jej o rozrzutność.

Gdzieś w głębi domu wybuchło zamieszanie. Dobiegł ją odgłos kroków na schodach, trzaskanie drzwiami, ciche nawoływania. Ale zignorowała to wszystko, leniwie rozkoszując się strumieniem gorącej wody.

Kiedy skończyła chlapanie się i umyła włosy, skórę miała pomarszczoną jak rodzynka, ale wcale się tym nie przejmowała. Nietrudno byłoby jej przywyknąć do takich luksusów.

Pani Potts zostawiła dla niej przyzwoity bawełniany szlafrok, który wisiał na oparciu krzesła. Constance była pewna, że jej bagaże dostarczono już do rezydencji i założyła szlafrok na gołe ciało, nie kłopotząc się o halki. Gdy tylko dotrze do swojej sypialni, założy nową bieliznę i świeżo kupioną, cienką, bawełnianą koszulę.

Zebrawszy porozrzucane po podłodze części garderoby, przycisnęła je do piersi i ruszyła przed siebie na palcach. Zawiasy zgrzytnęły cicho, gdy wychodziła na korytarz. Skuliła się, patrząc na ciemną, pustą kuchnię. Zerknęła na zegar i przekonała się, że zamknęła się w łazience prawie na dwie godziny.

Cieszyła się, że nie ma nikogo w pobliżu. Nie chciała mieć świadków, że tak długo zamarudziła z kąpielą. W przeciwnym razie z pewnością dostałaby reprimendę za zaspokajanie hedonistycznych zachcianek. Ojciec dostałby białej gorączki, gdyby ona czy któraś



z siostr poświęciła na ablucje więcej niż kwadrans. Naturalnie Constance nigdy nie odczuwała pokusy, żeby dłużej siedzieć w zimnej, blaszanej miednicy, która zastępowała im wannę.

- Tu pani jest.

Niski głos tak zniecka przeszył ciszę, że Constance aż podskoczyła i obróciła się na pięcie, niemal tracąc przy tym równowagę.

- Pan Payne! - Przycisnęła mocniej do piersi czarna suknię i cieniutkie halki niczym zaimprovizowaną tarczę. Ku jej przerażeniu, ta czynność sprawiła, że jedna pończocha wyslizgnęła się spomiędzy ubrań i spadła na podłogę, następny w kolejności był czepek, a za nim upadł gorset.

Policzki ją zapiekły. Zniosłaby, gdyby ten człowiek przyłapał ją na wymykaniu się chyłkiem do pokoju, ale zostawić za sobą szlak z intymnych części garderoby, no, to po prostu horror!

- Miło spędziła pani dzień?

Pytanie zawisło w powietrzu. Constance milczała chwilę, ujął ją bowiem jego głos, cichy, lecz znamionujący ukrytą siłę.

- Raczej tak.

- Raczej.

Natychmiast pożałowała tej nijakiej odpowiedzi, ale nie uważała, żeby roztropnie było z jej strony obnosić się z przesadnym entuzjazmem, jako że jej pracodawca - zupełnie jak jej ojciec - mógłby zacząć żałować, że tak szybko rozstał się ze swoimi pieniędzmi.

- Czas zleciał mi bardzo przyjemnie.

- W jakim sensie?

- Penny jest wielce zajmująca.

- To znaczy?

Constance nie miała bladego pojęcia, jakiej odpowiedzi oczekiwał.

- Jest bardzo... żywiołowa.

- Pani tego nie pochwała?

- Przeciwnie. Jest uroczą towarzyszką.

- Są takie kobiety - zaczął, mrużąc oczy jakby nie wierzył jej zapewnieniom - które nie zgodziłyby się spędzać czasu w jej towarzystwie.

- Nie wierzę, by to mogła być prawda.

- Penny występowała kiedyś w teatrze.

- Tyle to już sama powiedziała. Ale nie rozumiem, co w tym złego?

- Nie rozumie pani, hmm. - Ruszył w stronę Constance.

- Czyli nie potępia pani jej wielkiej miłości do teatru?

- Nie wierzę w żadne staroświeckie bzdury, jakoby aktorki były kobietami lekkich obyczajów.

- Nie?

- Absolutnie. Tylko dlatego, że wybrała zawód polegający na oddawaniu się fantazjom ma być oceniana tak surowo. Moim zdaniem podobne reakcje są równie irracjonalne, jak okrzyknięcie pierwszych powieściopisarzy kłamcami i heretykami, ponieważ ich proza nie opierała się na ich własnych doświadczeniach życiowych.

- Można by pomyśleć, że nieraz zastanawiała się pani nad tym problemem.

Constance miała odpowiedź na końcu języka, zawahała się jednak. Czyż mądrze byłoby wyjawiać temu człowiekowi, że jej samej marzyły się „deski teatralne”? Ze wielokrotnie zastanawiała się nad ucieczką z rodzinnego domu? Że gdyby nie jej młodsze siostry, nie czekałaby tak długo, by podążyć za marzeniami o lepszej przyszłości?

Gideon Payne nadal przyglądał się jej spod zmrużonych powiek.

- To jeden z wielu kaprysów świata, który rzucił mi się w oczy, panie Payne - odparła wymijająco.

- Lubi sobie pani podyskutować, co?

I znów zawahała się, żeby nie powiedzieć zbyt dużo, wyjaśniając, że ojciec uważał ją za osobę samowolną i impulsywną, a jej opinie - za nadto szczere.

- Myślę, że jest o wiele za późno na podobne dialogi, panie Payne.

- Bez wątpienia pada pani z nóg...?

- Tak, proszę pana. Można tak powiedzieć. Pańska znajoma miała mnóstwo zapału i przeciągnęła mnie przez wszystkie nowojorskie salony mody.

- To zapewne powód, dla którego skłonna była pani zarzucić swą zwykłą rezerwę i tak beztriosko wydać moje pieniądze.

Zrobiło się jej potwornie gorąco, a chwilę później nadeszły myśli, które sprawiły, że oblała ją fala zimna. Nie powinna była kupować dwóch bluzek. Jedna by wystarczyła, a czepek, który przywiozła z Bostonu, aż nadto zaspokajał jej potrzeby.

- Przepraszam - wyszeptwała.

Podczas całej tej wymiany zdań Gideon nie przestawał się przysuwać, aż w końcu dzieliła ich odległość niecałej stopy. Kiedy schylił się i podniósł jej gorset, myślała, że padnie trupem.

- Nie musi pani przeproszać. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę pani sprawunki. Poza tym jestem przekonany, że pani praca w przyszłości okaże się warta wydanych dziś pieniędzy.

- Tak, proszę pana - szepnęła żałośnie.

Położył gorset na stercie ubrań i musnął jej policzek.

- Niech się pani nie zamartwia, panno Pedigree.

Mam więcej pieniędzy niż Pan Bóg i nie mam obiekcji, by ich częśćkę przeznaczyć na panią.

Jak niby miała zareagować na ten komentarz?

- Właśnie dlatego w ogóle postarałem się dla pani o towarzystwo Penny Whistle. Wiedziałem, że namówi panią na większe wydatki.

Constance, Bogu dzięki, zdołała oprzeć się namowom Penny, by wydać jeszcze więcej pieniędzy Gideonowi Payne'owi. Mogła sobie tylko wyobrazić, jaką burę dostałaby w przeciwnym wypadku. A potem uświadomiła sobie, że trudno jej myśleć o czymkolwiek, poza ciepłym kciukiem muskającym jej kość policzkową.

- Ile ma pani lat, panno Pedigrue?

Żałowała, że o to zapytał. Była o wiele za stara, żeby drzeć pod jego dotknięciem.

- Odnoszę wrażenie, że już przeprowadziliśmy tę rozmowę.

- Tak. Ale nie udzieliła mi pani konkretnej odpowiedzi.

- Jak mówiłam wcześniej, prawdziwy dżentelmen nigdy nie żądałby tej informacji.

- Mam to gdzieś. Chcę wiedzieć.

- Dwadzieścia pięć, proszę pana - odparła niechętnie, bo nie widziała możliwości uniku.

- Troszkę poszliśmy w odstępkę, правда?

Zgrzytnęła zębami, mimo starań, by panować nad złością.

- Trudno mi powiedzieć, proszę pana.

- Coś podpowiada mi, że nie nawykła pani do ładnych rzeczy, że nikt pani nie pobłażał.

- Mój ojciec nie był skłonny do... pobłażliwości pod żadnym względem.

- A to szkoda. Kobiety, taką jak pani, powinno się psuć

najróżniejszymi drobiazgami. Jest pani bardzo piękna.

Te ciepłe słowa podziały na nią jak mocne wino: buzowały we krwi i trudno jej było nie stracić głowy.

- Naprawdę nie myślę, żeby powinien pan...

- Nie myśl. - Przycisnął palec do jej ust. - Żadne z nas nie powinno myśleć. - Słowa te kierował bardziej do siebie niż do niej.

Nachylił się, położył dłoń na jej karku i przyciągnął do siebie. Gorące wargi brutalnie zetknęły się z jej ustami, domagając się natychmiastowej reakcji - reakcji, której nie umiała powstrzymać. Przytuliła się do niego, wspierała na palce, rozkoszując się żarem, który ogarnął jej ciało. Doznaniem, które porażało jak piorun.

Gdy język Gideona wślizgnął się do jej ust, to wtedy ona uczyniła pieszczotę jeszcze śmielszą. Ona zbadała każdy zakątek jego ust. Była zdumiona własną zuchwałością, ale też i dość szczerą wobec siebie, by przyznać, że marzyła o tej chwili, od kiedy rano spotkała się z Gideonem. Chciała poczuć jego ciało tuż przy swoim. Poczuć przez cienki materiał jego dłonie błądzące po jej plecach i biodrach. Chciała, żeby dotyknął jej rąk sprawił, by poczuła się ładna i bezcenna. Pragnęła poczuć, że żyje.

Gideon uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Ciemności nie pozwalały jej stwierdzić, jaki miał wyraz twarzy, ale jego urywany oddech i mocno zaciśnięte na jej ciele dłonie napełniły ją niejasnym poczuciem tryumfu.

- To niebezpieczna sytuacja, Constance.

Serce w niej zadrżało wobec czułości, z jaką wymówił jej imię.

- Dlaczego?

- Nie jestem typem człowieka, któremu powinnaś pozwalać się całować. Jak sama wcześniej zauważyłaś,

nie jestem dżentelmenem. Nigdy nie przywiązywałem wagi do konwenansów. Jestem przyzwyczajony brać to, czego chcę, i mieć gdzieś konsekwencje. Nie powinnaś wplątywać się w taką sytuację.

- Odnoszę wrażenie, że już ustaliliśmy, że jestem dorosła. A jako osoba dorosła, mogę decydować sama o sobie.

- Do cholery, Constance - rzucił ochrypłe. Zmarszczył czoło, w jego pozie pojawiło się coś groźnego i nieobliczalnego. - Nic o mnie nie wiesz. Niczego nie wiesz o tym domu i wydarzeniach, które miały w nim miejsce. Gdybyś wiedziała, czmychnęłabyś gdzie pieprz rośnie.

- Wiem, że wyglądam jak twoja zmarła żona - powiedziała odważnie.

- Skąd... - zaczął, nieruchomiejąc.

- Nie sądziłeś chyba, że da się to ukryć - wpadła mu w słowo. - Ludzie gapią się na mnie od chwili, w której pojawiłam się w mieście. Wcześniej czy później musiało mi się udać złożyć fragmenty tej układanki.

Zsunął dłonie na jej ramiona. Potrząsnął nią lekko.

- A więc myślisz, że widzę w tobie namiastkę Maury?

- Czyż nie tak właśnie jest, Gideonie? - wypowiedziała swoje najskrytsze obawy, czując w sercu ukłucie bólu.

Mocniej wbił palce w jej ciało, ale milczał.

- Kiedy na mnie patrzysz, kiedy mnie dotykasz, kiedy spierasz się ze mną, widzisz Maurę?

Ze ściśniętym żołądkiem czekała na odpowiedź. Czekala, żeby zapewnił ją, że jest niepowtarzalna. Że wszystkie podobieństwa do jego żony nie mają najmniejszego znaczenia.

, Kiedy jednak cofnął się o krok, opuściwszy ręce, in-

stynktownie wiedziała, że takiego pocieszenia nie usłyszy.

- Tak. Widzę w tobie Maurę. Słyszę ją w twoim głosie. Czuję jej smak na twoich wargach. Od zaciągnięcia cię do łóżka powstrzymywało mnie jedynie to, że nie wiedziałas o istnieniu mojej żony.

Constance nie była przygotowana na taką klęskę. Na żal i niejasne poczucie krzywdy. Na niemal dotykalne uczucie odrzucenia.

Dla tego człowieka była niczym. Niczym, zaledwie pracownicą i namiastką innej kobiety. I nigdy nie miała stać się kimś więcej.

Zaczęła się trząść z furii, rozczarowania i poczucia straty. Kiedy już zaczynała się obawiać, że to drzenie pozbawi ją resztek sił, Gideon cofnął się jeszcze. I jeszcze.

- Zapomnij, że to powiedziałem. Zapomnij, że w ogóle coś mówiłem - warknął przez zaciśnięte zęby. Pokłonił się jej sztywno. - Kolejny raz wystąpiłem przeciw dobrym obyczajom. Dobranoc, panno Pedigrue. -

Następnie wtopił się w ciemności tak szybko, jak wcześniej się z nich wyłonił.

Przez kilka minut Constance czekała, pewna, że zaraz wróci. Nie mógł jej tak zostawić. Nie mógł wyrzucić z siebie takich wyznań, a potem opuścić ją, zanim podjęła próbę uleczenia zranionej dumy. Powinna mieć szansę nazwania go łajdakiem, wyrzucenia mu jego niesprawiedliwości, domagania się przeprosin.

On jednak nie kręcił się w pobliżu i do kuchni nie wrócił.

Mrugając oczami, do których cisnęły się łzy, pozbiegała rozsypane rzeczy i wbiegła po schodach. Gwałtownie otworzyła drzwi do Brzoskwiniowego Pokoju, rzuciła ubrania na krzesło i, wykorzystując słabe światło lichtarzy w holu, zapaliła własną lampkę.

Dopiero wtedy zatrzasnęła ciężkie, drewniane drzwi i oparła się o nie plecami, zaciskając mocno powieki.

Nie pierwszy raz żałowała, że w ogóle spotkała Gideona Payne'a, że miała u niego dług. Jakże bowiem ma teraz dla niego pracować? Przy każdym ich spotkaniu w jej duszy panował chaos. Sądziła dotychczas, że ta reakcja z czasem ustąpi, ale dzisiaj, gdy jej dotykał, całował, doszczętnie straciła głowę.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie.

Przed wyjazdem do Nowego Jorku jedynym mężczyzną, jaki wziął ją kiedykolwiek za rękę czy szczypanął w policzek, był ojciec. Podczas tej feralnej podróży całowano ją, zaczepiano, składano propozycje. Te niezręczne lub nachalne zaloty budziły w niej dotychczas jedynie rozdrażnienie.

Do czasu, gdy Gideon pogłaskał ją po policzku, jakby była kobietą godną miłości.

A jej pulsowało w skroniach, oddech się rwał. Gdyby dłużej nalegał, nie umiałyby mu się oprzeć.

„Chociaż przez cały czas myślał o Maurze, wykorystując mnie jako jej namiastkę”.

Constance otarła łzy, które popłynęły po jej twarzy. Nie mogła teraz tego roztrząsać. Nie mogła też pozwalać sobie na pensjonarskie mrzonki, że - z czasem - zdołałaby tego mężczyznę uleczyć i sprawić, by zapomniał o utraconej żonie.

Nie. Nie wolno jej angażować się uczuciowo. Musi zachowywać się chłodno i obojętnie i, w miarę możliwości, dać się całkowicie pochłonać służbowym - i tylko służbowym - sprawom. W przeciwnym razie jej przymusowa praca stanie się w przeciągu następnych kilku miesięcy nie do wytrzymania.

Constance odetchnęła głęboko, nakazując tłukące-



mu się w piersi sercu powrócić do zwykłego rytmu.

Nie dopuści do tego, żeby Gideon Payne ją skrzywdził, powtórzyła sobie w duchu raz jeszcze, ocierając resztki łez.

Będzie silna.

Niewzruszona.

Zrównoważona.

Kiedy już podjęła tę decyzję, rozejrzała się dookoła. Zamrugała powiekami. Patrzyła.

Cały pokój wypełniony był pakunkami, pudłami na kapelusze, walizeczkami, kuframi i najróżniejszymi kobiecymi akcesoriami.

- To jakaś pomyłka - wyszeptała Constance, rozpakowując pierwszą z brzegu paczkę. Kiedy ujrzała do bry tuzin pończoch ze wzorkiem na kostce, do tego w odcieniach bladego różu, żółci, błękitu i koloru brzoskwiнового, zmarszczyła brwi. Nigdy nie zamówiłaby czegoś w tak niepraktycznych kolorach, chociaż Penny upierała się przy...

*Penny.*

To wszystko sprawa Penny. Constance biegała od pudła do pudła, wyjmując cieniuseńkie, powiewne halki, wysokie buty, pantofle, klapki, przeróżnego rodzaju suknie, morze kapeluszy.

Kiedy Constance odmówiła zakupienia rzeczy, które jej doradzano, Penny tłumaczyła, że niepotrzebnie tak liczy się z groszem, wydawała się wręcz poirytowana uporem podopiecznej. Później jednak, już podczas wizyty w drugim sklepie, nastrój Penny uległ magicznej wręcz poprawie. Constance zakładała, że kobieta wreszcie postanowiła zastosować się do jej życzeń. Dopiero teraz wyszło na jaw, że aktorka zamawiała przeróżne artykuły bez jej, Constance, wiedzy.

Przycisnęła dłonie do pałających policzków. Nic dziwnego, że Gideon Payne pytał, czy jest warta poniesionych wydatków. Musiał ją uważać za niewiarygodnie nieodpowiedzialną osobę. A potem, kiedy ją pocałował, a ona chciwie odpowiedziała na jego pieśczoły, przypuszczał zapewne, że zamierzała mu... „podziękować”. W naturze.

Nie. Nie, nie, nie! Nie może dopuścić, by żył w tym przekonaniu. Zwłaszcza teraz, kiedy zmusiła go do wyznania, że chętnie pozwoliłby jej zająć miejsce Maury i zostać jego kochanką.

Wyciągnęła rękę w kierunku okrągłej klamki, gotowa pobiec przez cały dom, odszukać go i wyjaśnić, że tych ubrań nie zamawiała. Kiedy jednak poczuła pod palcami chłodny mosiądz, znieruchomiała.

Nie. Nie dziś wieczorem. Zbyt wiele słów już padło, zbyt wiele rozwiało się tajemnic, zbyt wiele emocji kosztowała ich oboje ta sytuacja.

Wytłumaczy mu wszystko z samego rana, wyjaśni, że oboje unieśli się niepotrzebnie przez te jego domysły, że niby swoim zachowaniem chciała odwdziaczyć się za jego hojność.

Tak. Wyjaśni mu. Jutro. Kiedy mrok nie będzie wydawał się jej tak niepokojący.

Tak kuszący.

I nagle przypomniała sobie, dlaczego tak ważne było, by trzymała się od Gideona Payne'a jak najdalej.

Gideon spędził godzinę na werandzie na tyłach domu, siedząc w jednym ze starych, drewnianych foteli bujanych, odziedziczonych po kobiecie, która zastępowała mu matkę. Zamykając oczy, przywołał obraz Elizabeth Kincaid, kiedy pewnego rześkiego styczniowego ranka powiedziała mu, że będzie mieszkał razem z nią, mężem i dziećmi, a nie w sierocińcu w Buffalo.

Gideon, rzecz jasna, podejrzliwie odniósł się do tego pomysłu. No, bo jakże to tak? Jaka rodzina chciałaby przysposobić nastoletniego wyrostka? Ale Elizabeth umiała wprowadzić go do grona domowników, jakby był jej rodzonym, odzyskanym po latach synem. Gideon pewnie zostałby na farmie Kincaidów do końca swoich dni, gdyby Elizabeth nie zmarła tuż po jego osiemnastych urodzinach, pozostawiając mu w testamencie ten fotel - i wspomnienia wielu szczęśliwych dni.

Z westchnieniem pomyślał, że Elizabeth byłaby wstrząśnięta i pełna odrazy dla jego ostatnich postępków. Chociaż z czasem przyzwyczała się do najdzikszych nawet psot Gideona, jak i ośmiu własnych synów, zawsze napominała ich surowo, że damom należy się szacunek.

Każdej damie.

Nawet jeżeli taka dama wyglądała jak Maura i doprowadzała go do szaleństwa.

Odpychając się od ziemi czubkiem buta, Gideon zakłósał fotelem. Gapił się w ciemności i dumał, dlaczego

go Constance niczym tornado wdarła się w jego życie. Miał się za człowieka spokojnego, racjonalnego. Ona jednak sprawiała, że cały rozsądek wietrzył mu z głowy. Kiedy był blisko niej, zapominał o etycznych i moralnych zasadach, i myślał tylko o jednym.

### *Posiąść ją.*

Skrzywił się, gdy ta myśl przemknęła przez jego rozgorączkowaną głowę. Nagle zrozumiał, że zbyt długo krąży wokół prawdy. Próbował sobie wmówić, że Constance jest jedynie ciekawostką, zagadką, którą chciał rozwiązać. Jego zainteresowanie nią jednak miało o wiele głębsze podłoże niż jej powierzchowne podobieństwo do Maury - niezależnie od tego, co powiedział dzisiaj Constance.

Oparł wygodnie głowę i zasłuchał się w znajome zgrzytanie i pojękiwanie fotela. Nie mógł się nadziwić, jak bardzo jego dom zmienił się w przeciągu zaledwie dwóch dni. Damskie fatałaszkę porozrzucane były po sali kąpielowej, w powietrzu unosiła się lekka woń perfum. Donoszono paczki z zakupami, poszły w ruch żelazka, którymi prasowano fartuszki i szarfy. Nawet Potts i Merriweather wydawały się zadowolone, gdy krzątały się to tu, to tam, przygotowując rezydencję „na przyjęcie damy”.

Gideon uderzała wyjątkowość tej sytuacji. Przez ostatnie dwa lata nie potrafił zdobyć się na to, by przestąpić próg rezydencji czy zacząć prowadzić „ustatkowane” życie jak mężczyźni po trzydziestce przystało. Unikał towarzystwa kobiet, całkowicie poświęcił się pracy i trzymał z dala od jaskiń hazardu, klubów strzeleckich i tym podobnych. A wszystko to po to, by pogrzebać wspomnienia o Maurze i jej zdradzie. A teraz siedzi sobie na werandzie, zadowolony kołysze się na

fotelu i jest zupełnie tak, jakby znowu był żonaty.

Egoistycznie przypuszczał, że obecność krzątającej się po rezydencji kobiety była głównym powodem zmiany jego nastroju. Znikło poczucie osamotnienia, wrażenie, że czegoś mu brak, które odczuwa się w domu mężczyzny, dopóki nie pojawi się w nim kobieta. Wir domowych czynności ucichł i Gideon przyłapał się na tym, że chciałby, by ta sytuacja...

*Trwała?*

Nie było na to najmniejszej nadziei. Nie po tym, jak wyrzucił z siebie ten stek bzdur, że widzi w Constance jedynie sobowtóra żony. Prawdopodobnie Constance nie odezwie się więcej do niego, nie wspominając o tym, żeby pozwoliła się pocałować.

Z grymasem na twarzy rozmyślał nad tą stratą. Nie planował odezwać się do niej w taki sposób - wiedział, że ją zranił. Poczł jednak nieodparty wewnętrzny przymus, by ostrzec ją przed sobą, w pełni jej uzmysłwić własną sytuację, nawet jeśli nie umiał i nie chciał z tej kobiety całkiem zrezygnować. Nie był naiwnym młokosem, który mógłby wdychać do niej ukradkiem. Nie był też nieskazitelny dżentelmenem, który latami czekałby na ukojenie swoich żądz. Nie mógł się o tę kobietę starać, a już z pewnością nie mógł jej poślubić.

Wykluczone. Może i czerpał pewną przyjemność z pojawienia się kobiety w domu, ale nie zamierzał ponownie się zenić. Nie w tym życiu.

Niemniej jednak, nie miałby nic przeciwko posiadaniu kochanki. Byłby skłonny kupić Constance dom, gdyby zgodziła się na taką propozycję.

„Nie zgodzi się. Nie po tym, co powiedziałem w kuchni”.

Nie. Constance była kobietą rozsądną. Ochoczo

zgodziła się zostać jego asystentką, by spłacić swój dług. Gdyby zgodził się zwolnić ją od tego ciężaru, być może zaczęłaby w nim widzieć mężczyznę, a nie tylko szefa.

„Wątpliwa sprawa. Najpewniej splunęłaby mi prosto w twarz na samą aluzję”.

Ale na pocałunek odpowiedziała. Wiedział, że ją pociągał, że umiał budzić w niej namiętność.

„Czy chwila pożądania mogłaby sprawić, by zapomniała o tym, jak jej zdaniem powinna zachowywać się porządna kobieta?”

Możliwe. Gdyby zdołał znów ją objąć, pocałować, całkiem możliwe, że odsłoniłaby się na tyle, by można z nią szczerze porozmawiać. Mógłby jej pokazać, jakie przyjemności płyną z tak bliskiego związku. Mógłby złożyć u jej stóp świat, który pragnęła poznać. Jeździłiby po luksusowych lokalach, żyjąc jak para zamożnych arystokratów. Może nawet przekonałby ją, żeby zgodziła się występować.

Wargi powoli układały się mu w błogim uśmiechu. Tak. Już wiedział, co robi.

Wstał, przeciągnął się i ziewnął szeroko. Jutro przystąpi do realizacji planu. Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby Constance zapomniała o swoich purytańskich zasadach.

Mimo to nie był aż tak naiwny, by przypuszczać, że panna Pedigrue ochoczo zgodzi się zostać jego kochanką. Skądże znowu. Pochodziła z Bostonu. Wpajano w nią te wartości moralne, których Gideon wyrzekł się w bramie sierocińca. Ale płonął w niej ogień, który z pewnością można wykorzystać do zastawienia pułapki. Nie była stworzona do statecznego życia, choć lubiła tak o sobie myśleć.

Pozostawało mu jedynie znaleźć sposób, by ją o tym przekonać.

Kiedy Constance się obudziła, jej wzrok padł na stopy sukni, szali i butów. Jęknęła boleśnie, bo uświadomiła sobie, że nie będzie jej dane zapomnieć o wczorajszym problemie - jak przekonać Gideona, że nie była pazerną intrygantką, która poprzysięgła sobie obłupić go z jego fortuny.

Pocierając dłonią oczy, zastanawiała się, co będzie najrozsądniejsze.

Mogłaby zejść na śniadanie w starym ubraniu.

Ale on robił się taki nieznośny, kiedy widział ją w czerni.

Nie było innego wyjścia. Będzie musiała założyć jedną z kupionych sukni. Mogła przynajmniej, pomyślała, odrzucając kołdrę, wybrać możliwie najskromniejszy kostium. Założyła jedną z zamówionych przez siebie bluzek i prostą spódnicę z tafty. Nawet pan Payne nie skrytykuje jej za taki zestaw.

Niestety, po prawie półgodzinnym poszukiwaniu była zmuszona pogodzić się z tym, że skromne bluzki i spódnice po prostu wyparowały. Najwyraźniej Penny Whistle całkowicie wzięła sprawę w swoje ręce i wycofała zamówienie samej Constance.

A niech to licha. I co miała teraz zrobić?

Z ponurą miną raz jeszcze przejrzała garderobę, decydując się na kostium z białej piki, falbaniastą bluzkę w biało-czarne paski i czarne wysokie buty. Brutalnie poskromiła włosy, upinając je w dwa ciasne warkocze, które zwinęła w koczek tuż nad karkiem, następnie nasadziła na głowę mały czarny czepek i podpięła go hebanową szpilką.

Odnosiła niejasne wrażenie, że jeśli zabawi bodaj chwilę dłużej, ogarnie ją pokusa, by na dobre zabarykadować się w pokoju, więc energicznie otworzyła drzwi.

- Dzień dobry, panno Pedigrue.

Serce w niej podskoczyło, gdy zobaczyła czekającego przed drzwiami Gideona. Opierał się leniwie o ścianę, z niedbale skrzyżowanymi nogami, jakby czekał od dawna i był przygotowany na jeszcze dłuższe oczekiwanie.

- Jakże się cieszę, że zdecydowała się pani dołączyć do mnie.

Wyczuła cień dezaprobaty w jego głosie i natychmiast zeszywniała.

- Przepraszam, jeśli kazałam panu czekać. Ale nie sprecyzował pan, o jakiej porze mamy się spotkać.

- Nie. Nie sprecyzowałem. - Kiwnął palcem, nakazując jej podejść. Kiedy znalazła się na środku holu, zatrzymał ją gestem. Następnie obszedł ją dookoła, przyglądając się uważnie elementom jej stroju.

Constance poczuła, że zaczynają ją szczypać policzki. Może i miała wobec niego zobowiązania, ale nie znaczyło to, że miał prawo przyglądać się, jakby była jakimś bibelotem, nad którego kupnem właśnie się zastanawiał.

- Bardzo ładnie, panno Pedigrue - chociaż widzę, że znowu zdołała pani przemycić do stroju trochę czerni.

- W tym sezonie panuje moda na ten kolor.

- Tylko dlatego, że królowa Wiktorja, która dyktuje, co szlachetnie urodzone kobiety powinny nosić, także jest w żałobie.

Constance zdziwiła się w duchu, że stać go na taką przenikliwość. Niemniej jednak fakt, iż jej dzisiejszy strój zyskał w jego oczach uznanie, sprawił jej przyjemność.

- Mądrego dokonała pani wyboru, panno Pedigrue.



Wygląda pani elegancko - dokładnie czegoś takiego oczekuję od mojej asystentki.

Komplement napełnił ją nieoczekiwaną słodyczą, wprawiając jej serce w jeszcze większe drżenie. Zadry, jakie nosiła w sercu od wczorajszego wieczora, przestały kłuć tak boleśnie.

- Ma pani lepszy gust, niżbym się spodziewał.

Uśmiech, który błąkał się po jej ustach, zniknął.

- A czego się pan spodziewał?

- Czegoś w typie matrony. - Wzruszył ramionami.

Zasnuowała usta, powstrzymując się od kaśliwej odpowiedzi. Kiedy już wystarczająco ochłoneła, spytała:

- A cóż takiego miałyby nosić „matrona”?

Nadal przyglądał się jej uważnie, zwracając o wiele większą uwagę na mocno ściągniętą gorsetem talię i dopasowany żakiet, niżby sobie tego życzyła.

- No, wie pani. Nudne spódnice i białe bluzki. Jeden czepek na wszystkie okazje.

Drgnęła, piorunując go wzrokiem, pewna, że wiedział, co zamówiła, i teraz naśmiewa się z niej. Ale wydawał się zupełnie szczerzy. Aż nazbyt szczerzy. Jak gdyby podsumował jej charakter, sklasyfikował go jako nieciekawego, a teraz szukał dowodów na poparcie swojej tezy.

- Nie przypuszczałbym, że jest pani dość śmiała, by wykupić wszystkie najnowsze modele w dystrykcje.

Kolejna aluzja do jej rzekomej ekstrawagancji.

- Odnoszę wrażenie, że zaszła pewna pomyłka.

- Och, doprawdy? Czyżby mieli dostarczyć kolejną turę sprawunków?

- Skądże znowu - zachnęła się. - Gwoli ścisłości, te rzeczy - machnęła ręką w kierunku swojej sypialni - nie są moje.

- Wydają się pasować. - Oczy miał zwężone. I zno-

wu sprawiał wrażenie jak gdyby całkowicie był pochłonięty okolicami jej klatki piersiowej.

- Nie o to mi chodzi.

- Proszę zatem wyjaśnić.

- Wczoraj Penny obwiozła mnie po swoich krawcowych i modystkach.

- Jak widać.

- Tłumaczyłam pani Whistle nie raz i nie dwa razy - zaczęła, piorunując go wzrokiem - że będę pracować jako pańska asystentka i dlatego będę potrzebowała bardzo skromnej garderoby.

- Jakaż to zapobiegliwość z pani strony.

- Zapewniam pana, panie Payne - odparowała, wyuczując sarkazm w jego głosie - że *byłam* zapobiegliwa. Kupiłam zaledwie naręczce ubrań. Tymczasem taki - kolejny gest w stronę pokoju - mamy rezultat.

- Nadal nie pojmuję pani logiki.

Miała ochotę tupnąć nogą z bezsilnej złości. Rozmyślnie jest taki tępy?

- Panie Payne. Przenigdy nie nadużyłabym pańskiej... uprzejmości do tego stopnia, żeby zamówić takie multum ubrań i dodatków. Obawiam się, że Penny pozwoliła sobie zignorować moje wyraźne życzenia i zamówić wszystkie te suknie.

Przez kilka długich minut w holu panowała taka cisza, że aż w uszach dzwoniło. Constance była przekonana, że zaraz usłyszy reprimendę. Jednakże za całą odpowiedź starczyło:

- Dzięki Bogu, że ktoś zdecydował za panią, panno Pedigrue. Idziemy. Czeka nas dużo pracy.

- Pani herbata, panno Caruso.

Striptizerka podniosła wzrok znad pudełeczek z cie-

niami i pudrem, które starannie nakładała na oczy i policzki, aby ukryć piętno uciekającego czasu.

- Postaw ją na stole, Nannette.

Pokojówka dygnęła i ustawiła srebrny serwis na stole, po czym wyszła równie cicho, jak się pojawiła.

Carlotta zmarszczyła czoło, studiując w lustrze swoje odbicie.

Kiedyś niecała godzina wystarczała jej na wszystkie przygotowania przed występem. Była wtedy taka młoda, giętka i piękna... Jej jedyną rywalką w branży była ta parweniuszka, Kelly, która wydała się za Gideona Payne'a i zmusiła go, żeby odesłał Carlottę do mniej prestiżowego teatru. Carlotta jednak pociągnęła większość swoich wielbicieli za sobą i z czasem nawet Maura musiała przyznać, że talent i uroda Carlotty stanowiły siłę, której nie można lekceważyć.

Wstała i nalała sobie filiżankę herbaty, dodała kropelkę śmietanki i z żalem wspomniała czasy, gdy napar, jaki miała zwyczaj pić, był aż gęsty, a ona nie martwiła się o to, że przytyje choćby uncję.

Leniwie mieszając herbatę, wdzięczyła się przed lustrem. Ciało wciąż miała jędrne, nogi długie i smukłe. Cóż to miało za znaczenie, że jej piersi nie były już sterczące i dumne? Albo że menadżer polecił kobiecie, która szyła dla niej kostiumy, by nauczyła się sprytnie wszywać do nich dodatkowe fiszbiny, maskujące coraz grubszą talię? Mężczyźni wciąż uwielbiali jej rewiowe występy.

Uśmiechnęła się, biorąc łyeczek herbaty. Niecały miesiąc pozostał do dnia, kiedy Gideon Payne będzie otwierał nowy teatr. Jak tylko zacznie sprzedawać bilety, ona zgłosi się do niego do pracy. Bartholemew's Burlesque zdążył jej zbrzydnąć. Miała serdecznie dość wszędobylskich rąk jego właściciela i jego sknerstwa przy wypła-

caniu honorarium. Gideon Payne zawsze traktował ją jak królową i była pewna, że teraz byłoby tak samo.

Nucąc cicho, pociągnęła kolejny łyk i zmarszczyła brwi, gdy poczuła lekko gorzkawy posmak. Będzie musiała znowu zamienić słowo z Nannette. Dziewczyna aż nazbyt swobodnie gospodarzy się herbacianymi liśćmi.

Rozkasłała się nagle i odstawiła filiżankę. Odchrząknęła i poczuła dziwne pieczenie w gardle, tamujące oddech.

- Nannette? - chciała zawołać, ale głos odmówił jej posłuszeństwa i zabrzmiało to jak skrzeknięcie. - Nanne...

Podbiegła do nocnika w kącie pokoju, szarpana fałdami nudności. Palcami orała posadzkę, skomląc, gdy seria gwałtownych bóli zaczęła dźgać jej wnętrzności.

*Boże w niebiesiech, co się ze mną dzieje?* - pomyślała z rozpaczą, gdy całe jej ciało ogarnęły silne drgawki, i padła na podłogę. Pokój wirował jej przed oczami. Usiłowała chwycić koniec ozdobnego szala, który leżał na toaletce. Gdyby zdołała zrzucić flakony z perfumami i butelkę na wodę, hałas powinien ściągnąć tu kogoś... żeby jej pomógł... pomógł...

Zacisnęła powieki i usiłowała się skoncentrować. Otworzyła oczy, ale zupełnie jakby straciła wzrok. Ręce miała tak odrętwiałe, że nie czuła pod palcami chłodnego jedwabiu... miękkich frędzli...

- Proszę... Ratunku... - zakwiliła.

A potem pochłonęło ją uczucie implozji w okolicach klatki piersiowej i wszelka świadoma myśl utonęła w nadciągającym mroku.

Drzwi pisnęły cicho, kiedy wszedł do garderoby Carlotty, przekręcił klucz w zamku i ukrył się w ciemnościach. Cierpliwie czekał, aż ciało Carlotty znieru-

chomieje, a oczy zasnują się woskową mgiełką. Następnie przykleknął obok i odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów, by uważniej jej się przyjrzeć.

- Wiesz, nigdy nie byłaś dla niej zagrożeniem - wymamrotał. - Raczej uprzykrzeniem. Zostawiłbym cię w spokoju, żebyś sama zniszczyła swoją karierę, gdybym nie postanowił okazać Maurze ogromu mojej lojalności.

Kobieta nie odpowiedziała - on zresztą odpowiedzi się nie spodziewał. Tak łatwo było zakraść się do teatru i dodać trucizny do zapasów herbaty. Był tylko rozczarowany, że nie wpadł na ten pomysł wcześniej. Powinien był usunąć Carlottę już dawno temu - w chwili, w której dokopał się pokładów drzemiącej w Maurze nienawiści do rywalki. Maura jednak pochłaniała wtedy całą jego uwagę i nie znalazł chwili, żeby zająć się Carlottą.

Teraz zaś, po powrocie Maury, czy istniał lepszy sposób, by udowodnić swoje oddanie, niż ukarać dla przykładu jej rywalkę? Maura roześmieje się z zachwytem na takie proste rozwiązanie jej problemów.

A kiedy wreszcie się ujawni, już nic nie zakłóci ich miłości, a on będzie mógł nareszcie zdradzić jej, jak wiele uczynił, by mogła bez przeszkód wrócić na scenę.

Cały następny tydzień Constance chodziła za Gideonem jak wierny pies, asystując mu w jego rozlicznych biurach i pomagając przy dziesiątkach spraw załatwianych na mieście. Trzeba było zapłacić rzemieślnikom, powiadomić spedytorów, sprawdzić rozkład jazdy pociągów i - poza jednym razem, kiedy Gideon chciał poznać jej zdanie na temat jakości tkaniny, z której miały zostać uszyte dekoracyjne poduszki do garderoby jednej z jego diw - równie dobrze mogłaby być płamą na ścianie, tyle jej poświęcał uwagi.

Niemniej jednak cieszyła się, że Gideon ma urwanie głowy. Była przez cały czas tak zajęta sprawami służbowymi, że nie musiała roztrząsać reakcji Gideona na każdą nową suknię, w jakiej się pokazała, czy tłumaczyć sobie, dlaczego niepokojący dreszczyk przebiegał jej po plecach, ilekroć on był blisko. I kiedy zdarzało się jej odnosić wrażenie, że w jego spojrzeniu maluje się cień zaborczości, śmiała się z siebie w duchu. To było zupełnie nie do pomyślenia. Jeżeli jego spojrzenie stawało się uważne i rozognione, wiedziała, że to nie z uznania dla jej nowej garderoby, a z powodu jej uderzającego podobieństwa do Maury. A to wystarczało, by natychmiast stawała się czujna i pełna chłodu, więc nie musiała obawiać się, że wypadnie z roli.

Dotychczas Constance widziała trzy z nowojor-

skich teatrów Gideona. Ruby Hall - teatr, w którym poznała Gideona Payne'a - był jej zdaniem najbardziej elegancki. Wnętrze Crystal Palace, w którym trwały obecnie próby do opery, tonęło w zieleni i lśniło od złotych, ale było zbyt frymuśne jak na jej gust. Na wystroj Diamond Pavilion, gdzie planowano wystawić niebawem angielską komedię, składały się chłodny marmur, kute żelazo i oryginalne barokowe meble.

Ku niemałej rozpaczy Constance, wizyty w teatrach odbywały się zwykle przed południem - co pozwalało jej na niewielki kontakt z aktorami. Udawało się jej jedynie rzucić okiem na olśniewające scenografie, kostiumy i rekwizyty przygotowywane do przedstawień. Prawdę mówiąc, poczytywała sobie za szczęście, jeżeli w ogóle nadarzała się okazja, by choć na chwilę opuścić biuro Gideona w którejkolwiek z tych trzech budowli.

Już po kilku dniach pracy Constance odgadła, że od dłuższego czasu obchodził się bez pomocy. Wszystkie jego biura były małe, ciasne i zagracone skutkiem jego losowo obieranych technik organizacyjnych. Dni schodziły jej na segregowaniu, porządkowaniu i katalogowaniu. Niemniej jednak wciąż sądziła, że kiedy doprowadzi do ładu jego biura, Gideon przydzieli jej zadania w innych częściach teatru. Wtedy będzie mogła nareszcie rozkoszować się upajającą atmosferą fantazji, blichtru i wielkich wzruszeń, która emanowała ze sceny niczym ciężka woń perfum.

- Czy coś się stało, Constance?

Zamrugała powiekami, nagle świadoma wirtuozerii, z jaką powóz przedzierał się przez zatłoczone ulice nieopodal doków. Zamyślona, niemal przeoczyła fakt, że Gideon nazwał ją Constance, a nie panną Pedigrue - coś, co nie zdarzyło się od czasu sprzeczki w kuchni.

- Nie, panie Payne - odpowiedziała zimno. - Nic się nie stało.

- Jesteś pewna?

- Najzupełniej pewna.

- Wydajesz się dość... zgaszona - skomentował, gdy powóz zatrzymał się przed zakładem jednego z jego rozlicznych dostawców. - Nie odezwałaś się ani razu bez mojego wyraźnego pytania.

- Nie widzę powodów, bym miała **zadręczać pana** nieustannym szczebiotaniem.

Przypatrywał się jej z namysłem, po czym odpowiedział:

- Nigdy nie słyszałem cię „szczebioczącej”, jak to nazywasz. W istocie jesteś niezwykle spokojną kobietą. To cecha, którą nieczęsto widywałem u płci pięknej.

- A jestem pewna, że miał pan dość spotkań z płcią przeciwną, by z łatwością dokonać porównania.

W chwili, w której wypowiedziała te słowa, chciała je wycofać. Co u nieba opętało ją, żeby komentować jego osobiste podboje?

Gideon nie wydawał się jednak dotknięty tą uwagą. Zachichotał.

- Są sprawy, w których zaletą mężczyzn jest pewne doświadczenie z kobietami, nie sądzisz?

- Nie mam zdania.

- A ja sądzę, że masz, Constance. - Nachylił się bliżej pod pozorem szepnięcia jej do ucha: - W przeciwnym razie nie topniałabyś w moich ramionach jak wosk, ilekroć cię całuję.

Pełen oburzenia protest Constance zginął w jego śmiechu.

Wysiadł z powozu, otworzył drzwiczki i rozłożył schodki.



- Ufam, że masz parę znośnych sukni wieczorowych w swojej kolekcji, jaką zgromadziłyście z Penny - powiedział Gideon, zaskakując ją nieoczekiwaną zmianą tematu.

Constance oderwała wzrok od kobiety w opalizującej jak klejnot popołudniowej sukni, która mignęła jej, mknąc po chodniku, całkowicie pochłonięta zakupami. W rozproszonym świetle dnia rysy Gideona nabrały miękkości, na twarzy pojawił się wyraz odprężenia. Zapatrzyła się na jego mocno zarysowaną szczękę i zwichrzone włosy.

- Jedną czy dwie mam, owszem.

- Dobrze. Dziś wieczorem mamy randkę w operze.

Serce najpierw jej zamarło, potem zabiło żywiej. Opera. Mógłby jej obiecać wszystkie gwiazdki z nieba, a nie poczułaby się w jednej chwili tak pełna życia.

- Naprawdę?

Wokół kącików jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki rozbawienia. Ale nie zamierzał się z nią droczyć, widząc jej nieudawaną radość.

- Mozart. „Wesele Figara”. Wiedziałaś chyba, że ma być premiera tej właśnie opery?

- Tak, ale nie wiedziałam, że ja... że my...

- Jestem na premierze każdego przedstawienia, jeśli tylko interesy pozwalają. - W jego uśmiechu malowało się czyste zadowolenie i duma. Ściszył głos do szeptu: - Coś mi się wydaje, że zobaczysz niejedno przedstawienie w przeciągu kilku najbliższych tygodni.

Nie śmiała oddychać w obawie, że zaraz się obudzi.

- Proszę ze mną, panno Pedigrue. Praca czeka.

Bez dalszych ceregieli Gideon zostawił ją w powozie i energicznie pomaszerował w kierunku biura, tak że musiała sama się wygramolić. Kiedy posłała za nim gniew-

ne spojrzenie, oburzona, że zapomniał o tak podstawowej sprawie, pomyślała, że zasługiwał na to, by dostać prztyczka w nos. Doprawdy w stosunku do niej był nieznośnie arogancki. Będzie musiała wziąć się na jakiś sposób, wymyślić metodę, żeby utrzyć mu nosa. I do czorta, tak właśnie zrobi. Już ona nauczy go grzeczności.

Louise Chevalier obserwowała, jak Gideon sunie w głąb magazynu, nie kwapiąc się nawet pomóc Constance przy wysiadaniu. Niecierpliwie zakokosiła się w swoim krytym powozie, usiłując bodaj przelotnie zobaczyć twarz córki - pierwszy raz po tych wszystkich latach. Constance stała jednak bokiem i rondo jej kapelusza skutecznie to uniemożliwiało.

- Kanalia - syknęła Louise. - Mógł przynajmniej poczekać, aż dziewczyna bezpiecznie dotrze do chodnika.

- Możliwe, że Constance nie życzy sobie jego pomocy, ani jego uwagi. - Etienne ukrył dłonią szeroki uśmiech.

Louise spiorunowała go wzrokiem.

- Co ty u licha wygadujesz?

- Moja droga - tym razem nie zdołał powstrzymać się od śmiechu - nawet z tej odległości wyczuwasz chyba napięcie między tymi dwojgiem?

Oburzenie na chwilę odebrało jej mowę.

- Nie insynuujesz chyba, że Constance i... ten *człowiek* mają... żywią do siebie jakieś uczucia? - rzuciła w końcu.

- Jak najbardziej.

- Postradałeś rozum, Etienne - odparła i pogardliwie wydeła wargi.

- Bynajmniej. Stwierdzam jedynie fakt.

- Musimy wyciągnąć ją z tej sytuacji i to jeszcze dziś. - Louise nerwowo przygryzła wargę.

- A czemuż to? - spytał spokojnie.
- P... ponieważ ten człowiek nie jest dla niej odpowiedni.
- Czy ja wiem.
- Bzdura. On prowadzi teatr rewiowy.
- Jak również tuzin oficjalnych teatrów i trzy opery.
- Ale on jest dla niej o wiele za... światowy.
- Po pełnym rygorze dzieciństwie, może dobrze by było, żeby poznała wielki świat.
- On ją skrzywdzi, Etienne - powiedziała z bezdenną rozpaczą i usta jej zadrżały.
- Etienne pochylił się i złapał ją za rękę.
- Nie możesz córce oszczędzić perturbacji życiowych, Louise. Wiem, że ominęła cię duża część jej życia. Wiem, że chcesz wynagrodzić jej surową rękę Alexandra. Jeśli jednak osłonisz Constance przed całym złem tego świata, tym samym nie pozwolisz jej zaznać jego radości.
- Ale Gideon jest taki...
- Oboje wiemy, że w głębi serca to dobry człowiek. Kilkakrotnie występowałaś na jego scenach i zawsze powtarzałaś, jaki był wobec ciebie życzliwy.
- Pociągnęła nosem i zaczęła szukać w torebce chusteczki.
- Wiem. Tylko że po śmierci żony stał się taki... szorstki. Niemal okrutny.
- Był w żałobie, Louise. Nie możesz osądzać człowieka na podstawie uczuć, jakie targały nim dwa lata temu.
- Pewnie masz rację. - Delikatnymi dotknięciami chustki osuszyła łzy. - Ale i tak chcę, żeby oboje byli śledzeni dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeżeli Gideon Payne spróbuje ją skrzywdzić...
- Jeśli ją skrzywdzi, osobiście się nim zajmę, Louise. -

Przerwał jej, przyciskając palec do jej ust. - Daję ci słowo, że nie umknie przed karą.

Zamrugała powiekami i zarzuciła mu ręce na szyję pomimo tego, że roleta nie była opuszczona.

- Kocham cię - wyszeptwała, wtulając twarz w jego szyję. - Tak bardzo cię kocham.

- Wiem - mruzczał w jej włosy. - I już niedługo będziesz moja.

Kiedy powóz Gideona zatrzymał się przed ganikiem, Constance wydała bezgłośnie westchnienie ulgi. Pracowali od siódmej rano i sądząc po godzinie, którą pokazywał zegar na wieży pobliskiego kościoła, miała bardzo mało czasu, żeby przygotować się do wieczornego wyjścia.

- Wyglądasz na zmęczoną - odezwał się Gideon, gdy koła zatrzymały się ze zgrzytem.

- Skądże znowu, proszę pana - odparła niewyraźnie lękając się, że będzie chciał wycofać swoją propozycję zabrania jej do opery. - Jeśli jednak nie będzie mnie pan potrzebował przez najbliższych kilka godzin, poproszę Merriweather, żeby przygotowała mi coś do jedzenia i przyniosła do mojego pokoju. Dzięki temu zdążę się przygotować, żeby towarzyszyć panu dziś wieczorem. - Ostatnie zdanie zabrzmiało buńczucznie, jakby prowokowała go, aby zepsuł jej dzień odmawiając zabrania jej na „Wesele Figara”.

- Służba ma dzisiaj wolne, jak mi się zdaje.

- O... - Perspektywa przetrząśnięcia spiżarni w poszukiwaniu wiktuałów, przygotowania posiłku i zanieśienia go do sypialni wydała się jej nagle przytłaczająca, zważywszy, że chciała wieczorem wyglądać promiennie.

- Gdyby się pani zgodziła, z rozkoszą zabrałbym panią na kolację, panno Pedigrue.

*Zabrał? Do restauracji?*

Constance nigdy wcześniej w restauracji nie jadła. Poza przerwami w podróży, nigdy nie była w miejscu, gdzie stoły nakryte byłyby śnieżnobiałymi obrusami, a jedzenie podawano na delikatnych talerzach z porcelany.

- A zatem? Starczy pani sił?

Przygryzła wargę, niepewna. Wiedziała, że powinna zapewnić sobie jak najwięcej czasu na przygotowania. Potężne burczenie w żołądku i wrodzona ciekawość wzięły jednak górę.

- Dziękuję panu, panie Payne. Z chęcią wybiorę się z panem na kolację.

- Będę na panią czekał w westybulu za godzinę.

Godzinę? Przełknęła ślinę, myśląc o niewykonalnym zadaniu, jakie przed nią stanęło, ale odpowiedziała spokojnie:

- Świetnie.

Kiedy tylko wprowadził ją w głąb domu, niemal pobiegła po schodach na górę i zamknęła się u siebie.

Modląc się w duchu, by efekt przedsięwziętych przez nią zabiegów nie zdradził braku doświadczenia, zawiesiła żelazne lokówki nad klozami stojących na toalecie lampek, zdjęła kostium, umyła się, po czym poddała gruntownym oględzinom wiszące w szafie ubrania.

Wymamrotała niewyraźne podziękowania pod adresem Penny, przeglądając blisko tuzin sukni, które wybrała dla niej ta ekscentryczna osoba.

Tylko jak panie ubierają się na podobne okazje? W coś spektakularnego i śmiałego, bez wątpienia. Jednak, mimo że nowe stroje były o wiele bardziej wyszukane, niż jej wcześniejsza garderoba, szczerze wątpiła,

czy będzie mogła porównywać się z obwieszonymi biżuterią damami w strojach od paryskich krawców.

Postanowiła raczej odróżniać się od nich, niż z nimi konkurować, więc zaczęła szukać czegoś prostego i pełnego elegancji.

Kiedy usłyszała powóz zatrzymujący się przed rezydencją i pokrzykiwanie woźnicy na pomocnika, by ten zapukał do drzwi, Constance po raz ostatni spojrzała w lustro.

Jej ojciec zapewne przewróciłby się w grobie na ten widok, jednak ją samą to, co zobaczyła w bladym świetle lamp, napełniało zadowoleniem.

Wiedziała, że nie poradzi sobie z ułożeniem włosów w modną burzę drobnych loczków, splótła większość w gruby warkocz i owinęła go wokół głowy w koronę. Następnie, ujmując grube jasne pasmo, które pozostawiła luźno za uchem, zakręciła je w pojedynczego angleza, który opadał jej na ramię. Na nagie ramię.

Constance wzdrygnęła się lekko, nieprzyzwyczajona, by oglądać swoje odsłonięte ciało. Suknia, którą wybrała, uszyta była z pięknej, ciemnolawendowej satyny, obszytej czarną aksamitną tasiemką u dołu, na ramiączkach i na brzegach wyłożonego kołnierza, który opływał miękko kontur jej piersi i otulał ramiona. Z dodatków wybrała czarne rękawiczki, czarną aksamitką opasała szyję, a we włosy wplotła czarną wstążkę.

Jako że nie była pewna, czy odważy się spędzić cały wieczór tak wydekoltowana, szybko wsunęła rękę w satynowy żakiet od kompletu. To połączenie okazało się dość ciepłe jak na bezwietrzny letni dzień i modliła się o powiew wiatru, który by chłodził ją do chwili, kiedy zajdzie słońce.

Odległe „bim” zegara w westybulu obwieściło ko-

lejną godzinę. *Złapała* torebkę i pomknęła na dół.

Ku jej zaskoczeniu, na dole tonących w ciemnościach schodów panowała zupełna pustka.

Na odgłos kroków odwróciła się z powitalnym uśmiechem na ustach. Nie Gideon jednak ją powitał, a ponure oblicze lokaja.

- Dobry wieczór, Birch - palnęła bez zastanowienia. Potem, przypomniawszy sobie, że jest głuchy, zastanawiała się, czy w ogóle powinna się była odzywać.

Zamiast okazać ponurą obojętność, mężczyzna odpowiedział jej ukłonem. Być może wrażenie to było spowodowane grą światła, Birch trzymał bowiem lampkę na wysokości twarzy, ale wydało się jej, że oczy mu zabłyśły, a usta drgnęły.

Czy jednak niezwykle poruszenie jego warg było uśmiechem, czy też grymasem, nie było jej dane się dowiedzieć. W tej samej chwili Gideon zbiegł po schodach, po drodze dopinając guziki surduta.

Gdy był już na dole, rozejrzał się i zatrzymał tak gwałtownie, że Constance zrobiło się cieplej na duszy. Z tak niekłamana przyjemnością obejrzał ją od stóp do głów, że chciało się jej śpiewać.

- Cudownie pani wygląda, panno Pedigrue - odezwał się z nutką zaskoczenia w głosie, która o mało - o mało - nie zepsuła jej humoru.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, uniósł palec.

- Proszę chwilkę zaczekać.

Zniknął w korytarzu, a Constance czekała w niezręcznej ciszy, która zapanowała w westybulu, gdy została sam na sam z lokajem. On także zdawał się przyglądać jej z uwagą - tak uważnie, iż zaczęła się zastanawiać, czy aby nie za śmiało poczynała sobie z doborem garderoby. Czy asystentka Gideona powinna być powściągliwa

i skromna w stroju także podczas wyjść do teatru?

Gideon wrócił, zanim zdążyła dobrze się zastanowić. Gdy lekko uściśnął jej łokieć, zapomniała o wątpliwościach. Dzisiaj po raz pierwszy idzie do opery. Nic nie mogło zepsuć tego wieczoru. Nic.

Gideon półgłosem wydał kilka poleceń woźnicy i niebawem mknęli już z turkotem, ścigając się z bryczkami i dorożkami pełnymi ludzi zajętych swoimi sprawami. Constance zaczynała się właśnie obawiać, czy nie burczy jej w brzuchu na tyle donośnie, że Gideon to słyszy, gdy woźnica zatrzymał konie przed imponującym budynkiem z brązowej cegły. Oprócz wypolerowanych do błysku drzwi i lśniącej mosiężnej tabliczki z napisem „Oasis”, nic nie wskazywało na to, że znaleźli się na miejscu.

Tym razem Gideon pomógł Constance wysiąść. Trzymając ją delikatnie pod rękę, podprowadził do drzwi i zastukał dwa razy.

- Przepraszam, że nie będzie to coś bardziej wyszukanego, ale mamy mało czasu do rozpoczęcia opery i wybrałem ten lokal ze względu na znakomitą obsługę. Jego właściciele świetnie wiedzą, ile mam zajęć w wieczory takie jak dzisiejszy.

Niepewna jak odpowiedzieć, Constance patrzyła w milczeniu, jak fragment drzwi przesuwają się, tworząc małe okienko, w którym ukazała się para podejrzliwych oczu. Następnie okienko zamknęło się z trzaskiem, a drzwi wejściowe otworzyły szeroko.

- Pan Payne! - wykrzyknął krępy jegomość ubrany w czarny smoking i śnieżnobiałą koszulę. - Witamy! Witamy!

Wprowadzono ich do wąskiego przedsionka, a stam-



tąd weszli przez zwieńczone łukiem przejście do głównej sali. Światło wewnątrz było przyćmione, intymne, a lekki przeciąg spowodowany ich "wejściem sprawił, że płomienie zamigotały i teraz zdawały się tańczyć.

Constance zerknęła nerwowo w kierunku innych gości i przekonała się, że większość klientów to mężczyźni. Siedzieli przeważnie w grupkach dwu lub trzyosobowych i tylko przy kilku stolikach można było zauważyć panie.

Pociągnęła Gideona za rękaw.

- Co to za lokal? - wyszeptała niepewnie, przejęta grobową atmosferą tego miejsca.

- To prywatny klub - odszepnęła, pochylając się ku niej. - Klub dla mężczyzn.

- Ale wpuszczają też kobiety?

- Okazjonalnie... pewien typ kobiet.

Zabrakło jej czasu, by drażyć temat, właśnie zbliżał się bowiem główny kelner.

- Tędy proszę, panie Payne.

Powiedziano ich do stolika wewnątrz sporej niszy, której wejście kryły zwiewne draperie.

- Zasunąć kotary, czy zostawić rozsunięte, panie Payne?

- Zasunąć.

Gideon odsunął krzesło, żeby mogła usiąść, i nie zdążyła zaprotestować przeciwko stwarzaniu jeszcze intymniejszej atmosfery.

- Coś nie tak? - spytał Gideon, podsuwając krzesło.

- Nie tak? - powtórzyła słabo, przenosząc spłoszony wzrok z zaciągniętej kotary na mężczyznę, który ją tu przyprowadził. - Cóż mogłoby być nie tak?

- Wydajesz się zdenerwowana.

- Nie. Skądże...

Ale wyraz rozbawienia na jego twarzy dość jasno świadczył o tym, że Gideon nie wierzy w jej zapewnienia.

- Przrzekam ci, Constance, że nie zrobię niczego wbrew twojej woli.

Powietrze uwięzło jej w krtani. Co dokładnie chciał przez to powiedzieć? Że zamierzał czynić dalsze awanse i był pewny, że ona się na nie zgodzi?

Nagle dotarło do niej, jaki to „typ kobiet” przyjmowano w tym lokalu.

- Tamte kobiety to kurtyzany, prawda?

- Cóż za urocze, choć staroświeckie sformułowanie - odparł z powagą, ale oczy mu się śmiały.

Constance zerwała się na równe nogi, przerażona, z pałającymi policzkami, zastanawiając się, kto widział, jak wchodzili do środka.

- Co w pana wstąpiło, żeby *mnie* tu sprowadzać?

- Jedzenie jest wyśmienite.

- Mniejsza o to. Co z moją reputacją?

- Zapewniam cię, że personel i goście są uosobieniem dyskrecji.

- Niech sobie będą głusi, niemi i ślepi. Życzę sobie, żeby odwieziono mnie do teatru.

- Nie wcześniej, niż zjemy. Ja osobiście konam z głodu.

- Proszę, panie Payne. Po powrocie do rezydencji z największą radością ugotuję coś dla pana.

Pokręcił głową, nie ukrywając rozbawienia.

- Niech się pani odpręży, panno Pedigrue. Zastłony są zaciągnięte, żeby zachowała pani swoją prywatność. A jeśli nawet ktoś widział, jak pani wchodzi, będzie troszczył się o swoją anonimowość, więc szczerze wątpię, żeby spojrzął na panią drugi raz - chociaż przy-

znają, że w tym kostiumie trudno nie zwrócić na panią uwagi.

- Sądziłam, że aprobeje pan mój strój. - Bezwiednie strzepnęła niewidzialny pyłek z zakietu.

- Ależ tak. - Te słowa wypowiedziane zostały aksamitnym, uwodzicielskim tonem i ciężkie były od zmysłowych nutek. - Muszę jednak wyznać, że tak bardzo nawykłem do pani... konserwatyźmu, że dzisiaj dosłownie powaliła mnie pani na kolana. Będzie mi pani musiała wybaczyć, że nie chcę dzielić się pani urodą z innymi bywalcami tego lokalu.

Komplement był tak nieoczekiwany i tak bezpośredni, że umilkła, zdumiona.

- Może zdejmie pani zakiet? Bardzo tu ciepło.

Automatycznie osłoniła ręką szyję, jakby mógł dojrzeć głębokość jej dekoltu przez materiał zakietu.

- Mnie osobiście jest raczej chłodno - odparła, ściskając kurczowo guziki w obawie, że będzie się upierał, ale on tylko wzruszył ramionami.

- Doskonale. Jak sobie pani życzy.

W jego głosie było tyle serdeczności, iż przemknęło jej przez myśl, że w duchu naśmiewa się z jej odmowy.

- Panie Payne, sądzę, że...

Przerwało jej pojawienie się kelnera, który wśliznął się przez kotarę i wręczył im olbrzymie karty. Zajęło to jej uwagę na tyle, że zapomniała o urazach i powiodła palcem po zdobitym skórzaną okładkę tłoczeniu w postaci małego złotego ptaszka.

- Jakież to śliczne - rzuciła cicho.

- „Oasis” słynie z eleganckich detali.

Otworzyła ciężką okładkę i przygryzła wargę, żeby nie krzyknąć z zachwytu: wykaligrafowane litery porozrzucane były między akwarelami przedstawiającymi ptaki.

- Jak już wspomniałem, jedzenie tu mają świetne, proszę więc swobodnie zamawiać na co tylko przyjdzie pani ochota - odezwał się Gideon.

- Ojej - wyszeptała ze zdumieniem, gdy oderwała wzrok od artystycznie ozdobionych stronic i zaczęła czytać listę przekąsek, przystawek i deserów. Nazwa każdej potrawy podana była po francusku oraz wykafografowana po angielsku.

Myśl o posiłku bardzo poprawiła jej nastrój. Gideon miał rację. Kotara spowijała ich kokonem anonimowości. W czym mogło zaszkodzić zjedzenie tu kolacji? Ten jeden, jedyny raz?

Czując na sobie wzrok Gideona, rzuciła mu ukradkowe spojrzenie znad oprawnej w skórę karty. On do swojego menu nawet nie zajrzał. Przyglądał się jej z zadowoloną miną.

- Czy coś się stało, panie Payne? - spytała wyniośle.

- Ależ skąd. Po prostu napawam się pani entuzjazmem. Skrzywiła się. Najwyraźniej jej wysiłki, by skrywać przed nim własne reakcje, nie w pełni się powiodły.

- Musi pan uważać mnie za prostaczkę.

- Wręcz przeciwnie. Obserwując panią, przypominam sobie moje własne emocje wobec tak zwyczajnych przyjemności.

- Nie takich znowu zwyczajnych - mruknęła pod nosem.

- Być może, ale z biegiem lat zdążyłem przywyknąć do wielu luksusów.

- To nie jest pan zamożny od urodzenia? - spytała, nie zamierzając zdradzać się z tym, czego dowiedziała się od pani Potts.

- Gdzie tam.

Ta lakoniczna odpowiedź zaintrygowała ją bardziej,

nizby się tego po sobie spodziewała, ale kelner wrócił właśnie po zamówienia, odciągając jej uwagę od tej zdawkowej informacji dotyczącej przeszłości Gideona.

Przebiegając wzrokiem napisy na cętkowanej cielejącej skórze, zastanawiała się, co zamówić. Cen nie podano - jej zdaniem było to szokujące niedopatrzenie - a wiedziała, że powinna ograniczać wydatki na siebie do minimum. Jak jednak miała bez cennika podjąć jakąkolwiek decyzję?

- A więc, Constance? Co dla ciebie?

Studiowała katalog egzotycznych dań i w brzuchu jej zaburczało. Marzyła o tym, by spróbować ich wszystkich, ale w końcu stwierdziła:

- Poproszę o zupę dnia - i zamknęła kartę stanowczym gestem.

- To wszystko? - spytał Gideon.

- Nie jestem szczególnie głodna.

- Kłamczucha.

Usta kelnera drgnęły niemal niezauważalnie na tę czułą wymówkę, ale mężczyzna zachował milczenie.

- Paul, proszę, przynieś nam po trosze wszystkiego, co figuruje w menu.

- Tak, proszę pana.

Przyodziały na czarno kelner zniknął, a Constance zmierzyła Gideona zatroskanym wzrokiem.

- Niepotrzebnie pan to zrobił.

- Za godzinę byłabyś znowu głodna, gdybyś ograniczyła się do talerza zupy.

- Proszę mi wierzyć, nawykłam do lekkich posiłków.

- Czyli ojciec nie dość, że panią bił, to jeszcze głodził.

Posłała mu groźne spojrzenie.

- Wolałabym, żeby powściągnął się pan od krytykowania człowieka, którego pan nie znał.

- Zaczynam wierzyć, iż dobrze się stało, że pani pa-  
pa i ja nie mieliśmy okazji się poznać.

- Dlaczego? - Dziwiła się wściekłości widocznej na  
jego twarzy.

- Ponieważ gardzę ludźmi podłymi, zwłaszcza męż-  
czyznami, którym wydaje się, że ich życiową misją jest  
tyranizować kobiety.

- Ma pan wyjątkowo... liberalne poglądy.

- Skądże znowu. Po prostu nauczyłem się cenić ko-  
biety.

- Jestem o tym przekonana - odparła jadownicie,  
choć czuła się nieswojo. Gideon zdażył ją już poinform-  
mować, że jeszcze przed Maurą przez jego życie prze-  
winęły się dziesiątki zwiewnych dam. Dlaczego uwa-  
żał za stosowne, by w kółko podkreślać ten fakt?

- O co chodzi, Constance? - Zaśmiał się, a jego  
śmiech brzmiał nisko, mrocznie i zmysłowo. - Boisz  
się, że związałaś się z kobieciarzem?

- Zaczynam tak myśleć.

- Przynajmniej jesteś szczerą - mruknął z pewnym ża-  
lem. Pochylił się ku niej i ujął ją za rękę, zanim mogła  
ją cofnąć. Przytrzymał jej otwartą dłoń. - Myślę, że na-  
deszła pora, żebym i ja był z tobą szczerzy, Constance.

Nie drgnęłaby nawet gdyby jej krzesło stanęło  
w płomieniach.

- W istocie miałem swoje powody, żeby cię zatrud-  
nić.

- Oo? - wyszeptała.

- Uważam, że jesteś bardzo piękną kobietą - kon-  
tynuował, kiwnąwszy głową.

- Nie, uważa pan, że jestem podobna do Maury -  
odparła z grymasem. Nie mogła nie zauważyć, że za-  
czął szybciej oddychać.

- Nie wahasz się uderzać poniżej pasa, co, Constance?

W jednej chwili opadły ją wyrzuty sumienia. Czy doszczętnie zapomniała o dobrych manierach? Sądziła, że stać ją na więcej, niż wykluwanie oczu wdowcowi uwagami na temat jego zmarłej żony.

- Przepraszam - wyszeptwała, ale kiedy chciała cofnąć rękę, on mocniej splótł palce z jej palcami.

- Nie przepraszaj. Jesteś pierwszą od lat osobą, która nie boi się prawdy i umie mówić prosto z mostu. Cenię tę cechę.

Constance nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego ten komplement sprawił, że zrobiło się jej cieplej na sercu. Nie powinno jej obchodzić, co Gideon sobie myśli. Nie powinno jej obchodzić, nic a nic.

Ale obchodziło.

- Jesteś także pierwszą osobą od śmierci Maury, która wzbudziła moje... moje zainteresowanie.

- Nie zamierzam być namiastką pańskiej żony - odpowiedziała, choć po jej plecach przebiegł rozkoszny dreszcz.

- Nie prosiłem cię o to.

Palcem gładził guzik, który stanowił całe zapięcie jej mitynki.

- Nie, ale dał pan jasno do zrozumienia, że widzi pan we mnie nie więcej niż wspomnienie pańskiej małżonki.

- Kłamałem.

Słowo to wypowiedział tak rzeczowo, że zamrugowała, zaskoczona.

- Powiedziałem tak tylko dlatego, że byliśmy sami w ciemnym pomieszczeniu, a na wargach wciąż czułem słodki smak twoich ust. Wiedziałem, że jeśli cię nie odepchnę, za moment zaniosę cię na górę do mojej sypialni.

Kiedy nie odpowiedziała na to kąśliwą uwagą, dodał miękko:

- A myślę, że poszłabyś dość chętnie.

Zwiesiła głowę i z przesadną troską poprawiała serwetkę, przyznając w duchu ze wstydem, że prawdopodobnie miał rację.

- Dlaczego więc teraz mówi mi pan to wszystko?

- Ponieważ żałuję, że sprawiłem ci ból. - Uniósł jej twarz; chciał, by wyczytała z jego oczu, że mówił szczerze. - Brakowało mi ciebie, Constance.

- Przecież nigdzie nie wyjeżdżałam, panie Payne.

- Nie, ale przez tych kilka ostatnich dni wydawałaś się taka odległa i żałuję, że to moje pochopne słowa nas poróżniły.

- Co zatem pan proponuje? Żebym na powrót stała się tą naiwną, ufną kobietą, która wkroczyła do pańskiego domu?

- Wiem, że to nie jest możliwe. - Pokręcił głową ze szczerym żalem. - Zbyt wiele zaszło między nami, by powrót do takiej... niewinności był możliwy.

Wiódł kciukiem po jej policzku i niedbale musnął pełne usta. Constance przekonała się, że trudno jej skoncentrować się na czymkolwiek oprócz skrawka własnego ciała, na którym czuła jego dotyk. W jej piersi rozgorzał ogień i musiała zastanowić się, czy rzeczywiście tak ogromnym błędem byłoby ulec temu mężczyźnie.

- Nie, Constance - ciągnął, a jego głos był niski, hipnotyzujący. - Nie chcę niczego przyśpieszać... Przekonajmy się, co się stanie, kiedy pozwolimy sprawom biec swoim zwykłym torem.

- Panie Payne... - Fiszbiny jej gorsetu niemiłosiernie ścisnęły jej płuca.

- Tak, panno Pedigree? - wtrącił z leniwym uśmiechem.



- Czy mógłby pan doprecyzować swoją ostatnią wypowiedź?

- Jak to?

Bardzo starała się obojętnie wzruszyć ramionami, ale zadanie to okazało się trudne, jako że zaczynał właśnie zdejmować jej rękawiczkę.

- Ta wypowiedź zabrzmiała jak... oświadczyny.

## 16

Wargi Gideona zadrgały znowu, a Constance całkowicie zagubiła się w ciemnych otchłaniach jego oczu.

- Skądże znowu, panno Pedigrue.

Odrężyła się ledwie zauważalnie, choć równocześnie odezwało się w niej niejasne poczucie rozczarowania.

- Nie, panno Pedigrue. W zamyśle moja wypowiedź miała być ostrzeżeniem.

Równie szybko, jak przed chwilą ogarnęła ją ulga, targnął nią niepokój. Fale gorąca i zimna na przemian oblewały jej ciało i drżała, owładnięta dziwnym uczuciem, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Zsunął jej mitynkę, obnażając wrażliwą skórę na wewnętrznej stronie dłoni, i upuścił rękawiczkę na stół.

- Dobrze przemyślałem naszą sytuację, panno Pedigrue. Nie mogę dłużej wypierać się tego, że spodobała mi się pani w chwili, w której się spotkaliśmy.

- Był pan bardzo poirytowany, z mojego zresztą powodu, o ile dobrze pamiętam - przypomniała mu oschle.

- Tak, ale to nie wyklucza zainteresowania.

- Niemożliwe, żeby widział pan we mnie cokolwiek ponad wspomnienie pańskiej żony.

- Prawdę mówiąc, jesteście zupełnie inne. Maura była bardziej... zmysłowa.

Skrzywiła się wobec wytknięcia jej ewidentnej wady.

- Była również bardzo światowa.

- Co pan przez to rozumie?
- Była kobietą, której nieobce były cielesne przyjemności, ty natomiast... - Złożył delikatny pocałunek w wnętrzu jej dłoni, a Constance wstrzymała oddech. - Ty natomiast wciąż jesteś nieskażona.
- A pan robi wszystko, żeby to zmienić.
- Pewnie tak.
- Nie zamierza pan chyba zniszczyć tej cechy?
- Nie zniszczyć. Wzbogacić. Uczyć cię.
- Rozumiem. - Wyszarpnęła rękę, kładąc kres jego niepokojącej pieszczocie. - Zamierza pan uczynić ze mnie jedną z tamtych kobiet. - Wykonała niesprecyzowany gest w kierunku znajdującej się za nimi sali. - Zamierza pan skraść mi wianek...
- Nie skradnę.
- ...moje dobre imię...
- Skądże znowu.
- ...i szczątki reputacji, jakie mi pozostały.
- Zapewniam cię, że jeśli zgodzisz się na moją propozycję, hojnie ci to wynagrodzę. Honor nakazywałby mi nawet anulowanie wszystkich twoich długów.
- Wpatrywała się w niego ze zgrozą, uświadamiając sobie, że chciał jej *płacić*, *zatrudnić ją* jako swoją kochankę. W niepojęty dla niej sposób zakładał, że nie zaangażowałyby się uczuciowo w większym stopniu, niż teraz jako jego asystentka.
- Bezwiednie zacisnęła ręce, usiłując pohamować wściekłość. Wszystkim, czego teraz pragnęła, było doskoczyć do niego i pięściami zmasać mu uśmiezek zadowolenia z twarzy.
- Wydaje się, że opracował pan wszystko w najmniejszych szczegółach.
- Sporo się nad tą kwestią zastanawiałem.

- Rozumiem. I zakładam, że każdą ewentualność wziął pan pod uwagę.

- Sądzę, że na większość jestem przygotowany.

- Jakże to zapobiegliwie z pańskiej strony. - Zadbano o to, by jej głos był słodki jak miód. Wyczuła jednak, że Gideon wychwycił w nim nutę sarkazmu. - I jakże rozważnie.

- Po co się niepotrzebnie unosić?

„Raz, dwa, trzy” - odliczała w myśli, starając się zapanować nad gniewem, ale ten stary sposób nie na wiele się zdał.

- Zapewniam cię, że ten układ byłby ogromnie korzystny dla obu stron.

- W jakim sensie?

- Ja znów miałbym... towarzystwo, a ty...

- Pieniądze?

- Zabezpieczenie - poprawił.

- Aaa. A co się *później* ze mną stanie?

- Nie rozumiem...? - Oczy mu się zwięziły.

- Kiedy już pan zmęczy się mną, kiedy stracę... urok nowości, wyrzuci mnie pan na ulicę jak niepotrzebną zabawkę?

- Przenigdy bym nie... - zaczął ze zmarszczonym czołem.

- Nie, panie Payne? A jakby pan ze mną postąpił? Zwłaszcza, gdybym przyzwyczała się do nowej pozycji w pańskim domu. Co, gdybym postanowiła utrudnić życie panu i pańskiej następnej kochanicy?

- Kochanicy? Przenigdy bym tak tego nie nazwał...

- Może pan używać przyjemniejszych słówek i operować wszystkimi eufemizmami, jakie pan tylko zna, panie Payne, ale to nie zmienia tego, co się za nimi kryje. Zamierza pan mnie uwieść - tak czy nie? Wbił

pan to sobie do głowy i, nawet jeśli odrzucę propozycję objęcia wspomnianej funkcji w pańskim domu, zamierza pan użyć wszelkich swoich sztuczek, żebym zmieniła zdanie. Innymi słowy, świadomie zamierza pan zawrócić mi w głowie.

- Pewnie można to tak nazwać. - Rozparł się na krześle, przyglądając się jej z miną, wyrażającą niemiłe zaskoczenie.

- Zatem ma pan doprawdy wygórowane mniemanie o swoich wdziękach, panie Payne. Żeby doszło do uwiedzenia, musi pan skłonić mnie do współuczestnictwa, chyba że spróbuje pan *przymusić* mnie do takiego układu.

- Mówiłem ci już, że nie będę zmuszał cię do niczego. - Wyraźnie się zachmurzył.

- Jak może pan czynić podobne deklaracje, skoro zamierza pan w jakiś sposób nagiąć mnie do swojej woli? Musi się pan uważać za nie lada kochanka, żeby mieć taką pewność siebie.

Była zuchwałą, wiedziała o tym, ale w tej chwili nic nie zdołałoby jej powstrzymać. Serce waliło jej w piersi, ale wyprostowała się sztywno i przybrała swoją najsurowszą staropanieńską minę. Jego stwierdzenie, że uważał ją za godną pożądania, wstrząsnęło nią do głębi, wiedziała jednak instynktownie, że błędem byłoby zdradzać się z tą reakcją.

- Musi pan również mniemać - kontynuowała chłodno - iż fakt, że pozostawałam odcięta od męskiego towarzystwa, czyni ze mnie łatwą zdobycz.

- Jeśli nawet tak sądziłem, z pewnością musiałbym teraz zmienić zdanie - odparł sucho.

- I dobrze, panie Payne. Może i przez wiele lat żyłam w pewnego rodzaju odosobnieniu, ale to nie oznacza, że jestem pierwszą naiwną. - Podnosiła głos w mia-

re jak rosło w niej przekonanie, że ma rację. - Jestem kobietą o nienagannych manierach i głęboko moralną, panie Payne. Potrafię też być nieugiętą, kiedy raz podejmę decyzję. Moje siostry mawiały często, że zamiast Constance powinnam mieć na imię „Uparta-jak-Osioł”. Proszę mi wierzyć, panie Payne, że jeśli wbiję sobie do głowy, żeby pozostać zimną i nieprzystępną, pańskie plany uwiedzenia mnie spełzną na niczym.

- Czy to wyzwanie, panno Pedigrue?

Otworzyła usta, ale zamknęła je natychmiast, wściekła i zła na siebie. Jak mogła być aż tak głupia? Chciała zastawić pułapkę na starego lisa, a sama w nią wpadła.

- A więc, panno Pedigrue? Czy rzuca mi pani wyzwanie?

Constance modliła się w duchu o pomoc. Niebiosa jednak uparcie milczały, odparła więc:

- Proszę to rozumieć, jak się panu żywnie podoba, panie Payne. Jestem pewna, że i tak zrobi pan po swojemu.

- Tak, sądzę, że tak. - W jego oczach pojawiły się diabelskie ogniki.

Szczęśliwie nie musiała szukać kolejnej riposty, pojawił się bowiem kelner z tacą uginającą się pod ciężarem potraw.

Gideon sam nie rozumiał, co skłoniło go do tak otwartej rozmowy z Constance Pedigrue. Nie zamierzał wyrzucać z siebie planów zdobycia jej - więcej nawet, nie podjął jeszcze decyzji, czy w ogóle porywać się na taki krok.

Ale w chwili, w której rzuciła mu wyzwanie, wszystko się zmieniło. Nigdy wcześniej nie uczyniła tego żadna kobieta - a już na pewno żadna nie kwestionowała jego uwodzicielskich talentów. Sam pomysł był

niecodzienny. Do tego stopnia, że ciało jego zaczęło drzeć z niecierpliwości - kolejne odczucie, którego nie doświadczał aż nazbyt długo.

Obserwując, jak Constance je - początkowo z niechęcią, potem z ewidentną rozkoszą - studiował jej twarz z uczuciem lekkiego niepokoju. Od śmierci Maury świadomie koncentrował całą swoją energię na pracy. Zgromadził fortunę dwukrotnie większą od tego, co zdobył w trakcie krótkiego małżeństwa z Maurą, ale sukces finansowy nie dał mu szczęścia. Czegoś w jego życiu brakowało: radości, a nie nawyku istnienia.

Patrząc na Constance w eleganckiej sukni wieczorowej, na aureolę jej włosów, czarną koronkę muskającą jej podbródek, wiedział, że nie powinien sobie pozwalać na nic ponad pełne szacunku myśli. Kiedy jednak przyglądał się, jak jego niezwykła towarzyszka bierze łyk zupy i zamyka oczy w zachwycie, przyznał się przed sobą, że coś w nim umarło na długo przed ową nocą, kiedy to Maura rzuciła się z balkonu sypialni. Łata w sierocińcach i przytułkach sprawiły, że poprzysiągł sobie nie ujawniać uczuć, a teraz w tej obumarłej części jego duszy jakby coś drgnęło. 2 tą zmianą nadeszło cudowne, lecz zarazem bolesne uczucie, jakie przeszywa odrętwiałą kończynę, kiedy nerwy odżywają w niej i gwałtownym skurczem obwieszczają powrót do życia.

### *Będzie moja.*

Ta myśl przyszła niespodziewanie, w chwili jednak, w której się pojawiła, wiedział już, że nie ma wyboru. Jakaś wyższa siła nierozzerwalnie spłótła ich losy.

A teraz skazany był na to, by biernie obserwować rozwój wydarzeń.

Do czasu, gdy skończyli posiłek, wielu innych gości zdążyło rozejść się do swoich wieczornych zajęć. Szmer nielicznych rozmów był zbyt odległy, by można było zrozumieć choć słowo, i jedynie mglisty blask świec w głębi sali zdradzał, że nie zostali zupełnie sami.

- Teraz jesteś gotowa na ucztę duchową, Constance?

- Mhmm...

Jej słodka minka wyrażała entuzjazm i zarazem senne ukontentowanie sycącymi daniami, które oboje pochłonęli.

- Może już lepiej ruszajmy - mruknął niewyraźnie, odsuwając jej krzesło, i z najwyższą trudnością oparł się pokusie, by objąć jej drobne ramiona.

Jeszcze nie teraz. Gdyby dotknął jej teraz, nie zdołałby się powstrzymać i Constance nie obejrzałaby swojej pierwszej opery.

Cofnął się na bezpieczną odległość i podszedł do prześwitu między kotarami. Miał je właśnie rozsunąć, kiedy Constance zatrzymała go, kładąc lekko dłoń na jego łokciu.

- Musimy tak paradować przed nosem innych gości, jakbym była pańskim najnowszym trofeum?

Odwrócił się do niej przodem. Dopiero teraz, kiedy musnął jej policzek, zrozumiała, jak niewielki dzielił ich dystans.

- Zachowałem się wobec ciebie naprawdę podle, czyż nie tak, Constance?

Patrzyła na niego niepewnie, zastanawiając się, czy mówił szczerze, czy był to jedynie nowy wybieg, którym chciał uśpić jej czujność.

- Powiniennem być pamiętać, że wywodzimy się z całkowicie różnych światów.

- Nie takich znowu różnych, myślę. - Nie umiała



sprawić, by te słowa nie przerodziły się w poufały szept.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo.
- Dlaczego zatem wszystkiego mi pan nie wyjaśni?
- A co tu jest do wyjaśniania?
- Wiem, że stracił pan rodziców, ale oprócz tego niewiele się o panu dowiedziałam.

Przez chwilę zastanawiał się, po czym kiwnął głową.

- Dobrze więc. Przez kilka najbliższych dni moje życie będzie dla ciebie jak otwarta księga. Pytaj, o co tylko chcesz, a ja postaram się w miarę możliwości zaspokoić twoją ciekawość.

Ta propozycja przewyższała wszystko, czego mogła oczekiwać, i - rzecz dziwna - wypełniła jej serce poczuciem władzy. Jeśli tylko zdołałaby poznać wydarzenia z przeszłości, jakkolwiek by były okropne, które uczyniły tego człowieka takim, jaki jest, z pewnością udałoby się jej go zrozumieć.

- Świetnie, panie Payne. Przygotuję listę pytań.
- Nie wątpię - zachichotał. Podał jej ramię i poprowadził między kotarami. - Proszę ze mną. Wymkniemy się tylnymi drzwiami.

Czekał godzinę. Drugą. Trzecią. Minuty pełzły boleśnie powoli, a on zastanawiał się, co działo się za tymi zaciągniętymi zasłonami. Czy Maura flirtowała z Gideonem? Czy bawiła się nim jak kotka myszą?

Czy może to on wciągał ją w swoją sieć? Tak, jak uczynił przed laty.

Kurczowo zacisnął pięść i zamówił następną whisky - tym razem niemal uniósł ją denkiem do góry i wychylił jej zawartość jednym haustem.

Psiakrew! Dlaczego ona tak go dręczy? Dlaczego nie posłała mu choćby zdawkowego uśmiechu, w żaden

sposób nie okazała, iż wie, że obserwował, czekał.

Wokół serca zacisnęła mu się lodowata obręcz. Nie mogła przecież powątpiewać w jego uwielbienie. Wychodził z siebie, by przygotować wszystko do jej tryumfalnego powrotu na scenę.

Ale może nie zrobił dość.

Podniósł się gwałtownie, cisnął na stół kilka monet i pomaszerował w kierunku niszy. Kiedy jednak gwałtownym ruchem odsunął kotarę, w środku zastał jedynie wystraszonego kelnera, zbierającego pozostałości po kolacji.

Bez słowa wyjaśnienia pod adresem kelnera obrócił się na pięcie i wypadł z „Oasis” na dwór.

Musiał sobie wszystko zaplanować. Najwyraźniej Maura nie zauważyła na razie jego starań. Będzie trzeba bardziej się przyłożyć. Wymyślić coś bardziej złożonego.

Coś, czego nie będzie mogła przeoczyć.

Gideon dawno już uodpornił się na magię teatru. Kiedy sięgnął jednak pamięcią wstecz, niemal natychmiast przypomniał sobie dreszczyk emocji, który przebiegł mu po plecach wtedy, gdy razem z Luthe—rem Hayesem wślizgnęli się na widownię, by obejrzeć pierwsze w życiu przedstawienie.

Niemniej jednak nie spodziewał się, że zobaczy taką radość na twarzy Constance, gdy w oddali zamajaczyła sylwetka Crystal Palace.

- Znasz Mozarta?

- Och, tak. - Jej odpowiedź była żywa, ale sposób, w jaki wyciągała szyję, żeby mieć jak najlepszy widok z okna powozu, świadczył, że myślami była przy rozkosznych widokach na zewnątrz. - Często grywano Mozarta w naszym kościele.

Gideon skrzywił się, zdając sobie sprawę, iż Constance miała zapewne jedynie powierzchowny kontakt z muzyką tego kompozytora.

- Zatem opera powinna być dla pani miłym zaskoczeniem - oznajmił. - Zapewniam, że dzisiejszy wieczór spędzi pani o wiele przyjemniej niż w kościele.

Po tym oświadczeniu zastukał w bok powozu, nakazując woźnicy skręcić w boczną alejkę, z dala od tłumu napływających gości.

W głębokim cieniu przed wejściem dla artystów pomógł Constance wysiąść, rozkoszując się kruchością jej dłoni. Była tak zachwycająco ożywiona, tak ujmująco bezbronna, że nie zdołał się powstrzymać przed umieszczeniem jej ręki na swoim ramieniu i przyciągnięciem jej bliżej.

- Może powinienem był wprowadzić cię frontowymi drzwiami - mruknął. - Wtedy twoje pierwsze spojrzenie na scenę i kostiumy nastąpiłoby z chwilą uniesienia kurtyny. Ponieważ jednak liczę na twoją szczerą opinię o przedstawieniu, skrupulatnie trzymałem cię do dziś jak najdalej od sceny.

- Nic nie szkodzi - rzuciła bez tchu i w tej samej chwili pojął, że całe lata marzyła o tym, by rzucić okiem na panujący za kulisami chaos.

Zatrzymał się przed niewielkimi schodami i odwrócił się w jej stronę. Uczucie niemal zachwytu przeszło jego serce, kiedy tak patrzył na nią. Była taka piękna, tak... rzeczywista.

Jak mógł oszukiwać samego siebie, że Maura miała te cechy, których szukał w kobiecie? Do chwili spotkania z Constance nie rozumiał, że Maurze brakowało tego wszystkiego, co dla Constance było naturalne - współczucia, entuzjazmu, pasji życia.

I, choć bał się nawet o tym marzyć... żywionej do niego namiętności?

Unosząc kciukiem jej twarz, nachylił się, by musnąć jej wargi w lekkim pocałunku. Jego ciało natychmiast zareagowało na tę prostą pieśczętę. Krew zawrzała mu w żyłach.

- Dzisiejszy wieczór będzie wyjątkowy dla nas obojga - wyszeptał, kiedy już oderwał od niej wzrok.

Skinęła głową. Jej szeroko otwarte oczy wyrażały niemal dziecięcy zachwyty.

Dotknął jej usta koniuszkiem palca i szepnął:

-Chodź, Constance. Kraina baśni czeka.

Przebudziły ją strumienie światła wdzierającego się przez okno sypialni. Przyciskając do piersi poduszkę, uśmiechnęła się z twarzą wtuloną w słodko pachnącą pościel, zastanawiając się, czy kiedykolwiek w życiu była tak szczęśliwa. Była pewna, że nie. Równie pewna jak tego, skąd brała się jej radość.

Gideon Payne.

Poprzedniego wieczora obiecał jej pobyt w krainie baśni i bynajmniej jej nie rozczarował. W chwili, w której weszli do budynku opery, otoczyła ją feeria barw, dźwięków i odurzających woni, jakich nie było jej dane dotąd podziwiać.

Czuła na plecach ciepło jego dłoni, gdy wiódł ją przez szpaler mężczyzn i kobiet w oszałamiających toaletach, których nie powstydzilyby się nawet koronowane głowy Europy. Przedstawiono ją miłościwie panującej diwie, korpulentnemu tenorowi i basowi o profilu młodego boga.

Stamtąd poprowadzono ją tylnymi korytarzami do foyer, gdzie wmieszali się w tłum czekających gości. Gideon przyniósł jej nawet kieliszek szampana, a ona, zapominając na chwilę o swojej niechęci do trunków, z błogością saczyła upajający napój. Jeszcze większa fala ciepła oblała jednak jej ciało z powodu dumy, z jaką Gideon przedstawiał ją swoim partnerom z branży

i znajomym. Nie jako swoją asystentkę, lecz „towarzyszkę dzisiejszego wieczoru”.

Constance drżała z zachwytu. Wtedy, w foyer, była przekonana, że nic wspanialszego nie może już jej spotkać. Kiedy jednak Gideon zaprowadził ją do swojej prywatnej łoży, spowitej ciężkimi aksamitnymi draperiami i wyposażonej w szerokie sofy oraz stolik z napojami chłodzącymi, była po prostu w siódmym niebie. Nie sprzeciwiła się słowem, kiedy Gideon - gdy uvertura nabierała mocy - nalegał, by zdjęła zakiet. Do śmierci nie zapomni sposobu, w jaki wyszeptał jej imię.

W jego głosie było tyle pożądanego i zachwytu, że nawet nie zauważyła, kiedy zdjął jej z szyi aksamitkę i zawiesił połyskliwy naszyjnik z obsydianu. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy nachylił się, by szepnąć: „Wiedziałem, że założysz coś, czemu urody doda jakaś błyskotka, ale nie miałem pojęcia...”

Od tamtej chwili wieczór stał się jedną wielką bajką. Gideon wziął ją za rękę i usiadł na sofie tuż obok niej - o wiele bliżej, niż to było konieczne, i o niebo za daleko, by serce przestało niespokojnie kołatać się jej w piersi. Przez cały wieczór tłumaczył jej libretto i bawił się loczkiem na jej karku, doprowadzając zmysły Constance do stanu wrzenia.

Jednakże, pomimo wcześniejszych zapowiedzi, że będzie ją uwodził, kiedy odwiózł ją do domu i odprowadził pod drzwi sypialni, ograniczył się do wyciśnięcia na jej ustach długiego, gorącego pocałunku.

Nic więcej.

Nic mniej.

Z westchnieniem zamyśliła się, czy można dosłownie rozpułnąć się z zachwytu. Pozostawało jej jedynie zgadywać, co przyniosą najbliższe godziny. Przed odej-

ściem Gideon przypomniał jej jeszcze, że przyrzekła spędzić z nim trochę czasu... sam na sam, żeby mógł odpowiedzieć na pytania, jakie miała sobie przygotować.

Zwiesiła głowę, rozważając pierwsze pytanie.

*Czy ty mnie kochasz?*

Nie. Żadne z nich nie było zakochane, skarciła się w duchu. Po prostu...

Co?

Byli sobą zainteresowani? Bezsprzecznie. Pragnęli się nawzajem? Och, tak. Ale takie uczucia nie składały się na miłość.

Drzwi do jej sypialni otworzyły się raptownie, z hukiem uderzając o ścianę. Constance krzyknęła cicho i podciągnęła kołdrę pod samą brodę.

Z progu szczyrzył się do niej Gideon.

- Już wstałaś. To dobrze.

- Wypadałoby zapukać!

- Dlaczego? Jestem u siebie.

- Ale teraz to mój pokój - wytknęła nieostrożnie.

- Tylko dlatego, że Złota sypialnia nie była gotowa na twoje przybycie, na co zresztą zaczynam tracić nadzieję. Kolejny raz przesunęli termin dostarczenia nowej pościeli, tapet i zasłon. A tymczasem... - Kącik jego ust zadrgał, a wargi ułożyły się w grymas. Zastukał we framugę. - Panno Pedigrue, uniżenie proszę o zaszczylenie mnie swoim towarzystwem.

- Nie musi pan błaznować, panie Payne. - Posłała mu gniewne spojrzenie.

- Nie umiem inaczej. - Pokłonił się drwiąco i rzucił: - Ubieraj się. I załóż jedną z tych szkaradnych czarnych spódnic, które przywiozłaś.

- Ale pan nie znosi, kiedy ubieram się na czarno.

- Wiem, ale dzisiaj ten kolor okaże się praktyczny.

- Dokąd jedziemy?

- Zamierzam zabrać cię na moje stare śmieci. Ponieważ wiele z tych miejsc znajduje się na odludziu, będziemy musieli pojechać konno.

- Konno? - powtórzyła jak echo. Bała się, że zemdleje.

- Jeździsz chyba konno?

Pokręciła głową.

- Będę zatem zmuszony cię nauczyć. - Westchnął, jakby spotkało go wielkie rozczarowanie. Przyjrzał się jej z namysłem. - Może powinienem zaoferować ci parę spodni. Być może Penny mogłaby ci jakieś pożyczyć.

Na samą myśl o tym policzki Constance stanęły w ogniu.

- Niedoczekanie, żebym założyła spodnie - pańskie czy czyjekolwiek inne, - Pomysł paradowania przed nim w podobnym stroju sprawiał, że zrobiło się jej dosłownie...

Słabo.

- Porozmawiamy, kiedy pani sobie obejrzy damskie siodło. - Obojętnie wzruszył ramionami.

- Szczerze wątpię, czy zmienię zdanie, skoro alternatywą jest jazda okrakiem.

- Przypuszczam, że ktoś taki jak ty przenigdy się na to nie zdecyduje. - W jego oczach pojawiły się iskierki tłumionej wesołości.

- Co pan przez to rozumie?

- Niezameżna dama nie mogłaby przecież ryzykować jazdy okrakiem. Nie wtedy, kiedy mogłaby zepsuć mężowi uciechę, która czeka go w noc poślubną.

Constance pisnęła z oburzenia, sięgając po wazon, który Birch stale napełniał świeżymi kwiatami i ustawiał na nocnym stoliku. Kiedy jednak cisnęła nim w kierunku Gideona, ten zdążył już zamknąć drzwi i, wnosząc z coraz

cichszego gardłowego chichotu, oddalał się w głąb domu.



- Podlec! - mruknęła pod nosem, przeklinając dzień, w którym miała nieszczęście przestąpić próg jego teatru.

Później jednak, gdy powróciło oszołomienie -wrażeniami poprzedniego wieczoru, przyznała się w duchu, że nawet w połowie nie złościła się tak bardzo, jak to chciała okazać.

Gideon wiedział dokładnie w którym momencie Constance weszła do jadalni. Jednakże to nie szelest jej sukni czy słodka *wonń* jej perfum dały mu tę pewność. Nie, był to fakt, że całe jego ciało w jednej chwili stało się napięte i czujne.

Zerknął przez ramię i skonstatował, że wypełniła jego zalecenia. Miała na sobie tę wstrętą czarną spódnicę, ale na szczęście założyła też ozdobioną falbankami bluzkę, a w talii przepasała się jaskrawoczerwoną szarfą.

- Wygląda pani czarująco, panno Pedigree.

Spojrzenie, które mu rzuciła, mówiło aż nazbyt jasno, że nie dba o to, co sądził o jej aparycji, jednak on świetnie wiedział, że to tylko poza.

- Dzień dobry, panno Constance - zaszczębiotała od progu pani Potts, a Gideon zarechotał, widząc, jak Constance posyła jej przesadnie promienny uśmiech.

- Dzień dobry, pani Potts. Jak się dziś miewa pan Bentley? Skany Anula43, przerobienie pona.

Pani Potts zachichotała.

- Ten hultaj wziął się za matkowanie szczeniętom.

- Chyba pani żartuje.

- Ależ nie, panienko. W tej chwili zajmuje się ich kąpielą. A wczoraj wieczorem, jeśli się nie mylę, usiłował nauczyć je łapać myszy.

Śmiejąc się pod nosem, pani Potts postawiła na

środku stołu srebrną paterę z sadzonymi jajkami, bekonem, kiełbaskami i ziemniakami.

- Kawa jest w tamtym czajniczku, owoce i chleb pod przykrywkami. Proszę mnie wołać, gdyby państwo czegoś potrzebowali.

- Dziękuję, Potts - wtrącił Gideon, czując przedziwną potrzebę podkreślenia, kto tu rządzi.

Kobieta wypadła z jadalni ze zwykłą werwą, dyskretnie zamykając za sobą drzwi.

Gideon obserwował Constance: zdecydowała się na plasterek melona, cienką kromkę słodkiej bułki i filiżankę kawy.

- Zamierzasz chyba zjeść coś oprócz tego.

- Chcę zachować dziewczęcą figurę. - Posłała mu kwaśny uśmiech.

- Dziewczęcą, a to dobre - burknął, błędząc wzrokiem po jej kształtnych piersiach i szczupłej talii.

Constance nie miała w sobie nic z dziewczątka. Była kobietą w każdym calu.

Opierając się wygodnie, odepchnął od siebie talerz i przyjrzał się Constance jeszcze uważniej. Światło poranka wlewało się przez okno, pieszcząc jej delikatne rysy i sprawiając, że w jej złotych włosach igrały tycjanowskie błyski. Cerę miała jasną i gładką, oczy świetliste. Emanowała z niej czysta radość życia i zapragnął nagle, by ta radość chociaż w nikłym stopniu wiązała się z jego osobą.

Skrzywił się, myśląc, że pewnie zaprzepaścił już swoje szanse. Zapowiedział jej, że zamierza uczynić z niej swoją kochankę, w związku z czym będzie się zapewne miała przed nim na baczności. Na domiar złego, sytuacja przerodziła się w coś na kształt wyzwania i duma nigdy nie pozwoli Constance się ugiąć.

- Zmiana planów, panno Pedigrue.

Podniosła wzrok znad kawałka bułki, który unosiła właśnie do ust. Z rozbawieniem obserwował, jak żuje nerwowo i przełyka, by zapytać:

- Nie będziemy jeździć konno?
- Będziemy. Ruszymy, jak tylko pani skończy.
- Co zatem ma pan na myśli?

Wziął głęboki oddech, zastanawiając się przelotnie, czy nie postradał zmysłów. Gdyby posłuchał instynktu, do żadnego uwodzenia by nie doszło, za to mogłoby dojść - czysto hipotetycznie - do sytuacji, w której ten układ stałby się prawdziwy, w której miałyby Constance przy swoim stole każdego ranka.

Zalążek tego pomysłu zaczął rozwijać się, wypełniając jego mózg obrazami pobłażliwej, choć upartej żony, i domu, w którym cały czas rozbrzmiewałby śmiech. Może nawet dzieci.

Żachnął się, ale po chwili pomysł przestał mu się wydawać tak niedorzeczny.

Dlaczego wcześniej nie zastanawiał się nad tą możliwością? Dlaczego nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby stworzyć z Constance trwały związek, że w gruncie rzeczy tego właśnie pragnie.

- Postanowiłem, że nie będę cię uwodził - powiedział cicho, czekając na jej reakcję. Ku swojej wielkiej radości, spostrzegł w jej oczach ledwie zauważalny błysk rozczarowania.

- Rozumiem. - Starannie otarła usta serwetką, wiedział jednak, że usiłowała w ten sposób ukryć przed nim twarz, w której czytał jak w otwartej księdze. - Kiedy podjął pan to postanowienie?

- Przed chwilą.
- Mogę spytać, dlaczego?

A więc rzeczywiście była rozczarowana.

- Należysz do kobiet, przed którymi ostrzegała mnie Elizabeth Kincaid.

Zasznurowała usta, ale chwilę później wybuchła:

- Kolejna z pańskich zdobyczy?

- Nie. - Jego śmiech wydawał się zupełnie szczery. - Elizabeth mnie wychowała.

- Myślałam, że jest pan sierotą.

- Tak. Ale gdy miałem trzynaście lat, zaprzyjaźniłem się z pewnym chłopakiem, który przyjechał do Nowego Jorku z wizytą do ciotki. Harry Kincaid opowiedział swojej rodzinie o mnie i o mojej sytuacji w sierocińcu. Jego matka, Elizabeth, uznała, że przy trzynaściorgu dzieci znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego.

- Trzynaściorgu! - powtórzyła z niedowierzaniem Constance.

- Wspaniała rodzina, pełna radości. Harowali, żeby ich farma prosperowała, ale zawsze mieli czas dla siebie nawzajem.

- Taka odmiana losu musiała być dla pana czymś cudownym.

- Była. Wiele się nauczyłem. Dowiedziałem się, czego chcę od swojego życia.

- Czyli?

- Więzi. Kochających bliskich. - Uznał, że robi się zdecydowanie cikliwy i wstał gwałtownie - Gotowa?

Odłożyła serwetkę obok nakrycia i podniosła się.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek była gotowa do jazdy konnej.

Zachichotał i podszedł, żeby odsunąć jej krzesło. Przy okazji nachylił się i powiedział:

- Odpręż się. Ulitowałem się nad tobą i zamówiłem bryczkę. Zawiezie nas, gdzie trzeba. - Jej ulga była tak ewidentna, że nie zdołał powstrzymać się przed cmok-

nięciem jej w czubek głowy. - Zakładaj kapelusz i rozpoczynamy naszą przygodę.

Constance zachodziła w głowę, czego powinna oczekiwać po rozpoczynającym się dniu. Wdrapała się do wąskiej bryczki i przesunęła fałdę spódnicy, żeby Gideon mógł zająć miejsce obok niej.

Niebawem mknęli ulicami Nowego Jorku, a Gideon wskazywał ręką na sierociniec, w którym mieszkał wiele lat, prostą kamienicę czynszową, w której poznał Harry'ego Kincaida. Zatrzymali się nawet przed sklepikiem z cukierkami, w którym przepuszczał tych parę pensów, jakie sieroty dostawały z kościoła jako prezent gwiazdkowy. Ssać cytrynowe dropsy, opowiedział jej, jak wymykał się przez dziurę w płocie sierocińca i spędzał całe dnie - oraz większość nocy - podglądając szykownych gości, płacących błyszczącymi monetami za wstęp do magicznego miejsca zwanego teatrem. Pewnego dnia poprzysiągł sobie, że takie miejsce będzie kiedyś należało do niego, a i wszystkie te monety będzie miał na własność.

- I pańskie marzenia się spełniły - roześmiała się Constance.

- Większość moich marzeń. - Patrzył na nią z uwagą, a w jego oczach pojawiła się zaskakująca czujność.

- A które się nie ziściły?

- Powiedzmy - starannie dobierał słowa - iż odkryłem, że w życiu są inne rzeczy, których można pragnąć, oprócz bogactwa i prestiżu. Długo trwało, zanim do tego doszedłem.

Przyglądał się jej tak bacznie, że uciekła wzrokiem.

Co się z nią działo? Przygotowała się do tej wycieczki, ślubując sobie opierać się wszelkim awansom, jakie mógł-

by czynić jej ten człowiek. Nie było jednak żadnych awansów, skradzionych całusów, swawolnego przekomarzenia. Za to kompletnie zbił ją z tropu, oświadczając, że już nie zależy mu na tym, by została jego kochanką.

Co zatem miało to oznaczać? Że nagle stracił całe swoje zainteresowanie jej osobą? Że już jej nie pragnie? Czyżby wieczór w operze był tylko grą?

A niech to! Tak bardzo się zawzięła, by nie dać się uwieść. A teraz, kiedy na bycie uwodzonoą nie miała szansy, czuła gorzkie rozczarowanie.

- Gdzie jedziemy? - spytała w końcu, pragnąc odebrać się od tych niepokojących myśli.

- Pomyślałem, że wpadniemy do teatru na Kensington, skoro jesteśmy tak blisko.

Constance nie przestąpiła progów Ruby Hall od czasu, gdy policja przesłuchiwała Gideona w związku z morderstwem, którego ofiarą padła Mary MacClanahan; oboje z Gideonem mieli dość zajęć z dwoma pozostałymi teatrami, miejscowymi dostawcami i rzemieślnikami, więc Constance nie była w stanie śledzić na bieżąco postępu robót. Chociaż jednak skręcało ją z ciekawości, jak wygląda teraz Ruby Hall, żałowała, że tym samym kończy się jej sam na sam z Gideonem.

Tym razem uliczki, którymi podjechali do teatru, wydały się jej bardziej znajome. Dość znajome, by umiała sama trafić do domu, gdyby zaszła taka potrzeba.

Gideon zręcznie wymanewrował bryczką, która zatrzymała się na tyłach teatru dokładnie przed wejściem dla aktorów. Zeskoczył na ziemię i podał jej rękę.

Constance ochoczo skorzystała z pomocy, chociaż składane schodki z boku pojazdu były o wiele wygodniejsze ze względu na jej nową krynolinę. Chciała jego dotknąć. I chciała, żeby on dotykał jej.

Wystrzelił ku nim jakiś chłopaczek, żeby zająć się koniem i bryczką, ale nawet wtedy Gideon nie puścił dłoni Constance. Przez rękawiczkę czuła między swoimi jego palce, dopóki turkot pojazdu nie ucichł.

Dziwny spokój zapanował w wąskiej alejce, kiedy bryczka zniknęła. Po robotnikach nie było ani śladu. Przed sobą mieli strzelisty budynek o ścianach z czerwonej cegły i chłodną kostkę brukową pod stopami.

- Panno Pedigrue?

- Tak, panie Payne?

- Zastanawiałem się, czy zgodziłaby się pani na pewien eksperyment.

Natychmiast obudziła się w niej dawna podejrzliwość. Niedbała, leniwa poza Gideona na powrót przypomniała jej, że ma przed sobą człowieka zmysłowego i nawykłego zapewne do zmysłowych przyjemności.

Dlaczego więc nie chciał jej uwieść?

Co takiego uczyniła, że zmienił zdanie?

- Eksperyment jakiego rodzaju? - Jej pytanie nie zabrzmiało tak spokojnie, jakby sobie tego życzyła.

- Rzadko zdarza się, żebym mógł znaleźć kogoś spoza środowiska teatralnego.

Dlaczego to zdanie zaparło jej dech w piersi?

- Zastanawiałem się, czy mogłaby pani stać się na krótko kimś w rodzaju krytyka.

- Krytyka?

- Tak. Prace remontowe skończą się dziś późno w nocy, jutro odbędzie się próba kostiumowa, a otwarcie pojutrze wieczorem. Jeśli ma pani ochotę, chciałbym zaprosić panią na ostatnią próbę kostiumową, a nie na premierę. Jako że Ruby Hall przygotował... wyjątkowe przedstawienie, będziemy udawać, że jest pani jednym z moich gości i obejrzy pani występ od początku do koń-

ca. Potem, jeśli pani tak miła, będzie pani mogła przedstawić mi swoją recenzję programu. Zgadza się pani?

Oczywiście, że się zgadzała. Serce zaczęło tłuc się jej w piersi, ciało przebiegł dreszcz niecierpliwości.

Czy powinna otwarcie wyznać, że kocha teatr od najmłodszych lat? Albo że jako jedyna z trójki sióstr pamięta, jak wyglądało ich życie przed zniknięciem matki? Że wciąż pamięta jej entuzjazm dla wszystkiego, co egzotyczne, i talent, z jakim tańczyła, śpiewała i naśladowała znanych ludzi?

Pewnego razu, gdy Constance miała pięć czy sześć lat, matka wprowadziła ją chyłkiem na „Sen nocy letniej”, wystawiany w objazdowym teatrze. Publiczność zgromadziła się w dusznym namiocie, Constance rozumiała co drugie słowo, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. I od tamtej pory, aż do wizyty w Crystal Palace, jej największym marzeniem było zobaczyć kolejne przedstawienie. A teraz myśl, że oto nadarza się następna okazja, przyprawiała ją niemal o zawrót głowy.

- Z największą przyjemnością obejrzę próbę kostiumową.

- Dobrze. O siódmej, powiedzmy?

- O ile mi wiadomo - zachichotała - nie mam innych planów.

Gideon posłał jej jeden z tych swoich zniewalających uśmiechów, po czym, ujmując ją pod ramię, eskortował do tylnych drzwi.

Za kulisami było istne pandemonium.

W miejscu, w którym ostatnim razem rozpościerała się gładka płaszczyzna sceny, piętrzyły się teraz stosy kufrów, pudeł na kapelusze, klatek i skrzyń.

Oczy Constance zrobiły się okrągłe jak spodki. W jednej chwili otoczyła ją feeria barw i pojawili się nie-



zwykli, niecodziennie ubrani ludzie o gromkich, mocnych głosach, zamasyżycie gestykulujący, jakby dzięki przesadnym gestom łatwiej im było się porozumieć.

Gideon pociągnął ją w głąb wielobarwnego tłumy, ale ledwie to zauważyła. Minęli klatkę z pudłami i drugą, w której zamknięte były króliki.

Zastanowiła się, zaintrygowana, do jakiego przedstawienia tu się sposobiono, że potrzebne były te wszystkie zwierzęta.

- Gideon?

- Mhm - mruknął z roztargnieniem, bo miał już głowę zaprzątniętą spektaklem.

- Gideonie! Zerknij mi no na ten kostium! - zagrzymiał kobiecy głos gdzieś nad sceną.

- Już biegnę.

- Gideonie, jaka to będzie sztuka? - spytała po sekundzie.

Zerknął na nią, zaskoczony, po czym pochylił się nad klatką, w której znajdował się czarny, kosmaty niedźwiadek.

- Sądziłem, że wiesz.

- Nie. - Pokręciła z uporem głową. - Jestem pewna, że nie wspomniałeś tytułu.

- To dlatego, że żadnego tytułu nie ma. To Varietes. Constance poczuła pierwsze ukłucie niepokoju.

- Varietes? - Nigdy o czymś takim nie słyszała. Owszem, nigdy nie była w normalnym teatrze, nie widziała normalnego przedstawienia, ale... - Varietes? - spytała znowu, z większym naciskiem.

Gideon wyprostował się, a ją po raz kolejny uderzyła myśl, że był człowiekiem światowym, nie to, co ona, i że ta różnica bawiła go bezgranicznie. Oczy mu pociemniały, usta ułożyły się w leniwy, zmysłowy uśmiech.

- Nie rozumiem, Gideonie.

- Och, sędzę, że świetnie rozumiesz - odezwał się, przeciągając słowa, i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Chyba nawet w Bostonie musiałaś słyszeć o burlesce?

*Burleska.*

Wpadła w szpony diabła i została wciągnięta do jego świty.

Constance cofnęła się o krok, potem drugi. Ale jej pośpieszny odwrót spowodował, że wpadła na wielki kufer. Kosz, który na nim stał, zachwiał się i spadł na ziemię, uwalniając ze swego wnętrza lawinę podwiązek i haftowanych pończoch.

Nie. Och, nie. Niemożliwe, żeby to działo się naprawdę. Po wszystkim, co do tej pory przeszła, nie mogło okazać się, że omyłkowo weszła do teatru rewiowego. To niemożliwe.

Kiedy jednak wpatrywała się w Gideona, jego uśmiech stawał się coraz bardziej przekorny, i wiedziała już, że o pomyłce nie było mowy. Ten człowiek był właścicielem teatru oferującego najbardziej przyziemną rozrywkę. Słyszała, co dzieje się na takich przedstawieniach. Tresura zwierząt, skecze, sztuczki magiczne, piosenki, pokazy taneczne i...

I kobiety, które rozbierały się na scenie.

- Muszę stąd wyjść - wyszeptała. Ale w chwili, w której chciała się puścić biegiem, Gideon oparł jej dłonie na ramionach, skutecznie unieruchamiając ją między kufrem a swoim ciałem.

- Co się stało, Constance?

Spiorunowała go wzrokiem, zaskoczona łzami, które cisnęły się jej do oczu.

- Świetnie pan wie, co się stało, panie Payne. Nie powinno mnie tu być. Żadna przyzwoita kobieta nie...

- A co to jest ta „przyzwoitość”, panno Pedigrue? Raczy mnie pani oświecić.

Przygryzła wargę, pewna, że z niej szydził, ale w jego spojrzeniu malowała się szczerłość. Szczerłość, pod wpływem której serce się w niej ścisnęło.

- Przyzwoici ludzie nie uczestniczą w tak sprośnych rozrywkach - odparła słabo.

- Dlaczego nie?

- To nie jest przyjęte.

- Ale dlaczego?

Miała szczerą chęć tupnąć nogą, ale gdyby tak zrobiła, jej spódnica mogłaby przylgnąć do jego ud, zamiast tego powiedziała więc:

- Podobne pokazy wywołują pożądlivość.

- Czyżby?

- Tak.

- Kto ci tak mówił?

- Ojciec.

- Ten sam człowiek, który na dwadzieścia lat zamknął cię w czterech ścianach?

Nie zamierzała zaszczycać podobnego pytania odpowiedzią. Nawet, jeżeli było zgodne z prawdą.

- Co jeszcze mówił twój ojciec?

Skoro sam zapytał, pomyślała, że nie zaszkodzi, jeśli usłyszy parę słów prawdy.

- Niedobrze jest oddawać się zmysłowym przyjemnościom.

- Och, tak?

- Tak. Prowadzi to człowieka drogą pokus.

- A jakich to pokus?

- Pokus ciała.

Ku jej przerażeniu, przysunął się bliżej, napierając na nią biodrami.

- A co, jeśli ja chcę odczuwać pokusę? Jeśli chcę, by wystawiano mnie na pokuszenie każdego dnia i każdej nocy?

Potem pochylił głowę. Gorącymi wargami przywarł do jej ust, a jego pocałunek sięgał w głąb duszy i wprowadził zmysły w stan wrzenia. Wargi napierały, język domagał się wejścia, w końcu musnął delikatne wnętrze jej ust.

Złapała się kurczowo jego koszuli, żeby nie osunąć się na ziemię. Całe jej ciało ogarnęła dziwna słabość i zaczęła drżeć. Bezwiednie naparła na niego, kołysząc się, ocierając, szukając ukojenia tęsknoty, której istnienia dotychczas nie podejrzewała.

Kiedy wyrwał się z jej ramion, oboje oddychali z trudem. Constance wiedziała, że gdyby nie cichy szmer głosów, całowałyby ją tak bez końca.

- To było takie okropne? - spytał ochryple, a szorstkość jego głosu przyprawiła ją o kolejny dreszcz.

Mogła tylko pokręcić głową.

- Myślisz, że ojciec by to pochwalał?

Zaprzeczyła gestem,

- Ale tobie się to podobało, prawda, Constance?

Świetnie rozumiała, że nie powinna na takie pytania odpowiadać. Odpowiedź musiała pociągnąć za sobą problemy, których nie chciała nawet nazywać, ale nie panowała nad sobą. Słowo „tak” wyrwało się z jej ust mimo woli i wbrew niej było wygłodniałe i zmysłowe.

- Powinnaś ode mnie uciec, Constance - mówił, ujmując jej twarz w dłonie i patrząc głęboko w oczy. - Powinnaś stąd uciec. - Jego spojrzenie stawało się coraz bardziej mroczne. - Jeśli tego nie zrobisz, będzie mnie okrutnie kusiło, żeby pokazać ci wiele rzeczy, których kochany tatuś by nie pochwalił.

- Jakich rzeczy?

Zmarszczył brwi, zaskoczony.

- Namiętność. Miłość. Emocje.

*Miłość.* To słowo wbiło się w jej mózg jak drzazga. Ileż to razy powtarzała sobie w przeszłości, że będzie musiała samotnie ułożyć sobie życie? Bez kochanka czy męża? Minał wiek, który pozwalał kobiecie podbijać męskie serca, a gdyby nawet to się jej jeszcze udało, mężczyzna taki musiałby być równie podeszły w latach i odpychający jak pan Quiggly, który usiłował ją pocałować w Bostonie, tuż przed wyjazdem.

A przecież stała teraz, uwieczona w ramionach władczego, zmysłowego mężczyzny. A on chciał pokazać jej wszystko, czego nie było jej dane zaznać w ciągu tych wszystkich lat. Ekstazę. Radość.

Palce zaciśnięte na jego koszuli tak mocno, że aż zbiały, rozluźniły się powoli. Następnie Constance, bez jednej myśli o konsekwencjach swojego czynu, wsunęła mu je pod brzeg koszuli.

Z sykiem wciągnął powietrze, kiedy dotknęła jego twardego brzucha, lekko wilgotnej od letniego upału rozpalonej skóry. Palcom pozwoliła cal po calu kontynuować zmysłową wędrówkę. Gładziła jego tors, plecy, krzyż, znowu tors.

- Nie wiesz, co robisz, Constance - wyszeptał przez ściśnięte gardło, a ona uśmiechnęła się powolnym, kocim uśmiechem. Poczowała się nagle piękna i pełna władzy.

- Właśnie, że wiem.

- Nie chcesz chyba, żebym...

- Ależ chcę, Gideonie. Mam dość bycia grzeczną. Chcę, żebyś nauczył mnie, jak być bardzo, bardzo złą.

Potem uniosła się na palcach i pocałowała go, pozwalając sobie na śmiałość, o jaką nigdy wcześniej siebie nie podejrzewała. Całowała jego usta, policzki,

skroń. Powędrowała niżej, by musnąć jego szyję i jeszcze niżej, ku obojczykowi. Następnie, kiedy się cofnęła, posłała mu taki sam uśmiech, jaki miała na ustach Ewa w chwili, gdy podawała Adamowi rajske jabłko.

- Ucz mnie - wyszeptała. - Ucz mnie być zepsutą.

## 18

Louise syknęła głośno i rzuciłaby się biegiem przez ciemne kulisy, gdyby Etienne nie chwycił jej za ramię i nie przyciągnął do siebie.

- Puszczaj, Etienne - fuknęła. - Constance mnie potrzebuje.

- Myślę - zachichotał gardłowo - że świetnie sobie sama radzi.

Spojrzenie, jakie mu posłała, zdolne było wypalić dziurę w ścianie.

- Przecież ten drań ją napastuje!

- Sądząc z tego, co podsłuchaliśmy, ją można oskarżyć o to samo.

Louise kopnęłaby go w pizszel, gdyby się szybko nie cofnął.

- Constance nie jest małą dziewczynką, Louise - przypomniął. - Ma prawo starać się o uczucie mężczyzny.

- Nie tego mężczyzny. Nie zgadzam się, żeby moja córka wyszła za właściciela teatru rewiowego.

Pokręcił głową, cmokając z dezaprobatą.

- Od kiedy to zrobiłaś się taka pruderyjna? Twój rodzice pracowali kiedyś w takim samym teatrze - ty zresztą też.

Ręce jej opadły na tę uwagę.

- Etienne, ona jest taka niedoświadczona w tych sprawach.

- Być może. Ale sama mówiłaś, że Gideon Payne to dobry człowiek.

- To nie znaczy, że chcę, by uwiódł moją córkę.

- Lepiej się im przyjrzyj - zaczął, ujmując ją za ramiona i zwracając przodem ku zajętej sobą parze - trudno powiedzieć kto tu kogo uwodzi.

- Pewnie masz rację - mruknęła, bo widząc zapał własnej córki i żar, jakim odpowiadał Gideon, nie mogła się nie poddać.

- Gideon! Kostium! - zawołał ktoś piskliwie i parka odskoczyła od siebie.

Dopiero wtedy Louise po raz pierwszy zobaczyła twarz swojej córki i wydała zdławiony okrzyk.

Etienne krzepiąco uściśnął jej ramię.

- Już się rozdzielili, Louise - stwierdził niepotrzebnie.

- Nie, Etienne. To nie ten ich pocałunek. - Złapała go za rękę. - Ona wygląda zupełnie jak... - Louise oblizła nerwowo wargi, wytężając wzrok i upewniając się, że się nie przewidziała. - Wygląda jak jego zmarła żona.

Stał na pomoście technicznym, oparty o koło zębate, na którym podciągano dekoracje, i obserwował tułącą się parę. Palce wbijał w zimne żelazo.

Maura go zdradziła. Niech ją piekło pochłonie! Zdradziła go po raz drugi.

Kilkoma susami znalazł się na końcu podestu, błyskawicznie zszedł po drabinie i wypadł na dwór. Płuca wypełniły mu się letnim, skwarnym powietrzem.

Czekał na nią przez lata. Planował, spiskował, przygotowywał się. I po co to wszystko? Kolejny raz wpadła Gideonowi w ramiona. Dała mu się omotać i zapomniała o jedynym człowieku, który kochał ją naprawdę, i to od jej najmłodszych lat.



Zaczął walić pięściami w ścianę z cegieł. Ból sprawił, że otrząsnął się z oszołomienia.

Musiał wynieść się stąd, zanim ktoś go zobaczy i zacznie zadawać pytania. Ale to jeszcze nie koniec. Maura należała do niego. Do niego!

A jeżeli on nie mógł jej mieć, poruszy samo piekło, by zyskać pewność, że nie będzie jej miał Gideon Payne.

Kilka następnych godzin po tym, jak przerwano ich pocałunek, Constance spędziła bardzo pracowicie. Pomagała aktorom rozlokowywać się w garderobach i opróżniać coraz to nowe kufry z rzeczami, dostarczane co chwila przez tragarzy. Zaparzyła morze herbaty i kawy oraz na prośbę paru osób zleciła zakup butelki czy dwóch czegoś mocniejszego. Nakarmiła pudle, popieściła króliki, pamiętając o tym, by trzymać się jak najdalej od klatki z niedźwiadkiem.

Późnym popołudniem większość artystów znikła z placu boju, by przygotować się do wieczornych występów, a teatr stał się nieruchomy i monumentalny.

- Panna Pedigrue?

Podniosła wzrok, by przekonać się, że jeden z inspijentów przygląda się jej, stojąc w drzwiach do biura Gideona.

- Tak, panie...?

- Jestem Lester - posłał jej krzywy uśmiezek - ale wszyscy mówią mi „Les”.

- W czym mogę ci pomóc?

- Gideon jest gotowy do wyjścia. Prosił, żebym przyszedł po panią.

- Dziękuję, Les.

Kiedy mężczyzna zniknął, Constance zamknęła książki rachunkowe, których sprawdzenia zażyczył sobie

wcześniej Gideon. Złapała kapelusz i rękawiczki i pomaszerowała przez foyer do głównych drzwi na widownię.

Szeleszcząc spódnicą, wkroczyła do chłodnej sali. W głębi naprzeciw wejścia z ciemności wyłaniała się świecąca pustką scena, która ją zarazem intrygowała i wypełniała przedziwnym poczuciem bezpieczeństwa.

Nie widząc nigdzie Gideona, ruszyła głównym przejściem między krzesłami. Zatrzymała się pod lampką, której słaby blask ginął w przestronnym pomieszczeniu. Patrząc na puste miejsca, które miały niebawem zapełnić się gośćmi, zastanawiała się, jakie to uczucie być aktorką i kłaniać się pełnej uwielbienia publiczności.

- Podoba ci się tutaj, prawda?

Zadrżała; głos Gideona tak niespodzianie przerwał ciszę. Powinna była wiedzieć, że był blisko. Wyczuła jego obecność, tak jak ptak przeczuwa nadejście kota. Nie. Ta analogia straciła już sens. Nie była już jego ofiarą, a chętną uczestniczką pieśczęt. Samo wspomnienie ostatniego pocałunku budziło pragnienie, by zaznać więcej. O ileż więcej.

Powoli odwróciła się i poczuła na policzkach ciepło, gdy na jej twarz padło światło lampki. Wpatrywał się w nią wyczekująco, a ona zastanawiała się, jaką odpowiedź chciał usłyszeć. Że pokochała to miejsce, jego niepowtarzalną woń, elektryzującą atmosferę i to, że pozwala jej uciec przed rzeczywistością? A może czekał na wyznanie, że chciałyby stać się kimś innym? Kimś, kogo mógłby pokochać?

Podszedł do niej, wolno, spokojnie, a echo zwielokrotniło jego kroki.

- Dlaczego scena tak cię intryguje, Constance?

Udało się jej obojętnie wzruszyć ramionami.

- Cały teatr jest fascynujący. W Bostonie nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Dzieliła ich odległość zaledwie kilku cali. Położyła dłoń na jej policzku i żałowała, że zabrakło jej odwagi, by wsunąć się mu w ramiona, zachęcić do kontynuowania pieczyoty, przygarnąć go do siebie.

Ale to nie było możliwe. Nie teraz. To on powinien zainicjować fizyczne zbliżenie. Przekonać ją, że widzi w niej wyjątkową istotę, a nie lustrzane odbicie kobiety, która już nie żyje. Przenigdy nie zgodzi się na mniej.

- A do czego przyzwyczaiłaś się w Bostonie?

Wiedziała. Przecież wiedziała. Powiedziała mu dosyć, żeby mógł dośpiewać sobie resztę co do okoliczności, w jakich wiodła swoją egzystencję. Ale chciał czegoś więcej, o niebo więcej - poznać sprawy, o których sama nie wiedziała, czy może mu powiedzieć. Chciał, by mu zaufała na tyle, by zdradzić sekrety, których dotychczas nie powierzyła żywej duszy. Nie była pewna, czy dojrzała już do takiej emocjonalnej bliskości. Mimo to nie wiedziała czy zdoła odmówić mu czegokolwiek.

- Powiedz mi - nalegał, a jego głos zdawał się czule pieścić jej skórę. Przebiegł ją dreszcz.

- Nasza rodzina cieszyła się powszechnym szacunkiem - zaczęła, starannie dobierając słowa.

- Szacunkiem?

To pojedyncze słowo wypowiedziane zostało z takim ciepłem, że poczuła się dziwnie ośmielona.

- Mieliśmy dom w dobrej dzielnicy, wokół nas mieszkali dobrzy ludzie. - Przygryzła wargę w obawie, by nie uznał jej za niewdzięcznicę, skoro to wszystko jej nie wystarczało:

- Nie byłaś szczęśliwa. - Ta uwaga nie zabrzmiała jak pytanie.

Odsunęła się od niego, czując, że nie zdołałaby mówić dalej, gdyby wciąż jej dotykał.

- A powinnam była. Tak wielu w naszym mieście miało mniej. Nam nigdy nie brakowało jedzenia. Zimą wystarczało węgla.

- Dość! - przerwał. Zacisnął usta.

- Ojciec nie zawsze był taki surowy i posępny. - Zlekceważyła ton rozkazu w jego głosie. - Kiedy matka nas opuściła, przeniósł się z nami do Bostonu w nadziei na lepsze życie, lepsze dla nas. Zatrudniał korepetytorów i guwernantki, dbał o nasze potrzeby, tyle że dawał nam bardzo mało swojej miłości. - Widząc, że Gideon marszczy brwi, dodała pośpiesznie: - Nie byliśmy nieszczęśliwi. Miałyśmy siebie nawzajem. Ale często zastanawiałam się, jak wyglądałoby nasze życie, gdyby mama nie zniknęła.

- Dokąd wyjechała?

„Myślę, że ojciec ją zamordował”.

Te słowa wracały echem, ale nie pozwoliła sobie na takie myśli. Wypowiedzenie ich na głos mogłoby uczynić je prawdą. Wzruszyła zatem ramionami i odpowiedziała:

- Nigdy się nie dowiedziałyśmy. Pewnego ranka obudziłyśmy się i już jej nie było. Tato powiedział, że znalazła sobie nowego męża i nowe córeczki, z którymi jest szczęśliwa.

- A ty mu uwierzyłaś?

Ten komentarz zupełnie ją zaskoczył. Czyżby wyczuwał jej wahanie? Niezdolna ubrać obaw w słowa, powiedziała tylko:

- Ojciec nigdy by nie skłamał. Uważał, że to poniżej jego godności.

- To tak, ale nie uwięzienie własnych córek? Bicie ich? Constance wzięła głęboki wdech.

- Nigdy nie mówiłam, że...
- Nie. Nigdy nie mówiłaś, że ojciec cię bił. Ale tamtego dnia w parku, kiedy cię poznałem, odruchowo zasłoniłaś twarz, jakbyś była przyzwyczajona do bicia.
- Zadrzała, zastanawiając się, czego jeszcze się domyślił.
- Mój ojciec wierzył w dyscyplinę. Kiedy był niezadowolony, musiał jakoś odreagować.
- I odreagowywał na tobie?
- Patience i Felicity były jeszcze takie małe, kiedy się przeprowadziliśmy. - Jego kolejne pytania były jej coraz bardziej niemiłe. - Niemalże jeszcze w powijakach. Pewnie czułam się odpowiedzialna za to, by je chronić.
- Jak często cię bił?
- Nie wolno ci myśleć, że był jakimś potworem. - Nie rozumiała dlaczego, ale musiała stanąć w obronie ojca.
- Czyżby? - Złapał ją za rękę, nie pozwalając się jej wyrwać. - Dlaczego wciąż go bronisz? Ten człowiek zrobił wszystko, by wtłoczyć cię w tę samą zgorzkniałą, wyzutą z radości formę, w jakiej jego ukształtowano.
- Nie. - Kręciła z uporem głową. - On nas kochał.
- Kochał? To tak okazuje się miłość? Odmawiając córkom kontaktu ze światem? Ucząc, by wyrzekły się prostych przyjemności, jakie oferuje życie?
- Na pewno uważał, że nam pomaga.
- Jak?
- Szukała logicznego wytłumaczenia.
- Chciał, żebyśmy byli dobre. Nie chciał, żebyśmy wyrosły na kogoś takiego jak...
- Jak wasza matka?
- Wpatrywała się w niego okrągłymi oczami. Nie chciała już słyszeć jego słów.
- Czy o to właśnie chodzi, Constance? Posłużył się

wami, żeby ukarać ją? Tak go rozwścieczyło jej odejście, że z zemsty przykuł was do siebie?

- Potrzebował nas.

- Dlaczego?

- Był chory, nie wstawał z łóżka.

- Stać go było na pielęgniarkę.

- Byłyśmy jego rodziną.

- Niewolnicami! - Potrząsnął nią lekko. - Bądź szczerą, Constance. Bądź szczerą sama ze sobą, jeśli nie umiesz zdobyć się na szczerą w stosunku do mnie. Ojciec chciał was kontrolować. Upewnić się, że nigdy go nie porzucicie.

- Nie. Gdyby któraś z nas zakochała się...

- Nie dał wam po temu szansy. Nigdy by nie pozwolił, by jakiś mężczyzna pojawił się w życiu którejkolwiek z was. Nigdy nie pozwoliłby wam odejść.

- Ale...

- Ale co? Nie rozumiesz? Zamierzał cię kontrolować na wszelkie możliwe sposoby. I dalej cię kontroluje, zza grobu.

- Bzdura - wykrztusiła.

- Tak? - Odwrócił ją przodem do pustych siedzeń w teatrze. - Rozejrzyj się i powiedz mi, że nie chciałabyś stanąć dokładnie w tym miejscu, przed pełną salą i dać przedstawienie, które rzuciłoby publikę na kolana.

- Nie. - Jej zaprzeczenie zabrzmiało słabo. I było to znaczące.

- Dlaczego nie chcesz się przyznać?

- Tak nie wypada.

- Ale przecież sama mi mówiłaś, że takie poglądy na temat kobiet w teatrze są staroświeckie i zaściankowe.

**-Ja...**

- Skoro tak, to co powstrzymuje cię przed realizacją twojego największego marzenia?

Największego marzenia? Kariery scenicznej?

Nie. Podobnie jak marzenia Gideona zmieniły się z biegiem lat, jej pragnienia zmieniły się w ciągu kilku ostatnich tygodni. Nie chciała zostać aktorką. Nie chciała żyć podróżami i publiką. Chciała Gideona. Tylko Gideona.

- Myślę, że nie...

- Nie myśl, Constance. Wejrzyj w głąb własnej duszy i poszukaj prawdy. Czego tak naprawdę chcesz? Czego potrzebujesz?

Usiłowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno. Zamknęła oczy, zastanawiając się, jak zareagowałby, gdyby odpowiedziała na jego pytanie. Gdyby powiedziała mu, o czym marzy najbardziej.

O nim.

Chciała jego.

Chciała, żeby patrzył na nią z uwielbieniem. Żeby kochał ją całym sercem. Gdyby jednak odważyła się to wyznać, odsunąłby się od niej.

- Nie chcę grać - oświadczyła zdecydowanie, uciekając się do półprawdy.

- Dlaczego? - zamruczał z ustami tuż przy jej uchu.

- To nie przystoi. - Nie zdołała znaleźć logiczniejszej wymówki.

- To twoja opinia czy twojego ojca?

- Mój ojciec nie żyje.

- Ciałem, ale nadal wpływa na wszystko, co robisz i mówisz.

- Przestań! - Wyszarpnęła się. - Przestań mówić o mnie, jakbym nie miała własnej woli, własnego rozumu.

- To zacznij go używać! - wrzasnął, aż podskoczy-

ła. - Zdecyduj się, czego naprawdę chcesz, a potem zróbże coś, by to osiągnąć.

Po tych słowach obrócił się gwałtownie i wypadł z teatru, trzaskając drzwiami.

Constance stała, wstrząśnięta.

„Zdecyduj się, czego naprawdę chcesz, a potem zróbże coś, by to osiągnąć.”

Echo tych słów rozbrzmiewało w jej umyśle, budząc gniew.

- I co takiego mam niby zrobić, Gideonie? - spytała na głos. - Błagać, żebyś mnie pokochał? Żebyś zobaczył, kim naprawdę jestem?

- Nie. Nie sądzę, żeby taka taktyka zadziałała.

Obróciła się na pięcie z okrzykiem, który uwiązał jej w gardle. Patrząc w kierunku, z którego dobiegły ją te słowa, wyczerpała wzrok, ale nie zdołała niczego dojrzeć w ciemnościach.

- Kto tu jest?

Dźwięczny śmiech zdradził tożsamość podglądającej ją osoby.

- No, no, Constance. Czyżbyś tak szybko mnie zapomniała?

Na długo zanim z mroku wyłoniła się postać, rozległ się szelest materiału. Satyny. Chwilę później Constance zauważyła żarzący się czubek cygaretki i zyskała pewność, kto był świadkiem jej wybuchu.

Penny Whistle.

Constance oblała się szkarłatem. Mogła jedynie podziękować Bogu, że było dość ciemno, by Penny nie zauważyła jej rumieńca.

Penny weszła w krąg światła. Na głowie miała przekrzywiony filuternie kapelusik. Wsparła jedną dłoń na ręczce parasolki i przybrała pozę, która natychmiast



przypomniała Constance o jej odważnym dekolcie.

- A więc czujesz miętę do mojego przyjaciela Gideona, hmm?

Constance usiłowała przybrać obojętną minę, lecz, sądząc z chichotu Penny, nieszczególnie jej się to udało.

- Nie próbuj zaprzeczać, szkoda fadygi, moja droga. Szczerze powiedziawszy, dziwię się, że tak długo to trwało, zanim zaczęłaś zastanawiać się, jak by go capnąć. To niezła partia.

- Nie mnie to oceniać.

Penny cmoknęła z dezaprobatą.

- Nie kłamiesz zbyt przekonująco. - Zaciągnęła się cygaretką, po czym uśmiechnęła szeroko. - Ja osobiście całym sercem popieram twoje zamiary.

- Nie mam żadnych zamiarów.

- A powinnaś. - Kiwnęła ręką w stronę drzwi, którymi Gideon zrejterował sromotnie. - Już od wieków nie widziałam go tak... ożywionego.

Constance prychnęła z niedowierzaniem.

- Rozzłościłam go i tyle.

- Nawet gniew jest lepszy od tej granitowej fasady, za jaką skrył się po śmierci Maury.

Constance starała się zachować obojętny wyraz twarzy, ale serce zaczęło niespokojnie tłuc się jej w piersi.

- Co zatem twoim zdaniem powinnam zrobić, Penny? Paradować po scenie, zrzucając z siebie fatałaszkę? To tak mam zwrócić jego uwagę?

- Broń Boże. - Penny zaciągnęła się ponownie, po czym przyjrzała się Constance przez kłęb dymu. - Chyba już ze szczętem straciłby głowę, a nie radziłabym nikomu doprowadzać go do takiego stanu. - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. - Sugeruję jedynie, byś pobawiła się trochę *możliwością* takiej przygody.

- Nie rozumiem. - Constance zmarszczyła brwi.

- No tak, pewnie mówię zagadkami. - Opuściła rękę z cygaretką i zaczęła kreślić wokół sylwetki Constance koło z dymu, przyglądając się jej z uwagą. - Powiedz mi, Constance. Do czego jesteś skłonna się posunąć, żeby zdobyć upragnionego mężczyznę?

Constance nie umiała odpowiedzieć. Nie była pewna, jakiego rodzaju zapewnienia były tu potrzebne.

- Byłabyś skłonna na chwilę zapomnieć o przyzwoitości? - spytała Penny miękko, kusząco. - Zwabić Gideoną na skraj przepaści? - Constance nadal milczała, Penny jednak musiała chyba czytać w myślach, jej uśmiech bowiem stał się zagadkowy i tajemniczy. - Dobrze więc. Powiedz Gideonowi, że zmieniłaś zdanie, że postanowiłaś występować. Gwarantuję, że do tego nie dopuści.

- A jeśli przyjmie moją propozycję? - Constance była daleka od pewności.

- Wykluczone. - Penny uśmiechnęła się przebiegle. - Widziałam, jak zmienił się na twarzy. Stał się bardzo zaborczy w stosunku do ciebie. Odważyłabym się nawet stwierdzić, że jest w pół drogi do zakochania się w tobie.

Serce Constance rozśpiewało się na te słowa. Zaraz jednak przypomniała sobie ostatnią gniewną wymianę zdań i potrząsnęła głową.

- Nie. Nadal jest zakochany w Maurze.

Penny roześmiała się jej prosto w twarz.

- Moja droga, on *nigdy* nie kochał Maury Kelly. Miał na jej punkcie obsesję, to fakt, ale jego fascynacja wypaliłaby się w ciągu tygodni, gdyby nie zatrzymała go przy sobie opowieściami o ciąży. Od tamtej pory Gideon robił wszystko, by uratować małżeństwo, ale zadanie to stało się dość trudne, kiedy zaczęła paradować ze swoimi kochankami tuż pod jego no-

sem. Gdyby nie to, że - jak twierdziła później - poroniła, wykopałby ją z domu na długo zanim popełniła samobójstwo. Jestem o tym święcie przekonana.

- Nie, moja droga - kontynuowała Penny, kręcąc głową. - Może i rzeczywiście zaintrygowało go twoje podobieństwo do Maury, może twój widok obudził w nim stare namiętności. Ale to, co w nim teraz widzę, to nie jest obsesja natury czysto fizycznej. To sięga o wiele głębiej. - Poklepała Constance gdzieś koło obojczyka. - Byłabym nawet gotowa założyć się, że go uczucia płyną wprost z serca.

- Constance! - Drzwi otworzyły się ze zgrzytem, a Constance obróciła się, by ujrzeć mężczyznę, który podbił jej serce. - Idziesz? Czy sama trafisz do domu?

Do domu.

Z Gideonem.

- Już idę! - zawołała i drzwi zatrzęsnęły się. Constance odwróciła się, żeby podziękować Penny za radę, ale kobieta zdążyła już zniknąć w ciemnościach równie bezszelestnie, jak się z nich wyłoniła.

## 19

- Zmieniłam zdanie, Gideonie. Z chęcią spróbuję się na scenie.

Gideon nie odzywał się do niej, od kiedy wsiadła do bryczki, ale po tej śmiałej deklaracji posłał jej mrożące krew w żyłach spojrzenie.

- Że co?? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Chociaż była pewna, że usłyszał za pierwszym razem, powtórzyła:

- Chcę występować.

- Dlaczego?

Westchnęła z udawanym oburzeniem.

- To ty mi powiedziałaś, że powinnam realizować swoje marzenia, a po tak bliskiej współpracy z tobą przez ostatnie tygodnie uznałam, że głupotą z mojej strony byłoby teraz wzdragać się przed taką wizją.

Uśmiechnęła się ukradkiem; nie wydawał się zachwycony tą nowiną. Może Penny rzeczywiście miała rację. Czy w ten właśnie sposób otworzy mu oczy na fakt, że żywił do niej jakieś uczucia? Nie do Maury, ale do niej?

- Jakiego rodzaju występ planujesz?

- Taniec.

- Taniec - powtórzył tonem, jakby postradała zmysły.

- Coś podobnego do starego układu Penny Whistle. Jestem pewna, że zgodzi się mnie uczyć, jeśli ją poproszę.

Ściągnął brwi i spiorunował ją wzrokiem.

- Zamierzasz... robić striptiz?  
- Niewykluczone.  
- Rozumiem - wykrztusił po chwili; najpierw jednak wziął głęboki wdech, mocniej ujął lejce i zmusił konia do przejścia z galopu w cwał.

Nie była pewna, jak zapatrywał się na jej pomysł, ale przynajmniej nie mogła narzekać na brak uwagi.

- Dobrze się nad tym zastanowiłaś? Zaledwie dwadzieścia minut temu nie chciałaś o tym słyszeć.

- Oczywiście, że się zastanowiłam. Myślę, że podświadomie brałam taką możliwość pod uwagę od samego przyjazdu do Nowego Jorku. To nie jest decyzja, jaką podjęłabym naprędce.

- Czy to aby nie ty grzmiałaś ostatnio, że to wstąpienie na ścieżkę grzechu?

- Tak. - Musiała przytrzymać kapelusz, żeby batem nie strącił go z jej głowy. - Ale to było zanim przemyślałam zalety tego wyzwalającego zajęcia.

- Wyzwalającego? W jakim sensie?

Udała, że przygląda się wnikliwie mijanym w pędzie budynkom. Wolała się czymś zająć, żeby nie zdradzić się uśmiechem, a przy okazji odpocząć od aż na zbyt uważnego spojrzenia Gideona.

- Od kiedy u ciebie zamieszkałam, odkryłam świat, o którego istnieniu nawet nie śniłam. Od kilku tygodni mieszkam w domu pełnym najnowocześniejszych urządzeń. Przebywam w towarzystwie arystokratów i mężów stanu. Noszę oszałamiające kreacje, jakich wcześniej nawet nie widziałam, i jadam w ekskluzywnych restauracjach. Zaczynam wierzyć, że reputacja kobiety nie jest warta funta kłaków, jeżeli prowadzi do nijakiego życia.

- A co to wszystko ma wspólnego ze striptizem?

- Nie rozumiesz? Nie chcę na powrót stać się tamtą myszowatą starą panną, która cieszyła się, że będzie mogła pracować jako szwaczka. Zakosztowałam wolności, jaką dają pieniądze i liberalne poglądy, i nigdy już nie umiałabym cieszyć się tym, co kiedyś mi wystarczało. Chcę czegoś więcej, o wiele więcej.

Mierzył ją podejrzliwym wzrokiem i zaczęła się obawiać, że ten tok rozumowania może mu się wydać mało przekonujący. Wstrzymując oddech, czekała, aby zabronił jej wstępować do jego trupy. Kiedy tego nie zrobił, okrutnie się rozczarowała.

- Pozwolisz, żebym namyślił się nad twoją propozycją, Constance?

W jej sercu pojawił się cień nadziei.

- Oczywiście. Myśl, ile tylko chcesz.

„Pod warunkiem, że przyznasz, że zależy ci na mnie równie mocno, jak mnie na tobie”.

- Może powinnaś poczekać, aż obejrzysz jutrzejszą próbę kostiumową? Będiesz mogła spokojnie przemyśleć swój dziwny plan - spytał przez ściśnięte gardło.

- Absolutnie nie uważam, żeby było w tym coś dziwnego - odparowała tak swobodnie, jak tylko zdołała. - Ty zresztą też. Po co inaczej miałbyś kupować sobie teatr, który oferuje ten rodzaj rozrywki?

Gideon ostro zatrzymał bryczkę. Tym razem Constance nie czekała, by pomógł jej przy wysiadaniu. Zeskoczyła na chodnik i pomknęła ku otwartym drzwiom, przy których czekał Birch, rozkoszując się w duchu widokiem dłoni Gideona, zaciśniętych na lejcach. Z taką siłą, że knykcie mu zbieleły.

Także następnego ranka zawiózł Constance do ogarniętego przedspektaklową gorączką Ruby Hall,

gdzie przebywała do wczesnych godzin popołudniowych. Następnie Gideon odwiózł ją do domu, tłumacząc, że ma jakieś osobiste sprawy do załatwienia. Dopiero kiedy wprowadził ją do rezydencji, wyjął pocztę, i stojąc w otwartych drzwiach, gotowy do wyjścia, odwrócił się i powiedział:

- Och, byłbym zapomniał ci powiedzieć. Jesteśmy zaproszeni na uroczystość po wieczornej próbie kostiumowej.

- Jaką uroczystość?

- Bal.

Na chwilę odebrało jej mowę.

- Idziemy na bal, a ty wcześniej nic mi nie powiedziałaś?

Gdy wkładała kapelusz, wyraz jego twarzy zmienił się ledwo zauważalnie.

- Zaproszenie dostałem dopiero dziś rano, dlatego mówię ci teraz.

Constance nie czuła się podniesiona na duchu jego żartobliwym tonem.

- Trzeba mi było powiedzieć w momencie, w którym postanowiłeś iść.

Zbył ją wzruszeniem ramion.

- Dlaczego?

- Bo potrzebuję czasu, żeby się przyszykować!

- Jest środek dnia. Ile więcej czasu ci trzeba?

- Więcej, niż mi go dałeś. - Pomknęła ku schodom, pełna rozpaczy. - W co mam się ubrać?

Kolejne wzruszenie ramion.

- W co chcesz.

- Ale ja nigdy nie byłam na balu. Nie mam pojęcia, czego się będą spodziewać.

Sztywna postawa Gideona rozluźniła się. Nie zamy-

kając drzwi, dogonił Constance i pogłaskał ją po policzku:

- Jesteś tak piękna, że we wszystkim, co założysz, będzie ci do twarzy.

Na ten komplement oblała ją fala ciepła, które powoli rozpułyło się po całym ciele. Jej panika znikła w tej samej chwili.

Piękna. Nazwał ją piękną.

Constance uprzytomniła sobie nagle, że w domu panuje cisza. Brakowało trajkotania pani Potts i pani Merriweather oraz dudniących kroków Bircha.

- Widocznie poszli po zakupy - wyjaśnił Gideon, uprzedzając jej pytanie. - Postanowiłem, że po galowym otwarciu Ruby Hall urządzimy tu niewielkie przyjęcie. Zaraz po śniadaniu wydałem dyspozycje służbie.

Stali wciąż na tym samym skrawku podłogi, który teraz jednak stał się miejscem o wiele bardziej intymnym. Światło sączyło się przez witrażowe drzwi i kładło barwnymi plamami na drewnianej posadzce.

Byli tylko we dwoje. Zupełnie sami.

Pomimo czekających ją gorączkowych przygotowań, Constance opanowała nagle dziwna ochota, by zostać choć chwilę dłużej. Nie odsuwając się od Gideona ani na krok, powoli, niespiesznie zdjęła czepek i upuściła go na stół. Była w pełni świadoma spojrzeń Gideona, całkowicie pochłoniętego, jak się zdało, tą prostą czynnością.

Pragnąc ujrzeć ciepło w jego spojrzeniu, skupić na sobie całą jego uwagę, zaczęła zdejmować długą rękawiczkę. Niespiesznie rozwiązywała tasiemkę, która przepleciona była przez metalowe zapięcia ciągnące się od nadgarstka do końca przedramienia. Kiedy Constance kupowała te rękawiczki, sądziła, że nietypowe



zapięcie to tylko ciekawy kotylion. Teraz jednak przekonała się, że było coś zmysłowego w sposobie, w jaki mogła obnażać delikatną skórę skrawek po skrawku, i pomyślała, że odgadła właśnie zamysł ich twórcy.

Gideon jak w transie śledził wzrokiem każde jej poruszenie - zwłaszcza w chwili, gdy skórzana rękawiczka była już całkiem rozpięta, a Constance powoli zsuwała ją z palców. Jego chciwa uwaga napełniła ją przedziwnym poczuciem władzy. Prymitywny, pierwotny instykt podpowiadał jej, że jako kobieta może zniewolić tego mężczyznę najmniejszym przejawem kobiecości.

Niestety, wybrał dokładnie ten moment, by odwzajemnić jej spojrzenie i uświadomiła sobie, że nie tylko jemu grozi zniewolenie.

- Co ty wyprawiasz, Constance?

Wzruszyła ramionami z beztroską, której nie czuła.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Dzień jest dość ciepły, a skoro już wróciliśmy do domu, pomyślałam, że bez rękawiczek będzie mi chłodniej.

Upuściła rękawiczkę na stół, obok kapelusza, rozkoszując się miną Gideona, gdy rękawiczka opadła miękko na blat; skóra zachowała kształt jej smukłych palców. Następnie Constance zajęła się drugą.

Gideon przestąpił z nogi na nogę.

- Ciesz się faktem, że czujesz się w tym domu dość swobodnie, by... rozbierać się.

- Trudno to nazwać rozbieraniem, Gideonie.

*Gideonie. Nie „panie Payne”.*

Zaczął zmniejszać i tak niewielki już dystans dzielący ich od siebie i poczuła się niepewnie. Ale mając po jednej stronie stół, a za plecami ścianę, nie widziała drogi ucieczki.

Jakby dla podkreślenia tego faktu, Gideon oparł się

o ścianę tak, że jej głowa znalazła się między jego ramionami, a ona sama praktycznie w pułapce.

- A więc?

- Co, więc? - spytała, niezdolna przypomnieć sobie, o czym rozmawiali. Bliskość jego ciała wykluczała jakiegokolwiek spójne myśli.

- A więc nie rozbierałaś się?

- Nie sposób przyrównywać zdjęcia rękawiczki do zdejmowania ubrania.

- Tak uważasz?

Jego twarz znajdowała się coraz bliżej. Constance nie mogła się ruszyć - nie chciała się ruszyć. Pragnęła tego pocałunku tak bardzo, że aż sprawiało to jej ból.

Kiedy musnął jej wargi, stopniała w jego ramionach, zdumiewając się, że coś tak delikatnego odarło ją z sił i wypełniło dojmującym pragnieniem, by zaznać więcej. O wiele więcej.

Nieświadomie przytuliła się do niego. Dłonie same odnalazły muskularny tors. Pod palcami czuła miękki materiał koszuli, ale też żar jego ciała emanujący przez cienką tkaninę, szorstkie włosy porastające jego pierś.

A potem nie było już czasu na obserwacje. Przygarnął ją do siebie, a jego usta przestały łagodnie dopraszać się o pieszczotę. Pocałunek stał się gwałtowny, niemal brutalny, i nie była już w stanie panować nad swoją reakcją.

Ręce wsunęła pod jego koszulę i przywarła do niego całym ciałem. Nigdy wcześniej nie doświadczyła równie gwałtownego przypływu pożądania. Napierając na niego, jęknęła, gdy wsunął język do jej ust w poszukiwaniu jeszcze intymniejszego kontaktu. Poszła w jego ślady, rozpoczynając własną zmysłową wędrówkę po jego ciele i upajając się jego reakcją. Zachwiał się i całym ciałem przyparł ją do ściany.

W chwili, gdy poczuła na sobie jego ciężar, zdławiony okrzyk przerodził się w jęk przyjemności.

Gideon oderwał się od niej i odchylił głowę, z trudem łapiąc powietrze. Niezdolna się powstrzymać, pieśczośliwym gestem przegarnęła jego ciemne włosy i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie przerywaj - wyszeptała.

Ukrył twarz w zgięciu jej szyi. Zadygotała, gdy zaczął muskać wargami obnażoną skórę.

- Gideonie - westchnęła, a on uśmiechnął się.

- Lubię, kiedy wypowiadasz moje imię.

Zaśmiała się cicho, ale jej wesołość szybko pierchła. Gideon otoczył ramionami jej talię, pozwalając dłoniom powędrować w górę, ku piersiom...

- Ileż ty warstw masz na sobie? - szepnął wprost do jej kształtnego ucha.

- Zbyt wiele.

- Chcę cię poczuć.

- Wiem.

Ujął ją za nadgarstek i przycisnął usta do skóry, którą tak niedawno sama przed nim obnażyła. Czubkiem języka kreślił krętą ścieżkę wzdłuż jej ramienia. Ugięły się pod nią kolana. Zawisła na nim.

- Dziś wieczorem - wyszeptał. - Po balu.

Kiwnęła głową, rozumiejąc, że oto zgadza się kochać z tym mężczyzną.

- Skradłeś mi duszę - powiedziała cichutko.

- Nie duszę. Wolę walki.

- Powinнам kazać ci trzymać się z dala ode mnie.

- Tak. Powinnaś.

- Ale nie chcę.

- Ja też tego nie chcę.

A potem porwał ją w ramiona i poniósł na górę, ca-

łując ją przez całą drogę do Brzoskwiniowego Pokoju. Tam złożył ją na łóżku. Pochylił się nad nią. Oddech mu się rwał.

- Dziś wieczorem - powiedział z mocą, ale to przypomnienie kierował bardziej do siebie niż do niej.

- Tak. Po balu.

Odsunął się, wycofał i niechętnie zamknął za sobą drzwi.

Uśmiechając się sama do siebie, opasała się ramionami. Chciało się jej krzyczeć z ogromnej radości i poczucia tryumfu. Ten mężczyzna sprawiał, że czuła się tak pełna życia, tak bezcenna, tak...

Potrzebna.

A uczucia tego nie doświadczała już od bardzo dawna.

Za przymkniętymi drzwiami do jadalni Potts chichotała, a Merriweather energicznie zakryła jej usta dłonią.

- Ciii... Usłyszają cię.

Potts potrząsnęła głową i wyswobodziła się z ostrzegawczego uchwytu Merriweather.

- Ta dwójka nie usłyszałyby teraz wystrzału armatniego.

- Może masz rację. - Merriweather wyszczerzyła się radośnie.

- Och, Roberto! - wykrzyknęła Potts, łapiąc przyjaciółkę za ręce. - Czyż to nie cudowne? Tak bardzo pragnęłam, żeby panna Pedigrue zdołała pomóc panu Payne na nowo odnaleźć radość życia.

- 2 ust mi to wyjęłaś. - Oczy Merriweather załśniły. - Robiłam wszystko, co w mojej mocy, by pochnąć ich ku sobie.

- I musimy starać się nadal.

- Tych dwoje potrzebuje siebie nawzajem - powie-

działa z mocą Merriweather, kiwając głową na znak całkowitej zgody.

- Dość już ich spotkało nieszczęść.

- Oj, tak.

- Co zatem powinniśmy zrobić, żeby im pomóc?

Merriweather posłała Potts uśmiech pełen przebiegłości.

- Nic a nic. Mam dziwne przeczucie, że natura zrobi swoje, jeśli się tylko postaramy, żeby nikt z zewnątrz zbytnio im nie przeszkadzał.

- Święte słowa.

- A teraz do kuchni, obie, żebyśmy naszych gołąbeczków nie spłoszyły.

- Nie wiedzieć czemu - zachichotała Potts - coś mi się wydaje, że pan Payne nie będzie jutro wstawał tak wcześnie, jak zwykle.

- Nigdy nie wiadomo, Potts. On nie wie, że my wiemy, co się stało, a jako dżentelmen chciałby na pewno oszczędzić pannie Pedigrue zakłopotania.

- Święte słowa - przytaknęła Potts i, otwierając cichutko drzwi, krzyknęła bezgłośnie, na widok Bircha, który pojawił się bezszelestnie jak duch i stał w przejściu.

Nie odezwał się, wyciągnął tylko rękę, wskazując palcem w stronę kuchni.

Świadome, że zebrały właśnie niemą burę za podsłuchiwanie, Potts i Merriweather pośpiesznie wróciły do swoich zajęć.

Od kiedy dowiedziała się o balu, Constance była bliska palpitacji. Przede wszystkim wiedziała, że musi wyglądać jak najpiękniej. Musiała dowieść Gideonowi, że mogłaby być kimś więcej niż jego asystentką - może nawet jego...

## *Żoną?*

Ta myśl poruszyła ją do głębi, ale rozumiała, że nie powinna łudzić się nadzieją na taki związek z Gideonem.

Wszystko, na co mogła liczyć, to zajęcie miejsca u jego boku jako jego towarzyszka. Bardzo bliska towarzyszka.

Gdy tylko Gideon wyszedł z rezydencji, poszła do Bircha z krótkim liścikiem i jakoś zdołała dać mu do zrozumienia, że chce, żeby dostarczył go Penny Whistle. Nie minęło pół godziny, a Penny stanęła w progu - na to właśnie liczyła Constance.

- Muszę wyglądać tak pięknie, jak to tylko możliwe - oznajmiła Constance wprost. Ale Penny jedynie zaśmiała się i zbyła jej uwagę machnięciem ręki.

- Moja droga, ty już jesteś piękna.

Dzień upłynął na strojeniu się i fiokowaniu. Penny wypróbowała tuzin fryzur, zanim wreszcie zdecydowała się na jedną. Dobrały wszystkie niezbędne elementy stroju na nadchodzący wieczór: chińską jedwabną bieliznę, niesamowicie ciasny gorset i najlepszą burgundową suknię Penny.

- To suknia z Paryża, moja droga, od nowego projektanta nazwiskiem Worth. Szczerze ci powiem, ten człowiek to geniusz. Świetnie wie, jak sprawić, żeby kobieta poczuła się jak bogini.

Penny nie koloryzowała. Kiedy Constance schodziła po schodach do swojego towarzysza, błogosławiła w duchu każdą godzinę uciążliwych przygotowań, każdy przesunięty szew sukni, każdy jard jej obszernej spódnicy. Błysk czystego pożądanego, jaki dostrzegła w oczach Gideona, aż nadto wynagrodził jej wszystkie wysiłki.

Gdy była na dole, Gideon zatrzymał ją, by poprawić

kokardę przy jej pelerynie. Jego palce zatrzymały się tam dłużej, niż to było konieczne, jakby chciał zdjąć z niej te osłony i odkryć, jakie rozkoszne widoki przed nim ukryła. Chociaż Constance nie mogła się wprost doczekać, by zobaczyć, jak wiele nagiego ciała ujawniały śmiały dekolt jej sukni, postanowiła jednak zachować ten moment do chwili przybycia do teatru - może nawet na sam bal.

- Puste miejsca w teatrze spłoną się ze wstydu, Constance. Co gorsza, nie będę w stanie skoncentrować się na próbie - powiedział cicho, pochylając się, by złożyć pocałunek na jej szyi.

Ta prosta pieśczoła sprawiła, że przebiegł ją dreszcz.

- Już artyści przykują twoją uwagę, jestem tego pewna. Zwłaszcza wtedy, kiedy jedna z twoich gwiazd zacznie pozbywać się odzienia.

W jej głosie było tyle dezaprobaty, że skulił się i śpiesznie wyjaśnił:

- Najwyraźniej nie jesteś świadoma siły własnych wdzięków.

Służący zgromadzili się w zacienionym, chłodnym korytarzu, by popatrzeć, jak państwo wychodzą. Gideon skinął w ich stronę, po czym powiodł Constance na zewnątrz. Skany Anula43, przerobienie pona.

- Pozwól ze mną, moja droga. Jeśli mamy iść do tego teatru, lepiej, żebyśmy już ruszyli. Zanim zmienię zdanie.

Po tych słowach wyprowadził ją na wieczorne powietrze. Troszczył się o nią, jakby była przybyłą z wizytą monarchinią. Podkreślił knot w malutkiej lampce w powozie i przykrył spódnicę Constance lekkim pledem, żeby najmniejszy powiew wiatru nie zbrukał lśniącej satyny ulicznym kurzem.

Jego opiekuńczość działała na nią jak mocne wino, wypełniając jej serce uczuciem, którego nie umiała nazwać.

Nie, którego nazwę już znała. Świetnie wiedziała, co do tego człowieka czuje. I pierwszy raz odważyła się przyznać sama przed sobą. Kochała Gideona Payne'a - sercem i duszą, umysłem i ciałem. I jeśli tylko o to chodziło, że Maura zostawiła na jego sercu trwałą bliznę, Constance uczyni wszystko, co w jej mocy, by go uszczęśliwić.

- Jesteś bardzo cicha - odezwał się Gideon.

- Po prostu się cieszę - odrzekła, posyłając mu nieśmiały uśmiech, a on zmrużył oczy.

- Przypuszczałbym, że będziesz trochę... nieswoja na myśl o oglądaniu rewii, skoro, jak twierdzisz, sama zastanawiasz się nad tą profesją.

Constance do tego stopnia pochłonęły wcześniejsze przygotowania do wyjścia, że zdążyła zapomnieć o swojej groźbie zostania striptizerką.

- Z jakiego powodu miałabym czuć się nieswojo? - odparowała. - Jak mi nie raz wytknąłeś, moje wychowanie było wręcz zaściankowe. Czas, żebym otworzyła się na radości życia. Poza tym, zaledwie kilka godzin temu zapowiedziałeś, że wprowadzisz mnie w świat ziemskich przyjemności. Czym jest w porównaniu z tym najzwyczajniejsze Varietes?

Wstrzymał oddech, najwyraźniej zaskoczony jej tupetem.

- Spodziewałem się, że zmienisz zdanie co do... kulminacji dzisiejszego wieczoru.

- A czemuż to miałabym zmienić zdanie?

Było najzupełniej jasne, że Gideon miał na końcu języka dobry tuzin powodów, ale powóz zatrzymał się właśnie przed Ruby Hall i Constance krzyknęła z zachwytem.

Z myślą o ich przybyciu zapalono wszystkie lampy. Cały teatr załśnił jak drogocenna muszla, gdy jego ze-



wewnętrzne ściany rozjarzyły się w promieniach zachodzącego słońca. Na schodach frontowych rozłożono ciemnoczerwony dywan. Czekał też rząd odzianych w liberie odźwiernych, by wprowadzić ich do środka.

- Gideonie! - zaszczębiotała Constance radośnie. - To wszystko na próbę kostiumową?

- Chciałem, żebyś oceniła efekt końcowy, a nie zaproszę cię przecież na normalne przedstawienie, bo na widowni zasiadają wówczas głównie mężczyźni.

Ta myśl napełniła ją poczuciem występnej radości, jakiej nigdy wcześniej nie doznawała. Świadomość, że miała oto obejrzeć spektakl, na który żadna kobieta - żadna szanująca się kobieta - nie zgodziłaby się przyjść, zamiast budzić zgrozę, przyprowadziła ją o dreszczyk emocji.

Gideon pomógł jej wsiąść wprost na bordowy dywan. Z ogromnym zdziwieniem uzmysłowiła sobie niespodziewanie, że jest jej najzupełniej obojętne, czy ktoś zobaczy ją przekraczającą próg Ruby Hall. Rozpoczęła się właśnie największa przygoda jej życia.

Kiedy znaleźli się w środku, jeden ze szwajcarów chciał wziąć jej narzutkę, Constance podziękowała jednak, wymawiając się wymaginowanym przeciągiem. Nie zatrzymując się nawet na chwilę, pozwoliła Gideonowi powieść się po spiralnych schodach, na których poznali się dzięki Panu Bentleyowi i Willoby'emu. Następnie weszli po węższych schodach i przemierzili rozświetlony korytarz prowadzący do jego prywatnej łoży.

Odebrało jej mowę, gdy weszła do malutkiego pomieszczenia: jeśli łożę w Crystal Palace można było nazwać ekstrawagancką, to ta wyglądała niczym z „Baśni z tysiąca i jednej nocy”. Można tu było zapomnieć o całym świecie.

Egzotyczne jedwabie i satyny spowijały balkon wychodzący wprost na scenę. Z jednej strony ustawiono szeszlony, z drugiej złotą sofę. A na środku stał niewielki stolik, na którym paliły się świece i połyskiwała najszlachetniejsza porcelana i zastawa ze srebra.

- Pomyślałem, że zjemy kolację, gdy będziesz podziwiała przedstawienie - wyjaśnił Gideon, odsuwając dla niej krzesło ustawione przodem do sceny.

Bez dodatkowych słów odgadła, że to właśnie była owa „pilna sprawa do załatwienia na mieście”, która zajmowała Gideona przez całe popołudnie.

- Och, Gideonie - westchnęła, nie umiejąc inaczej wyrazić swoich uczuć.

Gdy usiadła i ułożyła spódnicę, Gideon stanął za nią i oparł ręce na jej ramionach.

Kimkolwiek byli ci, którzy pomogli przygotować dla nich posiłek, zdążyli ulotnić się dyskretnie i zadrzała, zdając sobie sprawę, że została z Gideonem sam na sam.

- Jestem, jaki jestem - mruzczał Gideon tak cicho, że ledwie wychwytywała pojedyncze słowa. - Nigdy nie będę dżentelmenem, ani arystokratą. Do tej roli nie mam ani chęci, ani predyspozycji.

Powieki zrobiły się jej ciężkie. Z jego rąk emanowało ciepło, a moc jego deklaracji wypełniła ją przedziwną tęsknotą.

- Jestem tylko człowiekiem, Constance. Zbyt długo z własnego wyboru wiodłem jałowe życie. Ty jednak sprawiłaś, że wróciłem do życia, zacząłem myśleć, pamiętać. Nie byłbym uczciwy, gdybym nie ostrzegł cię, że obce mi jest poczucie przyzwoitości, które mogłoby ocalić cię przed tym, kim się stałem.

Obce? Jak mógł twierdzić coś podobnego? Zdaniem

Constance, ten człowiek, ten okaleczony na duszy, ciężko doświadczony przez los człowiek, był najszlachetniejszą istotą ludzką na świecie.

Ujmując dłoń, która ciężko opierała się na jej ramieniu, przekrzywiła głowę i ucałowała lekko jego palce.

- Jesteś dla mnie wszystkim - wyszeptała, ale głośna fanfara zapowiedziała początek przedstawienia i Constance wątpiła, czy usłyszał jej słowa. Mimo to, wiedziała, że na deklaracje mają aż nadto czasu. Całą noc.

A przy odrobinie szczęścia - całe życie.

Stał w cieniu drzew, wyężając wzrok w kierunku Ruby Hall. Serce pękało mu na tysiące malusieńkich kawałków.

- Maura? - szepnął bezgłośnie, ale już wiedział, że ją stracił, że odebrał mu ją inny mężczyzna. Gideon Payne. Wsiadając z powozu, podniosła na niego wzrok na tak krótką chwilę, że nikt inny nie zauważyłby pewnie blasku, jaki pojawił się w jej oczach.

Blasku miłości.

Zakochała się w Gideonie Payne'ie.

Zupełnie tak, jak kiedyś była zakochana w *nim*.

Szloch narastał mu w krtani, aż uwolnił się, płosząc stadko ptaków. Oszołomiony, jak ślepiec zatoczył się w stronę niewielkiego stawu, zanim ktoś przyjdzie sprawdzić, skąd ten hałas.

„Dlaczego, Mauro? Dlaczego?” - łkał w duchu. Zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy, by dowieść, jak bardzo jest jej oddany. Ukarał tych, którzy ją skrzywdzili, przygotował wszystko do jej tryumfalnego powrotu na scenę. A ona nawet tego nie zauważyła. Ani razu nie spróbowała porozmawiać z nim w cztery oczy, podziękować za jego wysiłki.

„Niech ją piekło pochłonie!" - pomyślał, a jego dłonie bezwiednie zacisnęły się w pięści. „Niech ją piekło pochłonie po wsze czasy!" Nie miała prawa tak go traktować. Nie po tym wszystkim, co dla niej zrobił!

Puścił się biegiem, młóćąc drzewa i krzaki, które stawały mu na drodze. Potem potknął się jak pijany, tknięty straszliwą myślą.

Nie żywiła chyba do niego urazy za tamtą noc, tak dawno temu, kiedy Gideon Payne przyłapał ich, a on sam musiał skryć się w ciemnościach, by uniknąć rozpoznania. Przecież go kochała. Nie okazałaby się tak małostkowa.

Nie. Cała ta sytuacja zaistniała z jego winy. Jego śmiechu warte wysiłki, by zmanifestować uczucia, to za mało. Znajdzie lepszy sposób, by podbić jej serce.

Nawet jeśli będzie musiał w tym celu zabić GideonPayne'a.

Gdyby ktoś zapytał Constance, co widziała w teatrze, nie byłaby w stanie podać ani jednego szczegółu. Od chwili, w której zgasły światła, całą jej uwagę przykuwał mężczyzna siedzący u jej boku.

Przy akompaniamencie sprośnych piosenek, ujadania psów i rubasznych dykteryjek, zjedli z Gideonem kolację w atmosferze pełnej zmysłowości. Najprostsze nawet czynności nabierały dla niej całkowicie nowego znaczenia, tak jak wtedy na przykład, gdy Gideon karmił ją co smakowitszymi kąskami ze swoich dań czy podsuwał do ust dojrzałe czerwone jagody.

Nie potrafiła nawet sobie przypomnieć rytmicznej, skocznej melodyjki, przy której odbywał się striptiz, po posiłku bowiem udali się z Gideonem na szezlong, gdzie dowiedział jej niezbitcie, że sam dotyk jego rąk, pieszczotliwe muśnięcie włosów ustami, ciepły oddech owiewający jej kark wywierały o wiele potężniejsze wrażenie, niż wszelkie atrakcje, jakie oferować może rewia.

Spektakl nie dobiegł nawet do połowy, gdy Gideon dotknął kokardy, na którą zawiązana była jej peleryna, i wiedziała, że wkrótce przestanie istnieć między nimi ta ostatnia fizyczna bariera - jak i jej własne zahamowania. Constance była pewna, że gdyby nie nagły hałas, z jakim wypełniona piaskiem przeciwwaga urwała się nagle z systemu bloków, powodując, że kurtyna przekrzywiła się jak pijana, oddałaby mu się tu i teraz.

Kiedy jednak zamieszanie na scenie zakłóciło ich idyllę, Gideon złapał Constance za rękę i pociągnął ją za sobą.

- Chodź. Skoro już dałem słowo honoru, że pojawię się na tym przeklętym balu, przedstawię cię ludziom z branży i wymkniemy się czym prędzej.

Constance nie miała dość czasu, by złapać oddech, a co dopiero pomyśleć, a już wyprowadzał ją z teatru.

Bal okazał się pełną blichtru, ekstrawagancką uroczystością. Gdy Constance przestąpiła progi kapiącego od bogactwa westybulu rezydencji, w oczach jej się mieniło od setek świec, lśniącej biżuterii, egzotycznych kwiatów oraz pięknych mężczyzn i kobiet ubranych w najświetniejsze stroje.

Pomimo radosnego nastroju i obecności czarującego mężczyzny u swojego boku, Constance miała poczucie, że jej osoba była tu całkowicie nie na miejscu. Co robiła na takiej gali? Nie należała do tego świata, czuła się wśród tych pięknych dam i eleganckich kawalerów jak Kopciuszek. Ani jej dzieciństwo, ani edukacja nie przygotowały jej do obracania się w takich sferach.

Stała zagubiona, przyciskając do szyi kołnierz pele-ryny.

Wyczuwając jej onieśmienie, Gideon wyprowadził ją ze strumienia napływających gości, pochylił się w jej stronę i spytał:

- Co się stało?

Constance wiedziała, że duma nie powinna pozwolić jej na udzielenie odpowiedzi, ale podniosła na niego spłoszony wzrok, szukając otuchy. Stwierdziwszy, że przyglądał się jej z największą czułością, wyznała cicho:

- Nie czuję się tu na miejscu.

- Dlaczego nie?

- Nie jestem jedną z nich. - Westchnęła, dziwiąc się jego niedomyślności.

- W jakim sensie?

- W takim, że wychował mnie skąpy stary zrzęda, który nie przygotował mnie na takie szumne przyjęcia!

W chwili, w której te słowa wymknęły się jej z ust, przygryzła wargę, skonsternowana, a przez myśl przebiegł jej szereg dawno wyuczonych nakazów.

*Nie wypowiadaj się źle o zmarłych.*

*Czuj ojca swego.*

*Nie zapominaj, gdzie twoje miejsce.*

*Nie strój się w cudze piórka.*

*Bądź lojalna wobec rodziny.*

Gideon otulił ją ramieniem i z radością zaufała temu oparciu.

- Denerwujesz się bez powodu - mruknął cicho. - Ci ludzie niczym się od ciebie nie różnią. To wszystko nuworysze, którzy zbili fortuny w podobny sposób jak ja. Mamy te same korzenie.

- Nie. Nieprawda. To *nie* jest świat, do którego jestem przyzwyczajona.

- Nie musisz się do niego „przyzwyczajać”. Masz się nim tylko cieszyć.

- Jakże bym mogła? Jak mogłabym wytrwać do końca tego wieczoru, wiedząc, że każde moje słowo, każdy mój krok, będą obserwowane i krytykowane?

- Nikt się nie interesuje tym, kim jesteś ani czym się zajmujesz. A gdyby nawet tak było, co cię to obchodzi? - Podniosła na niego zatroskane oczy i powtórzył:

- Co cię obchodzą opinie ludzi?

**-Ja...**

- Życie jest zbyt krótkie - przerwał, szczypiąc ją leciutko w policzek - żeby zamartwiać się tym, co my-

ślą inni, Constance. A jeśli ojciec uczył cię, że jest inaczej, nic dziwnego że umarł jako samotny, zgorzkniały starzec.

- Ale...

- Baw się. Daję ci słowo, że nikt nie zwróci uwagi na to, jakiego widelca użyjesz przy kolacji czy na zasób twojego słownictwa. Krzywdzisz tych ludzi, sądząc, że będą oceniać cię przez pryzmat konwenansów, a nie tego, co masz tutaj - dotknął jej czoła - i tutaj - musnął jej pierś. - Otwórz się na możliwości, które stoją przed tobą, i ucz się od tych ludzi. A potem decyduj, czy jesteś tu „na miejscu”, czy też nie.

Następnie pociągnął ją ku pokojówkom, które czekały, żeby wziąć od nich okrycia. Odetchnąwszy głęboko, by się uspokoić, Constance rozwiązała pelerynę i pozwoliła Gideonowi zsunąć z jej ramion burgundową materię.

Teraz to on oddychał z trudem. Zerknęła w lustro wiszące za plecami pokojówek na ścianie salonu i zobaczyła, że w jego oczach pojawia się płomień. Poczuła, jak jego ręce, ciepłe pod miękkimi bawełnianymi rękawiczkami, kładą się ciężko na jej obnażonych ramionach.

- W coś ty się do diabła ubrała?!

Nie była pewna, czy jego reakcja powinna ją ucieszyć, czy raczej przerazić. Kiedy jednak przyjrzała się w lustrze jego roziskrzonym oczom, poczuła zadowolenie.

- To suknia balowa. Powiedziałaś, że mam się ubrać, jak mi się podoba, więc pożyczyłam ją od Penny.

- Tak - odparł przeciągle i pieszczotliwie, a w niej wyciszyły się emocje. - Ale wolałbym, żebyś założyła całą suknię.

Zaśmiała się cichutko, po czym zauważyła ze zdumieniem, jak na jej śmiech zareagował zmrużeniem



oczu. Palce mocniej wbiły się w jej skórę i z niewiadomych sobie samej powodów naszła ją ochota, by z nim poflirtować. Poflirtować z tym niebezpiecznym, zagadkowym mężczyzną.

- To *jest* cała suknia.

Widziała w lustrze spojrzenie, jakim omiótł jej nagie ramiona. Suknia miała głęboki dekolt - o wiele głębszy, niż wcześniej wyobrażała sobie w swoich najśmielszych marzeniach. Poza delikatnym złotym naszyjnikiem, na którym kołysały się obsydiany, a który Gideon podarował jej w operze, nie miała innych ozdób, nie licząc koronkowego kołnierza, kładącego się miękko na jej piersiach. Stan sukni obciągał gorset zasznurowany tak ciasno, jak tylko mogła wytrzymać. Intensywna barwa toalety podkreślała jej kremowobiałą płeć, a ogromna rozszerzająca się do dołu spódnica sprawiała, że jej talia wydawała się niesamowicie drobna i krucha. Nawet sama Constance nie poznawała swojego odbicia. Wyglądała tak elegancko, tak światowo, że w niczym nie przypominała kobiety, która przyjechała do Nowego Jorku z kotem w wiklinowym koszyku.

Jak mogła tak bardzo zmienić się w tak krótkim czasie?

Zmarszczyła czoło, ale nie zdążyła poświęcić tej myśli więcej uwagi, Gideon bowiem chwycił ją za łokieć i prowadził już ku schodom.

- Myślę, że najwyższy czas, żebyśmy otoczyli się ludźmi - powiedział z naciskiem.

Constance zrobiła minę świętej niewinności.

- Ależ dlaczego?

- Żebym nie wziął cię tu, na podłozde.

- Obiecowałeś, że mnie uwiedziesz.

- Nie wiem dlaczego, ale odnoszę wrażenie, że posłużyłaś się tą suknią, żeby odwrócić nasze role. Po-

wiedz mi, Constance, postanowiłaś wypróbować na mnie swoje talenty uwodzicielki?

Uśmiechnęła się filuternie, szybkim gestem otworzyła wachlarz i rzuciła mu znad niego krótkie spojrzenie.

- Być może.

- Cóż, ponieważ. Już jestem w twojej mocy.

Nie skończyła jeszcze napawać się tą szczerą odpowiedzią, a już byli na drugim piętrze. Czekali tam gospodarze, Claudia i Rupert Raines, by ich powitać.

Constance uznała, że rada Gideona, by cieszyć się wieczorem, nie jest pozbawiona sensu i szybko wcieliła się w nową, nieznaną rolę. Suknia, atmosfera i mężczyzna u jej boku pozwoliły jej na chwilę uwierzyć, że należy do tego pełnego blasku świata.

Przed oczami stanęły jej wieczory spędzone z siostrami na zabawie w teatr. W sypialni na stryżku grała role księżniczek, królowych i wielkich artystek, a teraz doświadczenia te okazały się nieocenione. Bez "wahania podała do ucałowania dłoń w eleganckiej mitynce i jak prawdziwa dama uściśnęła lekko czubki palców gospodyni. Półgłosem rzuciła uprzejmie: „Jakże mi miło...”, udzieliła kilku paniom odpowiedzi na pytanie, gdzie kupiła suknię i wygłosiła parę pochwalnych uwag na temat rezydencji.

W końcu przebrnęli jakoś przez ceremonię powitania. Złapała Gideona za rękę i poprowadziła go ku schodom i balkonowi na trzecim piętrze. Po ostatnich sukcesach, śpieszno jej było rozpocząć swój pierwszy bal.

Szedł za nią z pobłażliwym uśmiechem na twarzy, ale zignorowała jego minę, oczom jej bowiem ukazały się właśnie tańczące pary i morze barwnie ubranych gości. Powietrze ciężkie było od woni tysięcy zmieszanych ze sobą perfum, aromatu dań przygotowanych dla gości, odurzającej woni kwiatów i zapachu świec.

- Oooo - westchnęła.

A potem nie było już czasu na westchnienia, bo Gideon opasał ją rękami w tali i pociągnął na parkiet.

Na początku Constance usiłowała sobie przypomnieć kroki. Tańczyła walca przecież tylko jeden raz - jeśli można tak nazwać wpadanie na siebie i potykanie się, jak wtedy gdy z okna sypialni podglądały z siostrami przyjęcie u sąsiadów. Gideon jednak tańczył tak miarowo i pewnie, że z łatwością poszła w jego ślady. A potem zaczął wirować z nią w ramionach, aż zakręciło się jej w głowie.

Kiedy muzyka wybrzmiała, Constance z trudem łąpała oddech. Tak dalece pochłaniało ją otwarcie wachlarza i trzepotanie nim przed twarzą, że nie zauważyła nawet dziwnego bezruchu na sali, ani też tego, że znieruchomiał jej towarzysz. Dopiero gdy bezwiednie wbił palce w jej bok, podniosła na niego oczy i przekonała się, że jego rysy stężały.

- Co się stało?

Nie odpowiedział, ale powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i ujrzała wysokiego, majestatycznego mężczyznę, który właśnie wszedł do sali i zamarł, wpatrując się w Constance, jakby zobaczył ducha.

Skrzywiła się, przekonana, że nieznajomy to kolejny wielbiciel Maury Kelly.

Ignorując go, wachlowała pałające policzki, po czym uświadomiła sobie, że nie tylko jasnowłose człowiek nie odrywa od nich wzroku. Większość obecnych przypatrywała się tej wymianie spojrzeń z chciwą fascynacją, sprawiedliwie dzieląc uwagę między Constance, Gideona i nowo przybyłego.

Constance zerknęła na Gideona z zamiarem poproszenia go o jakieś wyjaśnienie, kiedy jednak spostrze-

gła bladość, jaka oblekła jego policzki, zawahała się.

Szmerek zaintrygowanych gapiów zasygnalizował Constance, że nieznajomy zbliża się ku niej, i automatycznie usztywniła plecy w przeczuciu, że zaraz rozegra się na jej oczach dramat, którego natury wciąż jeszcze nie pojmowała.

- Chodźmy, Constance. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Uścisk na jej ramieniu zaczynał sprawiać ból, gdy Gideon wyprowadził ją przezszklonymi drzwiami na taras. Jeśli jednak sądził, że tak łatwo przyjdzie mu uniknąć nieznajomego, czekało go bolesne rozczarowanie, pomyślała Constance, widząc, że mężczyzna rusza ich śladem.

Gideon także musiał to zauważyć, ponieważ powiódł ją w najodleglejszy kąt tarasu, tak daleko od wścibskich spojrzeń, jak to tylko było możliwe. Tam odwrócił się i wbił w mężczyzną ołowiany wzrok.

- Payne... - mruknął tamten tonem powitania. Blask świec igrał na falach jasnych włosów, okalających jego twarz, i Constance przyznała w duchu, że w każdym innych okolicznościach uznałaby go za niezwykle przystojnego.

Gdyby u jej boku nie stał Gideon i tamten w porównaniu nie wypadł blado.

- Hayes.

- Nie przedstawisz mnie swojej towarzysze?

Constance widziała, jak szczęki Gideona drgnęły; w końcu jednak warknął:

- Constance, ten dżentelmen to mój stary znajomy z dzieciństwa, Luther Hayes. Lutherze, poznaj moją narzeczoną, Constance Pedigrue.

Constance wpatrywała się w niego, całą siłą woli ha-

mując się, by nie wykrzyknąć: „Poznaj *kogo?*” Ale wyraz wściekłości na jego twarzy sprawił, że posłusznie wcieliła się we wskazaną rolę.

Luther? Gdzie ona słyszała to imię?

Unosząc głowę, pozwoliła Lutherowi ucałować końce swoich palców - co zrobił z kurtuazją i szacunkiem należnym królowej. Wyswobodziwszy dłoń, uwiesiła się Gideonowi na ramieniu, wychodząc z założenia, że jeśli sam postawił ją w tej sytuacji, nie mogła przegapić szansy zachowywania się, jakby rzeczywiście miała zostać jego żoną.

- Najdroższy, nie jestem pewna, co opowiadałeś mi o panu Hayesie. Nazwisko wydaje mi się znajome, ale nie wiem skąd. Nie omieszkasz chyba naprawić tego niedopatrzenia.

Twarz Gideona drgnęła lekko na ten czuły zwrot. Nakrył jej dłoń ostrzegawczym gestem.

- Właściwie trudno to nazwać niedopatrzeniem. Nie myślałem o nim do tej chwili.

- To nie jesteście przyjaciółmi?

- Nie. - W słowie tym brzmiała zjadłość. Groźba. - Już od dawna nie.

Constance posłała Lutherowi czarujący uśmiech.

- Proszę o nas nie zapominać, panie Hayes. Skoro jesteście panowie dobrymi znajomymi, proszę nas koniecznie odwiedzić.

Luther wpatrywał się w nią z natężeniem.

- Nie robiłem tego na wyraźne życzenie obecnego tu Gideona.

- Och, doprawdy?

Żaden z nich nie raczył odpowiedzieć, ani też zaspokoić trawiącej ją ciekawości, i miała serdeczną ochotę tupnąć nogą wobec ich oślego uporu.

- Panowie, panowie... Może wtajemniczylibyście mnie w swój sekret. To oczywiste, że obaj odczuwacie pewne... napięcie w obliczu tak niespodzianego spotkania.

Po sekundzie niezręcznej ciszy, odezwał się Luther:

- Obawiam się, że to pani jest źródłem naszego... dyskomfortu.

- Oo?

- Tak. Jest pani uderzająco podobna do naszej wspólnej znajomej.

Znów ta Maura. Dlaczego duch tej kobiety nie prześlada jej prześladować?

- To zadziwiające, naprawdę, jak bardzo pani ją przypomina.

- Widziałam portret Maury Kelly - odparła, marszcząc brwi - i nie uważam, by nasze podobieństwo było takie znowu wyraźne.

- Wystarczająco wyraźne, by serce we mnie zamarło. - Na tak niestosowną odpowiedź jej brwi powędrowały w górę. - Widzi pani, ja i Maura mieliśmy do siebie pewną skłonność - kontynuował Luther tonem wyzwania.

- Byłeś jej kochankiem - warknął cicho Gideon. - A potem przyczyniłeś się do jej śmierci.

Luther spiorunował go wzrokiem.

- Na mój honor, ależ ja nie...

- Nakryto cię w jej łóżku!

- To nie byłem ja, do cholery!

- Widziałem cię. Widziałem, jak uciekasz przez balkon. - Gideon wyrwał się z uścisku Constance. - Do diabła, pozwoliłeś, żeby skoczyła za tobą z okna!

Luther doskoczył do Gideona, powalił go na ziemię i zaczął na oślep okładać pięściami.

Hałas zwrócił uwagę pary stojącej niedaleko drzwi na taras. Kobieta krzyknęła z przerażeniem w głosie,

a wówczas goście, popychając się nawzajem, wypadli na zewnątrz, by sprawdzić, co takiego się dzieje.

Zwracając się do grupki mężczyzn, którzy nadbiegli jako pierwsi, Constance wrzasnęła niemal:

- Nie stójcie tak! Rozdzielcie ich jakiś!

Szóstka krzepkich gości zdołała w końcu oderwać walczących od siebie.

Luther szarpnął się, próbując złapać Gideona za gardło, ale w następnej chwili, jakby uświadamiając sobie, że zrobił z siebie widowisko, zmusił się do rozluźnienia mięśni, wyprostował się i jakby ochłonał.

Gideon, wściekły, że został wciągnięty w burdę, nawet na niego nie patrzył. Poprawił kamizelkę, chwycił Constance za ramię i przyciągnął ją do siebie.

- Myślę, że powinniśmy wyjść.

- Tak - zgodziła się natychmiast. - Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Pozwoliła mu wyprowadzić się na dwór, przepraszając po drodze gospodarzy i wyjaśniając, że od pewnego czasu Gideon „nie najlepiej się czuje” i z żalem, ale muszą się już pożegnać.

A potem wyszła za nim w chłodne nocne powietrze.

- Moja peleryna! - wykrzyknęła, gdy powóz w iście czarodziejski sposób zmaterializował się na podjeździe.

- Niech już zostanie. Pani domu odeśle ci ją z samego rana.

Constance, wzdragając się na myśl, że miałaby wrócić do rezydencji Rainesów po tym, co się stało, poddała się i posłusznie wsiadła do powozu. Gdy tylko Gideon ułokował się obok niej i zastukał w dach, konie ruszyły z kopyta i po chwili mknęli już zatłoczonymi ulicami miasta.

- Czy taki pośpiech jest naprawdę konieczny? - spył

tała Constance, przytrzymując się uchwytu przykręconego do ścianki pojazdu.

- Tak - warknął Gideon. Następnie z ewidentną skruchą poprawił się: - Nie. Właściwie to nie.

Kolejnym stuknięciem w dach dał woźnicy do zrozumienia, by zwolnił.

Przez okno wpadało rześkie powietrze i Constance zadrżała. Nie była przyzwyczajona do wystawiania obnażonych ramion na nocny wiatr.

Widząc to, Gideon zdjął surdut i okrył nim Constance.

- Może jednak powinniśmy posłać woźnicę po tę pelerynę.

Pamiętając jeszcze ciekawskie spojrzenia, jakie śledziły każdy ich krok od chwili, w której Luther powalił Gideona na ziemię, pokręciła tylko głową.

- Nie. Sądzę, że energiczny odwrót jest najlepszym rozwiązaniem. - Następnie przypomniawszy sobie katastrofę, która poprzedziła ich wyjście, obruszyła się nagle: - Co u nieba opętało tego człowieka, żeby tak się zachować?

- Powiedzmy, że odezwały się stare przyzwyczajenia. I to dotyczy nas obu - odparł, uciekając wzrokiem.

- Co to ma niby znaczyć? - Milczał uparcie, rzuciła więc kwaśno: - Sądzę, że należy mi się słowo wyjaśnienia.

- Nie jesteś moją matką, Constance.

- Owszem - odparowała. - Ale jestem twoją *narzeczoną*.

Miał dość przyzwoitości, by na te słowa uciec spojrzeniem i mruknąć cicho:

- Przykro mi.

- Mam nadzieję, że wymyślisz lepsze przeprosiny. Mogę sobie wyobrazić, jakiego rodzaju płotki gruchną jutro na temat dzisiejszego zajścia.



Posłał jej pochmurne spojrzenie.

- Już raz ci mówiłem, że nie powinnaś przejmować się tym, co pomyślą inni.

- Być może, ale jestem zdania, że należy mi się od ciebie obszerniejsze wyjaśnienie. Tak nakazywałaby zwykła grzeczność.

- Wyjaśnienie czego?

- Jak to było z tobą, Lutherem... i Maurą.

- Dokąd oni pojechali, Etienne? - spytała Louise, gdy jej ochroniarz wrócił do sali balowej.

Zaledwie wczoraj Louise otrzymała zaproszenie od Claudii Raines, która co prawda szczerze wątpiła, czy głośna artystka się pojawi, lecz i tak umieściła jej nazwisko na liście gości.

W chwili, w której przeczytała wytłaczaną kartę wizytową, Louise wiedziała, że na bał się wybierze. Nie dlatego, żeby przepadała za podobnymi uroczystościami, ale dlatego, że było dla niej jasne, że Gideon nie zostanie przy takim spotkaniu pominięty i miała nadzieję pomówić z Constance.

Niestety, na ulicach ruch był duży, skutkiem czego ona i Etienne przybyli na miejsce nieco spóźnieni. Kiedy dotarli na trzecie piętro, Gideon tańczył z Constance. A potem zaczęła się ta okropna burda i jej córka zniknęła.

- "Według pokojówki, która bierze od gości okrycia, wyszli nagle. Constance zapomniała nawet odebrać pelerynę.

Louise westchnęła, rozczarowana. Będzie musiała poczekać na kolejną sposobność „przypadkowego” spotkania się z córką. Tylko jak długo?

Etienne milczał, więc odwróciła się, żeby zobaczyć, jaki miał wyraz twarzy, i natychmiast się zaniepokoiła.

- Udało mi się zaciągnąć Luthera Hayesa do gabinetu Rainesa pod pretekstem, że łatwiej mu będzie ochłoniąć w ciszy i spokoju. Po kilku kieliszczykach brandy język mu się rozwiązał. Nie przeszkadzało mu nawet, że mnie zupełnie nie zna - odezwał się w końcu.

Chwyliła go za ramię, przeczuwając, że nie spodoba się jej to, co zaraz usłyszy.

- Wyjaśnił mi, że Gideon ma go za kochanka Maury. Ale zarzekał się wielokrotnie, że do niczego nie doszło.

- Z kim zatem Maura była tamtej nocy? - spytała Louise, przypominając sobie opowieści na temat samobójstwa Maury, które przekazywane z ust do ust obiegły nazajutrz cały teatr.

- Luther mówił, że widział ją pewnego razu z bardzo charakterystycznym mężczyzną. Wparował do garderoby, żeby pogratulować jej szczególnie udanego występu i zastał ją w ramionach tamtego człowieka.

- I co, Etienne? Jak według jego opisu wyglądał ten człowiek?

Etienne zerknął na ludzi miotających się po sali i zbijających w grupki, żeby oplotkować wydarzenie dnia.

- Lepiej już idźmy - powiedział znienacka, ciągnąc ją w kierunku drzwi.

- Ale dlaczego?

- Jeżeli opis dotyczy tego, kogo podejrzewam, powinniśmy ostrzec Gideona.

- Nie poczekamy z tym do rana?

- Nie. Zrobimy to jeszcze dzisiaj. I zabierzemy ze sobą Luthera, żeby pomógł nam go przekonać.

## 21

Malutka lampka w rogu powozu oświetlała częściowo twarz Gideona, reszta jednak kryła się w cieniu. Mimo to, Constance nie mogła pomylić się co do powagi, jaka się na niej malowała, czy ostrego spojrzenia, jakie jej posłał.

- Naprawdę chcesz się dowiedzieć, co zaszło między Maurą i mną? Co się wtedy stało?

W pytaniu tym kryło się ostrzeżenie; wyraźnie wkraczała na niebezpieczny grunt.

Constance zawahała się, wiedząc, że jeśli postanowi dążyć temat, przyjdzie jej kiedyś gorzko tego dnia pożałować. Było nie było, miała przed sobą człowieka, który strzegł swojej przeszłości i prywatności z zacięłością graniczącą z obsesją. Za podobne zwierzenia trzeba będzie drogo zapłacić.

Ale musiała się dowiedzieć. Musiała wgryźć się w jego duszę i odkryć, co czyniło go tak zaciętym, tak zgorzkniałym i wręcz rozkochanym w swoim samotniczym życiu.

- Tak, Gideonie. Naprawdę chcę wiedzieć.

Powóz zwalniał przed rezydencją, w końcu zatrzymał się i Gideon pomógł jej wysiąść.

- Chodź ze mną.

Z westybulu powiódł ją schodami na górę, potem do wschodniego skrzydła. Przed dwuskrzydłowymi drzwiami na końcu korytarza zatrzymał się, wziął oga-

rek świeczki z jednego z lichtarzy i wprowadził ją do środka.

Constance czekała w pełnym napięcia milczeniu, by zapalił resztki świec, które ostały się na kandelabrze. Z każdym kolejnym pełgającym płomieniem ukazywał się następny skrawek pomieszczenia.

A więc to właśnie był Złoty Pokój.

Było oczywiste, że poczyniono już pewne wysiłki, by odnowić komnatę, nie sposób jednak było zamaskować zgnilizny i zapachu pleśni, zimnego przeciągu wpadającego przez wybitą szybę, śladów spalenizny na ścianach i wokół portretu Maury.

Portret Maury...

Constance podeszła do niego jak zaczarowana. Okłamała Luthera mówiąc, że widziała wcześniej podobiznę Maury, a teraz, kiedy stała twarzą w twarz z odtworzoną olejem na płótnie postacią aktorki, przebiegł ją zimny dreszcz - podobieństwo było uderzające. Równie dobrze Constance mogłaby przegłądać się w lustrze.

- Była bardzo piękna - zauważył Gideon miękko, a ona obróciła się gwałtownie, zastanawiając się, czy oznaczało to, że i ją uważał za piękną.

- Musiałeś ją bardzo kochać.

- Miałem na jej punkcie obsesję. - Przeszył Constance spojrzeniem. - To różnica.

A więc przypuszczenia Penny się sprawdziły.

- Ożeniłeś się z nią - powiedziała Constance z naciskiem.

Zbył ją wzruszeniem ramion.

- Wtedy wydawało mi się to najlepszym rozwiązaniem. Wielbiciele oblegali ją ze wszystkich stron. Wliczając w to Luthera Hayesa. W ich oczach widziałem odbicie mojego własnego pożądanego.

Zadrzała; powietrze w sypialni zgęstniało od cienia dawnej, pierwotnej żądy.

Gideon zsunął Constance żakiet z ramion i upuścił go na ziemię.

- Miała w sobie coś. - Musnął jej obojczyk, potem objął dłonią szyję. - Mężczyźni lgnęli do niej jak pszczoły do miodu.

Constance bała się oddychać, bała się przypomnieć mu, że nie jest Maurą. Że nigdy Maurą nie będzie.

- Przysięgała mi, że wszyscy ci mężczyźni ją męczą. Przysięgała, że to ja jestem miłością jej życia. - Ujął ją za policzki. Krzyknęła, gdy obrócił ją gwałtownie i opasał ramieniem jej klatkę piersiową i szyję, zmuszając do spojrzenia na obraz. - Patrz na nią, Constance. Te oczy mówią wszystko. W ich głębi odzwierciedla się wszystko, czego mężczyzna kiedykolwiek pragnął, o czymkolwiek marzył.

Pochylił się bliżej. Mówił z ustami tuż przy jej uchu, a jego głos stawał się coraz bardziej ochrypły.

- Powiedziała, że mnie kocha, a te słodkie, śmiejące się oczy kazały mi w to wierzyć. Powiedziała, że jestem jedynym człowiekiem, jakiego mogłaby kiedykolwiek kochać. Błagała, żebym podał do publicznej wiadomości moje prawa do niej, a ja chętnie na to przystałem. Wiedziałem, że jedynie ślub zdoła przekonać jej wielbieli, że nie mają już na co liczyć, że nie jest już wolna.

Ramię przesunęło się i znieruchomiało w luźnym chwycie wokół jej szyi. Po raz pierwszy od ich spotkania Gideon zaczął napawać ją lękiem. Wątpiła, czy był świadomy tego, co robi, czy widzi, jak bardzo musiała odchyłać głowę, by złapać oddech.

- Pobraliśmy się w maju. Ślub kościelny odbył się Z wielką pompą. Pamiętam, że do bukietu wybrała lilie...

Zaśmiał się, ale Constance nie domyślała się, co go tak bawiło, dopóki nie pochylił się, by poczuć zapach jej perfum. Woda liliowa. A potem chyląc się jeszcze niżej, szepnął: - Miała nawet czelność wystąpić w bieli.

Constance chwyciła go za nadgarstki, starając się rozluźnić chwyt wokół gardła.

- Nie była dziewicą, kiedy wziąłem ją tamtej nocy, choć robiła wszystko, żebym tak pomyślał. - Ruszył w stronę obrazu, pchając Constance przed sobą. - Ale wmówiłem sobie, że mi na rym nie zależy. Uważałem, że przeszłość nie ma znaczenia tak długo, jak mam całą jej przyszłość. Ale po kilku tygodniach wiedziałem już, że nasze małżeństwo jest skazane na porażkę. I wtedy Maura powiedziała mi, że jest brzemienna.

Zatrzymał się, wpatrując w malowidło z mieszaną gniewu i niechęci.

- Była bardzo sprytna, wytoczyła jedyny argument, jakiemu nie byłem się w stanie oprzeć. Dziwnym zbiegiem okoliczności akurat miesiąc później... zachorowała. Powiedziała mi, że poroniła. Ale ja miałem wątpliwości, czy wcześniej w ogóle było jakieś dziecko.

Ściszył głos do szorstkiego szeptu.

- A potem, z wyjazdu w interesach wróciłem o trzy dni wcześniej, niż się zapowiadałem. Zdażyłem już dojść do wniosku, że fakt, iż dziecko naprawdę nie istniało, nie gra żadnej roli. Maura w końcu otworzyła się na możliwość zostania matką. A tylko to było istotne.

Urwał, a w jego oczach pojawiło się zamyślenie.

- Zapłaciłem kwiaciarce czterdzieści dolarów, żeby zebrała wszystkie lilie, jakie były w mieście. Z całym naręczem wszedłem cicho na górę i otworzyłem drzwi...

Po policzkach Constance płynęły strumienie łez. Nie dlatego, że tak mocno ją trzymał, nie dlatego, że

widział w niej lustrzane odbicie zmarłej żony, lecz dlatego, że wiedziała, jak skończy się ta opowieść.

Puścił ją nagle, po czym przegarnął ręką włosy, starając się uspokoić.

- Leżeli w łóżku. Moja żona i Luther Hayes.

- Znałeś go wcześniej?

- Czy znałem? - Roześmiał się gorzko. - Był moim najlepszym od lat przyjacielem. Dorastaliśmy razem. Dopóki nie przygarnęli mnie Kincaidowie, był mi najbliższym człowiekiem, prawie bratem. Potem pracowaliśmy w tej samej branży i wspomagaliśmy się nawzajem.

Constance zadrżała, rozumiejąc nagłe, jak bardzo musiała go dotknąć zdrada.

- Nie miał nawet dość przyzwoitości, by stanąć ze mną twarzą w twarz. Czmychnął na balkon i ukrył się w ciemnościach. Maura była w rozpacz. Pobiegła za nim, błagała, żeby wrócił. Ale on tego nie zrobił. Wspięła się na poręcz, krzyknęła, że woli zginąć, niż dłużej znosić moje ośliżłe pocałunki. A potem skoczyła.

Constance objęła się ramionami, czując chłód, który przenikał ją do szpiku kości. Nie za sprawą zimnego przeciągu, nawet nie przez opowieść Gideona, lecz z powodu udręki, jaka malowała się na jego twarzy. Przyzwyczała się do jego niewzruszonego spokoju, werwy, nawet do jego straszliwego gniewu, lecz nie umiała znieść jego cierpienia.

Opadł ciężko na fotel i potarł twarz dłońmi, najwyraźniej żałując, że cokolwiek powiedział.

Nie zamierzała pozwolić, by znowu wpełznął do skorupy, za jaką skrywał się przed światem. Pomknęła ku niemu, pogłaskała go po policzku, po głowie.

Drgnął jak oparzony i usiłował wstać, ale pchnęła

go z powrotem na fotel, oplótła ramionami za szyję i przycisnęła do piersi jego twarz.

- To już przeszłość, Gideonie - szepnęła.

Opierał się jej kilka chwil, potem objął ją mocno.

- Tak?

- Oczywiście, że tak. Za jakiś czas, kiedy się trochę uspokoisz, znajdziesz sposób, by odpłacić Lutherowi za jego podłość.

- A potem?

- A potem rany zaczną się goić.

Uniósł głowę. W jego oczach ponownie pojawiła się wściekłość.

- Mówisz, jakby to wszystko było takie proste.

- Nie. W tym zamęcie nic nie jest proste. Ale masz tyle możliwości, chociaż ja osobiście odradzałabym ci udział w publicznych burdach.

- Co ty powiesz?

Zaśmiał się już pogodniej, a ona rozluźniła kurczowy uścisk.

- Mhm. Taką miałabym sugestię.

Wstał, ocierając się o jej suknię i tworząc rozkoszne napięcie, nie wiążące się już z przeszłością i tragediami.

- Co jeszcze byś sugerowała?

- Żebyś zostawił Maurę tam, gdzie jej miejsce.

- Czyli?

- W przeszłości.

Skrzywił się, więc ujęła jego twarz w obie dłonie.

- Nie jestem Maurą - oświadczyła brutalnie. - Podobieństwo może i jest... wyjątkowe. Ale nie jestem Maurą.

Nie odpowiedział od razu i poczuła się, jakby umarła jakaś część jej samej, mała część jej duszy, która kazała żywić nadzieję, że on powie to samo.

Tym razem to Gideon wejrzał jej głęboko w oczy.



- Kim zatem jesteś? - Zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, ale kontynuował: - Jak wtargnęłaś do mojego życia? Jaka siła popchnęła cię ku mnie? - Skrzywił się. - Na początku nawet przemknęło mi przez myśl, że nasłał cię Luther Hayes, taki chory żart.

- Co? - wykrzyknęła.

- Ale od samego początku czułem, że nie ma w tym żadnego podstępu. Że nie byłabyś do czegoś takiego zdolna.

Musnął kciukiem jej wargę i szepnął:

- Czego ty ode mnie chcesz, Constance?

- Czego chcę?

- Musisz czegoś chcieć. W przeciwnym razie, po co zostałąbyś tutaj, choć robiłem wszystko, żeby cię odstraszyć?

Z chytrą minką oparła mu dłoń na torsie.

- Może nie słuchałeś uważnie, kiedy mówiłam, że potrafię być wyjątkowo uparta.

- Słuchałem.

- W takim razie zauważyłeś chyba skutki tej wady. Im bardziej mnie ktoś odpycha, tym bardziej chcę być blisko.

Zrozumiał natychmiast. Objął ją mocniej i przyciągnął do siebie, tak że jej usta znalazły się w pobliżu jego ust.

- Powinnaś stąd uciec, Constance.

- Odnoszę wrażenie, że już mi to radziłeś. - Zagłębiła palce w jego włosy. - Moja odpowiedź się nie zmieniła. Nie ma takiego miejsca, w którym wołałabym się znaleźć.

A potem przyciągnęła jego głowę, bliżej i bliżej, aż ich twarze znalazły się o włos od siebie.

- Masz być moim wybawieniem, Constance?

- Nie - odszepnęła. - Wierzę, że to ty jesteś nim dla mnie.

Później nie było już ani czasu na rozmowę, ani na-

stroju. Pocałunek, jaki wycisnął na jej wargach, był wygłodniały i pełny pasji, i nie zamierzała mu się opierać. Przeciwnie. Uniosła się na palcach i odwzajemniła pieśczętę, pragnąc poczuć go tak blisko, poczuć jego ciepło, jego pożądanie, żeby nie pozostał nawet cień wątpliwości, że całował ją, a nie ducha.

Dość łatwym zadaniem okazało się dla niego odesłanie służby z rezydencji. Zatrószczył się o to, by znalazła się jakaś sprawa na mieście, która wymagała natychmiastowego załatwienia, i mógł spokojnie wśliznąć się do pustego domu. Czekał.

Słyszał, jak otwierają się drzwi i jak oboje wchodzą po schodach. Ukryty w ciemnym korytarzu zdołał podsłuchać nawet, jak Gideon opowiada o rzekomym samobójstwie Maury.

Ale ona nie zginęła. Stała tuż przed nosem tego człowieka, a on był zbyt głupi, by pojąć, że właśnie wciągała go w swoją pułapkę.

„Tak, jak i mnie wciągnęła w swoje gierki”.

Z zaciśniętymi szczękami sięgnął do kieszeni i wyjął z niej masywny, ostry jak brzytwa nóż. Zamrugał powiekami, żeby odegnąć łzy, które nagle napłynęły mu do oczu.

„Dlaczego, Mauro? Dlaczego? Dlaczego nie kochałaś mnie tak mocno, jak mi przyrzekłaś?”

Ocierając słonawy strumyczek, który popłynął po jego policzku, przeklinał się za to, że był takim głupcem. Powinien wiedzieć, że Maura jest niezdolna do tego, by kochać kogokolwiek prócz siebie.

Zaszył się głębiej w rogu i czekał. Oddech mu się rwał, serce waliło w piersi jak oszalałe: dzisiaj zażąda zadośćuczynienia za jej kłamstwa. Takiego zadośćuczynienia, jakie sam uzna za stosowne.

Gideon porwał Constance na ręce, nie przestając się zdumiewać, jak naturalnie jest trzymać ją w ramionach.

- Kocham cię, Constance - wyszeptał, niosąc ją ku drzwiom.

Oczy jej rozbłyły i poogromniały.

- Co? - spytała bez tchu.

- Słyszałaś mnie - odparł, tym razem głośniej. - Kocham cię bardziej niż samo życie. I jeśli tylko mnie zechcesz, to chciałbym, żebyś była u mojego boku do mojej śmierci.

Zmierwiła mu włosy.

- Jako twoja kochanka?

- Kochanka, towarzyszka, powiernica i żona.

Wydała zdławiony okrzyk, ściskając go tak mocno, że z trudem zdołał przejść przez hol. Wiedział, że *musi* pocałować ją znowu, ukochać, wyściskać. Kopniakiem otworzył drzwi do Brzoskwiniowego Pokoju i położył ją na łóżku. Następnie nakrył ją swoim ciałem, rozkoszując się jej dotykiem i uczuciem, które lśniło w jej oczach.

- Naprawdę chcesz się ze mną ożenić? - szepnęła.,

- Jeśli mnie zechcesz.

- Och, tak! - wykrzyknęła, zarzucając mu ramiona na szyję. - Tak, tak, tak!

Chwilę później całował ją nieprzytomnie, próbując zaspokoić głód, jaki budziła w nim ta kobieta. Przywróciła go do życia i wypełniła taką radością, że zastanowił się, czym mógł sobie kiedykolwiek na nią zasłużyć.

Powiódł dłonią w dół, zatrzymał na jej piersi i uśmiechnął się z zachwytem, słysząc w nagrodę jęk czystej przyjemności.

- Co ty wyprawiasz? - mruzczała cicho z przymkniętymi oczami.

- Kocham się z tobą. Jakies sprzeciwy?  
Jej głowa zakołysała się z boku na bok.

- Najmniejszych.

Przyciągnęła jego usta do swoich. Serce zaczęło mu bić jak wszyscy diabli, a jego...

Ki czort?

Wściekły, uniósł głowę i przekrzywił ją, zezując w kierunku źródła dźwięku. Sądząc z hałasu, ktoś usiłował właśnie wyważyć drzwi frontowe.

- Birch otworzy - zapewniła go Constance, ale po następnym oszałamiającym pocałunku stało się najzupełniej jasne, że byli w domu sami.

- Może sobie pójda - zasugerowała Constance bez przekonania.

Gideon westchnął, pokonany.

- Zaczynam wątpić, czy będzie nam kiedyś dane konsumować nasz związek bez większych zakłóceń. - Przetoczył się na bok, wstał i dodał żartobliwym tonem: - Tylko żebyś mi się nie ruszyła, aż wrócę.

Z korytarza pomaszerował na dół i jednym szarpnięciem otworzył drzwi. Kiedy po ich drugiej stronie zobaczył Luthera Hayesa i jakieś dwie kryjące się w cieniu postaci, warknął:

- Czego, do cholery?

W tym samym momencie w krąg światła wstąpiła kobieta, w której natychmiast rozpoznał Louise Chevalier, aktorkę, z którą niegdyś łączyła go przyjaźń.

- Nie odsyłaj nas precz, Gideonie - ostrzegła. - Przyjechaliśmy tu w niezwykle ważnej sprawie.

- Nic nie jest na tyle ważne, żebyś musiała budzić mnie w środku nocy, Louise.

Nie odpowiedziała na to jawne ostrzeżenie. Wymięła go bezceremonialnie i wparadowała do środka.

- Obawiam się, że jesteś w błędzie, Gideonie. To, co mam do powiedzenia, dotyczy nas wszystkich. Ciebie, mnie i mojej córki, Constance.

Constance usłyszała stłumiony odgłos kroków w korytarzu i uśmiechnęła się z satysfakcją. Gideon nie marnował czasu, żeby odprawić natrętnych gości i wrócić.

Wyciągając ramiona nad głowę, zamknęła oczy i czekała na cichy zgrzyt drzwi, zdradzający jego wejście.

- Już wróciłeś? - spytała figlarnie.

Nastała chwila milczenia, potem dyszący głos, którego nie знаła, odpowiedział:

- Byłem tu przez cały czas.

Błyskawicznie rozwarła powieki i krzyknęła bezgłośnie, widząc mknącego w jej kierunku Bircha. Przemknęło jej przez myśl, że się przesłyszała. Birch nie mógł tego powiedzieć. Pani Potts mówiła przecież, że był głuchoniemy.

- Wyglądasz na zaskoczoną, moja droga.

Słowa były w pełni zrozumiałe i wyraźne. Constance instynktownie szarpnęła się do tyłu, sturlała na podłogę, odgradzając się od niego szerokością łóżka.

- Co robisz w moim pokoju? - spytała.

Jej wyniosły ton nie przyniósł widocznego efektu. Birch obszedł łóżko - i zbyt późno zrozumiała, że właśnie odciął jej jedyną drogę ucieczki.

- Niech cię piekło pochłonie, Mauro - warknął. - Naprawdę myślałaś, że nie będę miał nic przeciwko temu, żebyś podjęła swój związek z Gideonem w punkcie, w którym go przerwałaś?

- Birch?! - Kręciła głową. - Maura nie żyje. Ja jestem...

- Zamknij się! Nie będę wysłuchiwał twoich nowych kłamstw. Myślałaś, że możesz mnie nabrać, że nabie-

rzesz nas wszystkich. Ale ja wiedziałem swoje. Wiedziałem, że tak naprawdę to nie zginęłaś tamtej nocy. Zainscenizowałaś to samobójstwo całkiem zmyślnie, ale ja świetnie wiedziałem, że wcale się nie zabiłaś.

Constance szukała jakichś słów, ale patrząc w dzikie oczy Bircha, dostrzegła w nich błysk szaleństwa.

- Birch, mylisz się. Nazywam się...

- Przestań! - Wystrzelił ku niej, jedną ręką złapał ją za nadgarstek, drugą wymachiwał nożem. - Nie zamierzam ciebie słuchać. Już nie. Przysięgałaś, że mnie kochasz. Przysięgałaś, że nigdy mnie nie zostawisz. Przysięgałaś, że jeśli nas kiedykolwiek rozdzielią, to wrócisz do mnie. Ale kłamałaś!

- Constance?

Wołanie dobiegało z dołu i Constance krzyknęła instynktownie:

- Gideon, ratuj!

Ta zuchwałość była błędem, co uzmysłowiła sobie, gdy Birch przycisnął ją mocno i zaczął wynosić z pokoju.

- Constance!

„Proszę cię, pośpiesz się, Gideonie. Proszę, śpiesz się!” - modliła się bezgłośnie, nie śmiąc wypowiedzieć tych słów. Wszystkie siły wkładała w szamotanie się z prześladowcą. Niewiele jednak zdziałała. Birch był wyjątkowo silny.

Zawłókł ją do Żółtego Pokoju. Kopnął deski, które tarasowały wyjście na balkon. Constance domyśliła się, co zamierzał zrobić, i zaczęła walczyć ze zdwojoną energią.

- Nareszcie mnie zrozumiałaś, co Mauro? Nie pozwolę ci znowu się z nim zezmacić. Tym razem twoja śmierć nie będzie farsą.

Deski wypadły. Uniósł ją wysoko, tak że stopy zwi-  
sały jej poza poręcz.

- Tym razem spotkamy się w wieczności, ukochana -  
wyszeptał, rozluźniając chwyt.

Constance gorączkowo szukała ratunku. Jak w zwol-  
nionym tempie widziała, że do pokoju wpada Gideon,  
za nim Luther, potem jeszcze jakichś dwoje. Później już  
nie było czasu na myślenie, poczuła bowiem, że zsuwa  
się... i zsuwa...

Dziko młóciła ramionami, bo wiedziała, że jedynym  
ratunkiem było uchwycić się żelaznej balustrady.  
W przeciwnym razie zwali się piętnaście stóp w dół  
prosto na kamienny chodnik.

Birch obrócił się niemal niezauważalnie, gdy Gide-  
on krzyknął coś ostrzegawczo, i w tej samej chwili wie-  
działa już, że nadarza się najlepsza szansa ucieczki.  
Wstrzymała oddech, puściła ręce Bircha, zaciekle szu-  
kając oparcia dla palców i uczepiła się ażurowego  
gzymsu u dołu balkonu.

Wisała tak przez kilka minut. Nie widziała, co dzie-  
je się w sypialni, słyszała jednak odgłosy walki. Potem  
rozległ się huk, który brzmiał jak strzał z pistoletu, i sko-  
wyt bólu. Obok niej przemknęło czyjeś ciało. Zacisnęła  
kurczowo powieki, modląc się z całych sił, żeby czło-  
wiekiem, który runął na ziemię, nie okazał się Gideon.

Następnie poczuła, że para silnych rąk ciągnie ją  
w górę, niesie i sadowi na podłodze. Czekwała, aż po-  
kój przestanie wirować jej przed oczami i minie groź-  
ba utraty przytomności. Potem wydało się jej, że tuli  
ją do siebie jakaś kobieta. Owionął ją zapach perfum  
tak znajomych, że zamarło w niej serce.

- Mama? - szepnęła, mrugając powiekami.

Gdy jej wzrok wyostrzył się, pomyślała, że widocz-

nie umarła, rozpoznała bowiem twarz, która teraz pochylała się nad nią. Znała ten słodki uśmiech i miłość, która biła z wpatrzonych w nią oczu.

- Mama? - powtórzyła, nie pojmując, co się z nią dzieje. Dłonie, które głaskały ją po policzku, były rzeczywiste, och, jak bardzo rzeczywiste. Równie rzeczywiste jak łzy, które płynęły z oczu kobiety.

- Tak, malutka. Jestem przy tobie. W końcu jestem przy tobie.

Oszołomiona Constance zmarszczyła brwi, potem drgnęła, wpatrując się w mroczne wnętrze Złotego Pokoju. W jednym kącie stał Luther Hayes, z wciąż dymiącym pistoletem w wyciągniętej ręce. Inny wysoki, ciemnowłosy mężczyzna zbliżył się i pogłaskał po głowie jej matkę.

A Gideon? Gdzie...

- Tu, Constance - zawołał Gideon, zupełnie jakby słyszał jej myśli. Natychmiast odnalazła spojrzeniem miejsce, gdzie stał, oparty o ścianę, ściskając rękaw, przez który sączył się strumyczek jasnej krwi.

- Jesteś ranny! - krzyknęła. Ignorując ciemności, które nadal czekały tylko, by ją pochłonać, zerwała się na nogi i, potykając się, podbiegła do niego.

- To tylko zadrapanie - zapewnił.

Te słowa jej jednak nie uspokoiły. Uniosła jego dłoń, by sprawdzić i ogarnęło ją obezwładniające uczucie ulgi: rana rzeczywiście była powierzchowna.

- Co się stało, Gideonie?

Przyciągnął ją do siebie, a ona objęła go w pasie, pragnąc upewnić się, że rzeczywiście żył i stał tuż obok niej.

- Okazuje się, że twoja matka była na dzisiejszym balu. Widziała bójkę między Lutherem a mną.



- Byłaś tam? - Constance wpatrywała się w matkę z niedowierzaniem.

Louise splotła dłonie i spojrzała prosząco na stojącego obok niej mężczyznę.

- Powiedz jej, Louise - odezwał się ciemnowłosy, pomagając jej wstać.

- Szukałam was, dziewczęta, od lat - zaczęła. Na jej twarzy malowało się błaganie. - Od kiedy ojciec was uprowadził.

- Tata... uprowadził nas? - Constance zmarszczyła czoło. - Ale przecież mówił, że zakochałaś się w kimś innym. Że masz nową rodzinę.

Rozpacz Louise była nieudawana.

- Wiem. Dowiedziałam się o tym, rozmawiając z Felicity i Patience.

- *Rozmawiałaś z nimi??*

- Tak. Widzisz, odnalazłam was na kilka tygodni przed śmiercią waszego ojca. - Bezradnie wzruszyła ramionami. - To ja zmieniłam jego testament. Tak wiele z waszego życia mnie ominęło, że chciałam pomóc każdej z was w zrealizowaniu najgorętszego pragnienia.

Constance przetrawiała tę informację, zaczynając wszystko rozumieć. Słusznie dziwiła się zmianom w testamencie ojca. On wcale go nie zmienił, ani też nie zrobiła tego Patience. Uczyniła to ta kobieta.

- Chciałam wcześniej się ujawnić - pośpieszyła z wyjaśnieniem Louise. - Planowałam nawet, że „wpadnę” na ciebie na balu. - Usta jej zadrżały. - Nie miałam pojęcia, że mnie rozpoznasz.

- Ja zawsze sądziłam... to znaczy... byłam pewna... że ojciec cię zabił - wyznała Constance powoli, z trudem wykrztuszając słowa przez łzy.

Louise wybuchła płaczem.

- Och, nie. Nie. Constance, on był na to zbyt wielkim tchórzem, nie rozumiesz? To dlatego zabrał was w takim pośpiechu.

- Ale skąd wzięłaś się... - Constance podniosła wzrok na Gideona.

Louise milczała, więc Gideon wyjaśnił:

- Etienne, ochroniarz Louise, uciał sobie pogawędkę z Lutherem po naszej potyczce. Ten przysięgał, że nic go z Maurą nie łączyło, za to widział, jak całowała wyjątkowo wysokiego mężczyznę o jasnych włosach.

- Bircha - szepnęła Constance.

- Strasznie cię krzywdziłem przez te dwa długie lata - rzekł Gideon, mierząc wzrokiem człowieka, którego jeszcze kilka godzin wcześniej uważał za swojego najgorszego wroga. W jego oczach malował się szczery żal.

- Nie tak całkiem znowu bez powodu - odparł Luther z westchnieniem. - Nie powinienem był tak ulegać Maurze. Gdyby mnie zechciała, prawdopodobnie zostałem jej kochankiem. To dlatego nie kwapiłem się zaprzeczać twoim oskarżeniom. Policja nigdy mnie oficjalnie nie oskarżyła, ale mimo to, uznałem, że najlepiej będzie, jeśli wyprowadzę się z Nowego Jorku, zapomnę o tym, co się stało i poczekam, aż z czasem gniew się w tobie wypali.

Uśmiech Luthera był pełen smutku.

- Gdy dostałem od Claudii zaproszenie na bal, przyjechałem w nadziei spotkania się z tobą. Musisz zrozumieć, jaki to był dla mnie wstrząs, gdy wszedłem do sali i zobaczyłem w twoich ramionach kobietę, którą wzięłem za Maurę.

- Udało się nam przekonać go, żeby przyjechał z nami, byśmy mogli cię ostrzec - wtrąciła Louise. - Choć nie mieliśmy dowodów, że lokaj Gideona był nie-

gdysiejszym kochankiem Maury, uznaliśmy, że najrozsądniej będzie zapoznać Gideona z sytuacją.

- Tak się cieszę, że to zrobiliście - powiedziała Constance i zaśmiała się drżąco. A potem mocno uściśnęła Gideona, zdając sobie sprawę, do czego mogłoby dojść, gdyby Birch wkradł się do sypialni, kiedy się całowali. Niemalże widziała, jak ostrze noża zagłębia się w ciele Gideona.

- Birch, czy on...

- Nie żyje - odparł Gideon, gładząc ją po plecach. - Już nigdy nie zrobi nikomu krzywdy.

Było już dobrze po północy, gdy Louise zaspokoila w końcu ciekawość inspektora.

Zaraz po przyjeździe policji domownicy zostali odizolowani od siebie i rozpoczęły się przesłuchania, mające na celu ustalenie kolejności zdarzeń. Louise starała się być dzielna, ale, pozbawiona wsparcia Etienne'a i zaniepokojona o córkę, już po niedługim czasie miała serdecznie dość oficerów policji. Odmówiła udzielenia dalszych zeznań, dopóki nie upewni się, że Constance doszła do siebie po wcześniejszych przeżyciach.

Nie chcąc rozzłościć kobiety, która ma wielu wysoko postawionych znajomych, policjant puścił ją w końcu i Louise ruszyła na poszukiwanie córki, licząc na to, że zastanie ją w gabinecie Gideona.

Zatrzymała się przed drzwiami i zamarła z ręką na klamce. Chciała wejść, ale zarazem tak bardzo bała się rozmowy z Constance, że nie mogła się ruszyć.

Tak wiele wydarzyło się, od kiedy odnalazła męża uciekiniera i porwane dzieci. Nadal nie mogła zrozumieć, dlaczego wskutek jej wysiłków, by połączyć się z córkami, każda z nich wplątała się w szereg niebezpiecznych przygód. Do tej pory szczęście Louise sprzyjało. Chociaż jednak jej młodsze dzieci zaakceptowały ją na nowo i z radością włączyły do swojego życia, czy powinna łądzić się nadzieją, że przedziwny dramat jej życia w stu procentach skończy się szczęśliwym finałem?

- No dalej, *cherie*. Nie wahaj się teraz, kiedy wszystkie twoje marzenia znalazły się w zasięgu ręki.

Obejrzała się. Etienne przyłączył się do niej w korytarzu i czekał w cieniu, oparty ramieniem o ścianę.

- Myślała, że mnie zabił, Etienne - wyszeptała z bólem.

- I jak zwykle czujesz się winna, *ma petite*. - Etienne odepchnął się od pokrytej panelami ściany, udając rozczarowanie. - Nie rozumiesz, kochanie? Ona ciebie nie wini. Ty niczemu nie zawiniłaś.

- Ale ja...

Położył jej palec na ustach.

- Jedyna zbrodnia, jakiej jesteś winna, to miłość, moja słodka. Twoje córki to wiedzą i ja to wiem. Dlaczego więc nie chcesz zapomnieć o przeszłości?

O przeszłości?

Czyżby ta męka naprawdę się skończyła? Czy naprawdę przebrnęła przez wszystkie pułapki Alexandra? Czy teraz ona i córki będą już w pełni szczęśliwe?

- To już koniec - szepnął Etienne, jakby czytał w jej myślach. Nachylił się i pocałował ją lekko w usta. - Idź do swojej córki. Powiedz jej to wszystko, co chciałaś powiedzieć od lat. Wytłumacz, jak wiele zła wyrządziła waszej rodzinie nienawiść jednego człowieka. A potem pogrzeb przeszłość i wyjdź ku temu, co cię czeka. Ku twoim córkom, twojej karierze... - Jego usta ułożyły się w pełen nadziei uśmiech. - I mnie.

Louise wspięła się na palce, zarzuciła Etienne'owi rękę na szyję i objęła go mocno.

- Nie zasługuję na ciebie - odpowiedziała, mrugając powiekami, by się nie rozplakać.

- Cśśś... To mnie dostał się bezcenny skarb - zapewnił, kołysząc ją w ramionach. A w niej rosnęło poczucie wdzięczności wobec losu, że pozwolił jej znaleźć męż-

czynę, który kochał ją tak mocno, że dla niej na lata odłożył własne pragnienia.

- My dwoje mamy do urzędzenia pewne wesele - szepnęła mu do ucha.

Znieruchomiał, a w niej serce zatrzepotało trwożnie. W końcu odezwał się tonem wymówki:

- Zaczynałem wierzyć, że zmienisz zdanie.

- Etienne, nie - zaprotestowała gwałtownie, po czym dostrzegła figlarne iskierki w jego oczach. Zaśmiała się cicho, sama do siebie, i złożyła na jego wargach czuły pocałunek. - A może uciekniemy i potajemnie weźmiemy ślub? Jutro?

- I stracimy szansę, by uczestniczyły w nim twoje córki?

- One by to zrozumiały.

- Ależ do głowy by mi nie przyszło prosić cię o coś takiego. Ślub to uroczystość dla całej rodziny. Twojej. Mojej. I pewnego dnia, już niedługo... naszej.

Zarumieniła się, a on zachichotał, zachwycony.

- Skończyłam czterdzieści lat. Myślenie o dziecku byłoby...

- Szaleństwem? - odpowiedział. Patrząc na jego ściągnięte usta zrozumiała, że podsuwał jej pretekst, by mogła się jakoś wycofać.

- Nie, ukochany. Następne dziecko byłoby dla mnie rajem na ziemi.

Constance odwróciła się, słysząc przeciągły zgrzyt otwierających się na oścież drzwi. Serce zabiło jej żywiej. Myślała, że to Gideon idzie po nią, ale to nie on stał w progu, a ktoś obcy.

Nie. Nie obca osoba.

Jej matka.

- Mama? - szepnęła. Jej wargi opornie ułożyły się w obco brzmiące słowo.

Widziała, jak na ten zwrot usta Louise zaczynają drżeć, ale kobieta nie podeszła do niej.

- Chciałam tylko upewnić się, że nic ci nie jest. Zmartwiam się o ciebie od lat... - głos się jej załamał.

Constance, szukając otuchy, której była pozbawiona tak długo, wpadła jej w ramiona.

- Och, mamó - załkała, czując, jak zalewa ją fala wspomnień. Słodki zapach perfum matki koił.

- Kocham cię, malutka - szepnęła Louise, tuląc Constance. - I jestem tutaj. Zawsze będę blisko, gdybyś mnie potrzebowała.

Constance drgnęła, słysząc to pieścizotliwe słowo, „malutka” - słowo, którego nie słyszała od dzieciństwa. Opadła na pikowaną skórzaną sofę obok matki i oparła głowę na jej ramieniu, niezdolna powstrzymać się od płaczu. Opłakiwała małą dziewczynkę, którą niegdyś była i kobietę, jaką mogła się stać. A przez cały ten czas Louise kołysała ją, szepcząc słowa pełne matczynej miłości i pociechy, stare jak sam czas.

W końcu, gdy łzy trochę już obeschły, Constance odsunęła się, otarła wilgoć z własnych policzków, a potem z policzków Louise.

- Och, mamó, tak mi ciebie brakowało - westchnęła szczęśliwa. - Od tej pory nie wolno nam się rozstawać.

Tym razem to Louise rozszłochała się gwałtownie, a Constance pełniła rolę pocieszycielki. Obejmując matkę wiedziała, że ten wieczór, ten moment, ta więź to jedno z najwspanialszych przeżyć, jakich miała doświadczyć.

Świtało, gdy Gideon zamknął drzwi za ostatnim policjantem, Etiennem, Louise i Lutherem. W między-

czasie złożono masę wyjaśnień, opowiedziano o całym zajściu Potts i Merriweather, policji, nawet chmarze dziennikarzy.

Kiedy zamek zaskoczył, w westybulu zapanowała błogosławiona cisza.

Gideon potarł czoło, wyczuwając obecność kobiety nadchodzącej od strony gabinetu.

- Potts i Merriweather...

- Już dawno posłałam je do łóżek.

- Dzięki Bogu. - Wyciągnął rękę, a ona ochoczo przytuliła się do niego. W milczeniu doszli do schodów. Kiedy już skończyli napawać się ciszą, Gideon odezwał się:

- Nie wiem, co powiedziec, Constance. Po tym, co przeszłaś, będziesz pewnie chciała zamieszkać z matką.

Constance ugryzła się w język, żeby czegoś nie palnąć. Zamieszkać z matką, też coś. Czy wyobrażał sobie, że jej uczucia wobec niego były tak płytkie, że ucieknie, gdy pojawią się pierwsze kłopoty?

Zamiast tego zmusiła się do spokoju i spytała:

- A tego właśnie chcesz?

Dotarli na piętro. Gideon ujął ją za rękę i wbił w nie wzrok.

- W tej chwili myślę, że twoje życzenia są ważniejsze od moich - odparł tylko.

Ciepło i pożądanie, których Constance doświadczyła w jego ramionach zaledwie kilka godzin wcześniej, nadal tliły się w jej ciele.

- Czy to znaczy, że chciałbyś, żebym została?

Spojrzał na nią, nie panując nad wyrazem twarzy, a ona zawstydziała się, widząc malującą się na niej miłość.

- Gdyby miało się spełnić jedno moje życzenie - zaczął powoli - byłoby nim, żebyś została ze mną. Teraz i na zawsze. Jako moja żona.



Nie mogła powściągać uczuć ani chwili dłużej. Uwiesiła się mu na szyi i uściskała go mocno.

- Miałam nadzieję, że tak mi odpowiesz.

- Jak mogłaś w to kiedykolwiek wątpić? - spytał, unieruchamiając jej ciało w silnym uścisku.

- Tyle się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin - zaczęła, kryjąc twarz w zgięciu jego szyi - że nie byłam pewna, czy twoich oświadczeń sobie nie wyśniłam. - Uniosła głowę i ujęła jego twarz w dłonie. - Nie byłam pewna, czy nie wyobraziłam sobie twojej namiętności.

- Nigdy nie wątp ani w jedno, ani w drugie - mruknął nisko, gardłowo. - Kocham cię tak, jak nie kochałem nikogo przez całe moje życie. Umiesz doprowadzać mnie zarazem do szalu i do szaleństwa. - Uśmiechnął się ciepło. - Niczego innego nie pragnę.

Z westchnieniem musnęła wargami jego usta, ciesząc się z jego natychmiastowej reakcji.

- A ja kocham ciebie, Gideonie Payne.

- Sercem i duszą?

- Sercem i duszą.

- A gdybym zasugerował, byś przyłączyła się do mnie w moim łóżku dzisiejszej nocy - tylko po to, żeby spać - miałybyś coś przeciwko?

- Absolutnie nic. - Odsunęła się o krok, złapała go za rękę i pociągnęła korytarzem. - Ale myślę, że spaaniem nie będziemy się zajmować.

- Naprawdę? - W jego oczach pojawił się ogień.

- Tak. Nie zamierzam czekać ani minuty dłużej, żebyś się ze mną kochał.

Kiedy tylko wypowiedziała te słowa, porwał ją w ramiona. Niemal przebiegł te ostatnie kilka jardów dzielące ich od sypialni i nogą zatrzęsnał drzwi.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz zmienić zdania -

powiedział, stawiając ją na ziemi i mocując się z klamkami u jej sukni.

- Marne szanse - zapewniła go bez tchu, rozpinając mu koszulę.

Chwilę później zaśmiewali się jak dzieci, licząc warstwy ubrania, jakie ich od siebie dzieliły, a ich niecierliwość czyniła to zadanie o wiele trudniejszym. Ale niebawem Constance stała już dumnie przed swoim przyszłym mężem, a jej naga skóra połyskiwała w blasku lampki, którą Potts zdążyła widocznie wcześniej zapalić.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał Gideon, kładąc ją na łożo. - Ale nikt nigdy nie zobaczy ciebie takiej. Przenigdy nie zgodzę się, żebyś występowała.

Uśmiechnęła się Z twarzą wtuloną w jego szyję, wbijając mu palce w plecy.

- Przystanę na ten warunek, jeśli złożysz mi taką samą obietnicę: że żadna inna kobieta nie zobaczy cię nigdy nago.

- Taką obietnicę łatwo mi złożyć - zamruczał, wzdając dłońmi po jej talii, ramionach, wreszcie piersiach.

Constance zatrzepotała rękami i zamknęła oczy. Przyjemność poraziła ją jak piorun.

- Takiej obietnicy łatwo mi dotrzymać - odszepnęła.

W ułamku sekundy czas na rozmowy dobiegł końca. Istniała tylko ta jedna chwila i doznania, jakie w nich kipiwały. Constance pozwoliła drżącym dłoniom kontynuować wędrówkę po jego umięśnionym ciele. Muskała skórę jego szyi, torsu.

Trawiona głodem, jakiego nigdy wcześniej nie знаła, przetoczyła Gideona na plecy. Zbadała każdy cal jego ciała, wzrokiem i opuszkami palców. Z każdym pieszczotliwym muśnięciem jej puls przyśpieszał, a ciało ogarniało pragnienie, które graniczyło z bólem.

Cał po całach schodziła z piśczotami coraz niżej, aż w końcu dotknęła go.

Gideon syknął przeciagle, przewracając ją na plecy, i przycisnął do łóżka jej wyprostowane nad głową ramiona.

- Rób tak dalej, a nie będę w stanie czekać.

- A na co u nieba ty chcesz jeszcze czekać? - spytała nieśmiało.

Językiem zbadał wnętrze jej ust, smakując, ssąc, dopominając się, a ona w dwójnasób odwzajemniała każdą piśczotę, modląc się, by dłużej nie zwlekał. Jej ciało trawił ogień i nieokiełznane pragnienie, by ją posiadał, pragnienie, którego nie mogła się dłużej wypierać.

Kiedy mościł się na jej ciele, jęknęła z rozkoszy, rozchylając uda, podając mu biodra, by mógł w nią wejść.

A potem napierał już na jej ciało. Najpierw delikatnie, potem z coraz większą siłą, ponaglany jej pojękiwaniem. W końcu wycofał się na ułamek sekundy, po czym pchnął, zagłębiając się w niej, i krzyknęła, trochę z bólu, trochę z rozkoszy.

- Sprawilem ci ból? - spytał z trudem.

- Nie, nie - zakwiliła, instynktownie napierając na niego. - Proszę, nie przerywaj. Proszę, proszę, nie przerywaj.

Jej błagalny ton sprawił, że znikły jego wątpliwości. Natarł na nią znowu. W niepojęty dla niego samego sposób wiedział dokładnie, co robić, co szeptać, jak pieścić i dominować nad nią, by przywieść ją do szczytu rozkoszy.

Constance wczepiła palce w prześcieradło, modląc się, by ich zespolenie trwało wiecznie, wciąż jednak zdążając ku nienazwanemu, niewiadomemu jej samej celowi. W jej wnętrzu mięśnie, których istnienia nawet nie podejrzewała, zaczęły drżeć, potem nagle rozedrgały się spazmatycznie, uwalniając falę przyjemności,

o jakiej nawet nie śniła. Krzyknęła głośno i utonęła we własnych doznaniach. W głowie miała zupełną pustkę.

Czuła nad sobą drżące ciało Gideona. Otworzyła oczy, by przekonać się, że teraz on dociera do kresu swojej wędrówki. Krzyknął nagle i znieruchomiał.

Przez kilka długich chwil leżał na niej, podtrzymując na rękach ciężar ciała. Kiedy w końcu rozwarł powieki, żeby na nią spojrzeć, posłała mu leniwy, koci uśmiech.

- To było cudowne - zamruczała przeciągle. Jej ciało wydawało się pozbawione energii, nadal jednak tętniła w nim przyjemność.

Gideon odpowiedział uśmiechem, który pełny był błęgiego zadowolenia.

- Jesteś pewna? - spytał.

- Mhmm...

Przetoczył się na bok, przyciągnął ją do siebie i ucałował w czubek głowy.

- To dopiero przedsmak tego, co nas czeka w naszym wspólnym życiu.

- Mam nadzieję.

Ramiona oplotły ją szczelniej. Potem Gideon złożył delikatny pocałunek na jej skroni.

- A ja to wiem - szepnął. - Bo w chwili, w której Birch usiłował zrzucić cię z balkonu, zrozumiałem, że bez ciebie nie będę miał po co żyć.

Zatrzepotała rzęsami, na których zalśniły łzy.

- Nigdy nie miej wątpliwości, że kocham *ciebie*, Constance Pedigrue - kontynuował ochrypłym z przejęcia głosem. - Jesteś moją drugą połową. Moją jedyną prawdziwą miłością. Ty nie jesteś wyblakłą kopią Maury. To Maura była namiastką ciebie.

Łzy polały się po jej policzkach, gdy pochyliła się

nad Gideonem, całując go tak, jak nie całowała nigdy dotąd - z radością, bez cienia nieśmiałości.

Po tak wielu latach bez miłości, w ramionach tego mężczyzny odnalazła wszystko, o czym tylko mogła zamarzyć. Już nigdy nie będzie czuć się samotna, zagubiona czy onieśmielona. Gideon Payne ją kochał.

A to było wszystko, czego potrzebowała do pełni szczęścia.

## Epilog

*Kanada, 1860*

Constance krytycznie przyjrzała się zastawionemu stolikowi, wyrafinowana zastawa i napoje nie pozostawiały jednak nic do życzenia. Obsługa w Gray Mist Inn nieodmiennie była bez zarzutu - a odkryła to, dzieląc z mężem od trzech dni apartament dla nowożeńców.

Uśmiechnęła się tajemniczo, pociągając za skraj cieniutkiego, lnianego obrusa, by wygładzić ledwie widoczną zmarszczkę. Czy ktoś mógłby pomyśleć po pierwszym spotkaniu Constance z Gideonem Paynem, że pewnego pięknego dnia będą dzielić apartament dla nowożeńców, nieważne gdzie, niekoniecznie w odizolowanym od reszty świata kurorcie na południowym wybrzeżu New Eddington w Kanadzie?

Miesięczne wakacje były ślubnym prezentem Gideona. Plany Constance, by wyprawić huczne wesele w gronie rodziny, spełzły na niczym. Felicity nie mogła wybrać się w podróż z powodu porannych mdłości, natomiast Patience sama była świeżo upieczoną małżonką i o rozłące z mężem nie było mowy. Constance pogodziła się z tym, że siostr nie będzie na ślubie, nie mogła się bowiem doczekać, by rozpoczęło się jej nowe życie jako żony Gideona. Uroczystość odbyła się tak szybko, jak tylko pozwalało na to prawo.

Nie narzekała na pośpiech przy zaślubinach, czy zbyt

skromną ceremonię, która odbyła się jedynie w obecności matki, Etienne'a, Penny, Potts i Merriweather. Uważała jednak, że siostry Pedigrue powinny spotkać się jak najprędzej, aby uczcić połączenie z matką.

Niefortunnym zbiegiem okoliczności, gdy dość zaawansowana ciąża Felicity pozwalała już na podróż, okazało się, że Patience jest brzemienna. Potem zaś Louise wyjechała z przedstawieniem do Londynu, potem Rzymu, a następnie do Paryża.

Ale w końcu - *w końcu* - długo wyczekiwane spotkanie miało się odbyć. Gideon chciał sprawić jej niespodziankę, skontaktował się więc ze swoimi szwagrami, o czym zresztą Constance dowiedziała się zaledwie kilka tygodni przed planowanym spotkaniem. Logan Campbell, mąż Felicity, wynajął całe drugie piętro ekskluzywnej oberży Gray Mist Inn - nie lada wyczyn, jako że rezerwacje czterech dostępnych w niej apartamentów trzeba było robić z wieloletnim wyprzedzeniem. Dzięki znajomościom i zaprzyjaźnionym abolicjonistom, zdołał zarezerwować upragnione lokum.

Tymczasem Garrick Dalton, mąż Patience, wysłał jeden ze swoich statków do Europy, z rozkazem jak najszybszego przywiezienia Louise do Kanady. A Gideon zaplanował mnóstwo rozrywek - od prywatnego podwieczorku wyłącznie dla pań z domu Pedigrue, po występ słynnej operowej gwiazdy.

Po prostu szczyt szczęścia.

Delikatne pukanie do drzwi spowodowało, że serce Constance zatrzepotało w radosnym oczekiwaniu. Gideon zniknął ponad godzinę temu - bez wątplenia powęszyć, czy są jakieś możliwości rozszerzenia jego teatralnego imperium na Kanadę. Gościem zatem mogła być jedynie któraś z kobiet z rodziny Pedigrue,

Jak na skrzydłach pomknęła do drzwi i otworzyła je na oścież. W holu stała Felicity z szeroko rozłożonymi ramionami, gotująca się do siostrzanych uścisków.

- Constance!

Po chwili ścisnęły się już z całej siły, usiłując przekrzywić się nawzajem i opowiedzieć sobie wszystko jednym tchem.

Kiedy się już przywitały, Constance przyjrzała się siostrze zatroskana. Pisywały do siebie od roku. Constance słyszała już o mroźnych krew w żyłach przygodach Felicity na zachodzie kraju - o jej kwarantanie w domu publicznym, o tym, jak zakochała się w działaczu „Kolei Podziemnej”, i o jej śmiałej ucieczce do Kanady. Nawet jednak po takich przejściach i urodzeniu dziecka, Felicity wyglądała promiennie.

- Wiem, wiem, nie noszę wełnianej bielizny, a powinnam - powiedziała Felicity czupurnie, nawiązując do ostatniej rady, jakiej Constance udzieliła jej przed wyjazdem do St. Joseph. - Szczerze powiedziawszy, to polubiłam dotyk innych, miłszych materiałów.

- Ja także - wyznała Constance, zaśmiewając się serdecznie z własnej naiwności, kiedy to dawno temu doradzała siostrze noszenie wełnianej odzieży niezależnie od pogody.

Constance nie fatygowała się zamknąć drzwi, skoro całe piętro oberży miało gościć tylko jedną rodzinę. Pociągnęła Felicity w stronę stolika przygotowanego do podwieczorku.

- A gdzie dziecko? - spytała, gestem wskazując siostrze fotel.

- Louis jest teraz z ojcem. Logan zgłosił się na ochotnika, że zajmie się nim po południu, żeby nasze małżeństwo przebiegło bez zakłóceń. - W oczach Felicity



igrały figlarne iskierki. - Nie wiem dlaczego, ale mam przeczucie, że ten spontaniczny gest był jedynie wymówką, żeby mógł pokazać syna twojemu mężowi. Zapropo- nował mi to w chwili, w której rozpoznał Gideona na ślubnej fotografii, którą nam przysłałaś. Felicity usiadła, dodając: - I nie zdziw się, jeśli zaczniesz nabijać Gideonowi głowę wizjami powiększania waszej rodziny.

Constance uśmiechnęła się tylko. Nie zamierzała dać się pociągnąć Felicity za język - tym bardziej, że ona i Gideon spodziewali się, że to wyjątkowe wydarzenie nastąpi zaraz po świętach Bożego Narodzenia. Chociaż marzyła o tym, by jak najprędzej wyrzucić z siebie tę radosną wieść, nie zamierzała jednak niczego oznajmiać przed przybyciem Louise i Patience.

W holu rozległ się głuchy łoskot, któremu towarzyszył stłumiony okrzyk:

- Psiakrew!

Rozpoznawszy głos Patience, Constance podbiegła do drzwi. Patience, która mocowała się z olbrzymim polukrowanym tortem, na widok siostry westchnęła z ulgą.

- Pomóż mi - stęknęła błagalnie.

Patience - wbrew swojemu imieniu, „Cierpliwość” - cierpliwością nie grzeszyła, zwłaszcza wtedy, gdy sytuacja wymykała się jej spod kontroli. Constance pośpiesznie przejęła od niej ciasto i przyjrzała mu się z dziwną miną: wierzch tortu pokryty był osobliwymi grudkami.

- Mówiłam, żebyś niczego nie przywoziła, Patience.

- Wiem, ale Emaline uparła się, że upiecze coś do herbaty i że to będzie niespodzianka - prychnęła Patience. Młodsza siostra jej męża była jej ulubienicą, choć sympatia jakby w niej nieco przybladła w obliczu niedawnych zmagañ z tortem. - Myślę jednak, że powinnaś ostrożnie próbować tego specyfiku, bo to jej

pierwsze ciasto w życiu, a na domiar złego ta szalona dziewczyna przechowywała je w swojej kajucie od chwili, w której opuściliśmy wybrzeże w Nowej Anglii. Mam tylko nadzieję, że...

Pozostała część ostrzeżenia zmieniła się w jeden pisk, gdy Patience spostrzegła kątem oka siedzącą przy stoliku Felicity. Popędziła wyściskać „małą” siostrzyczkę, potem klapnęła na fotel.

- Dosłownie konam z głodu. Mam nadzieję, że nic nie zatrzymało mamy. Od podróżowania na statkach Garricka zawsze dostaję wilczego apetytu.

Od ślubu z Garrickiem Daltonem, Patience odbyła prawie tuzin morskich podróży i napisała setki listów opisujących jej niezwykle przygody. Na początku podróże były dość krótkie - jak na przykład trwająca dzień wyprawa do Bostonu czy Nantucket. Jako dziecko, Emaline doświadczyła losu rozbitka, przez co miała awersję do statków, i Garrick niechętnie myślał o wejściu w rolę kapitana. Jednak pod wpływem Patience Emaline nabrała więcej odwagi, więc wypływali coraz dalej i na dłużej. Patience korespondowała z Constance, która z czasem coraz bardziej niecierpliwie czekała na kolejne koperty z egzotycznymi adresami i przesyłki z niecodziennymi upominkami.

Constance postawiła tort na stoliku, na którym ledwie starczyło miejsca, i zmarszczyła brwi.

- Nie mów, że nie przywiozłaś ze sobą synka, Patience.

- Jest z Garrickiem. Kiedy zobaczył waszych mężów na ganku...

- Wyczuwam spisek - mruknęła Felicity, dźgając palcem bezkształtny gruzełek lukru na dziele Emaline. - Nigdy nie słyszałam, żeby mężczyźni rwali się bez powodu do opieki nad dziećmi.

- Garrick oświadczył - odezwała się Patience, wzsuszając ramionami - że skoro ma to być herbatka dla *pań*, to dla mężczyzn, a więc i małych chłopców, wstęp jest wzbroniony. Oczywiście Emaline protestowała, że jej ta kategoria nie obejmuje, ale Garrick wyjaśnił, że jedynie „kobiety z rodziny Pedigrue”, jak nas nazywa, są zaproszone. Wspomniał także o jakiejś niespodziance...

Prowokacyjnie zawiesiła głos, sycąc się pełną wycieczkiwiania ciszą.

- Jakiej niespodziance? - nie wytrzymała Constance, wywołując wybuch śmiechu obu sióstr.

- Zaczynam wierzyć, Patience, że ślub z właścicielem rewii rzeczywiście zmienił naszą Constance - oznajmiła z chytrą miną Felicity. - Gdzie jej do dawnej pryncypialności.

Constance prychnęła z oburzeniem.

- Nigdy nie byłam... *pryncypialna* pod żadnym względem.

Felicity oblizała palce, rozkasłała się i chwyciła szklankę z zimną wodą stojącą obok jej nakrycia.

Patience rzuciła młodszej siostrze minę oznaczającą tyle co: „A nie mówiłam?”, zanim zwróciła się do Constance.

- Byłaś po prostu nieznośna.

- „Felicity i Patience, nie wolno wam nigdy wiercić się w kościele...” - zaczęła śpiewnym tonem przedrzeźniać ulubione pouczenia Constance:

- „... biegać w miejscach publicznych...” - dodała Felicity.

- „... pobrudzić sobie butów...”

- „... brzydko się wyrażać...”

- „... głośno mówić...”

- „... zapominać chusteczki...”

- „... czy pod jakimkolwiek innym względem zachowywać się jak plebs!” - zakończyły obie zgodnym chórkciem.

Constance zmarszczyła czoło, udając oburzenie - choć świetnie wiedziała, że trafiły w dziesiątkę. Faktycznie miała zapędy moralizatorskie.

Dopóki Gideon Payne nie uświadomił jej, że to nie-wiarygodnie ogranicza horyzonty.

- „I zawsze, ale to zawsze noście długie, wełniane pantalony...” - dołączył się nowy głos, dobiegający od drzwi.

Kobiety przy stoliku podniosły oczy, zaskoczone. Podeszła do nich Louise Chevalier Pedigrue Renoir.

- O ile pamiętam, właśnie to zdanie zawsze kojarzyło się wam z Constance, ilekroć ze mną rozmawiałyście - odezwała się Louise, a w jej oczach malowało się rozbawienie. Szeroko otworzyła ramiona, żeby objąć biegnące na jej powitanie córki.

- W końcu mam was wszystkie - szepnęła Louise, tułac je, wszystkie trzy na raz, a potem każdą z osobna.

Constance poczuła, że w gardle jej się ściska, a do oczu napływają łzy rozczulenia, gdy Felicity, Patience i Louise podchodziły do stolika, gadając jedna przez drugą.

- Chodź, Constance. Musisz opowiedzieć nam o twojej pracy u Gideona - zażądała kategorycznie Patience, kiedy wrzawa ucichła na chwilę.

Rozsiadły się wygodnie, a Constance wzięła się za nalewanie herbaty. Do tej pory nie mówiła wiele. O wiele bardziej wolała przysłuchiwać się wszystkim opowieściom, jakie przywiozły ze sobą matka i siostry. Opowieściom z dżiczy na granicy z Kanadą, o egzotycznych morskich portach i o przepychu Europy. Ale co chwila przyłapywała się na tym, że obserwuje swoją rodzinę, wychwytuje zmiany, jakie zaszły w siostrach i matce, od kiedy je ostatnio widziała.

Od czasu rozstania z Constance, Felicity - impulsywna, nieokiełznana Felicity - stała się kobietą. Rozpierała ją energia, a w jej oczach jaśniało szczęście i miłość, ale też malował się w nich odcień powagi, jakiej Constance u Felicity nigdy wcześniej nie zauważyła.

Patience była jak zawsze żywiołowa i spontaniczna, nabrała jednak pewności siebie, której jej dotychczas brakowało. Gdy mówiła o mężu, szwagierce i swoim małym synku, na jej twarzy malowała się duma i całkowite oddanie.

A Louise...

Gdy Constance żegnała się z nią zaraz po ślubie z Gideonem, Louise wydawała się wciąż niepewna swojego przyszłego miejsca w życiu córek. Po wielomiesięcznej korespondencji ze „swoimi dziewczynkami”, nabrała pewności co do ich uczuć, jak też pełnej swobody w roli ich matki.

Tak wiele się zmieniło, uświadomiła sobie Constance z wielkim przejęciem. Alexander Pedigrue uczynił wszystko, co w jego mocy, by je skrzywdzić. Pozbawił Louise możliwości przyglądania się, jak jej córki dorastają, a potem starał się ze wszystkich sił ukarać dzieci za „grzechy” ich matki. Nauczył Constance ignorować własną, pełną pasji naturę, sprawił, że Patience lękała się męskiej dominacji, i zmusił Felicity do tego, by tłumiła w sobie chęć przygody.

Ale siostry Pedigrue jedna po drugiej niweczyły jego plany. Przetrwały srogość jego humorów, rygor zasad i jego niezdolność do odczuwania radości. Następnie dzięki interwencji matki, która, jak im wmawiano, porzuciła je, każda z trzech kobiet odnalazła życie, które przerastało jej najśmielsze marzenia - męża, dom i dzieci.

Moszcząc się w fotelu, Constance położyła rękę na

brzuchu. Instynktownie wiedziała, że ten moment na zawsze wryje się w jej pamięć jako jedna z najszcześniejszych i najcudowniejszych chwil w jej życiu.

- Mam dla was dwie wspaniałe niespodzianki, moje słodkie - oznajmiła Louise, przerywając zadumę Constance.

Zerwała się na równe nogi i podbiegła do drzwi, które wciąż otwarte były szeroko. Wyrzała na zewnątrz i wróciła, niosąc niewielką szkatułkę z różanego drewna.

Constance i siostry wymieniły zdziwione spojrzenia. Cóż takiego mogła przywieźć matka, co mogłoby uczynić ich spotkanie jeszcze miłszym?

- Jak świetnie wicie, wynajęłam sztab prawników, żeby unieważnili testament waszego ojca - odezwała się, upychając jakoś szkatułkę na stole.

Wyjęła z kieszeni kluczyk, otworzyła ją i z westchnieniem przyjrzała się jej zawartości.

- Obawiam się, że mam dobre i złe wieści. Sąd obalił testament Alexandra. - Usta jej zadrgały zdradzając rozbawienie. - Moi prawnicy bez większego wysiłku dowiedli, że jego stosunek do córek zdradzał początki... obłądu, nazywając rzeczy po imieniu.

- Doprowadziłaś do tego, że uznali go za osobę psychicznie nie zrównoważoną? - spytała bez tchu Patience.

- Obawiam się, że tak. - Uśmiechnęła się chytrze Louise.

- Ojciec pewnie przewraca się w grobie - skomentowała Patience, klaszcząc z uciechy w dłonie.

- I dobrze mu tak - wymamrotała Constance, a potem wzruszyła ramionami, gdy wszystkie trzy wlepiły w nią zdumiony wzrok.

- Brawo, siostro - zagrzmiała Felicity, unosząc filiżankę niczym do toastu.

- W każdym razie - przerwała jej Louise, kierując rozmowę na poprzedni temat - sąd postanowił uhonorować testament, który Alexander sporządził na długo przed uprowadzeniem was. - Jej ton nabrał twardości, gdy wyjmowała ze szkatułki zwitek dokumentów. - W tym testamencie Alexander zapisał wszystko mnie, życząc sobie między wierszami, żeby jego nieruchomość została po równo rozdzielona pomiędzy moich żyjących spadkobierców.

Constance wpatrywała się w matkę ze zdziwieniem. Ani ona, ani siostry nie spełniły ściśle określonych wymagań ojca. Ani jednej z nich nie przyznano rocznej pensji, którą zapisał im w spadku.

Sama Constance nigdy nad tym nie bolała - i była przekonana, że to samo dotyczyło też każdej z sióstr. Mimo to obalenie testamentu sprawiło, że sprawiedliwość zatryumfowała. Siostry i ich matka zdołały położyć kres machinacjom Alexandra Pedigrue, łącznie - jak się wydawało - z jego ostatnimi dekretemi dotyczącymi ich przyszłości.

- Czy chcesz nam powiedzieć - spytała wolno Felicity - że mamy podzielić się majątkiem po ojcu?

- Całym majątkiem? - upewniła się Patience, a oczy zrobiły się jej okrągłe jak spodki. - Całą fortuną rodziny Pedigrue?

- Taak... - odparła Louise, przeciągając to słowo - ...i nie.

Na to pełne wahania zastrzeżenie, Constance wpatrzyła się w dokumenty, jakby zawierały odpowiedzi na pytania dotyczące zagadek wszechświata.

Louise nabrała powietrza.

- Widzicie, sformułowanie było bardzo precyzyjne i moi prawnicy nie zdołali zmienić najmniejszego szczegółu, przy którym upierał się wasz ojciec. - Oparła

dokumenty o imbryk stojący na środku stołu. - Wasz ojciec nalegał, by jego majątek podzielono między *wszystkich moich* żyjących spadkobierców.

Constance rzuciła Felicity i Patience pytające spojrzenie, ale obie wydawały się równie niewiele rozumieć z oświadczenia matki.

- Nigdy nie miałam szczególnego talentu do ubierania takich spraw w słowa - mruknęła Louise. - Etienne - zawołała w kierunku drzwi. - Może przynieś moim dziewczynom tę drugą niespodziankę? - Splatając dłonie, uśmiechnęła się do nich nerwowo i powiedziała: - Przywiozłam dla was wszystkich taki mały drobiazdek z Paryża, gdzie byliśmy z wizytą u rodziny Etienne'a, i mam nadzieję, że się nie rozczarujecie.

W drzwiach ukazała się głowa Etienne'a. Constance - po raz pierwszy od czasu, gdy poznała silnego, nieugiętego ochroniarza matki - pomyślała, że mężczyzna wydaje się dość skrępowany. Ale z drugiej strony Etienne nie należał do tego rodzaju dżentelmenów, którzy chadzają na przyjęcia dla dam z innych powodów niż czysto zawodowe.

- Jesteś pewna? - spytał tonem tak potulnym, tak miękim, że Constance uniosła do ust serwetkę, żeby ukryć uśmiech.

- Tak, *cheri*. Wiem, że to idealna chwila na taką prezentację.

Rozchylił drzwi, w których ukazał się ogromny kosz. Okazało się też, że nie czekał w holu sam: obok niego stali Gideon i Logan z malusińkim Louistem na ręce, obok Garrick z małym Thomasem, wielki owczarek Daltonów, Oscar, i Emaline, przestępująca z nogi na nogę z widocznym przejęciem.

- To rzeczywiście musi być wyjątkowa niespodzian-



ka, skoro zebrała się taka publiczność - zauważyła Patiente kwaśno.

- My z Etiennem jesteśmy tego zdania - odparła Louise. - I mamy nadzieję, że wy też będziecie. - Dotknęła ramienia Constance. - Moja droga, uczynisz honory?

Niepewna, jakie to „honory” ma czynić, Constance podeszła do Etienne'a i do kosza. Kiedy zbliżała się, jej brwi uniosły się w niemym pytaniu. W gniazdku z jedwabiu i koronek spoczywała porcelanowa lalka.

Lalka? Cóż za dziwny prezent dla trzech dorosłych córek. Zabawka musiała być niewiarygodnie droga, skoro matka kupiła tylko jedną dla nich trzech...

Constance wydała zdumiony okrzyk.

Lalka poruszyła się.

- Mamo...? - szepnęła z niedowierzaniem, szukając potwierdzenia u Louise.

Ta kiwnęła głową, a w jej oczach zalśniły łzy.

- Och, mamo. - Delikatnie sięgnęła do koszyka i wsunęła ręce pod ciepłe, najprawdziwsze dziecięce ciało. To była dziewczynka.

Niemowlę wierciło się chwilę, westchnęło i chrząknięciem zaprotestowało przeciw temu, że jest niepokozone.

Przygryzając wargę, by nie przestraszyć dziewczynki, Constance uniosła zawiniątko z kosza, delikatnie tuląc je do siebie. Dziecko przeciągnęło się, ziewnęło i otworzyło jedno oczko. Potem drugie. Lśniące, niebieskie oczka, niezwykle podobne do oczu Louise.

Constance odwróciła się, by siostry mogły zobaczyć, co trzyma w ramionach.

- Jeśli mnie instynkt nie myli, zdaje się, że właśnie nas poinformowano, że będziemy dzielić fortunę z jeszcze jedną siostrą - powiedziała niemal z namaszczeniem, patrząc w różowitką buzię i lśniące oczka.

Odsunęła brzeżek czepka i dojrzała drobne, brzoskwi-  
niowe loczki. Będzie miała rude włosy. Jak Patience.

Constance wyciągnęła palec i dziewczynka złapała  
go rączkami. Delikatnymi rączkami o smukłych pa-  
luszkach. Jak dłonie Felicity w miniaturze.

A potem Constance uśmiechnęła się, przyglądając  
się wyraźnie zarysowanej bródce dziecka.

„Taka, jak moja”.

- Etienne i ja daliśmy jej na imię Hope. „Nadzieja”. -  
powiedziała Louise przez ściśnięte gardło.

Etienne postawił kosz na ziemi, podszedł do żony  
i wziął ją za rękę. Ten czuły gest pozwolił jej opano-  
wać emocje i mówić dalej:

- Tyle lat was szukałam, moje dziewczynki, że za-  
czynałam tracić nadzieję na szczęście. Ale Etienne  
przekonał mnie, że za sprawą miłości dokona się cud  
i pewnego pięknego dnia wszystkie się odnajdziemy.

Louise ucałowała dłoń Etienne'a, a Constance dała-  
by sobie głowę uciąć, że jej ojczym spłonał rumieńcem.

- Kiedy w końcu zjednoczyliśmy się jako rodzina,  
myślałam, że moje szczęście sięgnęło zenitu... - Tym  
razem to Louise się zarumieniła. - Dopóki nie okaza-  
ło się, że nie jesteśmy z Etiennem tacy znowu starzy.

Temu stwierdzeniu towarzyszył cichy śmiech.

- Ku mojej bezkresnej radości i szczęściu - konty-  
nuowała Louise - Bóg uznał za stosowne, by pozwo-  
lić mi patrzeć, jak dorasta nie tylko moje własne dziec-  
ko, ale i dwoje pięknych wnu...

- Troje - wybuchła Constance i poczuła, jak jej włas-  
ne policzki zaczynają pałać. Łapiąc kątem oka szeroki  
uśmiech Gideona, wyjaśniła: - Po Gwiazdce będziesz  
mogła rozpieszczać troje wnucząt.

W pokoju zapanował chaos, wszyscy bowiem zaczę-

li mówić naraz. Wszelkie zamysły „damskiego” podwieczorku poszły w zapomnienie: mężczyźni zaczęli siać spustoszenie wśród smakołyków, pod którymi ugiął się stolik, kobiety zaś przejęły opiekę nad dziećmi.

W pewnej chwili, gdy Felicity zażądała, żeby pozwolono jej wziąć Hope na ręce, Constance cofnęła się, żeby mieć na widoku całą tę zmieniającą się jak w kalejdoskopie scenę - scenę, która dawała o wiele więcej radości niż najlepszy spektakl. Scenę, którą napisało samo życie.

- Szczęśliwa? - spytał półgłosem Gideon, obejmując ją za ramiona i przygarniając do siebie, tak że oparła się plecami o jego tors.

- Bezbrzeżnie - odpowiedziała cicho i tylko do niego.

- Kochasz mnie? - spytał, jak sufler podrzucając znajomą kwestię, rozpoczynając rytuał, który narodził się w dniu ich ślubu.

- Bardziej niż kiedykolwiek.

- I jesteś pewna, że nie czujesz się rozczarowana?

- Rozczarowana czym?

- Tym, że będziesz musiała dzielić się spadkiem.

- Jeśli o mnie idzie - zbyła tę głupią uwagę niedbałym machnięciem ręki - to uważam, że pieniądze będą czekać na naszych potomków w wyjątkowo pewnych rękach.

Gideon objął ją w talii, a dłonie czułym gestem oparł na lekkiej wypukłości ukrytej pod marszczeniem spódnicy.

- Jestem pewny, że Erastus będzie ci bardzo wdzięczny. Skrzywiła się.

- Nie damy dziecku na imię Erastus.

- Rufus?

- Nie.

- Maitlin?

- Nigdy w życiu.

- Przecież Maitlin to wspaniałe imię. Silne imię dla silnego chłopca.

- Dla żadnego z moich chłopców - odpowiedziała. - Poza tym, nasze dziecko będzie dziewczynką, a ja nie dopuszczę do tego, żeby nasza córka...

- Syn.

- ...córka - powtórzyła - otrzymała imię po jakimś dostawcy materiałów.

- Moglibyśmy dostać specjalną zniżkę na aksamitne kurtyny do nowego teatru w Chicago.

- Nie robi to na mnie wrażenia.

- Jakie zatem imię byś wybrała?

W przeszłości, gdy Gideon droczył się z nią wymieniając kolekcję nieznośnych imion, nie dawała się wciągnąć w dłuższe dywagacje. Tym razem jednak, całkiem serio, odpowiedziała:

- Chciałabym dać jej na imię Joy, „Radość”.

Gideon milczał chwilę, a kiedy spojrzała mu prosto w oczy, dostrzegła w nich miłość i wdzięczność.

- Bardzo bym tego chciał. - Nachylił się, żeby pocałować ją w policzek, potem szepnął jej do ucha: - Dzięki tobie i dziecku, które nosisz moja radość jest pełna.

- Tak jak moja dzięki wam, ukochany - szepnęła Constance, a głos drżał jej ze wzruszenia. - Jak moja dzięki wam...